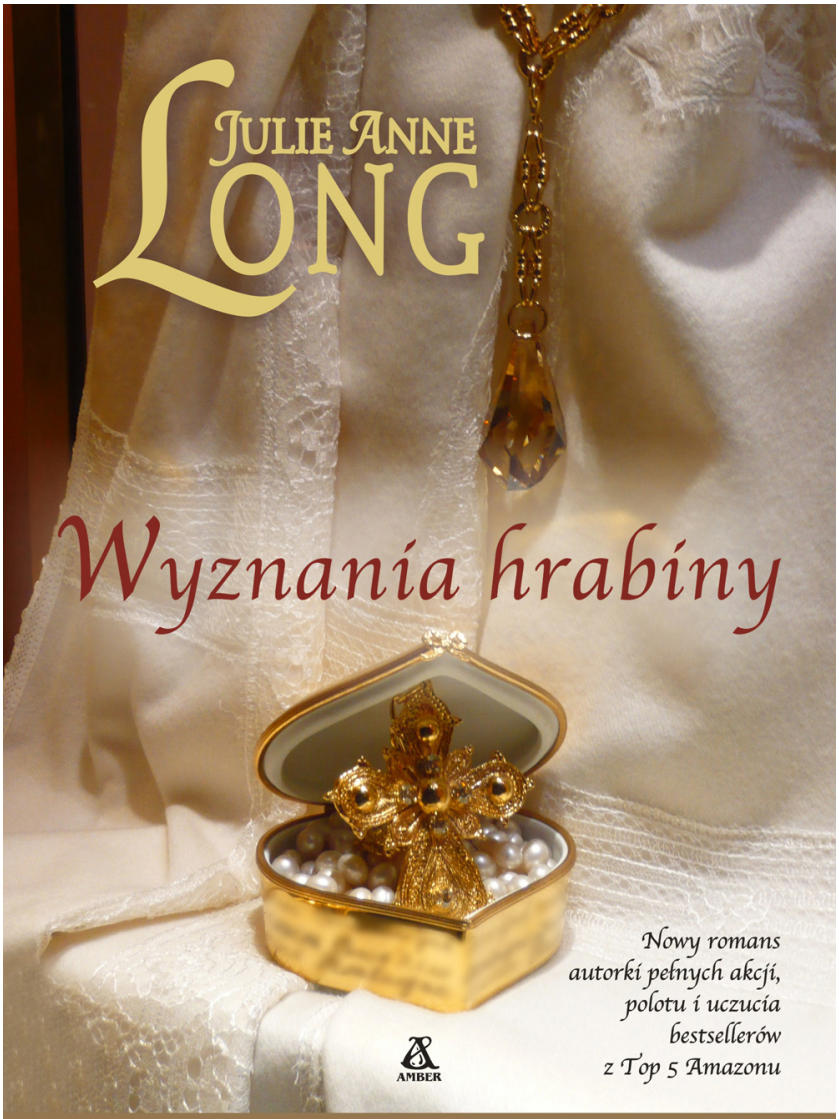
Julie Anne
Long
Wyznania hrabiny
Nowy romans
autorki pełnych akcji,
polotu i uczucia
bestsellerów
z Top 5 Amazonu
AMBER
Romans historyczny

JULIE ANNE LONG

Wyznania hrabiny

Przekład
Agnieszka Dębska

AMBER

Redakcja stylistyczna
Barbara Nowak

Korekta
Renata Kuk
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
A Notorious Countess Confesses

Copyright © 2012 by Julie Anne Long
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2014 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5090-8

Warszawa 2014. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

1

Miała całkowitą pewność, że nikt się nie spodziewa jej obecności w kościele. W końcu było już za późno na zbawienie jej duszy, tak czarnej, jak powiadano, niczym wdowi kwef, przywdziany przez nią z tą samą niestosowną skwapliwością, z jaką zadarła kieckę przed hrabią Wareham. Hrabią, którego potem uśmierciła z równie niestosowną szybkością. Czegóż jednak można się było spodziewać po osobie… z jej pochodzeniem?

Rzecz jasna, były to bzdury. Evie nosiła żałobę tak długo, jak to nakazywał podręcznik etykiety (z jej imieniem wytłoczonym złotymi literami na wewnętrznej stronie okładki – ach, jakże hrabia lubił swoje ekstrawagancje!). Przyswoiła sobie bowiem każde zawarte w nim słowo, jakby to były zaklęcia zdolne odsunąć kamień zagradzający drogę do jej akceptacji przez socjetę.

No, cóż. Jeśli coś istotnie uśmierciło hrabiego, to… entuzjazm.

Była naiwna (słowo, które poznała dzięki pewnemu francuskiemu emigrantowi z tytułem księcia, na tyle naiwnemu, by sądzić, że kiedykolwiek naiwna mogła być ona). Wciąż ją to dręczyło. Zanim wyszła za hrabiego, zyskała pewność, że jej epitafium będzie brzmiało: „Tu leży Evie Duggan, której nikt nie zdołał poskromić". Gdy go już poślubiła, pozwoliła sobie spocząć na laurach, a nawet snuć marzenia na jawie. „Tu leży Evie Duggan…, oddana żona i matka. Żadnej kobiety nie kochano bardziej".

Ach, i to właśnie… to właśnie było jej błędem. Gdyby nie on, zdołałaby przewidzieć, co wkrótce się stanie. Marzenia sprawiają, że człowiek staje się zbyt miękki. Nie powinna była zapominać, że świat bierze stronę tych, którzy przebiegle coś planują, a nie tych, którzy marzą.

Była teraz zbyt znużona, by się nadmiernie przejmować kolorem swojej duszy. Nie nawykła do znużenia, które przytłaczało ją niczym ciężka i szorstka kołdra.

Złożyła skromnie ręce na kolanach, nieświadomie naśladując ułożeniem okrytych eleganckimi rękawiczkami palców kształt tego starego, przysadzistego kościółka.

Zawsze uczyła się przez naśladownictwo. Henny, jej służąca, siedząca obok, zaczęła się wiercić, bo było jej niewygodnie. Ławki kościelne sporządzono kilka wieków wcześniej, kiedy wszyscy byli mniejsi, zarówno mężczyźni, jak kobiety, i dlatego właśnie – tak przynajmniej przypuszczała Evie – łatwiej im było kryć się niczym wiewiórki wśród drzew i zarośli przed grabieżcami. W dawnej Anglii panowała bowiem przemoc, o czym dowiedziała się dzięki pewnemu eleganckiemu złotemu młodzieńcowi, który przychodził za kulisy teatru Pod Zielonym Jabłkiem, gdzie rozpoczęła swoją, pożal się, Boże, karierę. Przynosił jej w prezencie bukiety polnych kwiatów i swoją namiętność do historii. Rzecz jasna oznaczało to, że mógł zyskać co najwyżej odrobinę jej względów – była przede

wszystkim rozsądnie myślącą dziewczyną – ale szanowała namiętności wszelkiego rodzaju i umiała być wdzięczną słuchaczką, a obydwie te cechy bardzo się jej przydały.

Socjeta uczyniła zaś z osławionej Evie Duggan płochliwą wiewiórkę, gdy świat przestał być jej przychylny. Nie znalazła się tutaj z własnego wyboru, miała jednak pewność, że Pennyroyal Green w hrabstwie Sussex pozwoli się jej ukryć. Ostatecznie była to siedziba rodziny Eversea, a jednemu z jej członków udało się nawet w ostatniej chwili umknąć w spektakularny sposób spod szubienicy na oczach ogromnego tłumu. Z pewnością jej przypadek był czymś banalniejszym.

To doprawdy żałosne, że epitet, jakim ją obdarzyła socjeta, był tak przeraźliwie dosadny.

Życie po raz pierwszy wymknęło się jej z rąk, pozostawiając ją w niepewności, w jakim kierunku się udać. Być może dlatego zareagowała na dźwięk kościelnych dzwonów, gdy jej powóz przejeżdżał rankiem przez Pennyroyal Green. Dzwony zdawały się ją zapraszać, a ona to zaproszenie przyjęła. Może w tym nowym życiu stanie się osobą uczęszczającą do kościoła, a nie kobietą, na widok której panowie z socjety, w trakcie konnej przejażdżki po eleganckim londyńskim The Row, spadali z wierzchowców, niebezpiecznie przechylając się, by ujrzeć ją, jadącą w towarzystwie wielbiciela. Może tutejsze damy zechcą się z nią zaprzyjaźnić, gdyż ostatnio odkryła, że nie ma żadnych przyjaciół. A przedtem sądziła, że są ich dziesiątki.

– Czy musisz się tak wiercić, Henny? – syknęła.

– Za przeproszeniem, milady, te ławy są twarde niczym katowskie serce i ciasne niby wlot do szczurzej nory. Cała kiecka mi podjechała do góry i…

Dwie kobiety siedzące przed nimi obejrzały się, gniewnie zaciskając usta.

Zmierzyły wzrokiem Evie. Ujrzały lamowaną futrem pelisę, kapelusz, który zdawał się wręcz miłośnie okalać jej twarz, elegancko podkreślając kości policzkowe, i zielone, szmaragdowozielone, oczy. Na ich twarzach odbiły się kolejno zdumienie, podejrzliwość, zazdrość, zmieszanie, aż na końcu pojawiła się jawna ciekawość.

Na szczęście nie rozpoznały jej.

Evie zrewanżowała się im dyskretnym, pogodnym uśmiechem.

Henny nachyliła się ku niej, mówiąc z cicha:

– No, no, ale tutejsi ludkowie są uprzejmi, milady, gęby na oścież pootwierali, gotowi połknąć każdą muchę, żeby tylko nie dokuczyła komuś lepszemu od nich!

Dwa damskie kapelusze natychmiast odwróciły się ku frontowi kościoła. Jedwabny kwiat na szczycie jednego z nich wciąż się jeszcze chwiał, jakby wystraszony. Henny wzbudzała strach chyba w każdym.

I nagle w kościele dał się słyszeć szmer, podobny poszumowi wiatru ponad trawą na łące. Evie uświadomiła sobie w tym momencie, że czynią go dziesiątki głów jednocześnie zwracających się ku ołtarzowi, a także okryte wełną pośladki przesuwające się po wyślizganym drewnie ławek.

Ona również zwróciła głowę w tamtą stronę.

Pierwszą myślą, jaka jej zaświtała, było: Jest doprawdy wysoki jak na pastora. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, by kiedykolwiek przedtem jakikolwiek pastor przyciągnął jej uwagę – być może onieśmielający wzrost był niezbędny w tej profesji.

Uderzyła ją szerokość jego ramion – potężne barki osadzone na długim, wysmukłym ciele. W rękach trzymał kartki papieru, na których bez wątpienia zapisał słowa przeznaczone zbudowaniu dusz wiernej trzódki. Pochylił się nad kartkami, jakby przygiął go ciężar niewidzialnych skrzydeł.

Mogłaby przysiąc, że wszystkie kobiece ramiona wzniosły się i opadły, gdy pastor podniósł wzrok. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, lekki, lecz ciepły, skierowany do wszystkich, lecz bezosobowy, po czym duchowny znów opuścił wzrok na rękopis. Idealny uśmiech pastora. Spędziła dość czasu w teatrze, by z uznaniem ocenić jego aktorskie umiejętności. Spędziła dość czasu z mężczyznami, by o wszystkich myśleć z cynizmem.

Nie potrzebowała ich już. To z pewnością będzie częścią jej nowego życia.

Henny najwyraźniej sądziła inaczej.

– A to dopiero! – mruknęła półgłosem, chwytając mocno Evie za ramię. A potem dodała powoli: – Proszę spojrzeć, co za kawał chłopa! Ogrzałby mi jak nic łóżko, żeby tylko chciał…

Evie szturchnęła ją energicznie łokciem.

– Witajcie. Dziękuję wam za przybycie.

Zaskoczył ją jego głos. Baryton głęboki jak dźwięk dzwonu i zarazem cudownie delikatny; poczuła się tak, jakby padły na nią promienie słońca w pochmurny dzień. Przymknęła oczy; zapragnęła się w cieple tych promieni ogrzać.

Instynkt samozachowawczy kazał jej otworzyć je ponownie. Słyszała kiedyś, że jakiś Eversea zasnął w kościele, przechylił się do przodu i rąbnął podbródkiem w ławę kościelną, zanim osunął się bezwładnie na posadzkę.

Nie mogła się doczekać jego następnych słów.

– Kozły – powiedział.

Wierni – a może tylko jeden spośród nich – poruszyli się niespokojnie. Dosłyszała jakieś kaszlnięcie, które równie dobrze mogło być zduszonym śmiechem.

Evie też się poruszyła, zaniepokojona, lecz wciąż jeszcze pełna nadziei. Chyba… chyba nie będzie musiała wysłuchiwać kazania o kozłach? Może powiedział jakieś inne słowo, bardziej interesujące, na przykład „koszty”?

– Wielu z nas zna te rogate bestie, wiemy zatem, że bodą one zwykle z dwóch powodów: dla zabawy… lub dla pokonania przeciwnika.

A więc jednak kozły! Chryste! Najlepszy dowód, że nie jest w Londynie. O dziwo, nie przewidziała, że będzie tu umierać z nudów. Nuda zaś budziła w Evie zgrozę. I na szczęście wykazywała prawdziwy talent do jej unikania. Najwidoczniej to instynkt samozachowawczy kazał jej aż do tej chwili trzymać się z dala od kościołów.

Spojrzała z desperacją na drzwi świątyni. Musiałaby przemaszerować wzdłuż całego przejścia między ławkami, wątpiła też, by zdołała uchylić te wielkie, stare drzwi, nie napierając na nie całym ciałem jak taranem. Może Henny poradziłaby sobie z tym.

Henny sprawiała jednak wrażenie zachwyconej kazaniem.

Evie skierowała wzrok ponownie na ołtarz. Słońce stało już na niebie tak wysoko, że jego promienie padające przez jedno z witrażowych okien oświetliły twarz pastora. Nie mogła oderwać od niej wzroku. Interesujący fragment niebiańskiego teatru! Jego twarz

zdawała się wręcz stworzona do łamania kobiecych serc – mocna szczęka, kości policzkowe wystające niczym blanki murów obronnych, pomiędzy nimi delikatne wgłębienia godne pióra poetów, a wszystko podkreślone grą światła i cienia. Całość była w przedziwny sposób subtelna i zarazem nieubłaganie surowa.

Sercu Evie, rzecz jasna, nie groziło złamanie, z tego prostego powodu, że znajdowało się już poza zasięgiem jakiegokolwiek mężczyzny. Ale, doprawdy, prowincjonalny pastor naprawdę nie musi tak wyglądać, mieć takiej prezencji, emanować taką aurą spokojnej pewności. Na takim człowieku można polegać, zaufać mu. A że znała mężczyzn, wiedziała, że właśnie to, bardziej niż jego powierzchowność, przyciągało ku niemu oczy wiernych.

Zesztywniała. Nagle poczuła się jak w pułapce. A przecież była w kościele, nie celi. Nie mając nadziei na ucieczkę, ze stoickim spokojem patrzyła na niego tak, jak patrzy się na pejzaż przesuwający się za okienkiem powozu, i słuchała jego głosu jak śpiewu ptaka lub szumu morza. Przez jakiś czas to działało. Lecz potężne udo Henny przyciskało się do niej mocno, niczym gorąca poduszka, a promienie słoneczne oświetlające twarz pastora przesunęły się dalej i położyły na niej czworokątem ciepła. Czuła znużenie, ogromne znużenie. Myśli zaczęły odpływać, splątane. Nim zasnęła, ostatnią myślą kołaczącą w jej głowie było – jeśli on jest aniołem, to z pewnością upadłym.

Podejrzewała, że pastor ukrywa jakieś sekrety, a ona powinna je poznać.

Gdy kozioł pana Eldreda zaatakował pana Brownwella z taką siłą, że ten przeleciał w powietrzu pięć stóp ponad własnym ogrodem, wyglądało na to, że modlitwa została wysłuchana. Adam był tego ranka w fatalnym nastroju i desperacko gryzł pióro, przekreślając jedną banalną i bezduszną sentencję po drugiej oraz ciskając przed siebie kulkami zmiętego papieru, aż utworzyły pod przeciwległą ścianą pokoju stos przywodzący na myśl stos śnieżek. Wsunął obie dłonie we włosy i przeczesał je palcami (włosy były nieco za długie, właśnie po to, żeby mógł je tak przeczesywać). Jeszcze raz pożałował, że wybrał karierę kościelną, a nie wojskową, bo lepiej byłoby dać się zastrzelić na polu bitwy, niż każdej niedzieli stać pod ostrzałem spojrzeń dziesiątków par oczu, gdy nie miał absolutnie nic do powiedzenia swoim parafianom.

Innymi słowy, sobota jak każda.

Wtedy jednak pan Brownwell wtargnął na plebanię, trzęsąc się z oburzenia i pokazując mu dziurę ziejącą w spodniach na samym siedzeniu.

Incydent ten (tak się złożyło, że był to zatarg o miedzę) natchnął go jednak twórczą weną i o godzinie jedenastej (zawsze o jedenastej!) kazanie było gotowe. Tym razem z afery z kozłem wyłoniło się kazanie o miłowaniu bliźniego. Z pewnością jednak niektórzy z jego parafian już wcześniej potraktowali ten nakaz zbyt dosłownie. Wiedział o tym, bo po upływie roku od jego przyjazdu do Pennyroyal Green wielu z nich okazywało mu zaufanie graniczące z absolutnym oddaniem. „Umie obchodzić się z ludźmi – mówili między sobą. – Jest taki dobry! Taki łagodny, taki niezawodny! Człowiek wręcz pragnie mu wszystko wyznać, a on zawsze wie, co wtedy powiedzieć”.

Tymczasem on nie zawsze to wiedział. Czasami nie miał nawet pojęcia, co powiedzieć,

gdy parafianin wyjawiał mu swój kłopot i spoglądał na niego z nadzieją – lub wyzwaniem – w oczach. Przez ostatni rok, odkąd przybył do Pennyroyal Green, by objąć tam skromną posadę na życzenie swego zamożnego krewnego, Jacoba Eversea, przekonał się, że jego praca przypomina przemierzanie długiego, ciemnego tunelu z pochodnią w ręce oświetlającą drogę przed nim zaledwie na kilka kroków, wśród przelatujących nad nim nietoperzy, gdzie napotykał wnęki pełne skarbów lub z trudem unikał wdepnięcia w jakieś plugastwo. Kierunek wyczuwał po omacku.

Na szczęście lubił niespodzianki. Nawet te nieprzyjemne miały dla niego pewien urok, bo w gruncie rzeczy był z natury zdobywcą, najmłodszym z sześciorga bezwzględnie współzawodniczących ze sobą dzieci, i potrafił zawzięcie walczyć o swoje. Oznaczało to, że nie dopuszczał do siebie myśli o przegranej, czy były to egzaminy na studiach w Oksfordzie, czy sprawy najważniejsze dla jego nieznośnego ojca, jak opanowanie umiejętności celnego strzelania. Albo jak kazanie, którego ani rusz nie potrafił napisać, lub zyskanie pewności, że uboga rodzina O'Flahertych żyjąca na peryferiach miasteczka nie umrze z głodu. Od dzieciństwa starał się bezwzględnie, ale ze spokojem, dążyć do zwycięstwa. Kuzyni Eversea odkryli niedawno tę jego cechę, gdy zachowując zimną krew i bez ostentacji, trafiał za każdym razem do celu podczas zawodów strzeleckich w Sussex. Powrócił stamtąd z wielkim srebrnym pucharem i respektem wszystkich mężczyzn w Pennyroyal Green, którzy z miejsca uznali, że nieważne, jak pastor wygląda, skoro potrafi się należycie obchodzić ze strzelbami, końmi i psami. A on z pewnością potrafił.

Albowiem jego przybycie do Pennyroyal Green w celu objęcia posady pastora powitano z pewną dozą sceptycyzmu. W końcu był kuzynem rodziny Eversea (ze strony matki) i z pewnością na takiego wyglądał, zważywszy na jego wysoki wzrost oraz zapierającą dech w piersi powierzchowność. Obydwie te cechy sprawiały, że kościół w niedzielę wypełniał się parafianami, a serca kobiet – tęsknymi pragnieniami. Wiedział jednak, że niektórzy z jego parafian obawiali się (lub też mieli nadzieję!), że w trakcie niedzielnego kazania wkroczy między wiernych i, zapomniawszy się, zacznie napastować parafianki. Co prawda nie wszyscy Eversea byli awanturnikami, ale jakoś zapamiętano wyłącznie takich.

Wiedział, że musi się w ich oczach okazać człowiekiem bez skazy, więc taki właśnie był. Ujął ich sobie, a że lubił ludzi, przyszło mu to bez trudu, podobnie jak wszystkim mężczyznom z rodu Eversea. Na żadną z miejscowych młodych dam (a nie brakowało wśród nich ślicznotek) nie zwracał większej uwagi niż na inne i nie zatrzymywał na niej zbyt długo wzroku. Wszystkie traktował tak samo. Postanowił być najlepszym pastorem spośród tych, jacy pojawili się na ziemi od stworzenia świata. Teraz, po upływie roku, rozumiał już, jak komiczne było to postanowienie. Okazało się bowiem, że – inaczej niż w strzelaniu do celu – sprawy nie zawsze toczą się tak, jakby on chciał, mimo imponującej samokontroli. Nie przewidział, że jego obowiązki – uczestniczenie w radościach i smutkach parafian, towarzyszenie ich zgonom, narodzinom, ślubom, poznawanie zarówno sekretów, z jakich mu się zwierzali, jak i drobnych kłopotów ich absorbujących, łagodzenie losu tych, którzy popadli w nędzę – oszlifują go jak drogi kamień, pozbawią kantów, nauczą pokory i wydestylują z niego esencję jego osobowości.

Po czym, pozbawiony złudzeń, właśnie teraz lepiej pojmował ich troski. Pracował ciężko, bez chwili wytchnienia. Był tak zajęty, że nie miałby nawet czasu, by pomyśleć o napastowaniu kogokolwiek. Stopniowo porzucił pragnienie, żeby być najlepszym z pastorów, i modlił się po prostu o to, żeby czynić tyle dobra, ile będzie w stanie czynić. Czuł, że może sprostać swojej profesji, lecz w głębi duszy nie był pewien, czy jest jej godny. Wiedział jedno – że nigdy nie przestanie się o to starać.

I już nie śniło mu się tak często jak dawniej, że stoi przed ołtarzem nagi, na oczach wiernych.

Za to jego parafianki wciąż miewały takie sny.

Teraz zaś stał w świetle słonecznym przed kościołem, a parafianie kolejno podchodzili do niego z podziękowaniami i ściskali mu dłoń. Pani Sneath, bardzo porządna kobieta, zatrzymała się właśnie przed nim, cała w uśmiechach. Wychowała pięciu synów, którzy zgodnie z oczekiwaniami matki pożenili się i zajęli handlem, gdyż nie ośmieliliby się zajmować czymś innym pod jej czujnym nadzorem. Stała na czele zastępu kobiet znanych jako Stowarzyszenie Pomocy Ubogim z Sussex, a zadanie tej niewiasty polegało na spełnianiu dobrych uczynków i ratowaniu zgubionych dusz, gdy tylko zdołała jakiejś dopaść. Jej najgorętszym życzeniem było, jak powiedziała Adamowi, stać się świadkiem cudu, prawdziwego cudu. Osobiście uważała charakter pastora za „przykładny”, co wystarczało, by rozwiać najmniejszy cień zwątpienia względem jego moralności w umysłach nieprzejednanych sceptyków.

– Wspaniałe kazanie, pastorze! „Miłuj bliźniego swego” to zawsze doskonała rada, a często i wyzwanie. Mam nadzieję, że będzie pan u nas w tym tygodniu na obiedzie, żebyśmy mogli omówić plany aukcji i pozostałych imprez zimowego festiwalu?

Zamierzano bowiem urządzić całą ich serię, by zebrać fundusze na wsparcie miejscowych biednych – aukcję, mały bal, wielki bal – a ona i jej komitet miały nad nimi czuwać. Zabiegano też jednak o jego aprobatę i opinię. Damy te były niezastąpione, zważywszy na rozliczne obowiązki parafialne Adama.

Niezastąpione i zarazem strasznie irytujące. Pikantne zestawienie.

– Nie opuściłbym za nic tego obiadu, pani Sneath – zapewnił ją.

– Moja siostrzenica, która przyjeżdża z Kornwalii, żeby nas odwiedzić, też będzie na nim – dodała chytrze.

Ach, oczywiście.

– Z przyjemnością poznam kolejnego członka pani rodziny.

– To niezrównana hafciarka.

– Zapewne jest z niej pani bardzo… dumna.

I wtedy ją zobaczył. Drobną i kruchą, a obok niej drugą, o iście niedźwiedziej posturze. Mrużyła oczy, bo raziło ją słońce, jak ktoś, kto wychodzi z mrocznej pieczary. Może zresztą tak właśnie było? Oskarżycielskie promienie słońca oświetliły ją podczas kazania i dlatego Adam spostrzegł, że się zdrzemnęła, wsparta na tej drugiej, zwalistej. I nie tylko się zdrzemnęła, ale nawet pochrapywała, o czym świadczyło lekkie falowanie woalki na kapeluszu.

Jeszcze nikt nie zasnął podczas żadnego z jego kazań. Niemal w całości skierował je właśnie do niej, pełen niedowierzania i urażonej dumy.

Fragmenty prowadzonej szeptem, lecz ożywionej dyskusji obu kobiet dotarły do niego mimo słów pani Sneath.

– Dziwne, że nagle stałaś się znawczynią etykiety, Henny, a ten pastor wygląda jak…

– …mam dość blade pojęcie o belfrach i pięknych słówkach, ale strasznie jestem spragniona pięknych widoków, skorośmy już tu przyjechały. No, rozumiesz chyba, milady, co mam na myśli? Bądź więc tak dobra, żeby…

– …nie chcę zwracać na siebie uwagi, Henny, a ty wiesz…

– Czy lubi pan miód, pastorze? – Pani Cranborn wysunęła się przed panią Sneath i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Miód… ach, oczywiście, dziękuję za miły prezent.

Stale mu ofiarowywano słoiki: miodu, konfitur, dżemu jabłkowego, lub z rozmaitymi maściami, co – jak przypuszczał – miało dać mu do zrozumienia, że jego życie byłoby o wiele przyjemniejsze, gdyby pozwolił zająć się nim jakiejś kobiecie. A tymczasem on był „na nieszczęście nieżonaty", tak to przynajmniej określała jego ciotka, Isolde Eversea. Miała po temu powody, zważywszy, jak bardzo zszarpali jej nerwy jego kuzyni Colin i Ian. Zdaniem zaś Adama był on „na szczęście nieżonaty". Sny, w których stał nago przed ołtarzem, zastąpiły inne, w których płynął przez plebanię zanurzony po szyję w przetworach z jeżyn, by w końcu ujrzeć na jej drzwiach starannie wyhaftowane na makatce słowa „Pokój temu domowi".

Ku jego zaskoczeniu zarówno owa drobna kobieta, jak i ta druga, masywna niczym niedźwiedź, podeszły do niego.

Pani Cranborn rzuciła okiem na potężną niewiastę i cofnęła się z niechętnym zdziwieniem, po czym odstąpiła kilka kroków w tył.

Wtedy Adam po raz pierwszy przyjrzał się kobiecie, którą najwyraźniej znudził. Zdawała się cała składać z jaskrawych kontrastów: czarne loki nad czołem, alabastrowe policzki, a oczy, jak przysłowiowe klejnoty, lśniły żywą zielenią, dostrzegalną nawet przez woalkę na kapeluszu. Pelisa leżała na niej perfekcyjnie i na pewno była dziełem pierwszorzędnej, modnej krawcowej. Nawet on się w tym orientował. Wyglądała wręcz nierealnie, jakby wyłoniła się spośród kart książki z baśniami. Była pięknością. On jednak wolał kobiety proste i bezpośrednie, jak córka lady Fennimore, Jenny, której miękkie włosy stale wyślizgiwały się z upiętej szpilkami fryzury. Ta natomiast sprawiała wrażenie całkowicie nieprzeniknionej. Lśniła niczym szczelnie zamknięty słoik przetworów.

– Mam nadzieję, pastorze, że nie uzna pan tego za niestosowne, skoro nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, ale chciałam panu podziękować za kazanie.

Spojrzenie, które rzuciła swojej niedźwiedziowatej towarzyszce, mówiło: „Jesteś zadowolona?" tak wyraźnie, jakby wypowiedziała te słowa na głos.

– Jestem hrabina Wareham, a to moja służąca, Henrietta La Fontaine.

Hrabina Wareham? Niejasno sobie przypomniał, że coś o niej słyszał. Na pewno o niej słyszał. Zważywszy na jej wygląd, nie zdziwił go ani ten tytuł, ani akcent. W duchu określał te wyraźnie artykułowane spółgłoski i rozwlekłe samogłoski mianem „ironicznego dialektu londyńskiego". Spojrzała na niego z pełną roztargnienia pobłażliwością, jakby nic nie mogło wyprowadzić jej z równowagi. I nic zaskoczyć.

On jednak był zaskoczony, że hrabina zechciała mu przedstawić swoją służącą.

Zawahała się lekko przed wymówieniem słowa „służąca”, jakby nie była pewna, jak ją ma określić.

Skłonił się uprzejmie.

– Miło mi panią poznać, lady Wareham. Jestem Adam Sylvaine, tutejszy pastor. Cieszy mnie również, że zechciała pani być obecna na kazaniu.

Henrietta dygnęła przed nim zgrabnie.

– Było balsamem dla mojej duszy, pastorze.

Henrietta miała wzrok pełen dumy, a jej oczy przypominały rodzynki tkwiące głęboko w cieście.

– Niektórzy mogliby rzec, że usypia niczym kołysanka – odparł żartobliwie.

Lady Wareham zesztywniała, a jej oczy się zwęziły przez moment tak krótki, że ktoś mógłby tego nie spostrzec.

On jednak był spostrzegawczy.

Potem na jej twarzy pojawił się wyniosły uśmieszek, jakim królowa mogłaby obdarzyć dziecko podające jej stokrotkę.

– Raz jeszcze dziękuję, pastorze, i do zobaczenia. Henny, idziemy!

– Do zobaczenia – odparł uprzejmie i złożył jej elegancki ukłon.

Powściągnął grzecznościowy uśmiech. Podejrzewał, że wizyta w kościele miała dla niej tylko urok przemijającej nowości i że już jej tam więcej nie zobaczy.

Henrietta, odchodząc, mrugnęła do niego.

2

W powozie Evie zastanawiała się ze smutkiem, ale też i z rozbawieniem, nad tym, jak bardzo jej dusza jest odporna na próby moralnego odrodzenia. Najwyraźniej nie reagowała na kazania. Był to mało obiecujący początek jej wygnania – czyli nowego życia – w Sussex.

Co za impertynent! Że też miał czelność powiedzieć coś podobnego. Kołysanka, dobre sobie!

– Chrapałaś – powiedziała Henrietta.

– Skądże! – mruknęła Evie, choć bez przekonania.

– Tylko trochę – ustąpiła Henny. – Ale chrapałaś i już.

A potem Evie przysłuchiwała się w roztargnieniu, jak Henny na głos układa menu kolacji.

– Pieczeń na zimno, jak myślę, a czy prosiłaś panią Wilberforce o ser?

Evie wynajęła gospodynię o tym nazwisku, ale to Henny miała na głowie służbę, a że zajmowała się mnóstwem rzeczy, jej rola i funkcja zmieniały się zależnie od tego, kim była Evie: Henny bywała jej służącą, gospodynią, pokojówką, doradcą, mentorką, a w teatrze Pod Zielonym Jabłkiem garderobianą (tam właśnie Evie ją poznała). Przepędzała niepożądanych wielbicieli i bywała wysyłana do aptek w środku nocy. Wyjazd do Pennyroyal Green był dla niej czymś w rodzaju pokuty. Ale Evie uratowała jej dobre kilka lat temu życie, angażując ją jako garderobianą, kiedy Henny została bez grosza. Poszłaby więc za nią na koniec świata, zastrzegając sobie jednak prawo do narzekania.

Powóz zahamował tak raptownie, że obydwie poleciały do przodu, prawie zderzając się głowami. Zakołysał się nieco, gdy stangret zsiadł z kozła. Evie zaś uchyliła drzwiczki i wyjrzała na zewnątrz właśnie wtedy, gdy miał zajrzeć do środka. Obydwoje cofnęli się gwałtownie.

– Za pozwoleniem, milady, coś się stało z jednym koniem. Trzeba na chwilę stanąć, żeby zobaczyć, co mu się przytrafiło.

Coraz gorzej mi idzie, pomyślała Evie z sarkazmem.

– Oczywiście. Czy mogłabym na chwilę wysiąść?

Zapragnęła powietrza. Przeniesienie się z zamkniętego, małego kościółka do zamkniętego powozu spotęgowało wrażenie, że całe jej życie się kurczy, zamykając ją w ciasnej celi.

Stangret pomógł jej wysiąść. Evie lekko zeskoczyła na drogę obrośniętą niską trawą i innymi roślinami, których nie zdołał jeszcze zwarzyć mróz.

Odetchnęła pełną piersią i spojrzała uważnie na to, co miała oglądać w dającej się

przewidzieć przyszłości – łagodne wzgórza pofałdowane niczym zmięta kołdra, iglaste drzewa, dęby, niektóre jeszcze okryte liśćmi mimo nadciągającej zimy. Dym unosił się spiralnie z kominów nielicznych domków w okolicy. Evie rozprostowała nogi i spojrzała przed siebie. Szara linia na horyzoncie była morzem.

Henny wynurzyła się z powozu w ślad za nią, przeciągnęła się i zaczerpnęła głęboko tchu.

A potem stangret wrócił i ukłonił się Evie.

– Lady Wareham, obawiam się, że mamy kłopot. Jeden z koni zgubił podkowę i może złamać sobie nogę, gdybyśmy nie przerwali jazdy.

No jasne, że mieli kłopot. Życie zaczęło się składać z samych kłopotów.

– Jak daleko jeszcze do Damask Manor?

– Powozem dobre dwadzieścia minut.

A zatem co najmniej dwa razy dłużej trwałoby to na piechotę. Dałaby radę – kiedyś była przecież wiejską dziewczyną – ale dla kobiety w wieku Henny i o jej gabarytach było to nie do pomyślenia.

Henny przejęła jednak dowodzenie.

– Dymi się z tamtego komina – wskazała ręką. – Chyba mogłabym sprowadzić pomoc. Może jakiś farmer pożyczy nam wóz? Tak czy owak chcę rozprostować nogi po tych piekielnych ławkach kościelnych.

Evie wahała się przez chwilę.

– No dobrze, skoro nalegasz. Chyba nie zaszkodzi.

Henny doszła do szczytu wzgórka, a potem zniknęła za nim, schodząc ku dolinie wąską, bitą ścieżką prowadzącą do jednego z malowniczych domków, którego komin dymił zachęcająco.

Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie postukiwaniem końskich kopyt oraz pomrukami stangreta i lokaja. Byli zupełnie sami. Evie ponownie spojrzała ku drzewom i drgnęła. Owszem, sami, ale niezupełnie, bo zza jednego z drzew wychylił się mały, jasnowłosy chłopiec. Patrzył na nich z poważną miną i bez śladu zażenowania, jak zwykle patrzą dzieci.

Evie zrobiła możliwie najokropniejszego zeza, starając się o jak najbrzydszy wyraz twarzy. Mali chłopcy to uwielbiali. Chciała, żeby się roześmiał.

Zachichotał ze szczerą satysfakcją. Miał szczerby w przednich zębach, co z jakiegoś dziwnego powodu wzruszyło ją głęboko. Uznała, że musi mieć siedem czy osiem lat. Seamus w tym wieku był istnym diabełkiem w krótkich spodenkach. Tylko że długie spodnie niewiele w nim zmieniły.

– Pająki nie są ładne – powiedział malec.

Wiedziała, jacy są mali chłopcy, choć nie wynikał z tego żaden logiczny wniosek.

– Hm, nie jestem pewna. Podejrzewam, że pajączki-dziewczynki wydają się ładne pajączkom-chłopcom.

Chłopiec uznał to za ogromnie śmieszne. Zaśmiał się z całego serca.

Evie śmiała się razem z nim.

– A czy małe krówki wydają się ładne byczkom? – chciał wiedzieć.

– Bez wątpienia.

– A suczki pieskom?

Udała, że się nad tym zastanawia.

– Chyba tak. W każdym razie niektóre suczki podobają się niektórym pieskom.

– Mnie się podobają wszystkie pieski – zwierzył się jej.

– Mnie też – zgodziła się z całą powagą.

Chłopiec zamilkł, zachwycony tą zgodą.

– Czy masz psa? – spytała.

– O tak. Wabi się Środa.

– Piękne imię dla psa. A także piękny dzień tygodnia. Czemu nazwałeś go Środą?

– Bo nasz sąsiad dał mi go w środę. Na zawsze.

– Musiał to być nadzwyczajny dzień.

– Paulie! Paulie! Paul! Gdzie ty się u licha podziewasz? – rozległ się nagle donośny kobiecy głos.

– Ach, to ty jesteś Paul? – domyśliła się.

– To był nadzwyczajny dzień – zgodził się, nie mrugnąwszy nawet okiem. Najwyraźniej nie przejął się ani trochę matczynym nawoływaniem.

Rozzłoszczona kobieta ukazała się na wzgórku i odetchnęła z ulgą na widok malca.

– Paulie! Czy nie mówiłam, żebyś mi nie uciekał? Ten twój nieznośny pies goni kury, a babcia nie może się nas doczekać i…

Zakryła usta ręką na widok Evie i znieruchomiała na zesztywniałych nogach niby pies myśliwski, kiedy wystawia zwierzynę.

Potem spojrzenie jej stało się lodowate, a usta zacisnęły się w cienką, poziomą linię.

– Patrz, mamo! – powiedział radośnie Paulie. – Ona wcale nie wygląda jak pająk. Jest ładna. A pająki są brzydkie.

Och, Boże.

Zaparło jej dech tak gwałtownie, że poczuła ból w piersiach, a także zimno, choć policzki jej płonęły. Czuła się beznadziejnie i miała pustkę w głowie.

Ten znienawidzony epitet! Skąd by go jednak chłopiec znał, jeśli nie od matki? Musiał usłyszeć, że tak mówiła.

Oznaczało to, że matka dowiedziała się o tym od kogoś innego.

A ten ktoś od jeszcze kogoś innego.

Oznaczało to, że musieli o niej słyszeć.

A już myślała, że uda się jej uciec od tego do Pennyroyal Green. Że zacznie tu nowe życie.

– Czy ci nie mówiłam, Paul, żeby się nie zadawać z obcymi? – upominała syna kobieta. Evie utkwiła w niej wzrok.

– Mamo, ale ona jest bardzo miła, lubi psy i mówi, że pieskom podobają się sucz…

Kobieta chwyciła go mocno za ramię i pociągnęła za sobą. Zaprotestował, wydając coś w rodzaju pisku.

– Jestem twoją matką i masz mnie słuchać bez pytania! Ona nie jest taka jak my, Paul.

Ach. Jakie zadufanie w sobie.

Evie znieruchomiała. Stała jak wrośnięta w ziemię.

Niegdyś zabrzmiałoby to w jej uszach równie wesoło, jak dźwięk monet padających na

stół gry. Przez całe lata nic nie mogło wyrządzić jej szkody; traktowała świat tak, jakby chciała nadać mu żądany kształt. Jakby była sygnetem, a świat pieczęcią z wosku.

Zdała sobie sprawę, że trzyma dłoń przyciśniętą do piersi, tuż ponad aksamitnymi wiązadłami kosztownej pelisy, jednym z wielu – a właściwie ostatnim – prezencie od hrabiego. Całkiem jakby trafiła ją tam strzała.

Opuściła natychmiast rękę.

– No i nie jest znów taka ładna, Paulie – usłyszała jeszcze.

Tego się przynajmniej mogła spodziewać i prychnęła cicho.

Dłuższą chwilę trwało, nim zdołała beztrosko unieść głowę. A także pokazać obojgu język, nim odwróciła się na pięcie.

I o mało nie zderzyła się z mężczyzną, który wdrapał się z tyłu za nią na wzgórek.

3

Odskoczyła w tył, tłumiąc krzyk, z dłonią przyciśniętą do serca.

– Matko Przenajświętsza, nie powinieneś się tak skradać niczym kot, ty wielki, cholerny…

Urwała.

Wyraźny irlandzki akcent, latami tłumiony, ale całkiem czytelny i jędrny, odżył w jej ustach wskutek szoku i słychać go było chyba w całej okolicy. Wielki, cholerny… wielki, cholerny…

Och, co za wstyd.

Zapragnęła zamknąć oczy i zapaść się głęboko pod ziemię.

Zmusiła się jednak do tego, żeby podnieść wzrok bardzo wysoko na kogoś, kto okazał się wielebnym Adamem Sylvaine'em.

Zachowywał niezmącony spokój. Tylko te jego oczy… Migotały w nich frywolne iskierki złośliwej, całkiem niechrześcijańskiej uciechy.

Jeden z koni zarżał, przerywając niemającą chyba końca ciszę.

Bądź dżentelmenem, błagała go w myśli. Udaj, że niczego nie słyszałeś.

Uniósł brwi.

– Wielki… – zaczął.

Spojrzała na niego lodowato. Kusiło ją, żeby dodać „sukinsynu". Dlaczego nie? Gdy się już powiedziało „a", trzeba powiedzieć „b".

Czekał. Cierpliwy jak Hiob. Przewrotny jak Lucyfer. I rozbawiony.

– …pastorze – dokończyła wreszcie ledwo dosłyszalnie.

Odchylił głowę w tył, jakby było to za dobre, żeby było prawdziwe, potem zaś nią skinął.

– Zapewne nim jestem – zgodził się, choć jego głos w podejrzany sposób przypominał tłumiony śmiech. – Zapewne jestem wielkim… pastorem… Choć nikt mi wcześniej nie zarzucał, że skradam się jak kot. Pewnie ma to coś wspólnego z byciem… no cóż… wielkim, jak przypuszczam.

Pastor robił sobie z niej jaja, jakby powiedział jej brat, Seamus, i to skutecznie.

Spojrzała mu prosto w twarz. Jego oczy miały rozbrajająco błękitną barwę – kolor głębokiej, spokojnej wody jeziora Lough Leane w Killarney – i sprawiały, że ogarnął ją dziwny niepokój. Czyżby ten człowiek zawsze był tak pogodnego, łagodnego usposobienia? Podobnie jak jego sumienie i dusza bez skazy, pomyślała z sarkazmem. Nieciekawy płaszcz z ciemnej wełny – nie szył go renomowany londyński krawiec Weston, tego była absolutnie pewna – łopotał za nim na wzmagającym się coraz bardziej

wietrze, który szarpał też co sił niedbale zawiązany halsztuk nad szarą kamizelką w prążki. Kamizelkę też szył jakiś zwyczajny krawiec.

A że stali na środku drogi, powiodła wzrokiem po długich, smukłych, silnych nogach, całkiem niestosownych dla pastora, aż po zakurzone i pokiereszowane czubki butów, które na pewno nie były dziełem Hoby'ego, najlepszego londyńskiego szewca.

Wbiła wzrok, co było bezpieczniejsze, w ziemię, korzystając z chwili zaskakująco niezbędnego oprzytomnienia po przyglądaniu się jego nogom.

– Myślałam, że pastorzy powinni nosić specjalne stroje – powiedziała niemal z irytacją. Ale już przynajmniej bez akcentu.

– Och, to nie jest obowiązkowe.

Najwyraźniej zniewagi odbijały się od niego niczym piłki od ściany.

– Przez „specjalny strój" rozumie pani zapewne sutannę? – dodał. – Otóż, lady Wareham, w sutannie trudno byłoby mi się skradać jak kot. Plącze się wokół kostek i łopoce na wietrze. A tymczasem trzeba się skradać, by zagrodzić drogę nieprawości.

Nieprawości?

To słowo było jak policzek.

Może on żartował? Z pewnością żartował. Czy wiedział, kim ona jest? Czy wszyscy w tym okropnym miasteczku chcą ją wziąć na tortury? Czy szykują już wrzący olej?

– Czy dlatego pojawił się pan tak nagle? Wyczuł pan jakąś nieprawość, pastorze Sylvaine? Czy krąży pan po wsiach Sussex, węsząc za nią, niczym świnia za truflami?

Nie odpowiadał tak długo, że w końcu na niego spojrzała.

I stwierdziła, że stoi sztywno, jakby wrósł w ziemię.

Coś w jego bezruchu nasunęło jej myśl, że rozgniewała go, co byłoby doprawdy niemądre. Szczególna myśl w odniesieniu do pastora. Nie wyglądał jednak na rozgniewanego, mimo że zmrużył oczy. Przyglądał się jej uważnie. Tak mógłby się ktoś przyglądać zamkowi w drzwiach, chcąc dokonać włamania. Poruszały się tylko jego włosy. Wciąż unosiły się i opadały na wietrze. Pod warstwą ciemnoblond kryły się pasma złociste i rudawe, a także spłowiałe, niemal białe. W tym milczeniu i ciszy było to czymś absurdalnie fascynującym.

– Mam mnóstwo kuzynów i liczne rodzeństwo, lady Wareham. Jeśli ma pani rodzeństwo, nie zdziwi pani zapewne fakt, że mam też bardzo grubą skórę. Prawie nie sposób mnie obrazić.

Ano, cóż.

Powiedział to z całkowitym spokojem, jakby nie przejrzał jej już na wskroś i nie unicestwił jej obrony, traktując ją jak rozkapryszone dziecko.

– Niektórzy mogliby to uznać za wyzwanie, wielebny pastorze.

Nigdy nie potrafiła się oprzeć wyzwaniom.

Znów zamilkł. A potem się uśmiechnął. Bardzo dyskretnie. Chyba tylko na tyle, by zauważyła elegancki zarys jego ust i dostrzegła dołeczek w jednym z ich kątów. A kiedy się wreszcie odezwał, raczej wyczuła, niż usłyszała, jego głos, całkiem jakby ktoś przesunął palcami po włoskach na jej karku. Głos był miękki, bardzo miękki. Ale jakoś dziwnie pozbawiony łagodności.

– Ach, tak? A więc przybyła pani do Pennyroyal Green, lady Wareham, żeby podjąć

wyzwanie?

Spojrzała mu w oczy.

Odwzajemnił to spojrzenie.

I ku swemu zdumieniu poczuła, że kark i ramiona zaczynają ją palić i że z trudem oddycha. Przyszło jej na myśl, że nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który byłby równie… powściągliwy. Tak. To było właściwe słowo. Kryło się w nim coś, co nakazywało mu samokontrolę. I cokolwiek to było, kimkolwiek on był, przyciągał ją ku sobie, tak jak ziemia przyciąga i wchłania wodę. Było to coś silniejszego od niej, a całe jej życie zależało od tego, by właśnie ona była silniejsza od wszystkiego.

Odwróciła się raptownie i nabrała głęboko tchu w nadziei, że rozjaśni się jej w głowie, lecz zdradzieckie powietrze przeobraziło się chyba w wino lub coś do wina podobnego i jej myśli chwiały się jak pijani bogaci spadkobiercy w domu gry.

Przecież to tylko pastor, upomniała siebie. Zaskoczył ją w rzadkiej chwili słabości związanej z bolesnym epizodem w jej życiu. I tyle. A ona czuła się akurat bardzo znużona. Mimo wszystko drzemkę w kościele trudno uznać za odpoczynek.

Otuliła się szczelnie pelisą i spojrzała na unieruchomiony powóz, marszcząc brwi. Gdzież u licha jest Henny?

– Zdaje się, że jeden z moich koni zgubił podkowę – powiedziała wreszcie, głosem słabszym, niżby chciała.

Ciekawa była, czy rozczarował się co do niej.

Zaczął się jej przyglądać tak uważnie, jakby liczył włoski w jej rzęsach.

– Zauważyłem to – powiedział po chwili dość swobodnym tonem. – Szedłem właśnie do jednego z parafian, kiedy zobaczyłem, że pani powóz się zatrzymał. Ale że nie trzeba się dłużej bać zbójców na tej drodze, bo Jednooki William przestał już grasować w tych stronach kilkadziesiąt lat temu, a także dlatego, że nie jest to wcale najbardziej malownicza część Sussex, zacząłem się obawiać, że zdarzył się jakiś niefortunny wypadek.

Jednooki William? Czy on żartuje?

Milczała.

– Czy mogę pomówić z pani stangretem?

Gdy nie odpowiadała, bo nie mogła wykrztusić ani słowa, odwrócił się. Usłyszała, jak najpierw zrobił jeden krok, potem drugi i, nie wiedzieć czemu, odgłos jego kroków mówił jej, że przegrała.

– Pastorze Sylvaine…

Zatrzymał się, odwrócił ku niej, pytająco uniósł brwi.

Odzyskałaby siłę, odwołując się do tego, co jej tę siłę dawało.

– Proszę mi wybaczyć. Obawiam się, że zapomniałam przy panu o manierach i… Widzi pan, nigdy wcześniej nie poznałam bliżej żadnego pastora, a sądzę, że to ciekawa i ważna funkcja. Proszę, niech mi pan powie, jak się zostaje pastorem?

Wiedziała chyba lepiej niż jakakolwiek kobieta w Anglii, czym najłatwiej rozbroić mężczyznę, obojętne, czy jest to sekretarz stanu, król angielski czy węglarz. Pochlebstwem wraz z flirtem i aluzjami.

Ku jej zaskoczeniu pastor Sylvaine wyraźnie, wręcz komicznie, nabrał czujności.

– Przekonałem się, że najlepszym sposobem jest pokrewieństwo z rodziną, której zawdzięcza się tę posadę – odparł z nutką ironii.

I nie powiedział nic więcej.

– Czy trzeba mieć charakter bez skazy i być wolnym od wszelkich wad? – Złożyła skromnie ręce na piersi i rzuciła mu spod rzęs spojrzenie z precyzją godną strzelca wyborowego.

Pastor popatrzył na jej dłonie tak, jakby trzymała w nich odbezpieczony pistolet. A potem z wolna przeniósł wzrok na jej twarz.

Zawahał się.

– Przypuszczam, że zależy to od tego, jak ktoś rozumie słowo „wady".

Zdanie to było istnym majstersztykiem ostrożności.

Przymknął oczy, nieprzeniknione jak puste niebo. Jej własne zaś, czego była całkiem pewna, dzięki ich barwie, gęstym ciemnym rzęsom, kątowi padania światła i szczerej chęci zauroczenia go, błyszczały i migotały.

– Czyżby ma pan jakieś wady, pastorze Sylvaine?

Jej ton zdawał się sugerować, że szczerze by tego pragnęła, że okazałaby mu wyrozumiałość i wybaczyła, uważając je mimo to za fascynujące, i że jej własne wady byłyby ich miłym dopełnieniem.

Pastor nagle zesztywniał jak zaciśnięta pięść.

A potem mała zmarszczka pojawiła się między jego oczami.

Niestety, ten wyraz twarzy w najmniejszym stopniu nie oznaczał zauroczenia.

– Z pewnością nie mam żadnej, która mogłaby panią zainteresować. – Powiedział to uprzejmie, spoglądając na drogę, gdzie najwyraźniej wzywały go obowiązki. Tak jakby był… znudzony.

Oniemiała.

– Uważam, że najbezpieczniej byłoby pójść ścieżką wzdłuż tych zarośli, lady Wareham, lecz zapewne nie powinna pani się zapuszczać zbyt daleko bez znajomości terenu. Czy nie wolałaby pani poczekać wewnątrz powozu, chroniącego przed zimnem?

Wiedziała, kiedy ją zbywano. Duma i zdumienie uchroniły ją wszakże od ostrej odpowiedzi.

– Ma pan na myśli bezpieczeństwo swoich wiernych? – zdołała spytać niemal lekceważąco. Głos jej jednak brzmiał słabo, tak bardzo urażono jej dumę.

Uśmiechnął się uprzejmie.

– I moje powinności jako dżentelmena – rzekł znów z tą szczególną, pełną rezerwy uprzejmością. – Przepraszam, że panią przestraszyłem. Nie było to moim zamiarem.

Ku jej przerażeniu znów poczuła, że się czerwieni.

– Moja służąca jest niedaleko – odparła krótko, usiłując ukryć zakłopotanie. – A o zimno nie dbam.

– Chciałbym się tylko przekonać, czy nie mógłbym w czymś pomóc pani stangretowi.

Gdy nie odpowiedziała, złożył jej elegancki ukłon i się odwrócił. Stała bez ruchu, patrząc, jak wita się ze stangretem i lokajem, a tamci z zapałem oddają pozdrowienie. Trzy męskie głowy zbliżyły się do siebie – upudrowana lokaja, goła stangreta i jasnowłosa pastora – w prowadzonej półgłosem rozmowie. Podczas gdy stangret

ostrożnie przytrzymywał koniowi łeb, pastor nachylił się, uniósł nogę zwierzęcia i obejrzał kopyto. Evie ze zdumieniem ujrzała, że zdejmuje halsztuk i delikatnym, wręcz czułym ruchem owija nim końskie kopyto, ku jawnej aprobacie jej służby.

Potem zaś pomachał jej dłonią na pożegnanie i odszedł bez wątpienia tam, gdzie się przedtem wybierał. Bez halsztuka.

Patrzyła w ślad za nim.

Usłyszała sapanie Henny, nim jeszcze ją ujrzała, po czym służąca wyłoniła się zza pagórka, unosząc spódnice i ukazując dobre kilka cali tęgich łydek okrytych, jak należy, grubymi wełnianymi pończochami, zwisającymi w obwarzankach.

– Nikt nie odpowiadał na moje pukanie do drzwi, milady.

Henny opuściła spódnice i zastygła bez ruchu na widok twarzy swojej pani. Spojrzała na nią ze zdumieniem, przekrzywiając wielką głowę na bok, a potem osłoniła dłonią oczy, widząc, jak Adam Sylvaine oddala się długimi krokami, po żołniersku wyprostowany.

Obydwie patrzyły w ślad za nim bez słowa.

Dostatecznie długo, by zaczęło to być śmieszne.

Nie odwrócił się ani razu.

– Kawał chłopa – powiedziała w końcu Henny. Jakby to nie było oczywiste!

– Wiejskie powietrze uderzyło ci do głowy – syknęła Evie i z uniesioną wysoko głową poszła w stronę powozu. Henny następowała jej na pięty, nie przestając sapać.

– Posłuchaj mnie, Evie. Masz się za kobietę światową, wielką panią, która zna się na mężczyznach. Ale jak jest za dużo kwiatków w ogródku, to wszystkie zaczynają pachnieć tak samo, no nie? Jednego od drugiego nie odróżnisz. A ja ci powiadam, ten jest lepszy od innych.

– Dlatego że jest pastorem? Na miłość boską, Henny – rzekła Evie ze znużeniem – przecież to… tylko mężczyzna.

Łatwiej jej było posłużyć się słowem „tylko”, mówiąc o Adamie Sylvainie, kiedy nie stał tak blisko niej, że mogła dostrzec różne odcienie jego włosów.

– Pod ubraniem wszyscy zawsze są tacy sami. Nieważne, czy wyglądają jak anioły, czy jak maszkarony. Ja tam nie mówię, że on jest święty czy dobry, ale że lepszy – upierała się Henny, z nieznośną, pełną wyższości miną, którą lubiła przybierać, kiedy nie mogła znieść czyichś argumentów.

Słowo „lepszy” z jakiegoś powodu uraziło Evie dotkliwie. Tak jakby sama straciła nadzieję, że jest lepsza od innych. Postarało się o to samo życie, które już od dawna nabrało własnego rozpędu. Niczego jednak nie żałowała. Żal oznaczałby, że mogła dokonać innych wyborów, a ona wcale nie była pewna, czy miała jakiś wybór. Niewątpliwie uważałaby swoje życie za triumf planowania, póki ostatnie wypadki nie sprawiły, że rozleciało się jak bilardowe kule po uderzeniu kijem.

– Wypada pamiętać, Henny, że z wiekiem niekoniecznie się mądrzeje.

– Zawsze gadasz „wypada”, kiedy wiesz, że ja mam rację. Zapamiętaj sobie, że lepszy od innych znaczy, iż wcale nie musisz mu się podobać, ty źle wychowane ladaco.

– Źle wychowane ladaco, które o wiele za długo toleruje twoje zuchwalstwo.

Przygadywały sobie w ten sposób przez całą drogę do powozu.

Stangret i lokaj skończyli właśnie zaprzęgać ponownie konie i wdrapywali się na

kozioł, kiedy obie tam dotarły.

– Dlaczego pastor własnoręcznie owinął koniowi kopyto? – spytała lokaja.

– Mówił, że nie chce, żebyśmy sobie zniszczyli liberie, milady. Uparł się i już.

– Ależ… nie bardzo rozumiem, dlaczego miałyby się zniszczyć?

– Żeby koniowi znowu się coś nie stało, trzeba mu było ostrożnie owinąć czymś kopyto. Ale podkowa odpadła w całości, tak że nie uszkodziła kopyta, no i na szczęście nie okulał. Pastor zna się na koniach! – rzekł stangret z uznaniem. – Przy powolnej jeździe zdołamy dojechać do domu, a koniowi nic nie będzie. Pastor powiedział, że zaraz wyśle do nas kowala.

Był to rodzaj wyjaśnień, którymi służba zazwyczaj nie niepokoiła hrabiny. Teraz jednak w domu nie było żadnego mężczyzny, jej budżet, który zależał od tego, co jej przypadło z majątku Monty'ego, nie bardzo pozwalał na utrzymywanie zaprzęgu, powozu i lokaja, a zdrowie wartościowego konia miało duże znaczenie. Niewątpliwie cała służba była tego świadoma.

Liberie również sporo kosztowały. Najwyraźniej pastor o tym wiedział. Domyślała się, ile w budżecie pastora znaczył koszt halsztuka, a mimo to zdobył się na grzeczność w odpowiedzi na jej mało eleganckie zachowanie. Poczuła lekką ulgę.

– Dziękuję – powiedziała uprzejmie do lokaja. – W takim razie pojedziemy do domu powoli i dzięki temu trochę lepiej poznamy piękne otoczenie naszego nowego domu.

– Bardzo dobrze, milady.

Uśmiechnął się, co poprawiło trochę jej nastrój. Zwykle z łatwością zjednywała sobie ludzi, oczarowywała ich, a to, że nie udało się jej tego dokonać z pastorem Sylvaine'em, przygnębiło ją. Była mistrzynią w rozpoznawaniu tego, co wprawiało mężczyznę w dumę, i tego, co sprawiało, że czuł się nieudolny, i umiała wzmagać to pierwsze lub pogłębiać drugie. Oczywiście, gdy już kogoś usidliła, mogła manipulować jego mocnymi i słabymi stronami, tak jak zręczny woźnica posługuje się lejcami, by kierować koniem.

– O nie, lorda Asquith nawet przy najbujniejszej fantazji nie można by porównać do kwiatu – Evie wewnątrz powozu ciągnęła nadal spór z Henny, zdecydowana go wygrać.

– Święta prawda – przyznała Henny, z westchnieniem rozpierając się na miękkich siedzeniach. – Toż on śmierdział niczym sklep w Seven Dials, najgorszej dzielnicy Londynu. Jakąś maścią kupioną w środku nocy w aptece McBride'a, której użył na swą męską przypadłość.

Evie była zafascynowana mimo woli. Znała dobrze tę aptekę, głównie z tego powodu, że można tam było dostać rozmaite rzeczy, jakich niektóre aktorki często potrzebowały.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

– Wiem o tym i owym. Mogłam w swoim czasie też być dziwką – odparła Henny z zadowoloną miną.

Evie była zbyt znużona, by sprzeciwić się użyciu słowa „dziwka", zwłaszcza gdy Henny wypowiadała je ze szczerym afektem. Henny znała ją w każdym z jej poprzednich wcieleń. Miała też zaskakujące powodzenie u mężczyzn.

– Może powinna byłaś spróbować, Henny. Może i tobie dostałby się jakiś hrabia i obydwie wycofałybyśmy się z tej profesji w wielkim stylu.

Służąca z zachwytem klepnęła ją po udzie.

– Pewnie by mi się udało!

Evie spojrzała przez okienko na łagodne wzgórza, które przesuwały się za nim jedne po drugich, na dym wznoszący się spiralnie ku niebu z domków wypełnionych ludźmi, którzy najpewniej za parę dni będą o nich plotkować i nigdy nie przyjmą jej życzliwie, na srebrną linię morza w oddali, i poczuła się niepewnie. Ten widok mógł być jej przeszłością, teraźniejszością lub przyszłością. Nie była nigdzie zakotwiczona.

Uświadomiła sobie, że nie wiadomo dlaczego spogląda w kierunku, w którym odszedł Adam Sylvaine. Tak jakby właśnie on mógł zostać jej gwiazdą przewodnią.

4

Adam zdumiał się, gdy nieoczekiwanie dla siebie samego stanął przed drzwiami domu lady Fennimore. Wyciągnął zegarek kieszonkowy – zjawił się tu tylko dziesięć minut później niż zwykle. Zmarszczył brwi i schował zegarek. Z trudem mógł sobie przypomnieć, jak tu przyszedł, a przecież niemal od roku przemierzał tę samą drogę. Czas jakby się zatrzymał, gdyż dwa obrazy przesłoniły mu wszelkie inne myśli.

Córka lady Fennimore jak zwykle powitała go w drzwiach.

– Jak ona się dzisiaj czuje, Jenny?

Jenny drgnęła i cofnęła się o krok, zdumiona.

Dopiero teraz usłyszał ton własnego głosu – bezceremonialny, zaaferowany, rozdrażniony. Całkiem niepodobny do jego głosu. Taki głos mógł każdego zmusić do cofnięcia się o krok.

Uśmiechnął się przepraszająco. Jenny też się uśmiechnęła, swoim łagodnym i wyrozumiałym uśmiechem, i odgarnęła pasmo włosów, które wymknęło się z jej fryzury.

– Czuje się jak zwykle, pastorze, ale zawsze znacznie się jej polepsza po pańskiej wizycie. Proszę pójść do niej od razu. Właśnie nastawiłam wodę. Usłyszę, kiedy zacznie wrzeć. Pomyślałam sobie, że po tak długiej przechadzce zechce się pan napić herbaty.

– Zawsze o wszystkim myślisz, Jenny. Herbata to doskonały pomysł. A przechadzać się bardzo lubię.

Policzki, szyja, a nawet obojczyki Jenny poróżowiały z satysfakcji. Znów odgarnęła niesforny kosmyk jasnych włosów i wycofała się do kuchni, pokrzepiona jego uśmiechem, miłymi słowami i własnymi marzeniami co do jego osoby. Obejmowały one podawanie mu herbaty, rozcieranie szerokich ramion i podkładanie pod głowę podczas drzemki jednej z wyhaftowanych przez nią poduszek.

Miała niezbitą pewność, że kazanie o miłowaniu bliźniego skierowane było właśnie do niej.

Spojrzał w ślad za nią. Jej łagodność, prostota i gorliwość podziałały na niego niczym balsam po niedawnej rozmowie na wzgórzu. Gdy już zniknęła w kuchni, przeszedł przez hol, mijając lustro w złoconej ramie. Na małym stoliku pod lustrem pysznił się bukiet róż wstawionych do chińskiego wazonu. Lady Fennimore miała wspaniałą cieplarnię, choć mogło się zdawać, że to cieplarnia ma lady Fennimore, tyle było w tym domu kwiatów i tak wszechobecny był ich aromat.

Gdy miał już wejść na dobrze mu znane marmurowe schody, nagle znieruchomiał.

Po czym odwrócił się ostrożnie jak ktoś, kto w biały dzień zaskoczył nagle włamywacza, i powrócił przed lustro.

Zobaczył w nim swoją ponurą minę i zaciśnięte szczęki. W oczach zaś iskrzące się ogniki czegoś niebezpiecznie bliskiego gniewu.

Nic dziwnego, że Jenny cofnęła się o krok.

Powinien zapanować nad swoim wyglądem, nim lady Fennimore, osoba bystra, rzuci na niego okiem i w jakiś tajemniczy sposób odgadnie, że przyczyną była kobieta.

Irytująca i niemiła.

Kobieta, która najpierw ucięła sobie drzemkę w jego kościele, potem głośno zwymyślała go jak irlandzka prostaczka (co go zresztą, paradoksalnie, rozbawiło), rzucała mu zjadliwe docinki – niczym żołnierz miotający kamienne pociski z katapulty – a na końcu usiłowała z nim flirtować, niepokojąco błyskotliwie.

Mimo to dwa obrazy ciągle stały mu przed oczami przez całą drogę do domu lady Fennimore.

Taką ją właśnie ujrzał. Stała nieruchomo, z dwoma jaskrawymi rumieńcami na policzkach, z dłonią przyciśniętą do piersi. A potem rozprostowała ramiona jak pięściarz otrząsający się po ciosie.

Coś w słowach Maggie Lanford ubodło ją dotkliwie.

No i te piegi.

Zobaczył je, gdy obydwie mierzyły się wzrokiem – ledwo widoczne plamki, niewiele ciemniejsze od zaschniętych łez, rozsiane po obu policzkach. Było w nich, a także w jej zielonych oczach, coś, co przypominało nakrapiane ptasie jajeczka i letnie dni. A potem nawiedziła go nagle myśl, co by te gładkie policzki czuły, gdyby ujął je w dłonie. Gdyby powiódł delikatnie kciukiem po bladych plamkach – znał kobiety na tyle, by wiedzieć, że uważała je za istne utrapienie – i złagodził rumieńce wywołane doznaną przez nią przykrością.

Nigdy jeszcze w całym jego życiu nie nachodziły go takie myśli. A zwłaszcza w związku z kobietą, do której czuł szczerą niechęć.

Nabrał głęboko tchu i odwrócił się od lustra.

Lady Fennimore na wpół siedziała, na wpół leżała w łóżku, otulona nocnym strojem, w ogromnym czepcu z falbanami, spod którego wymykały się tu i ówdzie cienkie jak pajęczyna siwe włosy, przykryte stosem kołder. Dłonie, podobne do koronkowych rękawiczek, leżały na kapie. Pokój zalany był światłem słonecznym, które wpadało do środka przez ogromne okno, i Adam wyraźnie widział każdą z niezliczonych zmarszczek na jej delikatnej cerze.

– Ach, wreszcie przyszedłeś, pastorze. Nie wiem, co też mogło cię zatrzymać. Podejdź tu, usiądź przy mnie i pozwól mi się cieszyć ostatnimi chwilami pobytu na ziemi. Może powinieneś zachować kilka moich myśli dla potomności? Dzisiejszego ranka przyszło mi do głowy parę nowych, ale nie mogę ich sobie teraz przypomnieć. Bóg jeden wie, czemu nikt nie mówi teraz niczego, co warte byłoby zapamiętania. Choć twojemu poprzednikowi raz czy dwa zdarzyło się powiedzieć coś głębokiego. Czekam, aż przydarzy się tobie.

Bojowy błysk pojawił się w jego oczach.

– Jeśli uda mi się kiedyś napisać coś godnego zachowania dla potomności, będę to zawdzięczać wyłącznie pani, lady Fennimore.

Obydwoje wyraźnie się lubili.

Zwłaszcza teraz. Od samego początku była jedną z tych, które pomagały zeszlifować jego kanty. Jednym z tych nietoperzy, które muskały go skrzydłami w tunelu.

Uśmiechnęła się. A potem spojrzała na niego z ukosa.

– Młodzieńcze, zaprząta cię w tej chwili co innego – mruknęła zgryźliwie.

– Oczarowała mnie pani, to wszystko.

– A mnie się zdaje, że dorobiłeś się zmarszczki. Przy lewym oku – prychnęła.

Właśnie dzięki swym uszczypliwym uwagom lady Fennimore budziła zgrozę w batalionie kobiet pod wodzą pani Sneath i właśnie dlatego Adam był jedynym człowiekiem, który często ją odwiedzał.

– Ma pani bardzo bystry wzrok jak na osobę na łożu śmierci – odparł sucho.

– Wielka szkoda! Moje zmysły powinny już być mocno przytępione, nim stanę przed Stwórcą, a jednak niektóre z nich wciąż służą mi znakomicie. Nie powinieneś tak dużo myśleć. Więcej się módl, niż rozmyślaj. Będziesz miał wtedy mniej zmarszczek. Ja dużo myślałam, no i popatrz, co się ze mnie zrobiło.

– Być może pomodlę się do Stwórcy, żeby mi oszczędził zmarszczek, bo wtedy pani nie będzie mi ich wytykać.

Lady Fennimore znów się roześmiała, ale ten śmiech przeszedł w kaszel. Opadła na łóżko z westchnieniem i przymknęła oczy.

Po chwili otwarła je ponownie.

– Rozdaję różne rzeczy w oczekiwaniu na moją… och, nazwijmy ją, małą podróż, dlaczego nie? Pastorze Sylvaine, bądź tak dobry i otwórz tamto puzderko na stoliku.

Wskazała ruchem głowy małe drewniane pudełeczko z pokrywką na zawiasach, stojące na stoliczku koło jej łóżka.

Sięgnął po nie i uniósł wieczko.

Wewnątrz leżał malutki złoty krzyżyk na złotym łańcuszku. Uniósł łańcuszek jednym palcem; chłodny i gładki metal opadł na jego drugą dłoń.

– Należał do mnie, kiedy byłam młoda. Podarował mi go mój stryj ze słowami, że przyniesie mi szczęście i będzie mnie chronił. Nosiłam go przez całe lata, póki szyja mi nie zgrubiała. Chciała go mieć Jenny, ale ona i tak odziedziczy niemało, kiedy mnie już nie będzie, powiedziałam jej więc, że pragnę go dać tobie. Jesteś może jedyną osobą, której nie będzie go zazdrościła. Nie ma wielkiej wartości, ale ja chcę, żeby dostał się tobie, pastorze. Spodziewam się, że znasz wiele osób, które mógłby chronić. Daj go komuś, kto tego potrzebuje.

Adam nie ruszał się z miejsca i nie podnosił wzroku, zgnębiony myślą, że wkrótce już nie będzie tu przychodzić z wizytą.

W jego obecnym życiu często się zdarzały podobne chwile. Jakiś parafianin nagle, bez uprzedzenia, mówił lub robił coś, co go z niezrozumiałych przyczyn głęboko poruszało. Wiedział, że te chwile odmieniały go, jak fale odmieniają kształt lądu. Czyniły go lepszym – dzięki nim mógł lepiej służyć innym pomocą, lepiej ich rozumieć – ale czasem za cenę ogromnego bólu.

Odchrząknął i spojrzał na nią.

– Dziękuję, lady Fennimore. Zachowam go. Żałuję, że pani nie znałem w tamtych latach.

– Ach, wielebny pastorze, jeśli sądzisz, że dopiero dzisiaj jestem zachwycająca… A teraz proszę, zamknij drzwi, bo chcę ci coś wyznać. A moja Jenny nie powinna tego słyszeć. Ani nikt inny.

A więc czeka go jeszcze więcej niespodzianek. Wstał, zamknął drzwi i ponownie usiadł przy jej łożu.

– Pewnie się zdziwisz, młodzieńcze, ale byłam za młodu pięknością, diamentem czystej wody…

– Nie wątpię. Pani oczy wciąż są wspaniałe.

– Że też masz czelność flirtować z taką starą babą jak ja! – parsknęła. – Bezwstydnik! W dodatku sługa Boży!

– Z pewnością odpokutuję tę chwilę słabości.

Zaśmiała się ponownie, a on czekał. Śmiech znów przeszedł w kaszel, tak że jeszcze raz musiała sięgnąć po chustkę. Odchrząknęła.

– Szkoda, że ożenisz się z jedną z tych prowincjonalnych gąsek i potem będziesz z nią miał mnóstwo głupich i ładnych dzieci.

– Doprawdy, lady Fennimore, źle pani ocenia młode damy z Pennyroyal Green.

– A owszem, chyba że coś pójdzie nie tak. Jak na przykład z tą smarkulą Redmondów – ciągnęła lady Fennimore.

– Przecież panna Violet Redmond wyszła za hrabiego. – Nie było sensu pytać, o którą smarkulę chodzi; wszyscy wiedzieli, że Violet Redmond groziła kiedyś, po kłótni z wielbicielem, że się rzuci do studni, i trzeba ją było odwodzić od tego siłą. – Jest teraz hrabiną.

Zastanawiał się, czy wszystkie hrabiny sprawiają kłopoty.

– Ale on nie jest przecież prawdziwym hrabią. Pochodzi ponoć od jakichś dzikusów czy czegoś podobnego. Amerykanin! – prychnęła pogardliwie.

– Z woli króla hrabia Ardmay jest jak najbardziej hrabią, lady Fennimore.

– Och, król! – prychnęła znowu, jakby władca również był podejrzanego pochodzenia. – Ale, jak już mówiłam, jest to małżeństwo, a małżeńskie łoże otwiera każdej gąsce oczy i czyni z niej kobietę.

Zważywszy na wszystko, co się zdarzyło tego dnia, a także na całe jego życie, wcale go nie zdziwiło, że rozmawia z lady Fennimore o łożu małżeńskim.

– Och, one wszystkie są gąskami. Łatwo je przestraszyć. Za to ja lubiłam wyzwania! No ale każda dobrze wychowana młoda kobieta powinna być gąską, jeśli jej matka robi, co należy – powiedziała stanowczo. – Moja Jenny to także gąska.

Stanęła mu przed oczami Jenny, jej łagodność i jawne podporządkowanie. Ale to inna kobieta tkwiła w jego świadomości niby zadra. Przypomniał sobie, jak wymawiała z francuska „r”. Z pewnością ona nigdy nie była gąską. Choć nie miał pojęcia, kto mógł ją wychowywać. No i czym właściwie była, skoro nie gąską.

– A teraz chcę ci powiedzieć, młodzieńcze, o czymś, co mnie bardzo dręczy. Wiem, że niedługo już pobędę na tym świecie.

– Niech mi pani zatem o tym powie – rzekł lekkim tonem.

Palce lady Fennimore przesunęły się po kapie i odnalazły jego rękę. Uchwycił je. Dłoń jej przypominała jedwab naciągnięty na twardą kość słoniową; nie pozostało na niej ani śladu ciała. Wciąż jednak zachowała siłę.

– Zważ, że chodziłam do kościoła, póki tylko mogłam. Czytam moją Biblię i jestem wierna słowu Bożemu z całego serca. Byłam dobrą żoną i kochałam mego męża. Ale… ojcem Jenny nie był lord Fennimore. Kochałam też innego mężczyznę, chociaż byłam już wtedy zamężna.

Miał nadzieję, że nie dostrzegła nagłego zesztywnienia jego dłoni.

Chodziło bowiem o bardzo ciężki grzech.

Wszystko, co wiedział o lady Fennimore i co uważał za prawdę, ułożyło się nagle w całkiem inną całość. Wolał nie mówić czegoś w rodzaju: „Dobry Boże, lady Fennimore!”, gdyż obydwoje wiedzieli, że zrobiła coś złego. Był jej życzliwy, wiedział więc, że nie uczyniła tego z błahego powodu.

Chciał jednak wiedzieć, co ona teraz pragnie od niego usłyszeć.

I jeszcze raz musiał wyczuć, jak ma z nią postępować.

Potrzebował jednak trochę czasu, by odzyskać równowagę.

– Czy żałuje pani tego? – zaczął ostrożnie.

– Och, mój Boże, nie! Z pewnością nie – odparła z zadowoleniem. – W tym właśnie cały kłopot.

– Ale chce pani uzyskać rozgrzeszenie?

Lady Fennimore westchnęła.

– Chciałabym mieć odwagę, żeby powiedzieć „nie”. Nie dbam, czy zgrzeszyłam, czy nie, pomyślę o tym dopiero wtedy, gdy mnie będą sądzić w niebie. Ale już niedługo stanę przed moim Stwórcą, a jeśli Bóg uznał za stosowne, żeby cię uczynić moim, by tak rzec, duchowym przewodnikiem, to chciałabym wiedzieć, jak… zapewnić sobie miejsce w niebiosach. Nie chcę się kłócić ze świętym Piotrem, kiedy się tam zjawię, nie chciałabym także jakichś niemiłych niespodzianek. Nie mam też odpowiedniego stroju, żeby iść do piekła.

– Czy była już pani żoną lorda Fennimore, gdy spotkała ojca Jenny?

– Tak.

Jeśli chciała znać nazwę grzechu, było to cudzołóstwo, co z pewnością nie stanowiło dla niej żadnej tajemnicy.

– Pewnie o tym nie wiesz, pastorze, ale gdy miłość, prawdziwa miłość, spadnie na człowieka, nie przypomina ona Listu do Koryntian, tylko Pieśń nad Pieśniami. To zazdrość, żar i potop. Wszystko, co człowieka spala. Założę się, że nawet ty byś się jej nie oparł, gdyby na ciebie kiedyś spadła, obojętne, w jakich okolicznościach. Nie wiem zresztą, czy chciałabym ci tego życzyć. To… piękne cierpienie. Mamy Boga, mamy prawa i tak dalej, aby nas pouczano, jak trzeba żyć, ale Bóg stworzył też i ciało, prawda? A twoje przystojne ciało, drogi chłopcze, wystawi cię, jako pastora, na próbę . Życzę ci, żebyś je zdołał okiełznać, wiedziony na pokuszenie.

Poczuł, że zaczynają go palić kark i dłonie. Modlił się w duchu, by nie zaczerwienić się jak głupi smarkacz, bo lady Fennimore na pewno by to z satysfakcją zauważyła. Nie

chciał jej powiedzieć: „Na miłość boską, lady Fennimore, nie jestem prawiczkiem”, bo nim nie był. Ani też nie miał zamiaru mówić: „Wierzę, że okiełznam ciało”, kobiecie, która dopiero co wyznała mu, że nie zdołała okiełznać własnego.

Tylko że od bardzo dawna nie miał do czynienia z kobiecym ciałem. Ograniczył się do umysłu i ducha; jego ciało należało do parafii. Pracował nieustannie i gdy padał znużony na łóżko, po chwili już świtało. Pożądanie odczuwał nagle, ale przelotnie, gdy ujrzał krągłe biodro idącej przed nim kobiety lub gdy któraś z nich śmiała się głośno, przywodząc mu na myśl pewną pełną wigoru wdówkę z Oksfordu, która umiała wyczyniać niesłychane wprost rzeczy ustami. I tym podobne.

A jego myśli krążyły znów wokół tamtej zadry. Wokół piegów. Zielonych oczu. Miękkich, pełnych warg.

Co świadczyło o folgowaniu sobie. Nie stać go było na to.

Piękne cierpienie. Też coś.

– Pokusa dopada czasem nas wszystkich – powiedział wreszcie, wybierając możliwie nieszkodliwe sformułowanie.

Lady Fennimore przyjrzała mu się uważnie. A potem uśmiechnęła się, słysząc to, co jej zdaniem było tylko zręcznym wykrętem.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli ci trochę dokuczyłam, pastorze. To nieco łagodzi moją własną winę. Sądzisz, że Bóg mi wybaczy? Bo nie potrafię tego żałować. Mogę tylko myśleć, że za namiętność odpowiada Bóg, gdyż On daje nam ciała, dzięki którym jej doznajemy, i serca, w których ją czujemy. I to On dał mi Jenny, bym o Nim pamiętała, bo dzieci są na pewno Bożym błogosławieństwem. Mój mąż o niczym nigdy się nie dowiedział i kochał Jenny.

Spojrzała na niego z nadzieją.

Pastorzy, o czym często rozmyślał, byli Bożymi adwokatami na ziemi. Interpretowali prawa, wyszukiwali w nich niuanse, starali się dotrzeć do prawdy w konkretnej sytuacji.

Innymi słowy, zgadywali.

Raz jeszcze zapragnął odnaleźć drogę w ciemnościach. Mógł bowiem mówić o Bożej miłości, o braterskiej miłości, ale jak nazwać tę, którą mu opisała lady Fennimore? Przyszło mu nagle na myśl, że nigdy nie miał czasu, by się zastanowić, co miłość znaczy dla niego. Kobiety w miasteczku sądziły, że miłość to hafty i dżem. Przypomniał sobie, że jego kuzyn Colin, być może najbardziej osławiony szaławiła w całej Anglii, który spadł kiedyś z kraty dla pnączy, wspinając się na balkon pewnej zamężnej hrabiny, osiadł w majątku wraz ze swoją żoną Madeline, a wszystko, co do niej czuł, znajdowało wyraz w sposobie, w jaki wymawiał jej imię. Albo kuzynka Olivia…

Podejrzewał, że to, co zaszło między Olivią Eversea a Lyonem Redmondem, który niesławnie zniknął po domniemanym złamaniu jej serca, było właśnie taką miłością, płomienną i pełną porywów.

Olivia raczej nie stanowiła dobrej reklamy takiej miłości.

Ten rodzaj miłości, jaki opisała mu lady Fennimore, miłości, która bierze w posiadanie, nie dając wyboru, nie zdarzał się tak często, by należało się jej wyrzekać. Niezależnie od przebiegu.

Nigdy nie doświadczył takiej miłości.

Jeden ze śmiertelnych grzechów co prawda raz popełnił. Była to zazdrość. Uległ jej, bo piękna kobieta tkwiła jak zadra w jego świadomości.

– Myślę, że bez wątpienia chodzi tu o grzech, lady Fennimore – rzekł łagodnie. – Może pani jednak pokutować tylko za grzech, a nie za miłość.

Miał nadzieję, że ona nie uzna tego poglądu za heretycki.

Lady Fennimore przechyliła w zamyśleniu głowę na bok, niczym ptak, i przyglądała mu się przenikliwie. Komplement, jakim ją obdarzył, nie był fałszywy. Miała rzeczywiście przepiękne oczy o barwie krystalicznego, jasnego błękitu, wielkie i żywe w zapadniętej twarzy. Wyobraził ją sobie nagle jako pociągającą młodą kobietę w ramionach kochanka, wydaną na łup namiętności potężniejszej niż wszystko, co uważała w młodości za godziwe.

– Znalazłeś zręczne wyjście, pastorze Sylvaine – zgodziła się nie bez pewnego oporu, przymykając oczy – i tak właśnie postąpię.

Wydawała się zadowolona, jakby wskazał jej jakąś inną trasę podróży do Londynu, na której drogi były mniej wyboiste niż gdzie indziej, a w oberżach podawano świeższą wołowinę. Osunęła się na poduszki z zadowoleniem.

Miał wielką ochotę, żeby otrzeć spocone czoło, lecz zamiast tego spytał:

– Czy pomodli się pani ze mną?

– Miłe to z twojej strony. Lubię dźwięk twojego głosu – odparła ze znużeniem. Jakby wszystko inne w nim nie zasługiwało na uznanie. – Coś z *Księgi Wspólnej Modlitwy*. Wybierz jakiś odpowiedni tekst.

Powściągnął uśmiech i zaczął wertować dobrze sobie znane strony.

Wprawdzie urodziła się w opalanym torfem wiejskim domku z brudną podłogą, gdzie bydło wsadzało łby przez okna, a hałaśliwe rodzeństwo kotłowało się w jednym łóżku niczym gromada kociąt, nie mieszkała na wsi od czasów dzieciństwa.

Matko Boska, jak tam było spokojnie.

Dworek zwany Damask Manor różnił się od wiejskiego domku głównie tym, że miał dwa lub trzy pokoje więcej od tamtego (łącznie było ich dziesięć) i przybudówki, ale nie brak mu było pewnego uroku. Prowadził do niego obsadzony drzewami podjazd; trzy okna z nadokiennikami wychodziły na Pennyroyal Green. Zbudowany został z piaskowca i w popołudniowym słońcu nabierał pięknej barwy, a wszystkie pokoje, gdzie można było zamieszkać, położone były od południa i bardzo jasne. Szerokie schody wiodły z westybulu wyłożonego czarno-białą marmurową posadzką w górę. Ogród był dość pospolity, niewielki, starannie utrzymany (przez ogrodnika – jeszcze jedną osobę, której należało płacić) i, jak ją zapewniano, w czerwcu pełen róż. Do dworku przylegał niewielki kawałek ziemi uprawnej. Dworek leżał bardzo daleko od Grosvenor, St. James Square i majątków hrabiego. Wszystkie były majoratami i należały do jego spadkobiercy, Percivala, drażliwego młodzieńca o cofniętym podbródku.

Ale Damask Manor był jej własnością, bo hrabia wygrał go w karty.

Podobnie jak ją.

Można by to nazwać zrządzeniem losu.

Teraz zaś był o wiele za duży dla niej, dla jej służącej o groźnym wyglądzie i nielicznej służby, na jaką mogła sobie pozwolić. Podejrzewała, że gdyby głośno krzyknęła, odpowiedziałoby jej echo. Gdyby krzyknęła jak dziś, niczym przekupka, na pastora.

Powiodła znów dłońmi po twarzy na to wspomnienie. Co za wstyd! Niewielu ludzi wiedziało o jej pochodzeniu. Doprawdy, musi się dziś wcześnie położyć spać. Może sen przywróci jej w jakiś magiczny sposób spokój i opanowanie.

Gdy Evie była w kościele, dziewczyna do wszystkiego na jej polecenie wybrała się do miasteczka, by odebrać pocztę ze sklepu pana Postlethwaite'a. Po powrocie do domu Henny zajęła się przygotowaniami do lunchu, Evie zaś przejrzała listy. Nikt jej nie przysłał zaproszeń, kwiatów ani prezentów. Powinna już do tego przywyknąć, ale po przeszło dziesięciu latach, kiedy ją nimi wręcz zasypywano, trudno o tym zapomnieć z dnia na dzień.

Najpierw otwarła list od brata, Seamusa. Charakter pisma był zamaszysty, pełen zawijasów i ostro sterczących ku górze wielkich liter. To, że w ogóle napisał list, oznaczało, że miał dość pieniędzy, by go wysłać. Poczuła nadzieję i zarazem niepokój, bo zajęcia, których Seamus się imał, bywały podejrzane, a często też niezupełnie legalne. Miał jednak tyle uroku i urody, by regularnie zapewniać sobie nowe. Niektóre z jego innych cech – pragnienie odmiany i słabość do kobiet – kolidowały zazwyczaj z trwałością zatrudnienia.

Zdziwisz się pewnie, Droga Siostro, że znalazłem pracę! Nie zdziwi Cię za to, gdy się dowiesz, że trzeba mi nowego ubrania i mieszkania, bo bez tego nie będę mógł tej pracy utrzymać, a teraz jestem akurat bez grosza. Z pewnością będziesz wolała zapłacić, bylebyś tylko nie musiała mieszkać razem ze mną. Ale byłoby nam wtedy wesoło, ha, ha!

Daję słowo, że kiedyś Ci zwrócę te pieniądze. Słowo!

Z wyrazami miłości (wiesz, że Cię kocham)

Seamus

Owszem, wiedziała, że ją kochał. Wysłałaby mu pieniądze, bo ona też go kochała i nie chciała prawić mu morałów. A także nie miała najmniejszej ochoty, żeby z nią mieszkał, choć za nim tęskniła.

Kolejny list przysłała jej siostra, Cora, z Killarney.

Gdy złamała pieczęć, wypadło z niego na jej dłoń coś jedwabistego i cienkiego jak pajęczyna. Pasemko złotorudych włosów najmłodszego, szóstego z kolei, dziecka Cory.

Nagle ogarnęła ją rozpaczliwa tęsknota i przytłoczyły myśli o innym życiu, jakie mogłoby stać się jej udziałem. O marzeniach. O wszystkim, co utraciła zbyt wcześnie.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, nim zaczęła go czytać.

Daliśmy jej na imię Aoife. Jest śliczna, ale męczy ją kolka. Timothy ma gorszy humor niż zazwyczaj i staramy się go nie rozdrażniać. Reszta dzieci ma się dobrze i przesyła Ci serdeczne pozdrowienia.

Zwięźle, powściągliwie, tkliwie. Niemal słyszała rzeczowy głos Cory. To istny cud, że w ogóle do niej napisała, mając sześcioro dzieci na głowie.

Jak miło postąpiła, dając najmłodszemu dziecku prawdziwe imię Evie! Żaden z Anglików angażujących tancerki operowe nie pozwolił jej pozostać przy imieniu będącym dla niego zbitką niemożliwych do wymówienia samogłosek i dlatego właśnie przybrała imię Evie zamiast Aoife. Cora nigdy nie prosiła jej o pieniądze, ale Evie zawsze je wysyłała, to było czymś oczywistym. Powinna wymyślić dla małej Aoife prezent, którego nie dałoby się rozdzielić pomiędzy sześcioro dzieci ani zniszczyć w ciągu paru minut i który nie stałby się łupem chłopców gotowych zrobić z niego jakiś inny użytek. Chociaż, jak sądziła, uczyło to umiejętności przetrwania i giętkości. Oczywiście ona sama wyrosła na osobę silną, ale była najstarsza z rodzeństwa, nie miała więc wyboru.

Mąż Cory, Timothy, pił mniej niż ich własny ojciec i nie znikał stale z domu, jak tamten, choć może tak właśnie postąpi, nim zrobi jej siostrze jedno czy dwoje dzieci więcej. Evie wiedziała, jak czytać między wierszami krótkich listów siostry.

„Ma gorszy humor niż zazwyczaj". Zdusiła w sobie chwilowy lęk i skrzyżowała palce. Dziecko cierpiące na kolkę każdemu może popsuć humor. Szczęściem nie na tyle, żeby zaraz miał porzucać dom.

Zachowała trzeci list na sam koniec, bo nie była pewna, czy w ogóle chce go otworzyć. Rozpoznała arogancki charakter pisma, pióro zbyt głęboko zanurzane w atramencie, woskową pieczęć z odciśniętym na niej sygnetem.

Pieczęć, która mogła być jej własną, gdyby kto inny wygrał pewnej nocy w karty.

Wreszcie jednak wsunęła palec pod wosk i złamała ją, otwierając w ten sposób puszkę Pandory, tyle że w londyńskim wydaniu. Już samo pismo wywoływało wspomnienie brzęku kieliszków z szampanem, migotu klejnotów w świetle kandelabrów, szelestu jedwabi, błysku kryształów, błyskotliwych rozmów, nieustannego śmiechu. Nieustannego pożądania jej ciała.

Moja najdroższa, zielonooka Evie,

Londyn stał się bez Ciebie miejscem okropnym. Nawet nektar plotek już mnie nie ożywia, być może dlatego, że przestały być interesujące, odkąd nie dotyczą Ciebie, a ta z nich, która krążyła tu jako ostatnia, nie za bardzo by Cię rozbawiła. Rozrywki mnie nudzą, chciałbym znów usłyszeć Twój śmiech, nie zachowam się więc na tyle nieelegancko, by Cię odwodzić od zamiaru powrotu do Londynu. Jeśli mi tego nie zabronisz, chciałbym odwiedzić Cię w Sussex – Ciebie! Na wsi! Jakież to niezwykłe! – w najbliższym czasie. Napisz mi, czy będę mile widziany. Nadal lubię jagnięcinę i wszystkie te inne rzeczy, o których nieraz rozmawialiśmy podczas naszej znajomości. Żywię głęboką nadzieję, że uczynisz mnie pewnego dnia najszczęśliwszym z ludzi.

Twój Frederick,
lord Lisle

List był pełen życia i bardzo w jego stylu – wytworny, ironiczny, świadczący o poczuciu własnej ważności. Coś w niej wzbudził, być może nadzieję lub wspomnienie zażyłości. A może po prostu głód? Czy Henny nie powinna już dzwonić na obiad? Na pewno świadomość, że jest pożądana i pamiętana, była czymś przyjemnym. Pamiętana przez bajecznie wprost zamożnego wicehrabiego, którego zapraszał na obiad ni mniej, ni

więcej tylko sam król!

Wyobraź sobie, pastorze Sylvaine!

Lecz na nieodgadnionym pastorze Sylvainie o błękitnych oczach i wyraziście zarysowanych kościach policzkowych nie zrobiłoby to chyba wrażenia, bo wydawał się obojętny na wszystko – na obrazę, flirt i najbardziej nawet efektowne z jej przeciągłych spojrzeń. Przypomniała sobie jednak podarowany przez niego halsztuk i poczuła, że ogarnia ją nowa fala wstydu z powodu własnej niewdzięczności. Nie był to najładniejszy epizod w jej życiu. Obyż nigdy się nie zdarzył.

Obyż nigdy nie zdarzył się on.

Coś w nim bowiem – małomówność, spokojna pewność siebie, spojrzenie błękitnych oczu, które, zdawało się, przenikało ją na wskroś? – kusiło Evie, by osłabić jego samokontrolę. Tylko po co? Żeby dowieść, że jest do tego zdolna? Że może zyskać przewagę nad kimś, kto – jak uważała Henny – był lepszy i kto bez trudu, nie robiąc prawie nic, sprawił, że zaparło jej dech? Już lepiej byłoby przekonać się, dlaczego był tak nieprzenikniony. Gdyby odgadła ten sekret, bez wątpienia nie mógłby dłużej odbierać jej odwagi, podobnie jak ujawniona magiczna sztuczka traci możność wzbudzania podziwu. Jak dotąd żaden mężczyzna kilkoma zaledwie słowami nie ośmieszył jej złośliwych docinków. Żaden prócz niego.

Przyrzekła dawno temu, że nigdy sobie nie pozwoli znaleźć się na łasce mężczyzny. Że tylko do niej będzie należała decyzja, kogo sobie wybierze lub kogo porzuci.

Bo cóż zależność od mężczyzny uczyniła z jej matką?

Z roztargnieniem przesuwała w palcach list Fredericka. Może powinna mu odpisać i wyjaśnić, że wyrzekła się mężczyzn raz na zawsze i że żaden z nich nie zdoła już wzbudzić w niej pożądania. Że postanowiła nigdy więcej nie być dla mężczyzn tylko użyteczną rzeczą.

Znała na tyle Fredericka, aby wiedzieć, że ten uważa ją za coś w rodzaju afrodyzjaku i dlatego właśnie przyjechałby od razu.

Przynajmniej nie byłaby wtedy samotna.

Odłożyła ostrożnie list. Może napisze do niego później. Ale jej myśli przestały krążyć wokół Londynu. Związane z nim wspomnienia były zbyt przykre. Nachodziły ją bezlitośnie, nieustannie i ze złośliwą radością, podczas gdy ona zmagała się ze stratą.

Wokół niej nadal panowała cisza. Potarła podbródek miękkim końcem gęsiego pióra i spojrzała w okno. Nie ujrzała tam niczego ciekawego. Wciąż te same falujące wzgórza Sussex i małe, przysadziste, zielone drzewka, które zapewne były całym światem dla chłopców w rodzaju Pauliego. Zanim dorośnie, będzie je wszystkie znał na pamięć.

Naraz zdała sobie sprawę, czego pragnie. Sposobności, żeby wziąć życie we własne ręce i zacząć wszystko od nowa. Żeby decydować o tym, czego chce, zamiast zgadzać się na to, by konieczność przetrwania rządziła jej egzystencją. Biada jej, jeśliby na to przystała !

Nie chciała marnieć tu niczym Maria Stuart na wygnaniu (niezależnie od tego, że dla królowej Szkotów nie skończyło się ono dobrze). Dość miała dryfowania bez celu. Nie można cofnąć czasu. Przeszłość nie wróci. Mieszkańcy Pennyroyal Green najwyraźniej wiedzieli już, kim była. A przynajmniej niektórzy z nich coś o niej wiedzieli, co

oznaczało, że wszyscy się o tym wkrótce dowiedzą. Zachowanie incognito było niemożliwe.

Być może wyjdzie jej to jednak na dobre. Zyskiwała sposobność do robienia tego, co – jak uważała – robiła najlepiej. Czy to na scenie teatru Pod Zielonym Jabłkiem, czy to w Covent Garden. Lub gdy usidlała właściwego mężczyznę. Czyli do podbijania ludzkich serc.

Potrzebowała jednak sojusznika. Kogoś, kto byłby łącznikiem między nią a mieszkankami tego miasteczka.

Może nawet kogoś, kto przykuwał ich uwagę każdego niedzielnego ranka.

Może kogoś, kto był na tyle oddany swym duszpasterskim obowiązkom, by okazywać dyskretne współczucie swoim parafiankom, bez względu na to, czy rzucają mu brzydkie słowa wypowiedziane z wyraźnym irlandzkim akcentem.

Innymi słowy, kogoś, kto stracił halsztuk.

Zawahała się przez moment, nim sięgnęła po papier. Ten człowiek też pragnie podbijać ludzkie serca.

Zanurzyła pióro w kałamarzu i rozpoczęła działania zmierzające do obranego przez nią celu.

5

Och, pastorze, wraca pan może od lady Fennimore?

Jego gospodyni, pani Dalrymple, poczciwa kobieta o podłużnej twarzy, drżących wargach i ogromnych, smutnych oczach, stała na progu. Dosłyszał ostrzegawczy ton w jej głosie, nim jeszcze wypowiedziała następne słowa:

– Ma pan… gościa. Czeka… w salonie.

W sposobie, w jaki wymówiła słowo „gość", kryły się pokłady znaczeń.

– Jak się nazywa… ten mój gość?

– Ona nie podała nazwiska. – Lekki, ale znaczący nacisk padł na słowo „ona".

Pani Dalrymple dysponowała lepszymi środkami niż słowa, by powstrzymać intruza płci żeńskiej od niepokojenia pastora. Była istnym uosobieniem dyskrecji i trafności sądu, potężną przeszkodą w próbach wtargnięcia do jego azylu, podejmowanych przez różne kobiety. Mogłaby zagrodzić drogę całej armii swoją pasywnością.

– Dziękuję – westchnął. – Zaraz tam pójdę. Czy podała pani…

– Herbatę? Tak. Na srebrnym serwisie.

A więc był to gość, który zdaniem pani Dalrymple zasługiwał na srebrny serwis do herbaty. Mimo całego zmęczenia zaczęło go to interesować.

– Pani jest wprost cudowna, pani Dalrymple.

– Staram się, jak mogę – odparła spokojnie.

Zatrzymał się na chwilę przed lustrem, przygładził włosy i poruszył nozdrzami, sprawdzając, czy nie zalatuje od niego woń potu, bo przez cały dzień sporo się nachodził, i to szybkim krokiem. W końcu uznał, że nie ma w nim nic rażącego, lecz zaskoczył go brak halsztuka. Gdy sobie zaś przypomniał, do czego mu posłużył, jego myśli znów raptownie zaczęły krążyć wokół hrabiny. Odpędził je, gniewnie marszcząc brwi.

Chciał zrobić dobre wrażenie na gościu, obojętne, kim mogła być ta kobieta.

Okazała się ostatnią osobą, jaką spodziewał się zobaczyć. Zamarł bez ruchu w drzwiach na widok pięknej młodej dziewczyny w jedwabnej sukni o barwie głębokiego błękitu. Woalka, która zapewne miała ukryć jej twarz, została uniesiona tak wysoko, że znalazła się na samym czubku głowy.

– Czemu zawdzięczam pani miłą wizytę, lady Ardmay?

Aż do niedawna lady Redmond znana była jako panna Violet Redmond. Innymi słowy, była to „ta smarkula Redmondów", jak ją nazwała lady Fennimore. O wilku mowa…

– Dobry wieczór, pastorze Sylvaine. Rozumie pan chyba, że wcale mnie tu nie ma. Nigdy mnie pan nie widział na plebanii.

Adam zrozumiał, co miała na myśli.

– Nigdy nie robię plotek ani nie zawodzę zaufania, jeśli o to pani chodzi.

Uśmiechnęła się pojednawczo.

– Proszę mi wybaczyć. Nie chciałam sugerować, że mógłby pan to zrobić. Tylko… nikt nie wie, że tu jestem. Nie widziano, jak wchodziłam na plebanię. Pewnie pana to nie zdziwi, że nigdy nie radziłam się żadnego duchownego. Przyszłam tu w sprawie dość delikatnej.

To było oczywiste, zważywszy na dramatyczną woalkę i odmowę przedstawienia się gospodyni. Tak jakby gospodyni nie potrafiła rozpoznać Violet Redmond po głosie, sylwetce czy po prostu po sposobie bycia.

– Czy zechciałaby pani łaskawie nam nalać? – wskazał na herbatę.

Nalała do dwóch filiżanek i po chwili pili gorący napój. Cukier rozpuszczał się w herbacie, brzęczały cicho mieszające je łyżeczki, aż wreszcie się odezwała:

– Spodziewam się dziecka, pastorze.

Przybrał neutralny wyraz twarzy i zebrał siły, słysząc wyznanie, które mogłoby odmienić życie zwykłego człowieka. Zważywszy, że była to Violet (z domu) Redmond, nie zdziwiłby się, dowiadując się, że ojcem dziecka jest arcybiskup Canterbury, ale z góry współczuł temu arcybiskupowi, na wypadek gdyby hrabia Ardmay kiedykolwiek miał się o tym dowiedzieć.

– Moje gratulacje. Dzieci są cudowne – powiedział ostrożnie.

Skinęła głową, dziękując za te słowa.

– Właśnie z powodu tego dziecka przyszłam tutaj. Pośrednio. Pewna rzecz… znalazła się w moim posiadaniu. Jakiś rok temu wrzuciłabym to do rzeki, jako że bynajmniej nie jestem w tej kwestii bezstronna. Ale potem… zrozumiałam, czym jest miłość. – Spojrzała na niego niemal wyzywająco, jakby miłość była bluźnierstwem lub tematem zbyt niestosownym, by poruszać go w rozmowie z pastorem. Gdybyż wiedziała, o czym on tego dnia rozmawiał! – A sądzę, że to… ma związek z miłością. Ja… ja chciałabym postąpić w sposób właściwy. Pragnę, żeby ta sprawa przestała nękać moje sumienie przed narodzinami dziecka, i postanowiłam powierzyć tę rzecz komuś, kto, powiedzmy, z obowiązku powinien wziąć to na swoje sumienie i uznać, co należy z nią zrobić.

Hrabina Ardmay, dawniej panna Redmond, okazała niezwykłe wręcz zaufanie tak interesująco sformułowanej definicji obowiązków duszpasterskich.

Wyciągnęła ku niemu dłoń i rozprostowała palce. Adam pochylił się i spojrzał.

Dopiero po chwili rozpoznał, kogo przedstawia miniatura. Kobieta ukazana na niej była młodsza, pogodniejsza i łagodniejsza niż teraz. I pełna nadziei.

– To moja kuzyn… panna Olivia Eversea, prawda?

– Tak.

Adam wpatrywał się w portrecik, zaintrygowany. Jak Violet weszła w posiadanie miniatury Olivii? I nagle zrozumiał.

– Czy mógłbym… – Wziął z jej dłoni miniaturę, odwrócił ją i ujrzał słowa napisane dziewczęcym charakterem pisma:

„Twoja na zawsze, O.”.

Stanęła mu przed oczami Olivia, jaką znał teraz – wciąż śliczna, ale zgryźliwa,

wychudła i zbyt gładko pozbywająca się wielbicieli, którzy nie zawsze zdołali w porę się zorientować, iż dostali właśnie kosza. Tylko jednej osobie na całym świecie Olivia wręczyłaby miniaturę z napisem: „Twoja na zawsze”.

Zaryzykował pytanie, być może nie na miejscu, lecz Violet przyszła do niego z własnej woli i prawdę mówiąc, mało go obchodziło, czy zadaje pytania taktowne, czy nie. Myślał jedynie o Olivii.

– Czy dał to pani brat, Lyon?

Uważnie się w nią wpatrywał. Wiedział, nieco rozbawiony, że Violet pamięta, iż jest on krewnym rodu Eversea, a przy tym nie zapomina, że nigdy nie należy okłamywać duchownego.

– Tak – odparła ledwo dosłyszalnie.

W pokoju zapadła cisza.

Wiedział, że jego następne pytanie nie było ani konieczne, ani nawet taktowne. Ale też mało go to obchodziło. Zadał je tak czy inaczej. Ze względu na Olivię. Głosem spokojnym, prawie obojętnym, mimo że serce waliło mu w piersi rytmicznie niczym żołnierskie buty maszerujących wojaków.

– Niedawno?

Przyglądał się jej bezlitośnie, niczym drapieżnik obserwujący ofiarę. Oddychała miarowo. Wdech, wydech. Wdech, wydech. W każdej chwili mogła mu dać odpowiedź, która narobiłaby zamieszania w Pennyroyal Green. W całej angielskiej elicie. A zwłaszcza w rodzinach Eversea i Redmondów.

Sięgnęła po swoją filiżankę. Powierzchnia herbaty zafalowała: Violet trzęsły się ręce.

– Sądzę, że chciał, żeby ona ją dostała. Miałam nadzieję, że pan rozstrzygnie, czy trzeba jej to zwrócić.

A więc bez wątpienia musiała się z nim widzieć. A jeśli nawet się nie widziała, to wiedziała, gdzie przebywał.

Był zszokowany. Wstrzymał na chwilę oddech. Nikt od lat nie widział Lyona Redmonda. Zniknął. Tylko że to dziecko szczęścia, najstarszy z Redmondów, zniknął rzekomo wtedy, gdy Olivia Eversea złamała mu serce, łamiąc tym samym serca całej jego rodzinie i rozdrapując stare rany, które zawsze jątrzyły się, mimo pozorów okazywanej sobie przez obie rodziny uprzejmości. Animozje pomiędzy Eversea i Redmondami ponownie odżyły.

Nikt jednak nie znał całej prawdy o tym, co się wydarzyło przed jego zniknięciem. Znała ją chyba Olivia, ale nigdy nie zdradziła jej choćby jednym słowem.

– Czy on żyje? Czy jest w Sussex? Gdzie się podziewa?

Wciąż jeszcze nie podnosił głosu, ale jego pytania padały jedno po drugim – i były żądaniami. A gdy Adam czegoś żądał, nigdy nie spotykał się ze sprzeciwem.

Wpatrywał się w nią bez współczucia, ale też bez surowości. Nie osądzał jej, chciał tylko uzyskać od niej odpowiedź. Wstała, zdenerwowana.

Po chwili zastanowienia on również wstał.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparła. Widział, że chciała jak najprędzej odejść.

Oboje patrzyli na siebie z uwagą.

– Niech pan to zatrzyma, pastorze, bardzo proszę, i sam rozstrzygnie, czy należy jej tę

rzecz zwrócić. Nie wygląda na szczęśliwą, prawda? No i jest coraz starsza. Nie wiem, czy zasługuje na taką pokutę.

W jej głosie słyszał nutę goryczy. W końcu, niezależnie od tego, co się stało, straciła brata.

– Dziękuję pani za okazane mi zaufanie – powiedział tylko Adam.

Adam wybaczył sobie, że po takim dniu drzwi pubu Pod Świnką i Ostem wydały mu się bramą do niebios. Kuzyn Colin pomachał mu na powitanie dłonią. Razem ze swoim bratem Ianem rozsiedli się za jednym z masywnych, pokiereszowanych drewnianych stołów. Adam opadł ciężko na krzesło naprzeciwko nich i wszyscy trzej przyglądali się, jak Jonathan Redmond ciska rzutkami do celu z idealną precyzją.

– Jak sądzisz, którego z Eversea on sobie wyobraża podczas tych rzutów? – spytał Colin.

Ian odpowiedział tylko prychnięciem.

Adam nawet ich nie pozdrowił. Wyciągnął przed siebie nogi, odchylił się do tyłu, przymknął oczy i przez jedną cudowną minutę słyszał jedynie gwar rozmów, czuł jedynie ciepło bijące od kominka, a pod sobą jedno z twardych krzeseł, wyciosanych przypuszczalnie z drzew rosnących w lesie Ashdown. Pozwolił sobie na luksus odczuwania wyłącznie wrażeń zmysłowych. Wszystko, czego tego dnia doświadczył, łącznie z rozmowami, przypominało mu, że zbyt długo lekceważył swoje zmysły.

Gdy otworzył oczy, córka Neda Hawthorne'a, Polly, stała tuż przy nim.

Uśmiechnął się do niej.

Zarumieniła się aż po same włosy.

– Strasznie mi się podobało dzisiejsze kazanie, pastorze.

– Miło mi to słyszeć, Polly.

– Bo ja, wielebny pastorze, kocham bliźnich. – Utkwiła w nim wielkie, ciemne oczy pełne uwielbienia.

– Ach, znakomicie. Bardzo dobrze – odparł oględnie.

Kuzyni nie potrafili ukryć uśmiechów. Polly, mająca teraz jakieś szesnaście lub siedemnaście lat, długo żywiła skrytą namiętność do Colina (tolerowaną, ale nieodwzajemnianą) i wciąż nie mogła mu wybaczyć, z zawziętością godną Medyceuszy, poślubienia Madeline. Udawała, że go nie dostrzega, co weszło jej w nawyk. Przyjmowała zamówienia tylko od Iana, nie od Colina. Ale jego miejsce w sercu Polly najwyraźniej zajął Adam.

– Przynieś Adamowi pintę ciemnego, Polly – polecił Ian. Wydawało się, że Polly zaniemówiła, wpatrzona w rozmarzeniu w pastora. Drgnęła raptownie, uśmiechnęła się promiennie i dała nurka w tłum z gracją dzikiego zwierzątka.

– Mnie się też podobało twoje dzisiejsze kazanie – zapewnił z powagą Colin. – Słuchając go, czułem, jak moja dusza staje się czystsza.

– Znakomicie. – Adam ziewnął. – Wobec tego z pewnością pójdziesz do nieba po wysłuchaniu kolejnych paru tysięcy kazań.

Ian wybuchnął śmiechem.

– Pastorze, jesteś zmęczony? Męczy cię myśl, że twoja osławiona nowa parafianka

wywoła tu nieliche poruszenie?

– Czyżbym miał jakąś nową osławioną parafiankę? – spytał Adam, zaskoczony.

– Przecież ją spotkałeś. Była dzisiaj w kościele, jak mi mówiono. Ja jej nie widziałem. Zamieszkała w Damask Manor. Zdaje się, że go odziedziczyła po zmarłym mężu. Czyjaś służąca zna inną służącą, a ta wszystkim rozpowiada, co usłyszała. Wiesz, jak to jest. Do południa chyba całe Pennyroyal Green wiedziało już o tym.

– Och, oczywiście. Hrabina Wareham. Spotkałem ją.

W stanie, w jakim się właśnie znajdował, myśl o niej uderzyła mu do głowy niczym piwo podawane Pod Świnką i Ostem, mocne, gorzkawe i spływające do gardła gładko jak aksamit.

– Co o niej myślisz? – spytał Colin, pociągając łyk.

– Hm… – Adam odchylił głowę do tyłu. – Ciekawa osóbka, ale przywodzi mi na myśl… dzikiego ptaka, który wymaga obłaskawienia.

Colin zakrztusił się piwem, rozpryskując je.

Ian zamarł z kuflem na wpół uniesionym do ust.

– Co się, do dias…, co wam się stało? Zrobiłem tylko małą uwagę.

– Ale jakże liryczną! – odparł Ian, niezwykle rozbawiony. – Czy wiesz, kim jest, … jak ty ją nazwałeś? Turkaweczka?

– Dziki ptak. Więc kim ona jest?

Polly postawiła przed nim na stole ciemne piwo i odeszła ze złamanym sercem, bo Adam z roztargnieniem odliczył monety i od razu zaczął pić, nawet na nią nie patrząc.

– To Czarna Wdowa – rzekł krótko Ian. – Nie słyszałeś o niej? W takim razie nie czytasz londyńskich gazet bulwarowych.

– Nie czytam. Nie robię nic innego poza zbawianiem grzeszników, jak ci wiadomo. Kim u licha jest ta Czarna Wdowa?

– Colin, dlaczego ty go nie oświecisz, skoro wiesz o tym najwięcej?

Colin przeciągnął się, strzelił palcami i odchrząknął.

– No cóż. Wszystko zaczęło się, pastorze Sylvaine, od teatru Pod Zielonym Jabłkiem. Hrabina Wareham była tam znana jako Evie Duggan, tancereczka. Trochę śpiewała, trochę tańczyła, pokazywała kostki u nóg, nosiła bardzo przejrzyste stroje. Szedł tam wodewil o piratach, który bardzo mi się spodobał. Ona była jego główną atrakcją. Wszyscy staraliśmy się o jej względy. Niemało wydałem na kwiaty dla niej. Nie dbała o mnie wcale, rzecz jasna, bo wiedziała, kogo chce, a ja tym kimś nie byłem. Ani pieniędzy, ani tytułu. Zwróć uwagę, była szczera i nigdy nie robiła mi afrontów. No i panna Evie Duggan szybko zrobiła karierę: zaczęła występować w Covent Garden. A potem…

– Jak się zwał ten, co to spadł z teatralnego balkonu, próbując jej zajrzeć w dekolt? – przerwał mu Ian, bębniąc w zamyśleniu palcami po kuflu.

– Tego wieczoru, kiedy wystawiano *Le Mistral*, a ona przyszła z tym hrabią? Chodziły słuchy, choć może bezpodstawne, że można było zobaczyć jej sutki, jeśli ktoś się znalazł dostatecznie blisko.

– Carriger – powiedział Colin. – Nigdy już potem nie miał całkiem równo pod sufitem.

– Mam nadzieję, że przynajmniej zdołał rzucić okiem na ten biust, kiedy leciał w dół. A to dobre!

– No i wtedy pojawił się pewien wcale zamożny gość – ciągnął Colin – bo rzuciła teatr i została tym, co byśmy nazwali profesjonalną kurtyzaną. Potem zaś pojawił się kolejny gość, który miał więcej forsy i był kimś ważniejszym, rzuciła więc tego pierwszego. A później wyszła za hrabiego. Innymi słowy, hrabina Wareham, twój dziki ptak, Adamie, była… kurtyzaną.

Zdało mu się, że to słowo przeciąga się leniwie na stole przed nimi niczym naga kobieta na szezlongu.

Jego zmysły doznały szoku.

Adam przez chwilę nie był w stanie oddychać. Z tego słowa emanował moralny nieład półświatka i zdawał się okrążać bogobojny ludek Pennyroyal Green niczym wilki owce na pastwisku. W każdym razie tak na to patrzyło wielu jego parafian. A matki pouczały swoje córki.

Jego obowiązkiem – jego powołaniem – było chronienie swojej trzódki przed tym moralnym nieładem. I chronił ją. Nie uważał jednak za niewłaściwe wysłuchiwanie, co się o tym mówi. Zwłaszcza co mówią jego krewni.

– Na litość boską, przecież wiem, kim jest kurtyzana – powiedział z irytacją. – Nie musisz wymawiać tego słowa z emfazą godną pozbawionego talentu aktorzyny.

Pełny sens tego słowa pojął od razu, i choć rozum mu podpowiadał, że powinien już w pierwszym odruchu zapomnieć, co ono znaczy, jego zmysły stawiały temu zdecydowany opór.

– Słusznie. On jest pastorem, a nie świętym, Colinie – pospieszył mu na pomoc Ian. – Chyba już dawno temu przestałeś być prawiczkiem, co, Adamie? Mam rację? Pewnie ten zaszczyt przypadł jakiejś pokojówce?

Adam spojrzał na niego ze wzgardą.

Tylko że Ian wcale się nie mylił.

– Evie zyskała wielki rozgłos – kontynuował opowieść Colin – gdy zrobiła oko do niewłaściwego człowieka i sprowokowała pojedynek. Pewien dziedzic stracił cały majątek, przegrawszy zakład, że się z nią prześpi. Mógłbym tak jeszcze długo opowiadać. Wzdychali do niej różni politycy, nawet nasz regent. Obsypywali ją klejnotami, rywalizowali o jej względy. A potem nastąpił wielki finał. Wyszła za hrabiego Wareham, który wygrał w karty prawo do ożenku z nią.

Każda z tych rewelacji była dla Adama kolejnym ciosem.

– To oczywiste. Oczywiste, że musiała wyjść za niego..

Uniósł kufel i kilkoma łykami wypił połowę jego zawartości.

– Hrabia Wareham wygrał od kogoś ten zaszczyt – ciągnął beztrosko Colin. – I choć chciałbym zakończyć tę opowieść słowami, że żyli potem długo i szczęśliwie, niestety, hrabia zmarł wkrótce po ślubie. Plotkowano, że go otruła, ale to absurd, bo prawie wszystkie jego posiadłości były majoratem. A potem Miles Redmond, ten sławny podróżnik, co wojażował po egzotycznych krajach, badając tamtejsze robaki i inne paskudztwa, wygłosił w Londynie odczyt o jadowitych pająkach. W Ameryce żyje pewien ich gatunek zwany czarną wdową. Jego samice po godach uśmiercają i zjadają samca. Londyńska socjeta była zachwycona i z miejsca nadała jej ten właśnie przydomek. Czarna Wdowa.

Adam odezwał się po chwili milczenia. Przeciągnął ręką po włosach i mruknął:

– O Boże.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że powiedział to na głos. Nie miał takiego zamiaru.

– Coś mi się zdaje, że w swoim czasie wiele razy słyszała te dwa słowa – wycedził Ian.

– Nie… chodzi o to, co ja do niej dziś powiedziałem…

Nieprawość. Oto, co do niej rzekł: „A tymczasem trzeba się skradać, by zagrodzić drogę nieprawości". Powiedział to żartem, ale ona gwałtownie odwróciła głowę, jakby jej wymierzył policzek.

Poczuł raptem wstyd. Nie mógł jej przeprosić. No bo czyż miał jej powiedzieć: „Gdybym wiedział, że jest pani osławioną dziwką, dobierałbym słowa ostrożniej"?

– To rozmawiałeś już z tą Marią Magdaleną? – zdziwił się Ian.

Adam skinął potakująco głową.

– Nie rób sobie wyrzutów, obojętne, co jej powiedziałeś. Szczerze wątpię, żeby twój dziki ptak był zbyt przewrażliwiony – stwierdził Colin z fałszywym współczuciem. – Zawsze wiedziała dokładnie, czego chce i jak to ma osiągnąć. No i dopięła swego, kiedy wyszła za Warehama. Ale właśnie tego dobre towarzystwo nigdy jej nie wybaczyło. Podziwiam ją z wielu powodów, od jej zielonych oczu po ambicję. W gruncie rzeczy to morowa dziewczyna, ale jest niczym stal owinięta w jedwab. Takie jak ona nic nie robią bez powodu.

Takie jak ona. Teraz sobie przypomniał, co powiedziała Maggie Lanford: „Ona nie jest taka jak my".

Znów ujrzał dłoń hrabiny przyciśniętą w obronnym geście do piersi i krwiste rumieńce na jej policzkach.

Uświadomił sobie, że powtarza teraz ten jej gest. Jakby jej ból stał się jego bólem.

Opuścił ukradkiem dłoń, a potem zacisnął ją mocno wokół kufla z piwem.

Krążyły mu w głowie oderwane fragmenty obrazów i słów. Drobna piegowata istota o miękkich, pełnych wargach i błyszczących zielonych oczach, lodowata, arystokratyczna maska, która z niej spadała, gdy odsłaniała to, co – jak podejrzewał – było jej prawdziwą naturą. Lub tej natury częścią. Przebojowość, irlandzki akcent i szybkość, z jaką potrafiła się odciąć.

Czuł, że całej reszty się wyuczyła: władczej postawy, wytwornego akcentu, zuchwalstwa, podszytego aluzjami flirtu. Bez wątpienia od swojego protektora. Albo od różnych protektorów.

Aktorki z łatwością przecież kogoś naśladują.

Dlaczego kobieta zostaje kurtyzaną?

Co ją popycha do decyzji, żeby już zawsze żyć na obrzeżach towarzyskiej elity? Aż do jakiejś brzemiennej w skutki partii kart.

Zdusił w sobie histeryczny śmiech. Uświadomił sobie, że chyba od lat nie wypowiadał głośno takich słów, jak „kurtyzana", „aktorka", „protektor", bo dalekie były od jego codziennego życia. I od życia niemal wszystkich mieszkańców Pennyroyal Green. Z wyjątkiem, rzecz jasna, jego kuzynów.

– Czy któryś z was dwóch wie, skąd ona pochodzi?

Irlandzki akcent był ostatnim brakującym elementem układanki.

– Nie jest to całkiem jasne – odparł Ian, który dostrzegł spojrzenie Polly i dał jej na migi znać, że prosi o więcej piwa dla wszystkich trzech. Przyniosła je natychmiast, obdarzając Adama radosnym uśmiechem, którego w roztargnieniu nie zauważył, po raz tysięczny łamiąc jej serce. – Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem.

Adam zdobył się jedynie na nieartykułowany pomruk. Zrozumiał, że hrabina była uosobieniem skandalu.

Zrozumiał też, że bezpieczniej będzie – dla niej i dla niego – jeśli zachowa dla siebie i tę opinię, i ich spotkanie, i ów irlandzki akcent.

– Jak sądzisz, po co ona przyszła dziś rano do kościoła? – zapytał.

Colin wzruszył ramionami.

– Spóźniona troska o nieśmiertelną duszę? Pragnienie nowych wrażeń? Założyłbym się, że gdy pojawi się jakiś mężczyzna, którego uzna za wartego jej względów, ona się stąd ulotni. Ale póki się to nie zdarzy, nikt nie uzna Evie za osobę godną tego, by złożyła mu wizytę. Nikt też nie złoży wizyty jej. Chyba że zrobi to miejscowy pastor, rzecz jasna. Z duszpasterskiego obowiązku.

Po tych słowach – będących i wyzwaniem, i ostrzeżeniem – zapadła cisza.

W przeciwieństwie do kuzynów Adam nigdy nie miał sposobności, by oddawać się rozpuście. Wiódł zwykłe, bezbarwne życie, gdyż po to, by hulać – chodzić do domów gry, na wyścigi, na wyuzdane sztuki, nie mówiąc już o korzystaniu z usług kurtyzan – trzeba było dysponować mnóstwem pieniędzy i czasu.

Żaden też z jego kuzynów nigdy nie musiał udzielać ostatniego namaszczenia umierającemu dziecku ani pocieszać jego płaczącej matki. Cóż, Bóg tak chciał.

Innymi słowy, dzieliła ich przepaść, jeśli chodzi o doświadczenia, przywileje i obowiązki. Adam był i bardziej, i mniej niewinny od ich obydwu razem wziętych.

Nie wspominając nawet o hrabinie.

A teraz, jak na ironię, całe jego życie zależało od tego, by postępować bez zarzutu i stając przed parafianami, przypominać im o niewłaściwości postępowania tak jak jego kuzyni Eversea.

Albo jak owdowiała hrabina Wareham.

Adam utraciłby wszystko, gdyby jego nazwisko zaczęto łączyć w jakikolwiek sposób z hrabiną, lecz gdyby na przykład Ian zechciał się za nią uganiać, nikt by go od tego nie odwodził. Przeciwnie, wręcz oczekiwano by tego od niego.

Wszyscy trzej dobrze o tym wiedzieli.

Kurtyzana. To słowo coraz bardziej działało na jego wyobraźnię. Nie mógł się od niego uwolnić, bo obiecywało poznanie nieznanych mu dotąd sfer rozkoszy.

On zaś już dawno zapomniał, czym jest rozkosz. W tym cały kłopot.

Raz jeszcze zacisnął palce na kuflu z piwem.

– Chyba mógłbym jej złożyć wizytę. Może wspiąłbym się po kracie do pnączy na jej balkon? Czyż nie w ten sposób składa się wizyty hrabinom? A może powinienem dostać się do jej domu przez okno?

Colin niegdyś spadł z kraty do pnączy, wspinając się na balkon pewnej zamężnej hrabiny.

Ian zaś pewnego razu musiał jak niepyszny wyłazić na golasa przez okno z pokoju

narzeczonej pewnego księcia – i wrócił do domu w jednym tylko bucie.

Obydwaj bardzo nie lubili przypominania im o tych dwóch drobnych epizodach.

– Ożeń się, Adamie – podsunął mu Ian, nie bez pewnego współczucia. – W przypadku Colina rozwiązało to cały problem. – Tak jakby rozpusta Colina była chorobą zakaźną, którą można wyleczyć dzięki małżeństwu. – Bo znów staniesz się prawiczkiem, jeśli przerwa potrwa za długo.

Adam przewrócił oczami.

Rozległ się zachrypnięty chór pijackich wiwatów. Widocznie Jonathan Redmond wygrał kolejną partię rzutek. Zwrócili głowy w stronę, skąd dobiegały głosy. Mężczyzna siedzący naprzeciw nich też uniósł głowę. Miał ciemne oczy, wydatny nos i kanciasty podbródek. Nie był zbyt przystojny, ale cała jego postać znamionowała silny charakter. Uniósł kieliszek i uprzejmie skinął głową. Adam, Ian i Colin pozdrowili go tym samym gestem.

– To lord Landsdowne. – Colin zniżył głos. – Przez ostatnie dwa tygodnie codziennie przysyłał kwiaty Olivii. Za każdym razem nieco inny bukiet, na tyle odmienny, by ją zaintrygować. I w końcu zaintrygował. Myślę, że zaczęła nawet wyczekiwać na następny bukiet. Moim zdaniem był to niezwykle chytry chwyt. I każdego dnia przesyłał tę samą wiadomość, że bardzo by jej chciał złożyć wizytę.

Adam przypomniał sobie, skąd znał to nazwisko.

– To on wpisał się do księgi zakładów u White’a, prawda? Zakład dotyczył Olivii.

To dawało do myślenia. Żaden z mnóstwa wielbicieli Olivii nie ośmielił się posunąć do tego, by zaryzykować zakład jej dotyczący od czasu zniknięcia Lyona Redmonda. Olivia dała jasno do zrozumienia, w sposób zarówno subtelny jak jednoznaczny, że tego zakładu nikt nigdy nie wygra.

Żar, potop i zazdrość. Co tak frapującego było w Olivii, że Landsdowne uznał, iż musi się założyć? Czy chodziło tu tylko o wyzwanie? A może Olivia była dla Landsdowne’a czymś w rodzaju tkwiącej w Adamie zadry? Nieodpowiednią kobietą, która zdołała go tak zauroczyć, że zasypywał ją bukietami?

Pieśń nad Pieśniami nic nie mówi o głupocie. Może to on będzie pierwszym, który unieśmiertelni głupotę w wierszach?

– Ale Landsdowne nie wygra tego zakładu – stwierdził Colin z ponurą pewnością – bo nie zna Olivii. Według mnie, nie ma nic heroicznego w daremnym wysiłku. Ian ma słuszność. Najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem, było zawarcie małżeństwa. Naprawdę chcesz się przekonać, czy staniesz się ponownie prawiczkiem?

Adam westchnął głośno i wstał od stołu.

– Dobranoc, kuzyni. To było budujące, jak zawsze. Aha, i zapłaćcie za moje drugie piwo.

– Jeśli za długo będziesz pozostawał w stanie bezżenności, zrobisz się bardzo drażliwy! – zawołał za nim Colin. – Tak przynajmniej słyszałem.

– Wszystkie ptaszki o tym ćwierkają – dodał Ian.

Było czystym przypadkiem, że Adam potknął się na odchodnym o wyciągniętą nogę

Iana.

6

Adam wrócił do domu późno, po dziesiątej, i przekonał się, że pani Dalrymple pozbierała wszystkie zmięte kartki papieru i wrzuciła je do ognia. Tam zresztą, jego zdaniem, było ich miejsce. W sobotę papier zgniatało się w kulki, a w niedzielę go paliło.

– Świetnie służą na podpałkę, pastorze – powiedziała mu – a ja lubię myśleć, że wszystkie pańskie słowa idą prosto do Boga razem z dymem.

– Z pewnością Bóg wolałby, żeby spłonęły, niż żebym miał nimi nękać moich parafian – odparł cierpko.

Często cisza wydawała mu się istnym błogosławieństwem po dniach pełnych dysput o kozłach, wyznań lady Fennimore i tym podobnych rzeczy. Ale tego wieczoru, po cieple i wrzawie w pubie Pod Świnką i Ostem, spokój plebanii był niczym uderzenie obuchem w głowę. Czasami dotkliwie odczuwał izolację, na jaką skazywała go jego profesja. Należał niby do wszystkich, ale w gruncie rzeczy do nikogo.

Tego wieczoru usiadł za stołem w nieskazitelnie czystej kuchni i pochylił głowę, myśląc zgryźliwie: Gdybym był żonaty, przynajmniej ktoś mógłby mi zzuć buty.

Spróbował to sobie wyobrazić. Gdyby tak na przykład Jenny przyklękła, żeby je ściągnąć, z jej jasnowłosą głową błyszczącą w świetle lampy…

Ale taki obraz się nie pojawił. Myślami wciąż powracał do drobnej brunetki. Dobry Boże, wszystko na darmo. Nawet gdyby się porządnie wyspał, nic mu to nie pomoże.

Otworzył oczy i uniósł głowę, gdy w sieni rozległy się ciężkie kroki pani Dalrymple.

– Och, pastorze, usłyszałam, że pan już wrócił. Przyszła jakaś przesyłka, kiedy pana tu nie było.

Jak zwykle, spojrzał najpierw na nią, usiłując wyczytać z jej twarzy, kto też mógł być nadawcą, i przekonał się, że na obliczu gospodyni maluje się stoicki spokój, chociaż z lekkim wyrazem potępienia.

Po czym przeniósł wzrok na jej ręce. Pani Dalrymple podała mu list koniuszkami palców, jakby był nadpalony lub czymś pobrudzony. Dostrzegł woskową pieczęć. Pod pachą trzymała miękką paczuszkę zawiniętą w brązowy papier i przewiązaną sznurkiem.

– Pomyślałam sobie, że zechce pan ją obejrzeć od razu. Przyniósł to lokaj. Z pudrowanymi włosami, w czerwono-żółtej liberii. Pstry niczym jakiś ptak.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Lokaj w czerwono-żółtej liberii?

– Źle się pan czuje, pastorze? – spytała niepewnie po chwili.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech. Odetchnął ostrożnie.

– Dziękuję za troskę, pani Dalrymple, ale nic mi nie jest. Zobaczmy, co to takiego.

Wyciągnęła ku niemu ręce. Wziął od niej paczuszkę i list. Pani Dalrymple czekała. Być

może chciała jak najprędzej wrzucić jedno i drugie do ognia.

– Dziękuję pani – powiedział uprzejmie, ale stanowczo. Wycofała się, najwyraźniej z ciężkim sercem. Nie miała widocznie ochoty zostawić go z tą przesyłką.

A tymczasem on właśnie tego chciał.

Przyjrzał się dokładnie charakterowi pisma, jakby z niego mógł coś wyczytać. Pragnął opóźnić chwilę otwarcia listu – chwilę, kiedy dowie się czegoś więcej o jego autorze. Przedłużyć nieoczekiwane, lecz miłe zaskoczenie po jego otrzymaniu. Albowiem jego treść mogła wszystko to zniweczyć.

Drogi Pastorze,

Gdy się przekonałam, że Pańskiego halsztuka nic nie jest już w stanie uratować, pomyślałam sobie, że gdyby nasz koń mógł, to podziękowałby Panu za ten dar. Mam więc nadzieję, iż zechce Pan przyjąć, wraz z wyrazami wdzięczności, załączony pakiet. Halsztuk ten należał do mego męża, ale skoro nie ma go już wśród żyjących, a także dlatego, że miał aż czterdzieści siedem innych, doszłam do wniosku, że nie będzie to dar niestosowny, choć nie bardzo się orientuję, co jest stosowne, a co nie. Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie w najbliższy wtorek na herbacie w Damask Manor. Spróbuję wówczas udowodnić, iż jestem osobą dobrze wychowaną, choć Pan zapewne ma inne zdanie. Zdaje się, że w Pennyroyal Green jest zwyczaj podejmowania pastora posiłkiem tak często, jak tylko się da, a skoro weszło się między wrony… Postaram się Pana nie zanudzić.

Pańska sąsiadka, hrabina Wareham

Wzruszyły go te przeprosiny.

Przeczytał list powtórnie. Wahał się między podejrzliwością a współczuciem. W końcu ta kobieta była profesjonalną uwodzicielką.

Przeczytał go trzykrotnie, nim do niego dotarło, że niemal bez przerwy się uśmiecha w trakcie lektury. Wziął w dłonie halsztuk. Był jedwabny i bez skazy. Jak dusza świętego.

Był też kiedyś własnością mężczyzny, który wygrał w karty możliwość jej poślubienia.

Nie, to nie był właściwy prezent dla pastora.

Krył się w nim i urok, i niebezpieczeństwo.

Miał obowiązki względem wszystkich swoich parafian. Był już na obiedzie właściwie u każdego. Jeśli zaś miała zamiar stać się jedną z jego parafianek, nie mógł zignorować zaproszenia.

Ona nigdy nie robi nic bez powodu. Tak się wyraził Colin.

Kuzyni opisali ją jako osobę sprytną, która wie, czego chce, i zawsze to osiąga. Najwyraźniej chciała czegoś od niego.

Dobry Boże, nie mógł się wprost doczekać, kiedy się dowie, co to takiego.

– Żadnej biżuterii. – Henny była nieugięta. – To proboszcz. Pewnie się już dowiedział, że byłaś czyjąś utrzymanką, a ty nie musisz mu o tym przypominać, obwieszając się świecidłami.

Henny niedawno odkryła, że pastor Sylvaine jest krewnym rodziny Eversea – kuzynem

po kądzieli. I że siostra pani Wilberforce, ich gospodyni, prowadzi mu dom. Wyjaśniało to zapewne, dlaczego całe miasteczko wiedziało, kto się wprowadził do Damask Manor.

A zatem Evie nie miała na sobie żadnej biżuterii poza medalionem ze świętym Krzysztofem, z którym się nie rozstawała. Wisiał bezpiecznie między jej piersiami. Dotknęła go, żeby dodać sobie pewności, gdy stała w salonie i wyciągała szyję, by zobaczyć, jak pastor Sylvaine wręcza kapelusz i płaszcz lokajowi. Zdumionemu, bo nigdy jeszcze w całym swoim życiu dobrze wyszkolonego sługi nie widział płaszcza, który nie byłby dokładnie wyszczotkowany. A ten płaszcz nie był.

Po czym pastor odwrócił się i wszedł do pokoju. Zatrzymał się, gdy zobaczył ją stojącą przy kominku, tuż pod ogromnym portretem jakiegoś groźnie spozierającego, brodatego typa w kryzie, zapewne jednego z przodków hrabiego.

Jak mogła zapomnieć, że jest taki wysoki?

Nawet powietrze w pokoju zdawało się zmieniać w jego obecności. Czuła to tak wyraźnie, jakby wzbudził tu silny prąd, który do niej dotarł i ogarnął ją całą. Złożyła dłonie, a jej palce splotły się ze sobą niczym żywe istoty, przytulone ciasno do siebie, żeby się wzajemnie wspierać. Nie wyszła mu naprzeciw z powitaniem, niezdolna wydobyć z siebie słowa. Mogła tylko stać i patrzeć na niego.

Przyglądali się sobie wzajemnie, jakby dywan między nimi był morzem dzielącym dwa wrogie terytoria.

Dopiero wtedy zauważyła, że trzymał w zaciśniętej dłoni bukiecik barwnych, niezręcznie dobranych kwiatków. Z tym bukiecikiem powinien wyglądać jak ktoś, kto prosi o wybaczenie. Nie wyglądał. Mógłby w tej dłoni równie dobrze dzierżyć berło.

Po paru dniach od ich pierwszego spotkania zrozumiała, że popełniła kilka błędów, chcąc zyskać nad nim przewagę. Niektóre rzeczy niebezpiecznie się zatarły w jej pamięci: wrażenie, jakie na niej zrobiły jego oczy, nawet z odległości; elegancka linia dolnej wargi; niemal namacalna pewność siebie, charakterystyczna dla kogoś, kto niczego nie musi dowodzić, bo już tego dowiódł.

Nie wiedziała, skąd tę pewność czerpie. W końcu był tylko pastorem. Pisywał kazania o kozłach i odczytywał je prostemu ludkowi w niedziele. Jak ktoś, kto całe życie spędził w hrabstwie Sussex. A tymczasem ona przebyła niewyobrażalnie stromą drogę od irlandzkich torfowisk przez Carleton House do hrabiowskiego pałacu. Wiedziała, czym zalatuje oddech regenta, bo nachylał się nad nią niejeden raz, chcąc zajrzeć jej w dekolt. Jeśli coś się kryło za rezerwą Adama Sylvaine'a, to właśnie ona była kimś, kto mógł wykuć sobie z tego przyszłość.

Spojrzała na jego buty, a ich podniszczone czubki utwierdziły ją w tym przekonaniu.

Pastor spojrzał w tej samej chwili na jej dłonie. A potem przeniósł wzrok wyżej, uśmiechając się nieznacznie kątem ust.

Z pewnością bowiem ten człowiek dobrze wiedział, jakie wrażenie robi jego wygląd. Patrzył na jej splecione palce. Wiedział – wyczuła to – że ona próbuje powstrzymać ich drżenie.

– Dziękuję za zaproszenie, lady Wareham.

No i jeszcze ten jego głos.

Serce biło jej niedorzecznie szybko.

– A ja dziękuję panu za przyjście, pastorze Sylvaine.

Bardzo elegancko i zgrabnie sformułowane, pogratulowała sobie w duchu.

Było to najwyraźniej wszystko, co mieli sobie do powiedzenia. Odkaszlnęła.

– Czy pastorom wolno się czegoś napić? Czy mogę pana poczęstować wiśniówką? Czy to będzie właściwe? – spytała nieobowiązującym tonem.

Uśmiechnął się, a wtedy dołeczek w kącie ust znów się na moment ukazał. Patrzyła na niego z taką fascynacją, jakby w pokoju wszedł nagle księżyc.

– Na początek wystarczy. Ale potem napiłbym się portwajnu, jeśli go pani ma.

Jakby szli ze sobą w zawody, które z nich będzie mówiło w sposób bardziej wymijający.

Zdawał się rozumieć, że nie może stać wciąż w absurdalnym bezruchu, i przeszedł przez pokój kilkoma długimi, zgrabnymi krokami. Widziała, że się wszystkiemu przygląda: obitej aksamitem sofie w kolorze koniaku, krytym atłasem krzesłom o wrzecionowatych nogach i portretowi Bóg jeden wie kogo nad kominkiem.

Co o niej wiedział? Czy wyobraźnia podsuwała mu obrazy uwodzenia przez nią kochanków na tejże sofie? Czy uśmiechał się uprzejmie, a jednocześnie w myślach nazywał ją „nierządnicą”?

– Rzecz jasna, że mam portwajn. Ach, oczywiście, powinnam była zauważyć, że pan mi przyniósł bukiecik. Jakie to… uprzejme z pana strony.

Wyciągnęła ku niemu ręce, a on ostrożnie włożył w nie kwiaty, potem zaś, ku jej zaskoczeniu, wyciągnął z kieszeni surduta mały słoiczek.

– Skoro jest pani osobą świeżo przybyłą, ofiarowuję jej polne kwiaty z hrabstwa Sussex. Miód zaś jest dziełem pszczół, które spijają z nich nektar.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Kwiaty i pszczoły były popularnymi metaforami z wierszy, które przesłało jej kilku złotych młodzieńców. Nie wiedziała, czy to nie jakaś aluzja.

Może zresztą wszystko będzie brzmiało jak aluzja, póki nie dowie się dokładnie, co właściwie pastor wiedział o jej przeszłości.

Raz jeszcze pojawił się lokaj. Z ulgą powierzyła mu prezenty i poleciła przynieść portwajn oraz podać herbatę. Po czym znów zwróciła się do gościa.

– Kwiaty i pszczoły! – powiedziała pogodnie. – To brzmi trochę jak początek kazania. Na przykład o liliach polnych, które nie muszą się trudzić.

– Być może. Z pewnością uprzedzę panią, jeśli wykorzystam w którymś z nich ten motyw, tak by mogła pani wtedy przyjść do kościoła i uciąć tam sobie drzemkę.

Zaśmiała się.

A wtedy jego twarz rozjaśniła się, jakby usłyszał jakąś niebiańską muzykę. Natychmiast jednak ta świetlistość znikła, jakby nigdy się nie pojawiła, a on znów był uprzejmy i nieodgadniony.

– Proszę usiąść, pastorze, i nie stać tak nade mną.

Przyjrzał się krzesłom z nogami o wrzecionowatym kształcie. Może się zastanawiał, które z nich się pod nim nie załamie. Wreszcie wybrał jedno, z wysokim oparciem w kształcie rozłożonego wachlarza, mające cztery wygięte, złocone nogi. Ona zaś zajęła miejsce na sofie i położyła obie dłonie, nie splatając już ich ze sobą, na kolanach.

Siedzieli tak naprzeciw siebie jak para dyplomatów z dwóch różnych krajów, którzy mają wynegocjować traktat. Bawiła ją myśl, że właściwie powinni byli wynająć tłumacza, żeby wyjaśniał, co mają sobie do powiedzenia.

Nie było mu wygodnie, bo siedział sztywno wyprostowany, jakby chciał uniknąć zetknięcia się z wachlarzowatym oparciem. Przyszło jej na myśl, że chyba jednak nie jest z natury tak sztywny i spięty.

– Jest pani pierwszą osobą, lady Wareham, która zasnęła podczas mojego kazania.

Ciekawy początek. Ostry atak. Jak ona ma na to zareagować?

– Och, nie wątpię. Przypuszczam, że żadna z kobiet nie chciałaby stracić pańskiego widoku ani na chwilę.

Zamilkł tak nagle, że o mało nie zamrugała. Jakby ktoś zatrzasnął wędrownemu druciarzowi drzwi przed nosem.

Straciła kontenans. Przecież uważano ją za piękną kobietę. Jej słowa powinny mu pochlebić, a przynajmniej zaintrygować go. Może był trochę próżny, chociaż próżność jest jednym z grzechów głównych? Żaden przystojny mężczyzna o imponującej posturze nie mógł jednak nie być próżnym.

Czekała.

Najwyraźniej temu mężczyźnie bardziej odpowiadało milczenie niż rozmowa. W przeciwieństwie do któregokolwiek ze znanych jej mężczyzn

– Przepraszam za moją drzemkę – odezwała się pierwsza nieoczekiwanie dla siebie samej, choć wiedziała dlaczego. Dlatego, że on milczał. – Zachowałam się co najmniej nieuprzejmie. Tylko że tam, gdzie siedziałam, było ciepło, ja się bardzo zmęczyłam, a pana głos… – urwała nagle, zaniepokojona. O mało nie przyznała się do czegoś niepotrzebnie.

– No i jakiż był ten mój głos?

Och, jak łagodnie zadał to pytanie… jak ufnie, jak bezpośrednio. Zapragnęła, by jej odpowiedź spodobała się mu.

Bardzo zręcznie sobie poczyna jako pastor.

Albo jako uwodziciel.

– Lubię pana głos – powiedziała niepewnie. Nie miała zamiaru flirtować z nim. Po prostu mówiła prawdę.

Mówiąc to, czuła się trochę urażona. Jakby to wyznanie wymuszono na niej przemocą.

Przyjął je bez słowa.

A potem na twarzy pastora zaczął się pojawiać jeden z tych jego uśmiechów, tak powoli, że miała sporo czasu, by przyjrzeć się temu dokładnie, potem zaś zaparło jej dech, nim zdążyła się na to przygotować. Wykwitł bowiem na jego twarzy jak promień słońca spoza chmury burzowej i przeniknął ją na wskroś .

W okamgnieniu pojęła, że znalazła się całkowicie na jego łasce, gdyby zaś uśmiechał się w ten sposób dłużej, byłaby w prawdziwym kłopocie.

Choć był osobą duchowną, z pewnością radował się tym triumfem niczym sam diabeł.

Na szczęście ten niezwykły uśmiech zanikł w sposób naturalny, jak wschód słońca. Ona zaś odzyskała kontrolę nad sobą. Żeby przejąć ją nad nim.

– Skoro już przepraszam, zapewne powinnam też prosić o wybaczenie za to, że

palnęłam panu prosto w twarz brzydkie słowo.

– Ale ja lubię słowo „cholerny”. – Nie był ani trochę skonsternowany. – Zresztą te pozostałe również. No widzi pani, ja też powiedziałem „cholerny”. Kiedy wejdziesz między wrony, jak pani napisała…

– A czy pastorom wolno mówić „cholerny”?

Przez chwilę bawiło ją, że zyskała punkt w tej grze.

– Och, jestem pewien, że Wszechmocny wybacza im czasem niektóre potknięcia. Gdybym natomiast przeklinał często, w dzikim zapamiętaniu, to już całkiem inna sprawa.

Dzikie zapamiętanie, pomyślała, było dość sugestywnym wyrażeniem w ustach pastora.

– Być może obowiązują tu pewne granice. Gdy się je przekracza, ponosi się karę.

Jego szeroki uśmiech był cudowny. Pochyliła się ku niemu, pragnąc jak dziecko zawołać: „jeszcze, jeszcze”!

Odchylił się nieznacznie do tyłu w krześle.

– Proszę samej to sprawdzić, milady. Przypuszczam, że to kwestia tego, jak daleko ktoś gotów jest posunąć się w zuchwalstwie.

Zapadła cisza. Gdyż, niestety, dwa dwuznaczne określenia – „zuchwalstwo” tuż po „dzikim zapamiętaniu” – zahamowały ich urywaną i niepokojącą konwersację. Zrozumiała, że przyszło im na myśl to samo: Evie Duggan, prowokująca pojedynki, upadki z balkonów oraz zakłady o nią w roli głównej nagrody, była uosobieniem i zuchwalstwa, i dzikiego zapamiętania.

Jej przeszłość natychmiast wypełniła cały pokój w sposób tak oczywisty, jakby jej dawniejsi kochankowie rozpierali się w nonszalanckich pozach na pozostałych meblach.

Jak sprawić, żeby przestali zakłócać prowadzoną przez nią i pastora rozmowę?

A może ich wykorzystać?

– Było ich dwóch przed moim ślubem, pastorze Sylvaine.

– Przepraszam, o czym pani mówi?

– Dwóch mężczyzn – powiedziała powoli. – Tylko dwóch. Jeśli nie wiedział pan przedtem o mojej przeszłości, pastorze, to z pewnością już panu o niej doniesiono, i sądzę, że lepiej będzie, jeśli się do niej otwarcie przyznam, bo inaczej stale się będzie pojawiać w naszej rozmowie.

Wstrzymała oddech, gdy utkwił w niej spojrzenie tych swoich promiennych, przeraźliwie błękitnych oczu. Bez wątpienia liczył jej rzęsy! Albo zaglądał w głąb jej duszy, żeby sporządzić wykaz tkwiących tam grzechów.

– Dlaczego dwóch? – spytał. – Dlaczego nie sześciu? Albo siedemnastu? Czyżby żądza była jedynym śmiertelnym grzechem, którego pani uniknęła?

Powiedział to tonem zwykłej rozmowy, tak że dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, co on mówi.

Zesztywniała. Rozchyliła usta. Siliła się, żeby wargi jej nie drżały.

– Ja… – zdołała tylko z trudem wykrztusić.

Przeszywał ją na wskroś swoim spojrzeniem.

– Dużo trudniej zbić mnie z tropu, niż pani sądzi, milady – rzekł łagodnie.

A potem obdarował ją kolejnym szelmowskim uśmiechem. Który zrobił na niej

wrażenie. Mimo wszystko.

– Tylko dwóch – zdołała wyjąkać schrypniętym głosem. Idiotyczne wyznanie.

– Nie jest moją sprawą osądzać panią lady Wareham, niezależnie od tego, co pani sobie myśli. Jest nią natomiast przewodnictwo duchowe, jeśli rozumie pani różnicę. No i, jak to czasem bywa, doniesiono mi o pani przeszłości…

– Ach, więc jednak? Proszę przekazać Colinowi wyrazy wdzięczności – powiedziała z ironią.

Skinął głową.

– …a że jest niezaprzeczalnie barwna, stała się pani jedną z wielu, powiedzmy, barwnych osobistości w Pennyroyal Green.

– Och, co za wstyd! Ponieważ zawsze chciałam czerpać pociechę z mojej wyjątkowości.

– Mam powody do pewności, że pani nadal czerpie z tego pociechę, milady – rzekł sucho.

– Czekam, by zaczął pan ze mną flirtować, pastorze. Czy mogę na to liczyć?

– Z całą pewnością nie. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak się flirtuje.

– Na pewno ma pan wiele sposobności po temu. Może gdyby…

– Nie zrozumiała mnie pani. Nie potrzebuję lekcji.

Padło to jak uderzenie młota i graniczyło w gruncie rzeczy z brutalnością.

Zaczerwieniła się z oburzenia. Dopiero po chwili zdołała się odezwać.

– Sądziłam, że pastorzy mogliby mieć przynajmniej pewną biegłość w dyplomacji – odparła zgryźliwie, choć łamiącym się głosem.

– Ja ją mam. Zapewniam panią. Tylko podejrzewam, że pani nie potrzebuje dyplomacji, lady Wareham, bo nie sądzę, żeby pani była osobą nadmiernie wrażliwą, a bawienie się w dyplomację zajęłoby zbyt dużo czasu. Życie jest na to za krótkie.

Nie wiedziała, czy to była obelga, czy pochlebstwo.

Nie odpowiedziała mu. Zabrakło jej słów.

Zabębnił palcami po poręczy krzesła.

– Czy wie pani, dlaczego podobało mi się, że powiedziała pani „cholerny”?

Zabrzmiało to przynajmniej pojednawczo.

Zamiast odpowiedzi wzniosła oczu ku niebu, jakby czekając, by spadła stamtąd na nią kara.

– Bo wydawało mi się szczere.

– Przykro mi to słyszeć. To byłam ja w mojej najgorszej wersji.

Prychnął, zniecierpliwiony.

– To była pani w swojej prawdziwej wersji. Wolę, kiedy pani jest sobą. Powinna też pani wiedzieć, lady Wareham, że bardzo nie lubię, kiedy ktoś próbuje mną manewrować.

Nie podniósł wcale głosu. Ale z każdej nieubłaganej sylaby ostatniego zdania biła stanowczość.

Ten przeklęty człowiek wytrącił jej broń z ręki.

Nie próbowała go nawet pytać: „A co pan rozumie przez manewrowanie, pastorze Sylvaine?” Ponieważ nie dostrzegła w nim śladu próżności, pychy, pompatyczności ani też żadnej innej przywary, mącącej ostrość widzenia. Uważał jej flirtowanie dokładnie za

to, czym było – za próbę manewrowania nim, tak by udało się jej dopiąć swego.

A wcześniej świetnie jej się do udawało.

Flirt zawsze był dla niej czymś w rodzaju dymnej zasłony. Ukrywała się za nią przed mężczyzną, mamiąc go słodkimi obietnicami. Żaden nie był tego w pełni świadom. A zatem żadnego w pełni nie skrzywdziła.

Ich spojrzenia się spotkały.

W duchu pragnęła samą siebie ukarać. Miała nadzieję, że nie odczyta z jej oczu tego pragnienia.

Mogła przynajmniej czerpać pociechę z tego, że to nie ona pierwsza odwróci wzrok.

Bądź tym, czym jesteś. Tak długo była tym, czym musiała być, czy to na scenie, czy w łóżku mężczyzny, żeby przetrwać. W roztargnieniu szukała jakiegoś punktu oparcia; jej ręka odruchowo odszukała medalion ze świętym Krzysztofem ukryty między piersiami.

Jego oczy podążyły za jej dłonią. Spostrzegła, że próbował odwrócić wzrok. Świadczyło o tym ledwie dostrzegalne drgnięcie podbródka. Ale nie zdołał.

Oczy mu pociemniały. Wpadł w pułapkę, jak mucha zatopiona w miodzie.

Przestała oddychać.

Wydało się jej, że postrzega własną skórę tak jak on: chłodna, jedwabista, jakby stworzona po to, by wodzić po niej koniuszkami palców. Poczuła przyprawiający o dreszcze żar w tyle głowy. Przymknęła oczy.

Trwało to zaledwie parę sekund. Jej ręka osunęła się wdzięcznym ruchem na kolana. Ponownie zwrócił spojrzenie ku jej twarzy. Ale jego oczy utraciły ów wyraz, zobojętniały, echo uczuć zgasło, rysy stężały, dłonie zacisnęły się na poręczach krzesła. Widziała, jak próbował przybrać wygodniejszą pozę.

Wstrząsnęło to nią. Nie był więc niewzruszonym monumentem, nieczułym na obecność kobiety. Pięknej kobiety. Już to wiedziała. Powinno ją to przerazić. I chyba przeraziło. Ponieważ to, co czuła, gdy on był blisko, zależało od siły jego woli. Dzięki której nie tracił nad sobą kontroli, gdy ona była blisko.

Dobrze wiedziała, co się dzieje, gdy ktoś traci nad sobą kontrolę.

Nie był lekkoduchem. I nie zatrzymywał się w połowie drogi. Szedł do końca.

Niemniej jednak miała znów w ręku broń. I choć wiedziała, że jest to ryzykowna gra, postanowiła zaatakować.

– A jaką liczbę pan wymieni, pastorze Sylvaine? – spytała miękko. – Sześć? Siedemnaście? Dwie? Ile ich wolno mieć nieżonatemu pastorowi?

Doskonale wiedział, co miała na myśli.

Przez chwilę niemal żałowała, że to powiedziała. Milczał. Jakby poczuł się zraniony. Zacisnął szczęki. Czy z gniewu? Czy uważał, że z niego zadrwiła? Z pewnością nie był niedoświadczony, jeśli chodzi o kobiety. Chyba to nie był gniew, zbyt dobrze panował nad sobą. Czy był urażony, czy też ją osądzał, wbrew temu, co wcześniej powiedział?

W jego oczach płonął ogień, gdy na nią patrzył. Pomyślała, że słabsza od niej kobieta szybko spłonęłaby w tym ogniu.

W pokoju było tak cicho, że tykanie zegara rozlegało się w nim niczym bicie trzeciego serca.

A potem pastor uśmiechnął się, ledwo dostrzegalnie, powoli. Czuła ten uśmiech w

całym swoim ciele. I pokiwał lekko głową.

– Celny strzał.

Uśmiechnęła się również, wbrew sobie samej.

Spojrzał na zegar.

– Obawiam się, że wzywają mnie inne obowiązki. Czemu nie mówi mi pani, w jakim celu zostałem tu dziś zaproszony? Bo podejrzewam, że był w tym jakiś cel.

– Niewiele uchodzi pana uwagi, pastorze Sylvaine.

– Szybko się pani uczy, hrabino.

Uśmiechnęła się dyskretnie. Nagle poczuła, że jest zdenerwowana. I zmieszana. Tym mężczyzną nie da się manipulować. Nie popchnie go w pożądanym przez siebie kierunku.

Gdyby mówiła z nim bez ogródek, dowiedziałby się o niej więcej, niżby chciała. A nie byłoby sprawiedliwe, żeby tylko ona się przed nim odsłoniła, a on nadal ukrywał swoje sekrety.

Wyprostowała się. Odchrząknęła. Nie była naiwna.

– Dobrze. Chciałabym coś panu wyznać.

Kiwnął głową z aprobatą.

– Zapewniam panią, że wszystko, co tu usłyszę, pozostanie na zawsze tajemnicą.

– Niech się pan nie spodziewa, że usłyszy coś żenującego. Ani nie ostrzy sobie zębów na coś szokującego – dodała, nie mogąc się powstrzymać od tej uwagi. I spojrzała na niego spod rzęs.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Mimo to dziękuję, że mnie pani o tym uprzedziła.

Odetchnęła z ulgą. Znów splotła nerwowo palce. A potem, ku jego zdumieniu, słaby rumieniec wypłynął powoli na jej policzki.

– Chciałabym mieć przyjaciół.

7

Spoglądała na niego z wyraźną nadzieją, szczerze zakłopotana.

– A pani… – zawahał się przed dokończeniem zdania. Słowa „nie ma żadnych” wydawały mu się okrucieństwem.

– Z pewnością jest ich wielu, tylko że zmiennych jak chorągiewki na wietrze. Albo miałam ich niegdyś.

Dłonie wciąż trzymała splecione. Spostrzegła, że to zauważył, i natychmiast je rozplotła. Nagle wybuchła:

– Wielka szkoda, że statek Milesa Redmonda nie zatonął, zanim powrócił on na nim do Anglii, żeby całej socjecie oznajmić o istnieniu jadowitego czarnego pająka, którego samica zjada samca po akcie miłosnym! Kto normalny łazi na czworakach w poszukiwaniu takiego paskudztwa, ja się pytam? Czarna wdowa, też coś!

Starał się nie roześmiać. W jakiś przewrotny sposób podobał mu się jej gniew.

A także kąt, pod jakim pochylała głowę, kształt krótkiego, ostrego noska i krągłość policzka, którego połysk przywodził na myśl porcelanę.

– Pan Redmond zapewne nie przewidział, że londyńska socjeta może być bardziej jadowita niż wzmiankowany pająk.

Przyjrzała się uważnie jego twarzy. Prawdę mówiąc, on podobnie przyglądał się twarzom, starając się wyczytać coś z ich rysów. Widział, jak się odprężyła, gdy oceniła, że z niej nie zakpił.

– Wie pan, żałuję, że Monty zmarł. Bardziej niż ktokolwiek sądzi. To była okropna chwila. Jedliśmy śniadanie, służba kręciła się tu i tam, ale przy stole siedzieliśmy tylko my we dwoje. W pewnej chwili uśmiechnął się do mnie i powiedział: „Evie, kochanie, czy możesz przysunąć mi marmola…”, i w następnym momencie usłyszałam tylko przerażający łoskot, a on opadł twarzą w dół na tę swoją jajecznicę i wędzone śledzie. Gospodyni krzyczała i krzyczała. Miała jajecznicę we włosach i na sukni z przodu. Nigdy nie zapomnę jej krzyku.

Wzdrygnęła się.

Adam pogratulował sobie w duchu, że przyniósł jej miód, a nie marmoladę.

– To straszne – powiedział cicho. – Przeraziła się pani?

Wyglądała na nieco zaskoczoną tym pytaniem.

– No pewnie. Ale co komu przyjdzie z krzyku? Krzyczałabym może, gdyby napadł mnie bandzior i musiałabym wzywać pomocy. Niewiele by mi to zresztą dało, chyba że rąbnęłabym go łokciem albo pchnęła kolanem w jego klejnoty. Próbowałam wymacać puls na szyi Monty’ego, ale nie wyczułam żadnego. A potem…

Ujrzał, że nagle przymknęła oczy. Zrozumiał, że ugina się pod ciężarem wspomnień. Trwało to krótko.

Odetchnęła głęboko i otworzyła oczy.

– …a potem uniosłam jego głowę znad tych jajek i otarłam mu twarz serwetką. On nie znosił być czymś pobrudzonym.

Wzbudziła w nim szczere uznanie. Przez chwilę nic nie mówił.

Zawsze cenił ludzi silnych. A ona była silną kobietą.

Colin powiedział o niej: „jest wprost niesamowita". Adam w to nie wątpił.

Nie była jednak niezniszczalna.

Znów zbudził się w nim gniew na socjetę za wyrządzoną jej krzywdę, mimo to, jak się prowadziła. A nawet na Colina za to, że tak beztrosko uznał ją za kobietę bezwzględną.

Nienawidził niesprawiedliwości.

– Bardzo mi przykro z powodu pani straty, lady Wareham.

Znów mu się przyjrzała, jakby chcąc stwierdzić, czy i tym razem mówi szczerze.

A potem, wreszcie, usta się jej wygięły. Westchnęła.

– Był miły i zabawny. Nie obchodzi mnie, co ludzie mówią. Dbałam o niego i chciałam być dobrą żoną, bo Bóg jeden wie, że zdumiał nawet mnie, tak dobrze sobie radził w małżeństwie, niech mu ziemia lekką będzie. Ale, widzi pan, on nie był młody. Doktor powiedział, że… nadmierna aktywność małżeńska… osłabiła mu serce. Gdybym była wiedziała! Ale jedno mnie trochę pociesza. Wierzę, że umarł szczęśliwy.

– Nie wątpię w to wcale.

Zesztywniała. W oczach pojawił się błysk zaskoczenia.

On był jednak równie zaskoczony, jak ona, tym, że to powiedział.

A wtedy w jednym z kącików jej warg zarysował się uśmiech, który objął z wolna także drugi kącik i rozświetlił jej oczy.

– No ale to – powiedziała łagodnie – jest już flirtem, pastorze.

Przez chwilę żył jedynie tym uśmiechem i wszystko wydało mu się nagle dziwnie lekkie.

– Naprawdę? Pani jest w tej dziedzinie ekspertem.

Szybko spojrzał jej w oczy. Nie był bowiem tchórzem.

Był to niebezpieczny, nieprzemyślany, krótki manewr, który należało przerwać.

Zaskoczyła go. Znowu schyliła głowę. Zrozumiał, z dość szczególną satysfakcją i rozczarowaniem, że wprawił ją w zakłopotanie.

Co być może było korzystne.

Upiła nieco herbaty, po czym spojrzała na niego i przez chwilę widział tylko przed sobą jej wielkie zielone oczy, spoglądające na niego znad brzegu porcelanowej filiżanki z lekką nieufnością. Wiedział, że w ciągu całej wizyty mierzyła go wzrokiem nieustannie, i bawiło go to. Mimo ostrzeżenia, zapewne nadal próbowała nim manewrować i flirtować z nim, póki nie przekonała się, że to niemożliwe.

Aż wreszcie się poddała i przestała cokolwiek udawać.

Ale to… to mogło być jeszcze bardziej niebezpieczne. Ten jej śmiech. Jeśli dźwięk może być światłością, to jej śmiech nią był. Rozświetlał jej twarz, oczy, a on wtedy czuł, że jego życiową misją jest sprawienie, by zaśmiała się ponownie.

Zaczynał rozumieć, w jaki sposób zdołała usidlić wyobraźnię tylu mężczyzn. Podejrzewał jednak, że uchylił ledwie rąbka tej tajemnicy.

Ucieszyła go chwila milczenia. Posłużyła mu do obiektywnej oceny sytuacji.

Pociągnęła znów łyk herbaty. Herbata ją wyraźnie ożywiła.

– Po śmierci Monty'ego zostałam znów sama. A ja, widzi pan, nigdy nie lubiłam być sama. Wyrosłam wśród mnóstwa braci i sióstr w małym wiejskim domku, w Killarney…

– Stąd ten irlandzki akcent?

Zaśmiała się.

– Tak, jestem Irlandką. Nie wiem, ile czasu spędził pan w Londynie, ale to miasto wprost tętni życiem i nigdy nie byłam sama nawet tam, nawet w Seven Dials. Zawsze miałam przy sobie przynajmniej Henny jako towarzyszkę, choć doprawdy nie wiem, jak ja z nią mogę wytrzymać. Otaczali mnie przyjaciele i było mi wesoło, póki nie zmarł Monty. Ale niech pan słucha! – Nachyliła się ku niemu. – Słyszy pan coś?

Seven Dials? Wtrąciła te prowokacyjne słowa do rozmowy jakby od niechcenia. Przez krótką chwilę przetrawiał je w milczeniu.

Kolejny trop wyjaśniający, dlaczego jej charakter tak się wyostrzył. Jak brzytwa.

Zegar na gzymsie kominka wydał zgrzytliwy dźwięk, przygotowując się do wybicia kolejnej godziny. Nic więcej Adam nie słyszał.

– Przepraszam, ale co pani słyszy?

– Absolutnie nic! W tym cała rzecz! Na tej wiejskiej prowincji panuje grobowa cisza! Ale jeśli pan się wsłucha dokładnie, proszę uważać, bardzo, bardzo dokładnie, to sądzę, że usłyszy pan chrobotanie myszy za ścianą!

Nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

Uśmiechnęła się triumfalnie, jakby przyznał jej jakąś nagrodę.

– Chciałabym sobie zapewnić pańskie poparcie, pastorze Sylvaine. Mam powody, żeby uważać, że tutejsze kobiety wiedzą o mojej przeszłości i bynajmniej nie przyjmą mnie z otwartymi rękami. Przyznam się też, że podsłuchałam, jak pan w niedzielę rozmawiał z jedną z nich przed kościołem o zimowym festiwalu. A także o stowarzyszeniu pań z Pennyroyal Green. Chciałabym wziąć w tym festiwalu udział – zakończyła pogodnie.

Zdrętwiał i przez chwilę czuł zupełną pustkę w głowie.

Korciło go, żeby powiedzieć: Dobry Boże, tylko nie to! Już lepiej byłoby zaśpiewać w niedzielę przed wszystkimi wiernymi nieprzystojne kuplety, jeśli pani zechce. Tylko nie to!

Próbował sobie wyobrazić, że przynosi te nowiny pani Sneath, ale nie udało mu się.

– Czy chciałaby pani należeć do tego stowarzyszenia?

Skinęła głową twierdząco.

Zabębnił w zamyśleniu palcami po poręczy.

– Proszę mi powiedzieć, lady Wareham… – zaczął bardzo uprzejmie – …i poprawić mnie, jeśli się mylę…

– Doskonale – odparła, ale dość ostrożnie.

– Czy mrugnęła pani kiedyś do jakiegoś mężczyzny, co skończyło się pojedynkiem?

– No cóż… owszem. Ale widzi pan, coś mi wtedy wpadło do oka. To było wielkie nieporozu…

– Czy pewien młodzieniec spadł z balkonu w teatrze, chcąc zajrzeć w pani dekolt?

– Wprowadzono go w błąd – wyjaśniła z pośpiechem. – Nic nadzwyczajnego tam nie było do oglądania, tylko że…

– Czy pani pokazywała kostki u nóg na scenie…?

– Hm… czasami nawet i łydki – przyznała niepewnie.

– …i zawarła małżeństwo w rezultacie zakładu?

– Czy pan się dziwi temu mężczyźnie? Byłam stawką, której nie można się oprzeć.

Próbowała zdobyć się na czarujący uśmiech.

Westchnął i wsparł ponownie głowę o oparcie krzesła. Spojrzał na nią z przygnębieniem.

A już myślał, że więcej przykrych niespodzianek go nie spotka.

Im dłużej milczał, tym wyraźniejszy rumieniec występował na jej policzki. Z powodu żywego temperamentu czy ze wstydu? Gdyby lubił zakłady, założyłby się, że raczej z pierwszego powodu niż z drugiego.

– A więc zastanawia się pan, czy jestem godna towarzystwa tutejszych kobiet – rzekła cicho, ale jednak z gniewem. – Mimo tego, co pan mówił o osądzaniu.

– Nie wiem, czy dokonywała pani w życiu właściwych wyborów.

– Skąd akurat pan może wiedzieć, jak wyglądało moje życie i dlaczego moje wybory były takie, a nie inne?

– No właśnie, lady Wareham. Nie wiem.

– Jak pan śmie…

– Niech mi pani pozwoli, bym spróbował to wyjaśnić – uniósł dłoń. – Wielu moich parafian całe życie spędziło w Pennyroyal Green. Wielu z nich nigdy nie było w Londynie. Żyją tu i umierają, kierując się zbiorem zasad, które uważają za niezawodne. Do zasad tych należy regularne bywanie w kościele, unikanie wszystkiego, co mogłoby się znaleźć na łamach bulwarowych pisemek lub spowodować zajście w teatrze wskutek noszenia sukni ukazujących zbyt dużą część piersi. A także brak akceptacji, jeśli chodzi o mieszkanie w pięknych domach i pieniężne gratyfikacje za miłosne usługi świadczone członkom parlamentu. Uważają bowiem, że zagraża to wszystkiemu, co kochają i szanują.

Zabrzmiało to bardzo surowo.

Rytm jej oddechu stał się nagle szybszy.

– Tego wcale nie było. Tych… pięknych domów… i pieniężnych gratyfikacji.

Czuł, że sprawia jej cierpienie. Nienawidził tego, że zmusza tę silną kobietę do jąkania się. Żołądek mu się wprost skręcał ze współczucia.

– Niech pani spróbuje mnie zrozumieć, lady Wareham. To są moi wierni. Bardzo mi na nich zależy. Zrobiłbym dla nich wszystko. Zaufanie, jakim mnie darzą, uważam za rzecz bezcenną. Prosi mnie pani, abym jej pomógł wkraść się w ich łaski. A tymczasem ja zdolny jestem robić dla nich, co tylko mogę, tylko wtedy, gdy będę porządnym człowiekiem. Polegają bowiem na moim charakterze, dyskrecji i trzeźwym osądzie. Chciałbym wiedzieć, dlaczego mam ufać pani charakterowi czy osądowi. Czy zależy pani na przekonaniu mnie, że powinienem zaufać?

Głęboki wdech uniósł jej piersi. Odetchnęła donośnie i powiodła dłońmi wzdłuż bioder,

jakby chciała strząsnąć z siebie przeszłość.

A potem uniosła wysoko podbródek. Jak chorąży dzierżący sztandar podczas bitwy.

Znów uczuł dla niej podziw.

– Doskonale. Wiem, że to wszystko brzmi bardzo obciążająco, pastorze. Łatwo jednak wyciągać wnioski na podstawie tego, co się zasłyszało. Może to pana zaskoczy, ale ja nigdy nie miałam sposobności, by postępować lekkomyślnie. Moje wybory nie wynikały z kaprysu czy też wątpliwej moralności. To, co pan wyliczył: skoki z balkonów, pojedynki i tak dalej, robili inni ludzie z własnego wyboru. Ja ich do tego nie popychałam, nie byłam mesmerystą, który by im to nakazywał skinieniem ręki.

Chciał ją nakłonić, by wyjawiła mu więcej. Ona jednak zdawała się stawiać kropkę nad i. Jakby czuła, że powiedziała już dosyć.

– Ale te ich wybory wiązały się z pani osobą. Jakby pani była istną muzą moralnego nieładu.

Mimo wysiłków przegrywała to starcie. Zdobyła się na nieco krzywy, złośliwy uśmiech, a on odpowiedział jej jednym ze swoich. Nie mógł się oprzeć temu rewanżowi.

– Dlaczego chce pani zdobyć przyjaciół? Czemu miałbym wierzyć, że to nie kolejna sztuczka kobiety zblazowanej i wyrafinowanej, pragnącej zabawić się w nowy sposób? Tutejsi ludzie nie lubią, żeby z nimi igrać.

Wiedział, że jego ton jest surowy, ale znów wzbudziła w nim podziw, bo nie zaprotestowała.

Zamilkła. Lubił jednak mieć przeciwnika równie silnego jak on sam. Coraz wyraźniej też rozumiał, dlaczego zdołała w życiu zajść tak daleko.

– Wierzy pan chyba, pastorze, że każdy zasługuje na szansę? Pennyroyal Green jest teraz moim domem. Nie wybierałam go sobie, ale nie zamierzam się stąd wynosić. Nie zamierzam też pędzić tu jałowego życia. Proszę wziąć pod uwagę, że miałam nadzieję zacząć całkiem nowe życie, kiedy wyszłam za hrabiego Wareham. Wszystko to, o czym pan mówił, zostawiłam wtedy za sobą. Teatr, pojedynki, grę, brukowe gazety. – Zrobiła strategiczną pauzę. – I mężczyzn.

Zabrzmiało to w tym pokoju jak wyzwanie.

Ach, ta strategiczna pauza. Podziwiał ją za nią. Był rozbawiony, nic nie mógł na to poradzić. Zrobiła ją, bo znała się co nieco na grze scenicznej. Założyłby się też, że wcale nie wszystko zostawiła za sobą.

– Nadal więc pragnie pani mieć publiczność, lady Wareham?

– I to mówi ktoś, kto urzeka swoich słuchaczy w każdy niedzielny ranek?

– Nie czuje pani potrzeby… budzenia podniecenia?

– Ależ ja… ja szukam tylko sposobności pozyskania sobie przyjaciół. Żeby zacząć wszystko od nowa. Żeby… być tym, kim naprawdę jestem. – Usiłowała mówić z łagodną perswazją w głosie. Kolejna próba wzięcia go pod włos.

Tym razem metoda była nieco skuteczniejsza. Wydawała się całkowicie szczera i pokorna. Wciąż jeszcze miała żywe rumieńce. Podejrzewał, że nie była przyzwyczajona, by otwarcie o coś prosić. Ręce nadal trzymała splecione na kolanach.

Boże, jak jej z tym wszystkim było ładnie! Z kontrastami, łagodnością, zadziornością, dumą i bezbronnością.

Westchnął ciężko, ale w istocie bawił go ten jego dylemat.

Żądano od niego, by wprowadził w grono przyzwoitych niewiast istotę tak dla nich egzotyczną i niebezpieczną, jak lis dla kur w kurniku. Nie był pewien, czy w rezultacie nie wyniknie z tego jakaś masakra, choć w sensie przenośnym. Obojętne, czy miała tytuł hrabiny, czy nie, znakomitych manier nie wyssała z mlekiem matki. Były czymś w rodzaju pozłoty i jak pozłota mogły się zetrzeć. Wiedział z całą pewnością, że jest nieprzewidywalna, a parafianie z Pennyroyal Green, oczywiście z wyjątkiem jego kuzynów, żyli szczęśliwie dzięki przewidywalności i powtarzalności: pór roku, zbiorów, narodzin cieląt, chrztów dzieci oraz trzymaniu się z dala od wyskoków członków rodu Eversea.

On jednak zawsze był po stronie odwagi. I nadziei.

Miał też instynkt samozachowawczy. Wyobrażał sobie już minę Colina, gdy kuzyn usłyszy, że Adam został emisariuszem hrabiny.

Po cóż jednak przyszedł na świat, jeśli nie po to, by nieść pomoc? To był przecież główny powód jego istnienia.

Gdy coś powiedział, nie mógł już tego cofnąć. A więc rzekł bardzo łagodnym tonem:

– Doskonale. Pomogę pani.

Twarz jej pojaśniała.

– Dziękuję, pastorze Sylvaine. Nie pożałuje pan tego.

A jego naszła nagła myśl, że jedynym powodem jego przyjścia na świat było wywołanie tego uśmiechu na jej twarzy.

Aukcja odbywała się w sali balowej dworu sir Johna Fiskera. Zgodził się na to łaskawie, dodając wielkodusznie:

– Zrobię wszystko dla dobra filantropii, pastorze!

Powierzono mu też rolę licytatora i obiecano, że będzie się mógł posługiwać ogromnym młotkiem, gdyż był to prawdziwy powód jego zgody.

Adam zjawił się tam pół godziny po rozpoczęciu aukcji i odkrył, że wszystkie kobiety zgromadziły się w jednym tylko kącie sali, jakby jej podłoga stała się pochyła, a one, niczym kule bilardowe, potoczyły się w ten kąt.

Powodem takiego ich zachowania była drobna brunetka z koszykiem w ręku, stojąca po przeciwnej stronie sali, koło drzwi. Ktoś miałby prawo podejrzewać, że w jej koszyku znajduje się jadowita kobra. Trzymała się prosto, podbródek unosiła wysoko, z miną pogodną i wcale nie wyniosłą. Jakby to do niej należała sala i jakby na jej żądanie wszystkie kobiety zgromadziły się w jednym kącie, by mogła się im przyglądać z odległości.

Evie poradziła się Henny (która miała talent do wybierania kostiumów i zaangażowała się mocno w jej plany pozyskania przyjaciół), co ma na siebie włożyć, bo wybór stroju był w tym wypadku bardzo ważny.

– Powinnaś wyglądać jak jedna z nich, milady, ale nie bardziej elegancko niż ta najelegantsza. W takim razie myślę, że trzeba ci włożyć niebieską pelisę na muślinie w prążki, z długimi rękawami, i mocno zasłonić dekolt chustką, żeby nie wytrzeszczały

gałów na twoje cycki.

Była to bardzo słuszna uwaga, choć w przeszłości Evie przynosiło większą korzyść, gdy towarzyszące jej osoby patrzyły na jej piersi, a zakrywanie ich chustką uważała raczej za hipokryzję.

Wyczuła, że przyszedł, zanim go jeszcze ujrzała. Cień jego szerokich ramion niemalże padł na jej stopy. Serce ścisnęło się jej gwałtownie, jak z niepokoju lub zagrożenia. Odwróciła się szybko i dostrzegła na jego twarzy nieznaczny uśmiech.

– Dobry wieczór, pastorze Sylvaine.

– Witam, lady Wareham. Nie ma tu wprawdzie wideł ani wrzącego oleju i sądzę, że jest pani raczej bezpieczna, nie można jednak wykluczyć zagrożenia ze strony ostrych jak sztylety spojrzeń.

Obydwoje dostrzegli grupkę kobiet w przedniej części sali balowej. Koszyki, gotowe do licytacji, stały przy nich na stolikach, Na osobnym stoliku postawiono ratafię, a gdy przeniósł wzrok nieco dalej, nie było już dla niego zagadką, co się stało z mężami tych pań i resztą mężczyzn z miasteczka.

– Mam na sobie zbroję. To moja skromna chustka. Proszę spojrzeć. – Evie wskazała ją gestem.

Podejrzewała, że gorąco pragnął na nią spojrzeć, lecz oglądanie chustki równałoby się spojrzeniu prosto na jej piersi, czego nie chciał robić w obecności wszystkich swoich wiernych.

Zatrzymał wzrok na jej oczach. Ten mężczyzna był mocny jak skała.

– Sądzę, że pani służąca byłaby lepszą zbroją.

– Och, Henny wystraszyłaby ich o wiele bardziej niż ja, uznałam więc, że lepiej nie brać jej ze sobą. Nie ścierpiałaby, gdyby ktoś potraktował mnie gorzej niż, dajmy na to, królową. Chyba że zrobiłaby to ona sama. Ileż ja od niej muszę znosić! A jeśli pan sądzi, że wyrażam się niezbyt odpowiednio, kiedy coś mnie nagle przestraszy, to powinien pan posłuchać jej wiązanek.

Uśmiechnął się, a wszystkie obecne w sali kobiety poruszyły się niespokojnie i pobladły z zazdrości, gdyż uśmiech nie był przeznaczony dla nich, i wyciągały szyje, by choć z dala znaleźć się w zasięgu jego wzroku.

– To zaleta u przyjaciela.

– Ja też tak uważam.

Dopiero wtedy zauważył, jak kurczowo ściska koszyk.

Kusiło go, żeby położyć rękę na jej ramieniu, życząc spokoju i powodzenia, ale, rzecz jasna, powstrzymał się od tego.

Wkrótce się dowiedzą, czyj to był kaprys.

Zaciekawiła go jedna sprawa.

– Czy pani naprawdę coś upiekła?

– Pański sceptycyzm jest zbędny, pastorze. Wiem, jak się piecze ciasto. Chociaż… nie piekłam już od dłuższego czasu… – odparła, marszcząc lekko czoło, i dodała z nadzieją w głosie: – To ciasto imbirowe.

Jakby nie była całkiem pewna, czy rzeczywiście jest imbirowe, ale spodziewała się, że będzie miało taki właśnie smak.

Z roztargnieniem dotknęła gorsu. Spostrzegł już, że robiła to niejeden raz, kiedy rozmawiali przy herbacie. Z jej szyi zwisał cienki łańcuszek i ginął w dekolcie. Podejrzewał, że na jego końcu znajduje się jakiś talizman, i jeszcze raz się zdziwił, czyją moc Evie uważa za tak potężną, by szukać pociechy w amulecie.

– Czy może pani zanieść to na stół? – spytał.

– Myślę, że tak – odparła, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Życzę powodzenia, lady Wareham.

Uśmiechnęła się, choć słabo, i podążyła ze swoim ciastem do lwiej jamy.

Patrzył, jak zmierza majestatycznym krokiem, godnym kogoś, kto ma być przedstawiony królowej, ku pani Sneath. Zamieniły kilka słów. Pani Sneath wzięła od niej koszyk nieufnie, jakby rzeczywiście czaił się w nim wąż, i wskazała gestem tak energicznym, jakby ją chciała przepłoszyć, rząd krzeseł, gdzie grupka kobiet prowadziła przyciszonym głosem dyskusję, szumiąc jak rój podrażnionych pszczół.

Pani Sneath milczała bardzo długo, gdy poruszył temat hrabiny.

– To niezwykła kobieta – odezwała się wreszcie ostrożnie. – Jedna z tych, jak przypuszczam, które pański kuzyn Colin Eversea mógł znać kilka lat temu. Słyszałam, że uwodziła najbardziej nawet porządnych mężczyzn niby prawdziwa Circe.

Pani Sneath była bystra, choć nie wyraziła jawnie swoich obaw. Być może niepokoiło ją, że Adam może okazywać spóźnioną skłonność do rozpusty.

– W Pennyroyal Green jest na szczęście wiele niezwykłych kobiet, czyż nie, pani Sneath? Pewnie dlatego nie zauważyłem w niej niczego wyjątkowego.

Z pewnością kłamstwo tego rodzaju może być wybaczalne.

– Och, pastorze – pani Sneath roześmiała się i zarumieniła, sądząc, że jego słowa odnoszą się do wszystkich kobiet miasteczka i podsycają nadzieje wielu z nich. – Jest pan dobrym człowiekiem, pastorze Sylvaine – powiedziała równie ostrożnie, choć krył się w tym cień upomnienia. – Przyjmuję, że współczująca natura nakazuje panu polecić ją moim względom. Ale to, co pan sugeruje, może być doprawdy bardzo trudne. Gdyby Napoleon stanął oko w oko z rzeszą kobiet zdecydowanych chronić moralność własną i ich rodzin, musiałby się cofnąć i wrócić do Francji.

– Czy nie sądzi pani, że jeśli czyjaś moralność jest solidna, to jedna kobieta z ciastem w koszyku nie zdoła jej zaszkodzić? A może potęga moralności, jaką panie się chlubią, wywrze zbawczy wpływ na nią?

Sam jednak uważał w duchu, że w tych okolicznościach nie było to prawdopodobne. Podejrzewał, że stałoby się raczej na odwrót.

– Znakomicie! – Pani Sneath, jak mu się wydawało, bardzo się spodobał ten punkt widzenia. – Właśnie dlatego jest pan pastorem.

– Czy nie byłoby ciekawym doświadczeniem życzliwie przyjąć ją w poczet naszej społeczności, by się przekonać, że nasze morale oprze się jej zgubnemu wpływowi?

Usiłował przekonać siebie samego, że to nieważne, czy pani Sneath dostrzeże, jaką ironią podszyte są jego słowa, przynajmniej dopóki nie pojmie lepiej ich wymowy.

Pani Sneath była jednak szczerze nimi zachwycona.

– A więc miałybyśmy ją uznać za córkę marnotrawną? Albo… – ta myśl wyraźnie ją ożywiła – za… niewiastę upadłą?

– Spodziewam się, że… ale co pani ma właściwie na myśli? – spytał nieco zaniepokojony.

Jego rozmówczyni pełna już była jednak reformatorskiego zapału.

– Zbłąkaną owieczkę, która wraca do stada!

Sprawiała wrażenie zachwyconej tą perspektywą, nie wyprowadzał jej więc z błędu i odszedł.

Pani Sneath pospieszyła za nim.

– Wzięłam od niej koszyk, pastorze – powiedziała z gorliwością młodszego oficera składającego dowódcy meldunek – ale nie liczę na cud. Jak już mówiłam, zaakceptowanie jej może być dużo trudniejsze, niż pan myśli. A przy okazji, moja siostrzenica jest panem zachwycona. Zostawiła dla pana prezent. Prześlę go na plebanię. Myślę, że będzie pan z niego doprawdy bardzo zadowolony.

Zrobił w wyobraźni miejsce dla kolejnego słoika przetworów w swojej spiżarni i skierował się ku gęsto wypełnionej tylnej części sali. Ubodzy zawsze byli w hrabstwie Sussex wspierani i Adam miał nadzieję, że zebrana publiczność wykaże się hojnością. Uprościłoby to w pewnej mierze jego pracę związaną z szukaniem funduszy na wyżywienie i odzianie będących w potrzebie oraz naprawę ich dachów.

Choć w sumie nie miał zbyt łatwego życia.

Pani Sneath pospiesznie odeszła, a on przeniósł się na koniec sali i stanął tam z rękami założonymi za plecy.

Mężczyźni w najlepszych ciemnych surdutach i kobiety, ubrane jaśniej oraz bardziej kolorowo, zasiedli już w licznych rzędach krzeseł dostarczonych przez sir Johna.

W ostatnim rzędzie siedziała hrabina, w błękitnym stroju, pełna godności i całkowicie osamotniona.

Wąski pasek gołego karku widniał między kołnierzem pelisy a kapeluszem, spod którego wymykało się kilka ciemnych pasm włosów. Ta blada skóra wydawała mu się nieprawdopodobnie wrażliwa i bezbronna. Dowodziła, że hrabina jest istotą ludzką, której można wyrządzić krzywdę.

Nie pasowała do reszty obecnych.

Pomyślał nagle, że w porównaniu z pozostałymi kobietami jest chórem *Alleluja* z *Mesjasza*.

Była to kolejna myśl, którą nie podzieliłby się z kuzynami. Ani z nikim innym.

8

Gdy licytacja była już w toku, mężczyźni przestali wreszcie rzucać ukradkowe spojrzenia, ziewać i przeciągać się, dzięki czemu zyskiwali pretekst, żeby spojrzeć na nią przez ramię. Siedziała samotnie w jednym z rzędów krzeseł i miała nadzieję, że o niej zapomniano. Lecz gdy licytowano koszyk za koszykiem, Evie na wpół z rozbawieniem, a na wpół z niepokojem stwierdziła, że zaczęły się jej pocić okryte rękawiczkami dłonie, bo każda oferta przybliżała chwilę licytacji jej koszyka.

Nie dostrzegła pastora wśród publiczności. Zapewne wyszedł, okazując w ten sposób kurtuazję graniczącą z pewnością siebie. Pławiąc się w admiracji. Uchylając się od flirtu.

Zdało się jej, że dostrzegła przelotnie profil znanego jej przed laty mężczyzny, który budził w niej szczerą odrazę. Potem jednak człowiek ten zwrócił głowę ku licytatorowi. Może myliła się, po prostu dlatego, że się bała? Ktoś z wątpliwą przeszłością kątem oka dostrzega rzeczy niepokojące. Znała to z doświadczenia. Wciąż jeszcze od czasu do czasu śniły się jej pokoje w St. Giles i budziła się wówczas, drżąc ze strachu.

Licytator z przejęciem walił w stół wielkim młotkiem.

– …A teraz mamy tu legendarne cytrynowe placuszki pani Bainbridge. Chyba nikt nie zechce zlekceważyć jej talentów kulinarnych i zaoferować mniej niż trzy szylingi, co równałoby się ryzyku, że już nigdy nie zaprosi go ona na obiad?

Słowa jego powitano chóralnym śmiechem i stawkę od razu podbito.

– Jeden funt za placuszki, jeśli mam dostać zaproszenie na obiad!

– Dwa funty za placuszki! Ale dam dziesięć za kucharkę!

Wybuch śmiechu nagrodził ten żarcik. Dzięki pełnej podniecenia dobroduszności i ciepełku filantropii w połączeniu z ratafią oraz wyjmowanymi dyskretnie przez mężczyzn z kieszeni butelkami (z których tęgo pociągali), placuszki sprzedano za niesłychaną sumę dwóch i pół funta. Okrzyki zmusiły panią Bainbridge, by wstała i dygnęła, zyskując wielki aplauz.

Licytator zbliżył się do przedostatniego koszyka na stole. Jej koszyka.

Serce zaczęło jej bić tak gwałtownie, jak podczas premiery w Covent Garden,

– A teraz koszyk z ciastem imbirowym ofiarowany ni mniej, ni więcej tylko przez… – Licytator urwał i uporczywie patrzył na kartkę papieru, jakby w nadziei, że gdy dość długo będzie się w nią wpatrywał, to wypisane tam nazwisko zmieni się na inne. Wreszcie, z wymuszoną serdecznością, dokończył:

– …hrabinę Wareham!

Dobroduszna wesołość znikła, rozległo się nagłe trzeszczenie krzeseł, pochrząkiwanie i pełne zakłopotania pomruki. Czuła, że wszyscy są całkowicie świadomi jej obecności. A

jednak ani jedna osoba nie odwróciła się, żeby na nią spojrzeć, i nikt nie powiedział ani słowa.

Licytator zawołał:

– Czy ktoś daje szylinga za ciasto imbirowe?

Nie usłyszał absolutnie nic prócz nieco głośniejszych pomruków.

Licytator przez chwilę wyglądał na onieśmielonego lodowatą ciszą. Evie mogła sobie wyobrazić, co widział przed sobą: oskarżycielskie, zgorszone spojrzenia rzucane ze wszystkich rzędów. Występowała już wcześniej na scenie przed znudzoną publicznością. Wystarczało to, by nawet człowiek o wyjątkowo mocnych nerwach pokrył się potem.

– Kto da jednego szylinga za ciasto imbirowe? Znakomite po każdym niedzielnym obiedzie!

– Czy to nowy przydomek Czarnej Wdowy? – rozległ się męski szept. W ciszy, która zaległa na sali, zabrzmiał wręcz donośnie.

– Słyszałem, że nie chciała tego robić za mniej niż pięć szylingów.

Nieliczne chichoty uciszyło przeraźliwe kobiece posykiwanie.

– Imbir jest znakomity na trawienie! – wykrztusił z siebie desperacko licytator. – Jeden szyling! Na rzecz ubogich z hrabstwa Sussex, panie i panowie, ubogich, którzy zasługują na wasze miłosierdzie i potrzebują go, w imię Boże!…

Nikt się jednak nie odezwał. W końcu sposobność zamanifestowania dystansu wobec jawnej nierządnicy, Czarnej Wdowy we własnej osobie, była rzadkością, wszyscy więc wykorzystali ją z zadowoleniem.

Chwila pełna udręki przedłużała się jak zły sen. Żołądek zwinął się jej w supeł tak mocno, że niemal nie mogła oddychać, a potem podjechał aż do gardła. Zaświtała jej raptem myśl, że gdyby zdołała nagle wyjść z tej sali, pewnego dnia wydałoby się jej to wszystko snem.

Wiedziała jednak, że tego zrobić nie może. Nie tylko ze względu na siebie, ale i na pastora Sylvaine’a, który zaryzykował dla niej całą swoją reputację.

– Czyż nie ma tu dziś wśród nas nikogo, kto lubiłby ciasto imbirowe? – nie ustawał w swoich usilnych staraniach John Fisker. – Może powinniśmy…

– Pięć funtów za ciasto imbirowe! – odezwał się czyjś głos, niemal ze znudzeniem.

Wszystkie głowy zwróciły się jednocześnie w jego stronę, wszystkie usta przybrały kształt litery „o”, a wstążki kapeluszy uniosły się pod naporem wciąganych oddechów.

Pastor, przywykły do tego, że się na niego gapiono, nawet nie mrugnął. Stał z tyłu, nadal z rękami założonymi za plecy i z jednym kolanem lekko ugiętym. Nie uśmiechał się. Nie patrzył na nią. Twarz miał nieprzeniknioną.

Zauważyła, że mocno zacisnął szczęki.

Ciekawa była, jak Adam Sylvaine wygląda, kiedy jest naprawdę rozgniewany.

Ciekawiło ją również, czy tylko ona z obecnych w sali o tym myśli.

Oczy wszystkich wciąż były na niego zwrócone. Panowała cisza pełna osłupienia.

– Lubię ciasto imbirowe – rzekł wreszcie. Jakby w odpowiedzi na zbiorowe, milczące pytanie.

Pod koniec tygodnia zostanie pewnie nim zasypany.

– Czy ktoś chce dać sześć funtów za ciasto imbirowe? – W głosie licytatora wyczuwało

się lekkie oszołomienie. Uniósł młotek i huknął nim wprost ogłuszająco.

Publiczność oniemiała. Najwyraźniej wszyscy byli zdezorientowani. Spojrzenia zebranych wędrowały od niej do pastora i z powrotem. Wymieniano szeptem uwagi. Evie jednak, podobnie jak pastor, była przyzwyczajona do tego, że na nią patrzono, raz z zachwytem, raz z rezerwą, i podobnie jak on miała na tę okazję przeznaczony specjalnie dla widzów uśmiech. Nieznaczny, pogodny, wymijający, nieprzenikniony, z dyskretną ciepłą nutką. Zaprezentowała go zatem. Spojrzenia, zawiedzione i nieusatysfakcjonowane, zwróciły się ku licytatorowi.

– Pięć funtów po raz pierwszy… po raz drugi… po raz trzeci! Pastor Sylvaine zostaje właścicielem ciasta imbirowego! Podziękujmy wszyscy lady Wareham, ubodzy zaś z hrabstwa Sussex dziękują panu za dzisiejsze szczodre wsparcie!

Evie skinęła głową z iście królewską gracją. Jakby sobie od początku to zaplanowała. Nie patrzyła na pastora Sylvaine'a.

Nie była pewna, czy czuje ulgę, czy upokorzenie. Zdawała sobie jednak sprawę, że w obecności niemal całego miasteczka do pewnego stopnia podzielił z nią los.

Bardzo pragnęła uczynić go dumnym.

Ale pięć funtów chyba sporo znaczy dla pastora.

Obejrzała się w końcu przez ramię i ujrzała, że Adam skinął na licytatora, najwyraźniej dając mu znak. Sir John Fisker przerwał pospiesznie ciszę i po odkaszlnięciu oznajmił:

– W porządku. A teraz… no tak, to już nasz ostatni dzisiejszy koszyk! A w środku mamy… wygląda na to, że są to… herbatniki z rodzynkami ofiarowane przez Margaret Lanford!

Publiczność poruszyła się gwałtownie i zaczęła oklaskiwać panią Lanford, a kiedy wszystkie głowy zwróciły się ku niej, Evie rozpoznała w niej matkę Pauliego, kobietę o lodowatym spojrzeniu, która tak łatwo z góry ją potępiła. Miała na sobie swój najlepszy strój, a jej kapelusz niemal się uginał pod ciężarem potężnej kiści zakurzonych winogron.

– Czyżbym słyszał ofertę szylinga za herbatniki? – naglił zebranych sir John Fisker. – Są w nich rodzynki! Wszystkie dzieci za nimi przepadają!

– Jeden szyling za pudełko herbatników twardych jak kamienie to prawdziwa okazja! – wrzasnął jakiś mężczyzna siedzący obok pani Lanford. Gruby kark wylewał mu się ze zbyt ciasnego kołnierza, a sztywne czarne włosy były tak krótko ostrzyżone, że przywodziły na myśl sierść niedźwiedzia. – Pierwszorzędne kamienie!

Kilku innych mężczyzn parsknęło śmiechem.

– Mógłbym po nich przejść przez staw, co, Lanford?

A więc to był mąż Margaret Lanford! Evie uznała, że mógłby służyć jako argument przeciw zawieraniu małżeństwa.

– Można z nich zrobić lepszy użytek, odstraszając lisy od kurnika!

Rozległy się kolejne śmiechy.

– A nawet ułożyć murek, żeby się lisy do kurnika nie dostały. Wytrzyma całą zimę! – zawołał ktoś inny.

– A w ciepłe dni można nimi drzwi podpierać!

Mężczyźni wspaniale się bawili. Wstrętne bestie! Evie z nienawiścią obserwowała nieraz, jak niektórzy z nich zachowują się po pijanemu.

Patrzyła na kobiety, które wymieniały między sobą przygnębione spojrzenia, wierciły się niespokojnie lub siedziały ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Na ich twarzach malowała się gama emocji, od złości do strachu,

Evie mogła ze swojego miejsca łatwo dojrzeć, że kark Margaret Lanford jest purpurowy, twarz wręcz boleśnie szkarłatna, i że kobieta z trudem przełyka ślinę.

Potem zaś jej ramiona wyprostowały się w sposób świadczący o tym, że usiłuje przyjąć upokorzenie z godnością.

Evie powinna była to przewidzieć.

– Dwa funty! – powiedziała tonem tak ostrym, że mógłby przeciąć diament.

W sali znów zapanowała cisza. Potem rozległ się szmerek niespokojnych pomruków, świadczący jednak o wyraźnym zaciekawieniu. Kilka osób ośmieliło się zerknąć za siebie.

A potem nagle poczuła dreszcz wykalkulowanego ryzyka, znany jej z teatru. Może nigdy więcej nie zobaczy już tych ludzi, cóż więc ma do stracenia?

– Chociaż… – zaczęła się zastanawiać, podnosząc coraz wyżej głos – …nie sposób przecenić kobiet z tej pięknej miejscowości, ich wysiłku, z jakim codziennie starają się wyżywić swoje rodziny oraz dbać o ich zdrowie i szczęście. A więc… trzy funty! – powiedziała stanowczym tonem, rewidując swoją opinię.

Była to zaskakująca kwota. W ciszy, która nastąpiła po jej słowach, napięcie narastało niczym spiętrzona burzowa chmura. Można je było wyczuć niemal namacalnie. Evie widziała, jak wszędzie wokół niej kobiety prostują plecy i zaciskają szczęki.

Sir John Fisker ruszył do działania.

– Czyżbym słyszał: trzy funty i jeden szy…

Jakaś kobieta zerwała się z miejsca.

– Trzy funty i… pięć szylingów.

A potem spojrzała z pogardą na mężczyznę obok niej, zapewne męża, jednego z żartownisiów, który drgnął zaskoczony.

Mąż pani Lanford poruszył się nerwowo.

– Zaraz… ee… chyba pani żartuje, sądząc, że ktoś zechce zapłacić trzy funty za te…

– Dziwię się, sir Johnie – stwierdziła donośnie Evie lodowatym tonem. – Czy pan Lanford oferuje może koszyk szacunku? Albo koszyk dobrych manier?

Kolejne ryzyko zostało nagrodzone śmiechem. Mężczyźni śmiali się nerwowo, kobiety z goryczą – ale śmiali się, tak czy inaczej.

– Czy ja słyszę, że ktoś daje cztery funty i jednego szylinga? – dziwił się licytator, a w jego głosie słychać było coś, co wyglądało na radosne podniecenie.

Evie nie poddawała się.

– Praca i poświęcenie tych kobiet dla ich rodzin są bezcenne, podobnie jak ich codzienna troska i zręczność. Kimże my jesteśmy, by to oceniać? Cóż to za szczęście, że mamy rzadką okazję, by coś w zamian zaoferować! Te herbatniki są po prostu cudem, najwspanialszym wykwitem kobiecości, wszystkim, czym jest nasz wielki kraj!

Pani Sneath nie mogła już dłużej wytrzymać. Wystąpiła naprzód. Kwiaty na jej kapeluszu zakołysały się gwałtownie.

– Cztery funty za wspaniałe herbatniki! – krzyknęła entuzjastycznie.

Olivia Eversea, siedząca po przeciwnej stronie sali, wstała raptownie.

– Sześć funtów!

Ludzie wręcz oniemieli ze zdumienia. Olivia przez chwilę delektowała się wywołanym przez siebie szokiem. Nigdy nie była bardziej olśniewająca niż wtedy, gdy broniła czyjejś sprawy, i jaśniała teraz niczym anioł zemsty.

A wtedy, ku zgrozie swoich małżonków, wszystkie kobiety zaczęły się gwałtownie przekrzykiwać.

– Sześć funtów i szyling!

– Sześć funtów dwa szylingi! – zawołała jedna z tych, które wpatrywały się w nią uporczywie w kościele.

– Sześć funtów trzy szylingi!

Cena wciąż pięła się w górę, szyling po szylingu, podczas gdy wszyscy mężowie kurczyli się nerwowo, błagali żony półgłosem, daremnie próbowali je ułagodzić, komenderować nimi lub odciągać je za suknie, czym zyskiwali tylko tyle, że ich energicznie odpychano.

Sześć funtów najwyraźniej było dla tych ludzi niebagatelną sumą.

Evie spojrzała za siebie.

Pastor uśmiechał się od ucha do ucha.

Przesłała mu triumfalny uśmiech, krótki i nagły, po czym odwróciła się ponownie ku licytatorowi, chcąc zapobiec katastrofie.

– Dziesięć funtów! – oznajmiła zdecydowanie.

Zapadła absolutna cisza, jakby tłum pokryła nagle warstwa świeżego śniegu.

A potem na twarzach kobiet zaczął się stopniowo ukazywać triumfalny uśmiech, niczym gwiazdy na ciemniejącym niebie.

Gdy sir John w końcu odzyskał głos, rzucił z przejęciem:

– Czy ktoś daje dziesięć funtów i szylinga?

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej. Evie nieznacznie pokręciła przecząco głową, zniechęcając w ten sposób do dalszego podbijania ceny.

– Dziesięć funtów po raz pierwszy… po raz drugi… cudowne herbatniki Margaret Lanford otrzymuje za cenę dziesięciu funtów lady Wareham!

Sir John podskoczył radośnie, a jego młotek opadł na dół z potężnym hukiem.

Rozległy się wiwaty.

9

*M*oje gratulacje, lady Wareham. Chyba kupiła sobie pani przyjaciół za dziesięć funtów. W sumie niezły interes. Imponujący spektakl.

– Spektakl?! Ten mężczyzna jest po prostu chamem! Coś podobnego! Żeby tak mówić o własnej żonie wobec całego audytorium! To było z mojej strony zupełnie szczere.

Pastor uniósł brwi.

– No, dobrze – westchnęła. – Może i było w tym trochę teatru. Mogłam się w nim nauczyć, ile zależy od wyczucia właściwego momentu. Niemal wszystko, co sobie tam przyswoiłam, okazało się użyteczne, pastorze. A w swoim czasie nauczyłam się wiele.

Chętnie sobie wyobrażała, że w duchu się zaczerwienił, choć niczego nie dał po sobie poznać, tylko się lekko uśmiechnął. Ale zważywszy na jego niechęć do aluzji, należało to uznać za pewien postęp.

Nie odpowiedział jej ani słowem.

– Dziękuję panu za zlicytowanie imbirowego ciasta – dodała.

Jego twarz nagle stała się jak wykuta z kamienia.

– No cóż…

I to było wszystko, co powiedział.

– Mam nadzieję, że da się zjeść – powiedziała jeszcze.

– Zamierzam je pozłocić i powiesić jako tablicę pamiątkową na plebanii. Może dam na nim wyryć jakiś napis. Może zostanę pod nim pochowany.

– Niech je pan ustawi na miejskim rynku i nazwie Obeliskiem Pastora.

Roześmiał się. Słysząc jego śmiech, poczuła się tak, jakby ktoś ją obsypał złotymi monetami, ale to wrażenie znikło, gdy znów stał się poważny. A tymczasem jej serce tajało od tego śmiechu.

Nie pytała go, czy miał pięć funtów. Odpowiedź zmartwiłaby ją. Prawdę mówiąc, dla niej dziesięć funtów też było ryzykiem, zaważywszy, że musiała teraz oszczędzać.

– Nie jestem pewna, czy moja dzisiejsza wygrana jest całkowita – rzekła z żalem. – Obojętne, czy stracę te dziesięć funtów, czy nie.

Kobiety zgromadziły się po jednej stronie sali balowej, a ich spojrzenia świadczyły o różnym stopniu nieufności lub dyskretnej ciekawości, gdy obserwowały wręczanie koszyków zwycięskim oferentom. Niektóre, zwłaszcza te, które zerwały się z krzeseł i krzyczały, wyglądały na zażenowane. Przypuszczała, że wszystkie czują się trochę jak rankiem po pełnej rozpustnej zabawy nocy, kiedy nagle dostrzega się jedwabną pończochę zwisającą z żyrandola.

Wtedy podeszła do nich pani Sneath. Wyglądała jak żołnierz w mundurze z czerwonej

wełny. Obstąpiły ją jak opiłki przyciągane przez magnes. Przez jakiś czas trwała tam prowadzona półgłosem rozmowa z nieznacznym dodatkiem gestykulacji, potem zaś pani Sneath wyłoniła się nagle spośród nich tak gwałtownie, jakby ruszała do ataku.

Najwyraźniej wysłano ją jako emisariuszkę.

– Lady Wareham, proszę się przygotować do oficjalnej prezentacji – rzekł spokojnie Adam. – To może być rozstrzygający moment.

Evie uśmiechnęła się serdecznie i wyprostowała.

– Lady Wareham, chciałbym panią przedstawić nieocenionej pani Sneath, bez której dzisiejsza aukcja nie byłaby możliwa. Jest ona niezastąpionym członkiem naszej wspólnoty i zawdzięczamy jej bardzo wiele.

Pani Sneath skwitowała ten uroczysty wstęp pełnym aprobaty skinieniem głowy, jakby nie zasługiwała na żaden inny.

Gdy wzajemnie składały sobie ukłon, Adam doznał niemiłego wrażenia. Jakby widział toreadora stającego przed bykiem. Może temu skojarzeniu sprzyjały czerwony kapelusz i płaszcz pani Sneath.

– Lady Wareham – zaczęła szybko i oficjalnie – pani dzisiejsze wystąpienie miało w sobie coś, co my, członkinie Stowarzyszenia Pomocy Ubogim hrabstwa Sussex, niezwykle sobie cenimy. Domyślam się, że pani, jako nieszczęsna zbłąkana duszyczka, musiała wiele wycierpieć ze strony mężczyzn, dziś zaś pragnie służyć jako przykład i być może wskazać innym, mniej uprzywilejowanym przez los osobom, sposób zadośćuczynienia za winy. Pani przemówienie było doprawdy bardzo odważne.

Pani Sneath zdawała się wręcz promieniować aprobatą.

Evie dojrzała kątem oka, że pastor przybrał postawę pełną czujności, jakby stało się coś wręcz wspaniałego. Nic nie powiedział, tylko zwrócił w jej stronę głowę z dobrotliwą i wyczekującą miną.

Ale też z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Niech się przez chwilę zastanowię… – Evie w zamyśleniu potarła podbródek – …czy istotnie wycierpiałam wiele ze strony mężczyzn? No cóż, na pewno cierpiałam, gdy lord Englenton po moim pierwszym występie w Covent Garden zawiesił mi na szyi naszyjnik z pereł, a nie z szafirów, których się spodziewałam. To było naprawdę wielkie rozczarowanie.

A potem zaczęła się stopniowo uśmiechać. Uśmiech ten stawał się coraz szerszy, a gdy zajaśniał w całej okazałości, zaczął wręcz przywodzić na myśl szczerzące zęby dzikie zwierzę.

Za to uśmiech na twarzy pani Sneath zbladł. Widniał co prawda na ustach, ale znikł z jej oczu. Zaczęła nimi nerwowo wodzić od pastora do Evie i z powrotem.

– Zwróciłam mu jednak te perły – wyznała ze smutkiem Evie. – Nie postąpiłabym właściwie, gdybym je zatrzymała.

Ciało pani Sneath wyraźnie się odprężyło.

– Oczywiście, moja droga. Zatrzymanie ich byłoby przecież grzesznym czynem.

Powiedziała to tak stanowczo, jakby samo jej przekonanie wystarczyło do oczyszczenia duszy Evie.

– Z pewnością byłoby to grzeszne. Gdyż wolałam od nich naszyjnik przysłany mi przez

lorda Eskith, a skłócenie ich obu ze sobą nie byłoby uczciwe, bo pojedynki są godne potępienia.

Uśmiech pani Sneath znów stężał.

– No… oczywiście – powiedziała w końcu, choć nieco zdławionym głosem.

Spojrzała niemal błagalnie, prawie że konspiracyjnie na pastora, jakby chciała rzec: Ona z pewnością nie wie, czym jest grzech. Może trzeba jej to uświadomić?

Pani Sneath była z pewnością nieposkromiona. A także niegłupia. Wiedziała już, kim jest naprawdę Evie. Tylko że nie postanowiła jeszcze, jak sobie ma z nią poradzić.

Pastor skinieniem głowy zachęcił ją, żeby mówiła dalej. Ręce nadal trzymał za plecami. Jakby się z satysfakcją przyglądał partii krykieta.

Pani Sneath zebrała wszystkie siły.

– To doprawdy zawsze podnosi na duchu, gdy młoda kobieta taka jak pani postanawia odpokutować swoje postępowanie – zaczęła. W jej oczach błyszczała determinacja, a stentorowy głos znamionował kobietę nawykłą do posłuchu.

Evie przekrzywiła głowę, jakby się namyślała. A potem nachyliła się ku pani Sneath i zniżyła głos.

– Czy mogłabym się pani z czegoś zwierzyć? Czuję, że muszę być zupełnie szczera.

Z kolei pani Sneath nachyliła się ku Evie, a na jej twarzy nadzieja i niezdrowa ciekawość walczyły ze sobą o lepsze.

Gdy ich głowy zbliżyły się do siebie, Evie spytała konspiracyjnym szeptem:

– A gdybym powiedziała, że niczego nie odpokutuję? Co pani na to?

Twarz jej rozmówczyni straciła wszelki wyraz. A potem pani Sneath cofnęła się i gwałtownie zamrugała, jakby została przez kogoś spoliczkowana.

– Obawiam się… przypuszczam, że ja nie…

– Och, proszę się nie obawiać – Evie przerwała jej łagodnie. – Jestem całkiem nieszkodliwa. Wiem jednak coś niecoś o tym, jak stawiać na swoim, i uważam, że mogłaby pani uznać tę umiejętność za pożyteczną, jeśli chodzi o pomoc ubogim z Sussex. Podobnie jak pani, mogłabym powiedzieć damom ze stowarzyszenia, że nie powinny nigdy pozwalać, by mężczyźni traktowali je inaczej niż królowe. A jeśli chciałyby się dowiedzieć, jak to osiągnąć, z chęcią podzielę się z nimi moją wiedzą o mężczyznach.

A potem pani Sneath i Evie odsunęły się od siebie.

Pani Sneath zamarła w bezruchu. W końcu jej umysł zaczął tak gwałtownie pracować, że można to było niemal dojrzeć gołym okiem. Oczy jej rozbłysły.

A wreszcie coś w rodzaju nieśmiałego zachwytu odmalowało się na jej twarzy.

– Przekażę to moim damom – powiedziała.

– Dziękuję, pani Sneath. – Evie obdarzyła ją iście królewskim uśmiechem, który pani Sneath usiłowała naśladować, choć raczej bezskutecznie, nim dygnęła i pospieszyła przekazać swoim towarzyszkom to, czego się od Evie dowiedziała.

– Coś mi się zdaje – rzekł po chwili swobodnym tonem Adam – że wzbudza pani gwałtowne poruszenie, gdzie tylko się pojawi.

– Pewien mądry człowiek doradził mi niegdyś, żebym zawsze była sobą.

– Ach, tak. Zapomniałem jednak pani powiedzieć, że nie jestem wcale mądry. Po prostu wielu rzeczy się domyślam i dziwnym trafem moje domysły są słuszne.

– A może będzie tak i tym razem, pastorze? W każdym razie nie sposób się ze mną nudzić.

– Czasami wprost tęsknię za tym, żeby się trochę ponudzić – rzekł tak, jakby zwracał się raczej do siebie samego.

– Proszę spojrzeć, ona wraca, i to razem z posiłkami.

Pani Sneath istotnie wracała, koło niej zaś kroczyły Margaret Lanford, mistrzyni wspaniałych herbatników z rodzynkami, oraz dwie młode kobiety. Jedna, z jasnymi lokami, z takim zachwytem wpatrywała się w pastora, jakby był Gwiazdą Polarną, że aż się potknęła i pani Sneath musiała chwycić ją za łokieć, chroniąc przed upadkiem. Druga młoda dama była brunetką o krzaczastych ciemnych brwiach i szczerym, inteligentnym, choć nieco władczym spojrzeniu. Był to typ twarzy przesądzający o tym, że zawsze nazywa się taką dziewczynę przystojną, ale nigdy ładną. Postawę miała arogancką, a jaskrawożółtą suknię uszytą wedle najnowszej mody. Evie natychmiast doszła do wniosku, że musi być córką człowieka zamożnego.

– Lady Wareham, chciałabym pani przedstawić panią Margaret Lanford oraz panny Amy Pitney i Josephine Charing.

Wszystkie wymieniły ukłony, podczas gdy pani Sneath dokonywała ich prezentacji.

Patrzyły na Evie z wyraźnym zaciekawieniem. Młode panny, zarumienione i nieco zdenerwowane, przyglądały się damie, którą pani Sneath zapewne scharakteryzowała im jako kobietę upadłą, podniecone tym, że widzą ją z tak bliska. Evie miała szczerą chęć wyciągnąć ku nim dłoń, żeby ją powąchały.

Nie była o wiele starsza od obydwu panien, ale dzielił ją od nich dystans doświadczenia rozległy jak Atlantyk. Bez trudu by je zbulwersowała i zafascynowała – mogłoby to nawet być bardzo zabawne – ale nie zbliżyłaby się w ten sposób do nich. Rzekła sobie w duchu stanowczo: „Potrzebujesz przyjaciół, Evie? No to sama bądź przyjaciółką”.

Po chwili pani Lanford wręczyła jej koszyk. Evie przyjęła go tak łaskawie, jakby była królową, której podają berło.

– Chętnie spróbuję tych herbatników, pani Lanford.

– Mam nadzieję, że będą pani smakowały – odparła sztywno pani Lanford.

– Z pewnością.

A jeśli rzeczywiście okażą się twarde jak kamienie? Może w takim razie zaprosi do siebie Pauliego Lanforda i obydwoje będą nimi rzucać do stawu za jej dworkiem?

Pani Lanford rozglądała się nerwowo, w poszukiwaniu małżonka, domyśliła się Evie, który najwyraźniej wolał się wycofać.

– Muszę już iść – wyjąkała, złożyła Evie niezręczny ukłon i pospiesznie odeszła.

Pani Sneath odchrząknęła, co wyglądało na ekwiwalent odtrąbienia pobudki.

– Przemyślałyśmy to i uważamy, że najlepszym sposobem, by przekonała się pani, czy chce dołączyć do naszego stowarzyszenia, jest uczestnictwo w jego pracach. Bardzo wiele uwagi poświęcamy trosce o dzieci, ubogich, ludzi starych. Słabych i bezbronnych.

Trzy pary oczu naprzeciw niej zabłysły, ale nie całkiem łagodnie.

Ach, zatem będzie poddana próbie. Zgoda. Evie uśmiechnęła się do nich, ale bezosobowo.

– Rozsądny plan.

– Chciałybyśmy, żeby pani pojechała jutro z nami do rodziny O'Flaherty.

– Z miłą chęcią – odparła natychmiast, choć nie miała najmniejszego pojęcia, co to oznacza, mimo że, jak się jej zdawało, pastor wciągnął gwałtownie dech.

– Przyjadę moim powozem do Damask Manor punkt ósma rano. A więc do jutra, lady Wareham.

Wszystkie dygnęły przy pożegnaniu.

Josephine obdarzyła pastora przeciągłym spojrzeniem i uśmiechem.

Evie odwróciła się do Adama z pytaniem:

– Co to za jedni, ci O'Flaherty?

– Chodzi o pewne małżeństwo – odparł po chwili namysłu. – To biedna rodzina. Poleciłem już kilku ludziom, żeby im pomogli przy naprawach. Zaczynamy jutro.

– Czy powinnam coś wiedzieć o tej rodzinie?

Milczał przez chwilę.

– Niech mi pani pozwoli, lady Wareham, żebym to ujął, jak następuje. Otrzymała pani zadanie oczyszczenia stajni Augiasza. Oczywiście w przenośni.

– A cóż to za stajnie? – Evie nie przejmowała się specjalnie lukami w edukacji. Uważała, że nie ma sensu przepraszać za nie. Po prostu przyjęła słowa pastora do wiadomości i nie ciekawiło jej, co się za nimi kryje. Jak mu już powiedziała, obchodziło ją tylko to, z czego mógł wyniknąć jakiś pożytek.

– Czy nie wie pani, kim był Herkules? Grecki siłacz, który musiał dokonać mnóstwa prac, żeby dowieść swojej wartości?

– Hm… któryś z moich znajomych wspomniał mi o nim raz czy dwa – mruknęła wymijająco. – Moja klasyczna edukacja, pastorze, jest dość fragmentaryczna, przyznaję też, że nie uczono mnie tradycyjnych kobiecych zajęć. Umiem za to śpiewać, gram troszkę na fortepianie, nie najgorzej szyję i znam parę przydatnych francuskich zwrotów. Na przykład: *Je voudrais fumer ton cigare*.

Sądziła, że zdoła przyprawić go o dyskretne zażenowanie i dlatego powiedziała, możliwie lekkim tonem, coś krańcowo nieprzystojnego.

Francuski eufemizm, którym się posłużyła, dosłownie znaczył „chcę palić twoje cygaro", lecz oczywiście chodziło o coś całkiem innego.

Spodobało się jej, że zamilkł, że błękit jego oczu stał się jeszcze głębszy i że nie mógł mrugnąć przez dobre trzy sekundy.

A potem tylko pokiwał głową.

W rezultacie właśnie ona zaczęła się rumienić.

Jak mu się udało tego dokonać?

– Stajnie Augiasza pełne były końskiej mierzwy, lady Wareham – wyjaśnił. – Całego jej mnóstwa.

– Och, pastorze Sylvaine, jakiż z pana niepoprawny flirciarz!

Uśmiechnął się szeroko i dotknął ronda kapelusza pożegnalnym gestem.

– Do widzenia, lady Wareham. Idę po moje ciasto imbirowe. Życzę powodzenia w jutrzejszej wyprawie.

10

Gdy wrócił na plebanię prawie godzinę później, ujrzał, że przy jego kuchennym stole rozsiadł się Colin i je jabłko.

Adam w poczuciu winy schował koszyk z ciastem imbirowym za siebie.

– Witam, kuzynie – zaczął Colin uprzejmym tonem. – Dzień dobry. Wpuściła mnie tu pani Dalrymple.

Odgryzł ostatni kęs jabłka i ostrożnie kołysał ogryzkiem nad stołem, trzymając go za ogonek.

Potem uniósł się nieco na krześle, sięgnął do kieszeni surduta i odliczył kolejno jednofuntowe banknoty, kładąc je na stół. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

– Słyszałem, że upadłeś na głowę i kupiłeś ciasto imbirowe za pięć funtów. A wiem, że nie masz pieniędzy w nadmiarze.

Musiał się tego dowiedzieć od Olivii.

Adam spojrzał na niego spode łba. A potem z donośnym trzaskiem postawił koszyk na stole.

Colin zajrzał do środka.

– Rzeczywiście, wygląda to całkiem jak ciasto imbirowe.

– Wszyscy ci zadufani w sobie ludzie, którzy zebrali się tam, chcąc jakoby pomóc biednym, wzbraniali się przed nabyciem czegoś, co mogli dostać za szylinga. Jakąż radość czerpali z powszechnego potępienia! A przecież ich znam i skądinąd lubię. Wprost się delektowali jej torturowaniem. Zrobiłbym to dla każdego.

– Co za filozoficzny dylemat dla pastora: czy jest kłamstwem, jeśli się kłamie, nie wiedząc o tym? Czy jest kłamstwem okłamywanie samego siebie?

– Czy jest grzechem powiedzenie kuzynowi, żeby się odpieprzył?

Colin wybuchnął śmiechem.

– Doskonale! Mógłbyś to równie dobrze zrobić dla kogoś innego. Rzadko się zdarza, żeby ciasto imbirowe upieczone przez hrabiny, które wcześniej były kurtyzanami, trafiło do sprzedaży. Trzeba je zaraz nabyć. Za skromną cenę pięciu funtów. Nie ma w tym nic z donkiszoterii.

– Świetnie. – Adam zdjął płaszcz. – Przypuśćmy, że to ty upiekłeś ciasto imbirowe i zaniosłeś je na aukcję. Teraz sobie tu siedzisz, ty hodowco krów, ty pospolity błaźnie obłędnie zakochany we własnej żonie, i zawracasz głowę twemu kuzynowi. Ale tak jest teraz! Nie stroniono od ciebie, kiedy siedziałeś w więzieniu Newgate. Przeciwnie, zostałeś unieśmiertelniony w piosence. Kartka z twoim podpisem ma, jak słyszałem, wartość dobrych stu funtów dla właściciela pubu w Londynie. Innymi słowy, kiedy byłeś

tym, kogo wielu nazwałoby niepoprawnym łajdakiem, londyńczycy biliby się między sobą, żeby tylko móc kupić twoje imbirowe ciasto. Nie siedzieliby zadowoleni, radując się twoim zmartwieniem, obojętni na to, że nie możesz sprzedać czegoś, co można nabyć za szylinga. Kiedy o tym myślę, mam ochotę chwycić za pióro, bo wiem już, jak napisać kazanie o hipokryzji.

Colin wysłuchał tej tyrady ze spokojem, kiwając przez cały czas głową.

– Och, założę się, że gdyby dobrze poszukać, moglibyśmy znaleźć kilka niechętnych mi kieszeni. Zapewniam cię, że nie byłem i wciąż nie jestem powszechnie wielbiony. Ale to nie o Evie się martwię. Wiem, że nie mam prawa jej osądzać. Ja się martwię o ciebie.

Adam po chwili milczenia spytał:

– A więc – wycedził przez zaciśnięte zęby, pełen nieskończonej cierpliwości – o co konkretnie się martwisz?

Colin już otwierał usta, ale zamknął je, zastanawiając się nad tym, co właściwie ma powiedzieć.

– Nie chciałbyś na chwilę usiąść?

Adam usiadł. Ciężko. Zdjął kapelusz i rzucił go na stół, jakby to była karta do gry. Rozluźnił swój nowy halsztuk. Spojrzał gniewnie na Colina.

Colin zdawał się namyślać, jak ma zacząć. Nadal kręcił nad stołem ogryzkiem jabłka, choć robił to teraz w trochę inny sposób.

– Czy byłeś kiedy zakochany?

– Colin, na miłość boską!

– Bo ja byłem – odparł kuzyn szczerze. – A gdy tracisz miłość, czujesz w sobie pustkę. Piekielnie bolesną pustkę. Myślałem raz, że straciłem Madeline, i daję słowo, przez kilka dni sądziłem, że nigdy się już nie pozbieram.

– Może powinieneś napisać o tym wiersz. Dodać kolejny werset do piosenki o tobie.

Colin pogodnie zignorował jego sarkazm.

– Widzisz, ja miałem dużo do czynienia z kobietami, jeszcze zanim Madeline pojawiła się w moim życiu. Bardzo dużo. A Evie Duggan… jak mógłbym to określić? To tak, jakbyś ty walczył floretem, a ona szablą. Znajdujecie się w dwóch różnych kategoriach, przyjacielu.

– Doprawdy, mógłbyś się zdobyć na oryginalniejszą przenośnię.

– Słuchaj, Adam. Mężczyźni zaczęli po prostu szaleć na jej punkcie, kiedy po raz pierwszy pokazała kostki u nóg w teatrze Pod Zielonym Jabłkiem. Przez większą część życia wręcz profesjonalnie łamała serca. Grała nimi niczym talią kart, jedne odrzucając, inne zachowując, posługując się atutami. Nie jest okrutna, tylko praktyczna. Przypuszczam, że wszyscy robimy, co tylko potrzeba, żeby sobie radzić. Należy się spodziewać, że jej przeszłość będzie wypływać na wierzch w niespodziewanych momentach. I nie zawsze będzie to ładna przeszłość. Ja mnóstwo razy robiłem z siebie błazna na wiele sposobów z różnymi kobietami. Ale ty… ty jesteś człowiekiem innego rodzaju. Takim jak Chase czy Marcus. Jesteś… wcieloną godnością. Masz autorytet, z którym, jak sądzę, już się urodziłeś. U pastora to właściwość pożyteczna, owszem. A że cię dosyć lubię, boli mnie, kiedy robisz z siebie błazna. I nie chcę twojej krzywdy.

– Rozumiem. Mam więc oszczędzić ci bólu.

– Wiem, że to zrobisz, bo masz altruistyczną naturę.

Adam parsknął urywanym śmiechem, który przeobraził się w pełne pobłażliwości westchnienie.

– Jeśli masz tak wysokie mniemanie o mojej powadze, zastanów się nad możliwością, że mój sąd jest równie ugruntowany.

Ciekawe, że Colin porównał go do kapitana Chase'a Eversea, brata jego i Iana, który był urodzonym dowódcą i dowiódł tego podczas wojny. Colin, jako najmłodszy z rodu, powinien był się dowiedzieć, jak Adam doszedł do swojej powagi. Jak gorliwie i starannie przyswajał ją sobie i dlaczego.

– No spójrz, właśnie zademonstrowałeś swoją niebezpieczną naiwność. Niektóre kobiety są po prostu takie, jak olśniewające gwiazdy. Musisz na nie patrzeć, musisz po nie sięgać. Musisz próbować je zdobyć. Rozum się nie liczy. To inne… rzeczy… się liczą.

– Szable – podsunął mu po chwili sardonicznie Adam. – W przenośnym sensie, rzecz jasna.

– Owszem, szable – zgodził się Colin. – Szable zawsze się liczą. A z tego, co wiem, ta dama doskonale wie, jak się nią posługiwać.

Adam zacisnął dłoń w pięść tak mocno, że aż mu zbielały kostki. *Je voudrais fumer ton cigare*.

To okropne, że posługiwała się w rozmowie takim chwytem.

Co raczej było dowodem, że Colin miał rację.

– Spodziewam się, że miasteczko uzna twój heroiczny wyczyn z ciastem imbirowym za akt miłosierdzia. Tym razem sfinansuję twoje szaleństwo, ale jeśli ponownie stracisz głowę, nic już nie mogę ci obiecać…

– Dziękuję za troskę. Ale tym razem wcale nie straciłem głowy – odparł Adam, znów z nieskończoną wręcz cierpliwością – i wcale nie zamierzam jej tracić, bo, widzisz, moja godność absolutnie mi na to nie pozwala.

Colin w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko.

Wszystko, co Colin o niej powiedział, było prawdą, jak też to, że istotnie próbowała nim manewrować za pomocą flirtu. Zapewne było również prawdą, że oddawała się mężczyznom za pieniądze. Lecz on, Adam, wiedział, że te prawdy kolidowały z innymi. Z wyrazem jej twarzy, kiedy mówiła o swoim mężu i o tym, jak umarł. Z kurczowym splataniem palców, kiedy wyjawiła mu, że chce mieć przyjaciół. Z gwałtownym wystąpieniem w obronie Margaret Lanford i jej herbatników, nawet po tym, w jaki sposób publiczność potraktowała ją samą. A poza tym ta jej piękność, w której wciąż znajdował coś nowego, za każdym razem, kiedy ją widział. Wszystko to ujmowało go coraz mocniej i mocniej. Aż do aukcji…

Nie mógł patrzeć na to, jak się z nią obeszła publiczność. To było nie do zniesienia.

Oczywiście, Colin miał słuszność.

Stracił dzisiaj głowę.

Być może po raz pierwszy w życiu. To był odruch, jakby bronił siebie samego przed ciosem.

Wcale nie dlatego, by miał zbyteczne pięć funtów.

– Moja matka jest szczerze dumna z ciebie, Adamie. Uważa, że mógłbyś

zapoczątkować w dziejach rodu Eversea nową, bardziej szacowną erę, niezależnie od mariażu Genevieve, której udało się wyjść za księcia. „Wyobraź sobie, mój siostrzeniec jest pastorem, i to w dodatku doskonałym. Cieszymy się, że daliśmy mu tę posadę, mimo że można było brać pod uwagę wiele innych kandydatur". Ona naprawdę tak mówi.

– Wdzięczny jej jestem za to – odparł Adam. Z niejakim roztargnieniem.

Istotnie, był wdzięczny. Zawsze byłby wdzięczny.

Tylko że jeszcze nigdy jarzmo powagi jego profesji nie ciążyło mu tak dotkliwie.

Przez chwilę siedzieli w zadumie. Potem Adam wstał.

– Czy chcesz wiedzieć, co w tym wszystkim było najgorsze, Colinie? To, że skłamałem.

Colin spojrzał na niego zaskoczony.

– Wcale nie lubię imbirowego ciasta.

– Znakomicie – rzekł pogodnie Colin po krótkiej chwili milczenia. – W takim razie zaraz je od ciebie wezmę.

I zawiesił sobie koszyk z ciastem na ramieniu.

Adam poczuł całkiem irracjonalną chęć, żeby mu tego zabronić. Ale w kieszeni szeleściło mu pięć funtów. Miał zamiar je wpłacić na fundusz kościelny.

– Powiedz mi później, czy nadawało się do jedzenia, żebym mógł pochwalić hrabinę za jej kulinarne umiejętności.

– Powiem. A także… och, byłbym zapomniał. Dostałeś coś. – Wskazał na paczkę przewiązaną sznurkiem, która leżała na kredensie. Przysłała to pani Sneath. Niewątpliwie prezent od jej siostrzenicy.

Adam rozpakował paczkę. I ujrzał nowiutką poduszkę. Napis otoczony pracowicie wyhaftowanymi bławatkami głosił:

„Miłuj bliźniego swego".

Pani Sneath miała stary powozik, i to właśnie w nim ona, Evie oraz Amy Pitney i Josephine Charing wybrały się następnego ranka na peryferie Pennyroyal Green, mijając Akademię dla Młodych Dam panny Marietty Endicott oraz resztki obozowiska Cyganów. Jechały drogą coraz bardziej wyboistą, aż skręciły w małą dolinkę.

Wszystkie trzy damy siedziały naprzeciwko Evie, która wiozła koszyk z herbatnikami kupionymi przez nią za dziesięć funtów. Przypuszczała, że rodzinie O'Flaherty przydadzą się bardziej.

Zatrzymały się przed czymś, co tylko optymista mógłby nazwać wiejskim domkiem. Gdyby nie smuga dymu wznosząca się spiralnie z komina, łatwo można go było pomylić ze stogiem siana. Zbudowano go chyba, jak uznała Evie, niedługo po wylądowaniu na angielskim brzegu Wilhelma Zdobywcy, później zaś dodano kilka nielicznych udogodnień, jak komin i parę okienek. Strzecha wyglądała tak, jakby pokryły ją parchy. Płot otaczający podwórko z ubitej ziemi zrobiono częściowo ze zmurszałych desek, lecz po większej części z czegoś, co wyglądało na długie gałęzie zrzucone z drzew przez wichurę. W jednych miejscach się kruszył, w innych zapadał. Żałosna, zmurszała stajnia stała z tyłu za domem, jak wynędzniały muł. Kolejny budynek, zapewne miejsce przechowywania zbiorów, malowniczo zniszczony, znajdował się nieco dalej. Całe

obejście otaczały wielkie, bezlistne dęby.

Kilka wyglądających na zdziczałe kur dziobało ziemię, patrząc na nich podejrzliwie kątem małych oczek.

– Słyszycie? – wyszeptała Josephine.

Zamilkły wszystkie.

Evie dosłyszała słaby, piskliwy dźwięk, który brzmiał jak bzykanie komarów.

– Słyszy się to już z daleka – powiedziała Amy Pitney. – A co dopiero, kiedy się tam zbliżyć! Te ich wrzaski! Jozue mógłby wziąć te dzieci ze sobą pod mury Jerycha. Po kilku dniach takiego skowytu obrońcy by stamtąd uciekli.

– Jest ich sześcioro – szepnęła znów Josephine. Evie nie mogła pojąć, dlaczego właściwie szepczą, skoro znajdują się dobre pięćdziesiąt stóp od domu. – Może nawet siedmioro. A mogłoby ich być nawet osiemnaścioro. Nigdy nie stoją spokojnie, trudno je więc zliczyć, a ich matka jest tak zmęczona, że ledwie może skończyć zaczęte zdanie, nigdy nie usłyszałam więc od niej wyraźnej odpowiedzi. Ciągle kręcą się w kółko jak derwisze w tańcu i się na coś wspinają albo z czegoś skaczą. A także krzyczą. Och, jak one krzyczą! No i wszystko się tam lepi do rąk, upaprane dżemem i… czymś, o czym nawet wolę nie myśleć.

– My nie mamy zamiaru wejść do środka – powiedziała pogardliwie Amy, patrząc na Josephine. – Po tym, co się stało za pierwszym razem.

– Nie widziałam, żebyś tam wchodziła. Ty, która zawsze zadzierasz nosa.

– Ale przynajmniej nie płaczę jak małe dziecko.

– Też byś płakała, gdyby któraś z tych małych bestii wyrwała ci grzebień z włosów! A ja mam bardzo delikatne włosy i wrażliwą skórę na głowie! Ty oczywiście nic o tym nie wiesz, bo twoje włosy są tak samo sztywne i grube jak brwi!

Natychmiast obie najeżyły się niczym para kotów i poczerwieniały ze złości.

Evie gotowa była do interwencji, gdyby doszło do wzajemnego rwania sobie włosów z głowy.

– Wybrałaś się tu tylko dlatego, że chciałaś zrobić dobre wrażenie na pastorze – powiedziała Amy jadowitym tonem.

– Całkiem jakby on na ciebie zwracał uwagę! Czy myślisz, że chciałby mieć gromadkę dzieci z brwiami jak kosmate żuki? – odcięła się Josephine.

– Ja przynajmniej mam wielbiciela!

– Bo twój ojciec ci go kupił! – Josephine coraz bardziej podnosiła głos.

– Dość tego! – parsknęła pani Sneath. – Nie wolno wam w ten sposób mówić o pastorze! To zacny człowiek o niezachwianej moralności i nie wolno wam mówić o nim tak frywolnie!

Zwracała się wprawdzie do dziewcząt, ale jej komentarz niewątpliwie skierowany był do Evie.

Evie przerwała jej, mówiąc ze spokojem:

– Czy chcecie znać sekret dotyczący przystojnych mężczyzn, moje damy? Nie zwykłych przystojnych mężczyzn, ale takich, którzy wprost zapierają dech w piersiach?

Obie natychmiast zamilkły i zwróciły się ku niej, rozumiejąc od razu, że Evie uchyli przed nimi wieko wypełnionej wiedzą puszki Pandory.

– A więc chcecie czy nie chcecie?

Chciały, oczywiście.

Pani Sneath się zaniepokoiła.

– Może powiedziałaby to pani najpierw mnie, hrabino Ware…

– Ćśś! – przerwała jej raptownie Josephine. – Słuchajmy!

Teraz najeżyła się z kolei pani Sneath, ale Evie nie zwracała na to uwagi.

– Wielu z tych, o doprawdy wspaniałej powierzchowności, nie oprze się wam, gdy będziecie udawały, że się nimi wcale nie interesujecie. Są bowiem przyzwyczajeni, że okazuje się im względy, i oczekują tego. Weźcie sobie do serca pewne słowo. Brzmi ono „rezerwa". Ten typ mężczyzn uważa ją za fascynującą. Nigdy też nie rywalizujcie ze sobą o takiego mężczyznę. To rzecz haniebna! Zasługujecie na to, by go zdobyć dzięki waszym własnym zaletom.

Było to absolutną prawdą. Podejrzewała jednak, że gdyby pastor wiedział, iż doradza im obydwu rezerwę, byłby jej za to nieskończenie wdzięczny.

– Doprawdy, lady Wareham, czy akurat teraz jest czas na takie lekcje? – wyraziła swój sprzeciw pani Sneath.

– Udzielam ich tylko dlatego, że z przykrością widzę, jak pani szlachetnej sprawie szkodzą rozdźwięki między dwiema godnymi szacunku młodymi damami. Mężczyźni są często na tym świecie źródłem kłopotów. Sądzę, że obłaskawienie ich byłoby kluczem do pokoju na ziemi.

Oblicze pani Sneath świadczyło o tym, iż trwała w niej walka sprzecznych emocji, gdy zastanawiała się nad sposobami, jakimi zapewne Evie obłaskawiała mężczyzn.

– Powinna się pani jednak rozważniej wyrażać, moja droga – zastrzegła się. Wyglądało na to, że gotowa byłaby zerwać się i zakryć dłonią usta Evie, gdyby wymknęło się z nich coś zbyt niestosownego.

– A ich ojciec? Pan O'Flaherty? – spytała Evie. – Czy jest w domu?

Kury podeszły bliżej i zaczęły się im natrętnie przyglądać, spoglądając na nie z ukosa małymi, złośliwymi oczkami.

Wszystkie trzy cofnęły się o krok.

– John O'Flaherty? Jeśli nie jest w pubie, to leży gdzieś i chrapie, odsypiając pijaństwo. Nie ma go nieraz w domu całymi tygodniami i nikt nie wie, gdzie się wtedy obraca. To z pewnością bardzo niemiły człowiek. Myślę, że pani O'Flaherty i dzieci boją się go.

Evie mogłaby pójść o zakład, że tak właśnie jest. Aż za dobrze znała ten rodzaj strachu.

– Musi chyba od czasu do czasu wracać do domu, skoro jest tam aż tyle dzieci. Czy wszystkie są jego?

Dziewczyny zaczerwieniły się ponownie i każda z nich zaczęła patrzeć w innym kierunku. Pod nogi, ku niebu, na drzewa w podwórzu.

Pani Sneath pospiesznie jej przerwała.

– Doprawdy, lady Wareham, to bardzo niestosowne mówić tak w obecności młodych niezamężnych dam…

Evie przewróciła oczami.

– Na litość boską, czy one nie wiedzą, skąd się biorą dzieci?

– Och, wszystkie wyglądają kropka w kropkę jak on. Ryże kłaki i głosy, które mogłyby zbudzić umarłego. Nawet najmłodsze z nich ma taki głos. A może zwłaszcza to najmłodsze! – odezwała się Amy Pitney.

Uznanie Evie dla Amy Pitney wzrosło po tej relacji. Ale czy ta młoda dama z krzaczastymi brwiami także wzdychała do pastora?

– Mary O'Flaherty to porządna dziewczyna – stwierdziła dobitnie pani Sneath. – Jest wierna swojemu mężowi – dodała, uznając być może, iż Evie należy pokazać, gdzie jej miejsce.

– No oczywiście – odparła Evie. – A każdy wie, że porządne dziewczyny zawsze bywają za to wynagradzane.

Nikt jednak nie zrozumiał jej ironii.

Amy Pitney odchrząknęła.

– Lady Wareham… skoro my zrobiłyśmy już wszystko, co tylko było można, żeby pomóc O'Flahertym i nie udało nam się, to może pani teraz spróbuje…

Spojrzało na nią sześcioro oczu. Znowu z wyzwaniem.

Evie przyjrzała się uważnie wszystkim trzem, usiłując odgadnąć, jakiego rodzaju wyzwanie może ją tu czekać, ale nie zdołała się tego domyślić.

Wziąwszy pod uwagę wszystko, czego doświadczyła w życiu, rodzina O'Flahertych z ich gromadką dzieci nie wydawała się jej jakimś wyjątkowym zagrożeniem. Ale czy naprawdę te kobiety chcą ją wysłać samotnie w paszczę lwa?

– Pójdę tam – powiedziała pogodnie. – Uważam to za przywilej.

– Wspaniale! – wykrzyknęła pani Sneath. – A skoro zapomniałyśmy wziąć ze sobą żywność i odzienie przygotowane dla dzieci, wrócimy po panią za kilka godzin.

– Czy panie… – Evie zdrętwiała.

Wszystkie trzy przybrały krańcowo niewinne miny.

– Rozumiem. Doskonale. Mogę zaczynać?

Evie ostrożnie przeszła kilka kroków w stronę podwórza i minęła furtkę.

Zatrzymała się. Zrobiła trzy następne kroki.

Obejrzała się za siebie.

Wszystkie trzy pomachały wesoło rękami w jej stronę.

Wyprostowała się, nabrała tchu i poszła pewnie, choć nie za szybko, przed siebie, odganiając suknią natrętne kury, które skradały się tuż za nią niczym rzezimieszki w zaułkach dzielnicy St. Giles.

Zwolniła jednak kroku, gdy zbliżała się do drzwi.

Wszystkie okna pokrywała gruba warstwa osadu z dymu kuchennego, jakby nikt ich nie szorował przez całe lata albo jakby mieszkańcy nie chcieli, żeby ktoś zaglądał im w okna z zewnątrz.

Przenikliwy, wysoki dźwięk stał się donośniejszy. Teraz było już wyraźnie słychać, że to głosy dzieci.

Gdy stanęła już niemal przy samych drzwiach, usłyszała, że Josephine woła:

– Och! Zapomniałam powiedzieć! Oni mają psa!

Właśnie wtedy duży, żółty pies wypadł z domu.

Evie spojrzała prosto w jego szeroko rozwartą, zaślinioną paszczękę z mnóstwem

białych zębów. Wydobywało się z niej rozdzierające uszy ujadanie. Zrozumiała, że stanęła u bram piekieł.

– O Boże! – krzyknęła.

Chciała uciec, ale pies rzucił się na nią, stanął na tylnych łapach, a przednie zarzucił jej na ramiona, nie pozwalając się jej ruszyć. Z jego pyska wydobywał się odór godny diabelskiej kloaki.

Potem zaś oblizał jej całą twarz, od podbródka po czoło, ogromnym, mokrym, różowym ozorem. Dwukrotnie.

Nie dane mu było jednak zrobić tego po raz trzeci.

– Na co sobie ze mną pozwalasz, ty wstrętna, cuchnąca bestio?! – wrzasnęła, odpychając go z całej siły. Pies osunął się jej z ramion, zaszczekał ogłuszająco i zaczął tłuc ogromnym, grubym jak kłoda ogonem o jej łydki, a cały wręcz skręcał się z zachwytu, że może obwąchać nową, nieznaną mu osobę. Próbował to zatem zrobić, zarówno od przodu, jak i od tyłu, tak że Evie zaczęła się obracać wokół własnej osi.

Usłyszała gdzieś za sobą chichot, a potem chrzęst uprzęży, stukot kopyt i skrzypienie kół odjeżdżającego powozu.

Sięgnęła w końcu do koszyka z herbatnikami. Wyjęła jednego z nich i rzuciła na podwórze.

– Aportuj! – zażądała.

Herbatnik odbił się rykoszetem od pnia jednego z dębów i uderzył psa w wielki łeb.

Zaskomlał, zaskoczony, i cofnął się, a potem siadł i spojrzał na nią z wyrzutem w ślepiach.

No cóż. To raczej wyjaśniało kwestię jakości herbatników pani Lanford.

11

Dobry z ciebie stróż! – powiedziała z obrzydzeniem. Chwyciła go za kudły i usiłowała przedostać się ku drzwiom, choć pies wił się i przez całą tę drogę walił ogonem. Był chudy, co dostrzegła dopiero teraz, i dziwiła się, że nie zżerał kur. Może zresztą zżerał i dlatego były takie obrażone na cały świat?

– Szczeka głośno i jest bardzo duża, dlatego nie wszyscy wiedzą, jaki z niej tchórz, no i trochę brudna. Prawda, Molly?

Suka wyszczerzyła zęby na widok Mary O'Flaherty stojącej w drzwiach. Kobieta uśmiechała się niepewnie i miała na sobie fartuch upstrzony mnóstwem plam. Pod nim nosiła suknię ze spłowiałego muślinu, czysto wypraną i wyprasowaną, ale pełną pozaszywanych dziur. Na ręku trzymała niemowlę, a małe dziecko czepiało się jej spódnicy. Obydwa maleństwa były zasmarkane i wyglądały tak, jakby zaraz miały się rozpłakać.

Pies przestał ujadać i dopiero wtedy Evie znowu usłyszała krzyki.

Właściwie nie były to krzyki, tylko śmiechy, jęki, piski, śpiew i szloch łącznie, przerywane od czasu do czasu odgłosami razów.

Evie uśmiechnęła się z lekka i nieco cierpko. Dźwięki te były jej doskonale znane. W dzieciństwie słyszała całkiem podobne.

Puściła sukę, która z radością przyłączyła się do tego chóru.

Wystarczyło jej spojrzeć przez ramię Mary O'Flaherty, żeby się przekonać, że w domu panuje totalny chaos.

Serce załomotało jej gwałtownie, a całe ciało zesztywniało ostrzegawczo. Wiedziała, że nie jest to racjonalne, ale czuła się tak, jakby była rozbitkiem płynącym z powrotem ku wrakowi statku, choć wcześniej zdołał bezpiecznie znaleźć się na brzegu. Nigdy nie wracała myślą do przeszłości, odkąd wiele lat temu razem z rodzeństwem uciekła z Killarney do Londynu na wózku druciarza. A tymczasem ta przeszłość, tak dobrze jej znana, powróciła, jakby nigdy z nią nie zerwała.

– Nie mogę sobie z nimi poradzić, kiedy tylko rodzi się kolejne dziecko – wyjaśniła ze znużeniem Mary. – Chciałabym przeprosić, ale to wszystko mówi samo za siebie, prawda?

Evie nie mogła temu zaprzeczyć.

– Skąd pochodzisz, Mary? Bo ja jestem z Killarney. Nazywam się Evie Duggan.

– Ach, z tych Dugganów, co mieszkają w Killarney? Znasz może Duncanów?

– Chyba każdy ich zna. Pewnie ci chodzi o Johna Duncana?

– A jakże – odparła z uśmiechem Mary. – Ale one mówiły, że jesteś hrabiną. Te panie

ze stowarzyszenia.

– Owszem, jestem hrabiną. A kto powiada, że dziewczyna z Killarney nie może sobie poradzić w życiu?

Mary O'Flaherty uśmiechnęła się smętnie.

Włosy, rude i kędzierzawe, miała zebrane w kok z tyłu głowy, ale pojedyncze pasma wysuwały się z niego i zwisały wzdłuż policzków, a sińce pod oczami i poszarzała cera zdradzały, że od lat nigdy się należycie nie wyspała. Wszystko w jej twarzy było wąskie: usta, grzbiet nosa, niebieskie oczy.

– Ano cóż, zrobiłam zawrotną karierę, jak możesz się przekonać.

Evie uznała, że polubiła Mary.

Ale wkroczenie do wnętrza domu wymagało sporej odwagi. Coś zdawało się jej wyraźnie mówić, że jeśli to zrobi, nigdy już nie zdoła się stamtąd wydostać. Hałas i smród zalały ją jednocześnie niczym potężna fala. Niewątpliwie czuć tu było chłopcami, wonią ich stóp, potu, brudu, a także nieświeżym jadłem, psią sierścią, skwaśniałym mlekiem, nad tym wszystkim górowała zaś piskliwa kakofonia dziecięcych głosów.

Weszła do środka, nabierając głęboko tchu, i natychmiast zrobiła użytek z jednej z kilku pożytecznych umiejętności, jakich nauczył ją Seamus.

Wsadziła dwa palce do ust i gwizdnęła tak przeraźliwie, że zdołała zagłuszyć cały ten harmider.

Dzieci zamarły bez ruchu, zdziwione, i zaczęły się gapić na intruza.

Trwało to na tyle długo, żeby mogła je policzyć i dokładnie się wszystkiemu przyjrzeć.

Łącznie z niemowlęciem i malcem kryjącym się za Mary O'Flaherty naliczyła ich tam siedmioro. W tym trzech bliźniaczo do siebie podobnych chłopców i dwie dziewczynki, które miały najwyżej koło ośmiu lat. Wszystkie dzieci, chude, blade, z ostrymi rysami i jaskraworudymi czuprynami, były względnie przyzwoicie ubrane, a przynajmniej czymś odziane, ale nie miały ani jednej pary butów i żadnego z nich nie sposób byłoby uznać za czyste. Nawet w słabym świetle można było dojrzeć dwa łóżka, kominek, zadymiony piec kuchenny i kilka różnych krzeseł spiętrzonych na kształt fortecy. Na pokiereszowanym stole stały sterty talerzy, a niektóre z nich poniewierały się na wystrzępionym dywanie. Na wysokiej półce drzemał kot. Gruba warstwa kurzu i brudu pokrywała wszystko: zasłony, meble, kapę na łóżku, kominek, a nawet kota.

Potem dostrzegła, że wszystkie dzieci nosiły u boku coś, co okazało się prymitywnymi, tępymi drewnianymi mieczykami, bez wątpienia wystruganymi z dębowych kawałków. Dwóch chłopców, zapewne sześcioletnich, jak się jej wydawało, miało na głowach admiralskie kapelusze ze starych gazet. Maltretowali trzeciego, młodszego braciszka, skrępowanego od stóp do głów, który wił się rozpaczliwie na zapadniętej sofie. Dźgali go właśnie swoimi mieczykami, kiedy Evie tam weszła.

– Ratunku! – pisnął żałośnie malec.

– Cicho bądź! – syknął jeden z chłopców i szturchnął go mieczykiem.

Najmniejsza z dziewczynek zdawała się przyjmować to z zadowoleniem. Najwyższa stała przy kuchni i mieszała coś w kociołku. Także i ona miała mieczyk przypasany u boku.

Evie przypomniała sobie przedstawienie, w którym kiedyś występowała w teatrze Pod

Zielonym Jabłkiem, gdzie bohaterami byli sprośni piraci. Od razu wpadła na pewien pomysł, jak zwykle bywa w dramatycznych okolicznościach.

– Słuchajcie mnie! – rzuciła ostro. – W tej chwili!

Zaskoczeni malcy zwrócili się ku niej i znieruchomieli. Nim zdołali się jej sprzeciwić lub podnieść wrzask, zażądała surowo i donośnie, najbardziej onieśmielającym, arystokratycznym tonem, na jaki mogła się zdobyć, który usłyszano by nawet w ostatnich rzędach teatru:

– Chcę natychmiast mówić z waszym kapitanem!

Zaskoczone dzieci w milczeniu wytrzeszczyły na nią oczy i pootwierały buzie.

– Ale my… nie mamy kapitana – powiedział jeden z chłopców. W jego głosie zabrzmiał wyraźny żal.

– Ratunku! – pisnął znowu związany malec.

– Nie macie kapitana? – Evie weszła w głąb izby i rozejrzała się wokoło z surową miną. – Coś takiego! Trzeba temu od razu zaradzić. Szybko! Mówcie mi zaraz, kto tu jest najstarszy?

Wszystkie głowy zwróciły się ku kominkowi.

– Ja – powiedziała nieduża, rudowłosa dziewczynka, mrużąc niebieskie oczy i biorąc się pod boki.

– Jak ci na imię? – spytała ostro Evie.

– Katharine.

Nagle w jednej chwili z zawrotną szybkością wróciła do niej przeszłość sprzed ponad dwunastu lat. Ujrzała w tej bladej, ściągniętej twarzyczce samą siebie. Swoją zuchwałość, strach, nieufność. Oczy, które widziały zbyt wiele jak na swój wiek. Ta dziewczynka, podobnie jak ona, szła spać głodna, budziła się ze strachem i robiła, co mogła, żeby pomóc matce i unikać ojca. Wciąż jednak nie utraciła nadziei ani zdolności do okazania respektu, widniejących na jej buzi, gdy uniosła ją ku Evie, patrząc na jej twarz i wytworny strój. Jednak szybko spuściła oczy. Respekt i nadzieja tworzyły jedną, podatną na ciosy całość. Było oczywiste, że Katharine już o tym wie.

Evie omal nie pękło serce.

Wyprostowała się i oznajmiła:

– Jestem hrabina Wareham i usłyszałam, że potrzebujecie przywódcy. Ile masz lat, Katharine? – spytała, nadal stanowczym tonem, choć szczerze pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć kościstego ramienia dziewczynki.

– Osiem.

– Wspaniale. Całkiem odpowiedni wiek jak na kapitana. Pamiętaj, że spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność. Kapitan musi być bardzo bystry, dzielny i z chęcią wydawać rozkazy.

– Będę taka! – oznajmiła mała, stając na baczność. – Poradzę sobie! – oświadczyła następnie z wielkim zadowoleniem.

Bardzo dobrze. Duma i arogancja mogą być niebezpieczne, ale często są dużo lepsze od niedowierzania własnym siłom, gdy ceną jest przetrwanie.

– Jestem hrabiną, więc ty, Katharine, powinnaś przede mną dygnąć, a wy, młodzi ludzie, macie mi złożyć niski ukłon!

Ku jej zdumieniu dwaj chłopcy – ci, którzy nie byli skrępowani – zeskoczyli z sofy i ukłonili się, a dziewczynki dygnęły. Była to dla nich nowa zabawa, ona zaś chciała, żeby nadal tak właśnie wyglądało.

– Na teraz wystarczy – powiedziała wyniośle. – Trzeba wam jednak nabrać wprawy. Proszę stanąć na baczność!

– Słuchaj, kapitanie Katharine… – Evie przykucnęła przed nią. – To – wyciągnęła zza stanika medalion ze świętym Krzysztofem i zdjęła go przez głowę – jest kapitański medal. – Założyła go na szyję Katharine. – Przyniesie ci szczęście i bezpieczeństwo, jeśli go zatrzymasz i będziesz się do niego modlić. A także jest oznaką władzy. Nie zgub go nigdy. Obiecujesz mi? Złożysz uroczystą przysięgę?

Kapitan Katharine kiwnęła głową, oczarowana piękną, czystą damą i niespodziewanym podarunkiem.

Evie wyprostowała się.

– Do zadań kapitana należy zebranie załogi i upewnienie się, że statek gotów jest do żeglugi i że nigdy nie zagrożą mu piraci ani maruderzy. Musisz upewnić się, Katharine, że dzieci, które oddano ci pod opiekę, są bezpieczne. Statek HMS „O'Flaherty" musi też być absolutnie czysty, pamiętaj! Od podłogi do sufitu. A dzielni marynarze, którzy na nim pływają, także! Jakże inaczej mogliby należycie służyć twojej mamie? Bo to ona wam rozkazuje, a wy pływacie tam, gdzie jej się zamarzy.

Wskazała na Mary O'Flaherty, która siedziała w fotelu na biegunach, tuląc w ramionach niemowlę i patrząc na to wszystko zarówno ze zdumieniem, jak i zachwytem. Uśmiechnęła się cierpko, słysząc o swojej nominacji na królową. Najmniejsze z dzieci przestało jednak płakać, podobnie jak niemowlę, i wytrzeszczało oczy na barwnie ubraną, osobliwą kobietę, która nagle wtargnęła do ich domu, wydając gromko rozkazy i energicznie gestykulując.

– A teraz mianuję oficerów i wyznaczę im zadania. Ale to ty i twoja królowa będziecie się upewniać, czy są one wypełniane jak należy i odpowiednio często. Pierwszy rozkaz brzmi: natychmiast trzeba rozwiązać waszego brata! Jesteście teraz załogą, musicie więc dbać o siebie i chronić się wzajemnie, a nie wiązać! A oto pierwszy rozkaz dla załogi: zaraz mi tu przynieście kilka wiader wody!

Gdy Adam zjawił się godzinę później w domu O'Flahertych z wozem pełnym drewna i kilkoma wolontariuszami, ujrzał, że panna Pitney, panna Charing i pani Sneath stoją rzędem za płotem i patrzą z niepokojem na dom.

Wsunął słoik miodu, który ze sobą przywiózł, do kieszeni płaszcza i zeskoczył z wozu. Coś potoczyło się ku niemu i wpadło pod czubek buta. Stanął, żeby się temu przypatrzyć.

Okazało się, że to herbatnik.

Gdy się uważniej rozejrzał, dojrzał na ziemi jeszcze trzy następne.

– Dobry wieczór. Na co panie tak patrzą?

– Dobry wieczór, pastorze. Ona jeszcze nie wróciła.

Zdziwiło go, że dwie młode panny, które zwykle prześcigały się gorliwie w witaniu go, unikają teraz jego wzroku. Wydawały się wyjątkowo pełne rezerwy.

– Czyżby wysłały tam panie lady Wareham w pojedynkę? Pozwoliłyście jej pójść samej?

Nie odpowiedziały mu, zaczęły natomiast gwałtownie przestępować z nogi na nogę, załamywać ręce i wymieniać między sobą spojrzenia. A więc zrobiły to! Poczuł, że narasta w nim gniew.

Amy Pitney oznajmiła:

– Te ciągłe wrzaski ustały i zrobiło się bardzo cicho. Jakie to denerwujące!

– Czy ktokolwiek stamtąd wyszedł? No i jak – trącił końcem buta herbatnik – znalazło się to tutaj?

– No, dwóch chłopców wyszło stamtąd z wiaderkiem, ale zaczęli na nasz widok krzyczeć „Piraci!" i obrzucili nas tymi herbatnikami. Jeden z nich trafił Amy w czoło!

– Bo to bardzo widoczny cel – szepnęła Josephine.

Amy odwróciła się do niej tyłem.

Pani Sneath wyjaśniła:

– Uznałyśmy taktyczny odwrót za najlepsze rozwiązanie i chciałyśmy się upewnić, czy naprawdę możemy tam bezpiecznie podejść.

Ale Adam już nie słuchał. Ruszył niemalże biegiem ku domowi, płosząc przy tym kury i wzbudzając zaciekawienie psa, który ocknął się z drzemki pod drzewem i radośnie podbiegł ku niemu.

Zatrzymał się przed na wpół otwartymi drzwiami i nadsłuchiwał. Nie usłyszał… żadnego dźwięku.

Przez chwilę nawiedziła go straszliwa wizja. Wyobraził sobie izbę pełną bezwładnych ciał jako rezultat bitwy na herbatniki.

Ostrożnie uchylił je trochę.

I zamarł zaskoczony.

Okna były otwarte na oścież, a cała izba pełna światła i wywietrzona. Sfatygowany dywan najwyraźniej wyniesiono i wytrzepano sumiennie cal po calu, a potem ładnie, prosto ułożono go na podłodze. Talerze pozbierano, wymyto i poukładano w stosy, kominek wyczyszczono, meble porządnie poustawiano, a najmłodsza z dziewczynek zamaszyście wywijała miotłą w drugim kącie pokoju, wzbijając imponujące tumany kurzu.

Jeden z chłopców pucował gałganem ściany, usuwając istne pokłady szarego osadu, drugi mozolił się nad oknem, a najstarsza z dziewcząt, Katharine, miała na sobie fartuszek i mieszała coś, co dusiło się, pachnąc niemal apetycznie, na piecu kuchennym.

Każde zdawało się poruszać po izbie na paluszkach i żadne z nich nie robiło bynajmniej hałasu. A jednak szemrzący dźwięk nadal było słychać. Pani O'Flaherty zdrzemnęła się w fotelu z szeroko otwartymi ustami, pochrapując z cicha, ale to nie ona była źródłem tego dźwięku; małe dziecko spało na jej łonie, trzymając palec w buzi.

Dopiero gdy wszedł w głąb izby, dojrzał Evie. Stała przy oknie, w kapeluszu admiralskim na głowie. Suknię jej okrywał prowizoryczny fartuch ze ścierki, a na ręku trzymała niemowlę.

Tuliła je i kołysała, nucąc cicho:

Skoroście nigdy nie widzieli,
Jak to Colina wieszać mieli,

Chodźcie tu do mnie chłopcy wraz,
Chodźcie wszyscy wraz!

Musiał przyznać, że piosenka dała się dostosować do różnych sytuacji.

Wyglądała tak, jakby przez cały ranek ciężko harowała. Twarz miała zaczerwienioną i spoconą, szpilki wypadły jej z włosów. Na obu jej ramionach widniało zaś coś, co okazało się dwoma wielkimi błotnistymi odciskami psich łap. Wyglądało to jak epolety.

Zamarł, wpatrzony w nią.

To, że ktoś zastygł nieruchomo w izbie pełnej milczącej aktywności, zaniepokoiło ją. Uniosła wzrok i poznała go. Coś błysnęło w jej oczach – jak podejrzewał, była to reakcja na to, co ujrzała w jego oczach.

Schyliła gwałtownie głowę i pomyliła słowa piosenki, gubiąc jej rytm. Niemowlę poruszyło się niespokojnie. Szepnęła coś do niego czule i znów zaczęła śpiewać.

A potem nagle uniosła wzrok, uśmiechnęła się, położyła palec na wargach i mrugnęła do niego, podejmując na nowo śpiew *Kołysanki o Colinie Eversea*.

Choć ładny, strasznym był łajdakiem…

Niemowlę ziewnęło i machnęło piąstką, jakby chciało go pozdrowić.

Adam mógłby tak stać przez cały dzień, patrząc na nią i słuchając krańcowo nieodpowiedniej kołysanki.

Jej głos też mu się podobał.

Niestety, jeden z chłopców spostrzegł go. Przerwał w pół ruchu czyszczenie ściany i wrzasnął:

– Maruder, kapitanie Kate! – A potem sięgnął po herbatniki i zamachnął się. – Musimy chronić HMS „O'Flaherty"!

– Odłóż to, Cedricu – powiedziała Evie stanowczo, choć szeptem – to nasz pastor, przecież go znasz; winien mu jesteś taki sam szacunek jak mnie!

– A to znaczy, że powinieneś mu złożyć ukłon – powiedziała najstarsza dziewczynka i spojrzała na Evie, dumna ze swego autorytetu.

– Doskonale, kapitanie Kate. Właśnie tak trzeba. Cedricu, pokaż nam, jak pięknie się kłaniasz.

Cedric ukłonił się, Katharine dygnęła, a reszta dzieci poszła za ich przykładem.

Adam był zachwycony. Podszedł do Evie ostrożnie, obawiając się naruszyć osiągniętą przez nią harmonię. Spojrzał na maleństwo trzymane przez nią w ramionach niemal z nabożnym lękiem.

– To niemowlę, pastorze. Te dzieci nie są wcale takie okropne, kiedy się człowiek do nich zdoła przyzwyczaić.

Spojrzał na nią.

– Wiem, jakie są dzieci – powiedział spokojnie.

Zdziwił ją nieco jego ton. Zmrużyła oczy, ale potem znów zwróciła je ku niemowlęciu.

– Lady Wareham… w jaki sposób pani… – wskazał szerokim gestem to wszystko, co stało się tego dnia w domu O'Flahertych.

Uśmiechnęła się lekko, wciąż z oczami zwróconymi ku maleństwu.

– Ano cóż, w Killarney było nas ośmioro w jednej izbie. Rywalizowaliśmy o wszystko, od jedzenia i ojcowskiego słowa do takiego miejsca w łóżku, gdzie noga brata nie trącałaby nas w nos, bo Seamus lubił spać na waleta. Ja byłam najstarsza. Nauczyłam się, jak zdobywać to, czego mi było trzeba. A potem musiałam zatroszczyć o całą resztę, kiedy…

– Zatroszczyć się o resztę? – Zadał to pytanie półgłosem, jakby obojętnie, ale puls mu dziwnie przyspieszył. Jakby doszedł do końca drogi, która na mapie wskazuje miejsce ukrycia skarbu.

– Ktoś to musiał zrobić, kiedy moi rodzice zmarli. – Powiedziała to niemal z roztargnieniem, od niechcenia. I znów zaczęła śpiewać kołysankę niemowlęciu.

Zadał jej pytanie, choć był niemal pewien, że zna odpowiedź.

– Czy nadal się pani o nich troszczy?

Mogło to być o jedno pytanie za wiele. Przez chwilę sądził, że nie chce na nie odpowiedzieć. Twarz jej sposępniała.

Potem jednak powoli uniosła głowę. I utkwiła w nim wzrok, z którego nic nie mógł wyczytać. Oprócz odrobiny wyzwania. Zauważył, że coś, co wyglądało na ślad brudnego dziecięcego palca, widnieje wśród jej piegów.

– Oczywiście – odparła cicho. – Czy miałam pozwolić, żeby znowu byli głodni?

Ich spojrzenia się spotkały.

Zrozumiał teraz źródło podatności na zranienie, które wyzierało spod olśniewającej powierzchowności Evie. To była jej rodzina. Bo gdy się kocha, jest się wrażliwym na ciosy.

– Oczywiście, że nie – zgodził się.

Znów zwróciła spojrzenie ku dziecku, jej twarz złagodniała, jakby pod wpływem tęsknoty, a on stał i wchłaniał w siebie wyraz jej twarzy, podobnie jak kwiaty wchłaniają blask słońca. Pragnął zadać jej więcej pytań, pytać ją wciąż. Ale wszystko w jej postawie i twarzy broniło mu tego.

Zaryzykował więc spojrzenie na dziecko. Było zatrważająco miniaturowym, kruchym drobiazgiem otoczonym chaosem tego pokoju. Wiedział aż za dobrze, jak niebezpiecznym miejscem może być świat dla nowej ludzkiej istoty. Dziecko spoglądało na niego w pełnym oszołomienia zdumieniu, a potem zmarszczyło maleńkie czółko. Tak samo marszczyli czoła jego parafianie w niedzielny poranek.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że pani O’Flaherty wstała z fotela na biegunach i dołączyła do nich, uśmiechając się do dziecka.

– Niech pan je potrzyma, pastorze – powiedziała.

Adam zesztywniał.

Evie spojrzała na nią zaskoczona.

– No, dalej – nalegała Mary łagodnie.

Adam nabrał gwałtownie tchu i kiwnął głową, jak człowiek, któremu chirurg ma zaszyć ranę.

A wtedy hrabina delikatnie włożyła mu ciepły, ruchliwy tłumoczek w ramiona.

Adam oddychał coraz wolniej, jakby chciał, żeby to wszystko trwało jak najdłużej.

Spojrzał z napięciem w malutką twarzyczkę. Jakby ciężar jego powagi i szczere pragnienie zapewnienia mu bezpieczeństwa mogły dziecko osłaniać i chronić. Chcąc się upewnić, modlił się milcząco o to i stał z dzieckiem wtulonym w jego ramiona.

Był świadomy, że Evie na niego patrzy. Czuł się tym wyraźnie zakłopotany. Lekko zmarszczył brwi, trochę tak, jak to niemowlę, a potem ostrożnie podał dziecko Mary O'Flaherty.

– Jest cudowne, pani O'Flaherty. Dziękuję. Moje gratulacje – powiedział łagodnie. – Zobaczę go podczas chrztu, prawda?

Potem odwrócił się i wyszedł, przechodząc obok zdumiewająco skrzętnych małych O'Flahertych.

Evie spojrzała za nim z pewnym zaskoczeniem.

– Mężczyźni bywają czasem zabawni – zaśmiała się z cicha. – Przestraszyć się takiej kruszyny!

– Och, nie myślę, żeby o to chodziło, lady Wareham. – Mary uniosła dziecko, by umieścić je wygodniej w swoich ramionach, podczas gdy jej najmłodszy synek schował się za spódnicę Evie. – Chyba nic zbytnio nie przeraża tego człowieka. Widzi pani, zeszłego roku utraciłam dziecko w tym samym wieku. Było słabiutkim maleństwem i wiedziałam, że nie pobędzie długo na tym świecie. Właśnie w jego ramionach umarło, kiedy udzielał mu ostatniego namaszczenia.

Zaparło jej dech. A więc to dlatego patrzył na dziecko z takim wyrazem twarzy… jakby myślał, że rzuca wyzwanie krzywdzie, nie chcąc, by kiedykolwiek swymi podłymi kościstymi palcami dosięgła tego dziecka. Bo musiałby wtedy widzieć, jak ono umiera.

Zaczerwieniła sie ze wstydu. „To moi ludzie, lady Wareham". Zaborczy, zazdrosny, opiekuńczy, bezkompromisowy. Człowiek, który zrobiłby prawie wszystko dla tych, których kochał.

Tak dziwnie… podobny do niej.

Tylko pastor. Tymi słowami próbowała zredukować go do czegoś zrozumiałego, czym można manewrować. Nie myślała o tym, dlaczego jego samokontrola była tak konieczna. Była proporcjonalna do tego, jak wiele czuł i jak wiele musiał z siebie dawać każdego dnia.

Raz jeszcze poczuła się jak zbite, poniżone i pohańbione dziecko.

Kusząco łatwe było wyobrażanie go sobie w roli ojca dziecka.

– Och, Mary – głos jej lekko zadrżał – jakże mi przykro. Wiem, jak to jest… Kiedy byłam młoda, straciłam braci i siostry…

Świat był niebezpieczny dla dzieci, zwłaszcza dla tych, które wzrastały w nędznych wiejskich domostwach podobnych do tego. To niezaprzeczalny fakt.

Mary O'Flaherty dodała jeszcze słowa uznania:

– Bardzo jestem zadowolona z pastora Sylvaine'a. Całkiem niedawno przybył do Pennyroyal Green jako nowy duchowny, ale ja jeszcze nie widziałam człowieka tak łagodnego. Bardzo był serdeczny dla mnie i potrafił ulżyć mojemu cierpieniu. Ale każdego zawsze dotknie śmierć takiego maleństwa. Chciałam, żeby potrzymał trochę na ręku to nowe dziecko. Żeby poczuł nowe życie po takiej smutnej stracie. Zawsze jest w tym jakaś nadzieja, no nie?

Ileż w tym było mądrości i wielkoduszności wśród chaosu i strachu. Evie nie mogła wykrztusić ani słowa, tak głęboko czuła się przejęta.

– Ano tak – zgodziła się w końcu cicho.

– Spotkało nas prawdziwe szczęście, że mamy takiego pastora – stwierdziła Mary, uśmiechając się łagodnie do niemowlęcia.

Adam wyszedł na zewnątrz, minął kury i zbliżył się do dwóch panien oraz pani Sneath, stojących przy powoziku.

– Sądzę, że można już bezpiecznie wejść do środka – rzekł łagodnie. – Jest tam mnóstwo roboty dla każdego i będzie jej jeszcze sporo przez pewien czas.

– Czy nic się jej nie stało? – Głos pani Sneath zabrzmiał tak ponuro, jakby pastor miał komuś udzielić ostatniego namaszczenia.

Odczekał chwilę, zamierzając uzyskać dramatyczny efekt. Być może lady Wareham wywarła na niego jakiś wpływ.

– Pani Sneath, powierzyłem pani zbłąkaną duszyczkę, mając na uwadze jej poprawę. Czy przypomina pani sobie, jak pragnęła ujrzeć prawdziwy cud?

– Żywię najgłębszą nadzieję, że dostąpię tego przed śmiercią, pastorze.

– W takim razie proszę tam wejść. Przekona się pani, że jej modły zostały wysłuchane.

12

*W*yglądasz, jakbyś wyleciała na ziemię z powozu – powitała ją Henny. – A potem sturlała się z pagórka i wylądowała w rowie. Czy te baby wywlokły cię może do lasu i ukradły ci torebkę? Mnie się tam wcale nie podoba ta wielka.

Tą wielką była pani Sneath. Henny tylko częściowo żartowała. Obydwie odkryły pewne podobieństwo między sobą i z miejsca zaczęły się traktować z czujnym respektem, jaki dwaj wielcy przestępcy mogliby odczuwać wobec siebie.

– Czy nie pomogłabyś mi przy zdejmowaniu sukni, Henny? Jak sądzisz, czy możemy ją jeszcze uratować?

Henny przyjrzała się uważnie strojowi. Miała doświadczone oko, jako że zajmowała się wszelkimi rodzajami ubiorów, od nieprzyzwoicie przejrzystych kostiumów ze sztuki o piratach do najwspanialszych sukien wieczorowych, włącznie z tą, która stała się powodem upadku z balkonu teatralnego. Była ona prawdziwym triumfem umiejętności Henny.

– A to co znowu? Czyś ty może tańcowała z psem? Czegoś takiego nie robiłaś nawet na scenie teatru Pod Zielonym Jabłkiem. Założę się, że tu chodziło o pieniądze.

– To naprawdę był pies! – Evie przypomniała sobie o Molly.

– Wytrę teraz gąbką najgorsze plamy, a potem trzeba ją będzie uprać. Ale od tej pory ujdzie już tylko jako suknia dzienna.

Henny była jedną z nielicznych znanych Evie osób, które lubiły prać. Bezlitośnie tarła, wykręcała, płukała, wyżymała i ostrożnie rozwieszała jej stroje przez całe lata.

A teraz przyglądała się Evie podejrzliwie.

– No, coś ty jesteś za wesoła jak na ten twój okropny wygląd, ślady po psich łapach i całą resztę.

– Powinnaś to widzieć, Henny! Co za bałagan! Siedmioro małych dzieci, a te kobiety wysłały mnie tam samą. Gorszego chlewiku w życiu nie widziałam, ale poradziłam sobie z nim. Pamiętasz ten wodewil o piratach w teatrze Pod Zielonym Jabłkiem? Podsunął mi pomysł i to zadziałało. Wyczyściliśmy wszystko od góry do dołu, ale sporo jeszcze pozostało tam do zrobienia. Świetnie się bawiliśmy! Myślę, że zdobyłam sobie przyjaciół.

Henny przyjrzała się jej uważnie.

– Hm…

– A pastor przywiózł ze sobą ludzi, którzy rozebrali stary płot i postawili nowy!

Wiedząc teraz o nim więcej, Evie, głęboko przejęta, wyjrzała ukradkiem przez świeżo umyte okna O'Flahertych i zobaczyła, jak pastor Sylvaine zrzucił płaszcz, rozpiął dwa górne guziki u koszuli i zakasał rękawy, potem zaś podszedł do płotu z trzema innymi

mężczyznami i energicznie wydawał polecenia. Pot przesiąkał przez jego koszulę. Nigdy nie przypuszczała, że praca fizyczna może być tak absorbująca. Nigdy nie znała mężczyzny tak całkowicie pozbawionego wszelkich pretensji. Szaleńczo bezkompromisowego, rzecz jasna. Ale bez pretensji.

– Gadaj sobie, ile chcesz – powiedziała Henny znacząco.

Evie przerwała wyliczanie osiągnięć.

– Co takiego? – spytała z irytacją.

– Cała aż błyszczysz – stwierdziła nieufnie Henny. – Ot, co.

– To chyba pot.

– Mnie to bardziej wygląda na miłość.

Evie przewróciła oczami.

– Stanowczo nie powinnaś popijać za dnia. Nawiasem mówiąc, co ty wiesz o miłości?

– Więcej od ciebie, bo ty jej wcale w sercu nie miałaś. Nigdy się nie zakochałaś, tylko się sprzedawałaś.

Evie spiorunowała Henny wzrokiem. Poczuła się głęboko dotknięta.

Tylko że to była szczera prawda.

Henny nie przejęła się zanadto.

Evie ściągnęła z siebie suknię, podniosła ją i rzuciła Henny.

– Twoje szczęście, że tak było; inaczej nie mogłabym ci płacić pensji, choć wiele pożytku z ciebie nie miałam.

– Mogłabyś raz spróbować się zakochać, milady. Choćby dla odmiany. Każdy tego powinien doświadczyć przynajmniej raz. Wiedziałabyś wtenczas, dlaczego warto żyć.

Evie była tak zaskoczona, że nie zdobyła się na replikę. Henny znała ją lepiej niż wszyscy inni, ale rzadko robiła z tego użytek. Miewała zmienne nastroje, a teraz ogarnął ją jeden z bardziej szaleńczych i zagadkowych. Nie wiedzieć czemu uważała wtedy, że posiadła wszystkie rozumy.

Evie zmilczała. Znów zabrakło jej tchu, gdy przypomniała sobie wyraz twarzy pastora, jaki ujrzała, odwracając wzrok od niemowlęcia, któremu śpiewała kołysankę. Przebłysk tęsknoty, szybko ustępujący miejsca graniczącej z zaborczością zawziętości. Pojawił się i znikł, jak promyk światła.

Ten człowiek nie znał kompromisów. Wszystko albo nic.

Przymknęła oczy, rozpamiętując tę chwilę – jasność i pogoda, lęk i nowość. Poczuła się wtedy podobna pisklęciu, które zawisło na samym skraju gniazda. Nigdy przedtem nie wiedziała, że ma skrzydła!

– Jest tu trochę nowej poczty dla ciebie – dodała Henny zgryźliwie. Uważała bowiem rodzeństwo Evie za natrętów. Uroczych natrętów, jak w przypadku Seamusa, ale mimo wszystko natrętów. – Przyniosłam to ze sklepu. Coś mi się zdaje, że pan Postlethwaite durzy się we mnie.

Nie było to niemożliwe. Henny w pewnym sensie fascynowała niejednego mężczyznę – jej powierzchowność była niewątpliwie czymś, czego nie dało się zapomnieć. Mogła się pochwalić dokonaniem niejednego niezwykłego podboju w ciągu kilku ostatnich lat, wliczając w to dostawcę węgla, kamerdynera i sekretarza hrabiego.

Evie przejrzała pocztę.

Poczuła, że kark jej lodowacieje.

Dwa nowe listy od Seamusa i Cory. To było niepokojące. Oczywiście wysłano je wkrótce po poprzednich, na które Evie już odpisała. Seamus obiecał, że nie spowoduje więcej żadnych incydentów wymagających interwencji polityka. I jak dotąd dotrzymywał słowa.

Bardziej martwiła się o Corę i jej dzieci.

Moja Najdroższa Siostro,

Kiedy się ma pracę, jest to coś cudownego. Spotkałem pewną kobietę, istnego anioła zesłanego na ziemię, ale ona myśli, że ja mam więcej pieniędzy, niż ich mam naprawdę. Może dlatego, że tak jej powiedziałem. Spodziewam się, że potrafisz urzeczywistnić jej najgorętsze życzenia.

Oczywiście to żart! Ale ona jest cudowna, a ja czuję się przy niej wprost niesamowicie. Nie wiem, czy to czasem nie miłość. Jak sądzisz? Czy dzika chętka może być miłością?

To także żart! Z pokorą czekam na cokolwiek, co mi zechcesz przysłać. Bardzo też chciałbym Cię zobaczyć. Serdeczne uściski dla Ciebie i Henny.

PS. Wciąż jeszcze w Londynie mówią o Tobie. Nie zawsze pochlebnie.

Seamus zawsze spotykał jakieś anioły zesłane na ziemię. Pisał o tym jednak zbyt otwarcie, co było trochę podejrzane. Może powinna się martwić, że w następnym liście będzie mowa o żonie. A potem o dziecku. Kolejnej gębie do wykarmienia.

List od Cory donosił:

Timothy nie wraca do domu już od dwóch dni. Elspeth ząbkuje. Najmłodsze dziecko wygląda całkiem jak Ty. Brak mi Ciebie. Bardzo Cię kocham.

Och, Chryste!

To tylko dwie noce, mówiła sobie w duchu. Mąż jej siostry wciąż jeszcze mógł wrócić do domu.

A jednak zlodowaciała ze strachu.

Powtarzała „oby on wrócił do domu” jak modlitwę, wpatrzona niewidzącymi oczami w okno.

Pierwszy gość Evie odwiedził ją dwa dni po hipotetycznym triumfie operacji „HMS O’Flaherty”. Oznajmił jej o tym lokaj.

– Chce się z panią widzieć panna Josephine Charing, lady Wareham.

Natychmiast i z wielkim zadowoleniem porzuciła haft, z którym usiłowała sobie poradzić, wyssała kropelkę krwi z ukłutego igłą palca wskazującego i zerwała się na nogi.

– Jak ja wyglądam, Henny? Przyzwoicie?

Henny odłożyła cerowanie, którym się akurat zajmowała, i przyjrzała się jej uważnie, a potem wyciągnęła z kieszeni fartucha chustkę i rzuciła w jej stronę. Evie pospiesznie okryła nią dekolt dziennej sukni.

– Mogę teraz robić za pokojówkę, no nie? – powiedziała z satysfakcją Henny i prędko

wyszła.

Evie wyprostowała się, wyprężyła ramiona i oznajmiła lokajowi:

– Proszę ją wprowadzić.

Panna Charing pojawiła się dopiero po dłuższej chwili, bo stawiała jedną nogę za drugą tak ostrożnie, jakby stąpała po wulkanicznej lawie lub bała się poślizgnąć na posadzce czy uszkodzić w jakiś sposób obrąbek sukni. Obracała powoli głowę to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając się posadzce i wystrojowi klatki schodowej oczami szeroko otwartymi z podziwu.

– Dzień dobry, panno Charing. Wszystkich moich amantów lokuję na piętrze, a więc proszę się pozbyć obaw, na żadnego z nich się tu pani nie natknie.

Panna Charing wzdrygnęła się gwałtownie.

– Och, naprawdę? Czy mieliby może coś przeciwko temu?

– Och, na miłość boską, nikogo takiego tu nie ma! Skądże. Ten dom jest tak przeraźliwie pusty, że cieszę się, gdy mam towarzystwo – uśmiechnęła się zachęcająco. – Któż chciałby tracić czas na amantów, gdy ubodzy hrabstwa Sussex oczekują na naszą pomoc?

– Och… oczywiście – odparła słabym głosem panna Charing po chwili niepewności. – Przypuszczam, że amanci… ee… mają duże wymagania. – Powiedziała to niemal z nadzieją.

– Niekiedy. Mądre kobiety wiedzą jednak, jak sobie z nimi radzić.

Uśmiechnęła się ciepło, aby panna Charing mogła zyskać pewność, że to był tylko żart.

Panna Charing miała oczy jak bławatki i wiedziała o tym, bo wstążki jej kapelusza doskonale z nimi harmonizowały. Miała też łagodną, szczerą twarz, przyjemnie zaokrągloną i może dlatego przywodzącą na myśl wygodną poduszkę. Pukle jasnych włosów swobodnie okalały jej czoło.

– Napije się pani herbaty? Może z bułeczką? Chyba są całkiem świeże.

– Dziękuję, lady Wareham, jest pani zbyt uprzejma.

Evie skinęła na lokaja czekającego w pogotowiu.

– Moja matka nie wie, że tu przyszłam. Zdaje się, że panią nie w pełni aprobuje.

Panna Charing powiedziała to w taki sposób, jakby to ona sama nie była pewna, czy aprobuje Evie.

– Szkoda. Ciekawa jestem, co przechyliłoby szalę na korzyść aprobaty?

Panna Charing najzupełniej nie zrozumiała zawartej w tym zdaniu ironii.

– Może osobiste spotkanie? Jestem pewna, że polubiłaby panią. Bo, widzi pani, za dwa tygodnie odbędzie się zabawa z muzyką i tańcami. Mówi się o tym, żeby panią na nią zaprosić.

– Doprawdy, mówi się o tym? Nadzwyczajne!

Kryła się w tym jeszcze większa doza ironii.

Evie wbrew sobie samej poczuła się jednak wzruszona wiarą panny Charing w jej urok osobisty.

Nagle obydwie usłyszały niewyraźny głuchy odgłos, któremu towarzyszył szczęk i podzwanianie zastawy. Wszystkie te dźwięki stawały się coraz głośniejsze i dochodziły z coraz bliższej odległości.

Panna Charing zamilkła, a potem bojaźliwie rozejrzała się naokoło.

– Lady Wareham… czy pani słyszy…

Chwilę później do pokoju wkroczyła ciężkim krokiem Henny, niosąc na tacy dzbanek herbaty i filiżanki wraz ze stosem wspaniale pachnących bułeczek. Panna Charing otworzyła szeroko oczy i zamarła w bezruchu, niczym jeż w obliczu nieznanego mu drapieżnika.

Henny postawiła tacę z brzękiem na stole, obdarzyła obydwie szerokim uśmiechem, a potem się wycofała.

Panna Charing patrzyła w ślad za nią jeszcze przez dobrą chwilę po odejściu Henny. Być może chciała się upewnić, że służąca rzeczywiście poszła sobie i nie zamierza wrócić.

– To Henny – powiedziała z błogim uśmiechem Evie tytułem wyjaśnienia. – Czy zechce pani nalać nam herbaty?

– Z największą przyjemnością – odparła panna Charing słabo, ale uprzejmie.

Przez chwilę w milczeniu piły herbatę.

– Muszę pani wyznać, lady Wareham, że miałam pewien powód, żeby tu dzisiaj przyjść. Powiedziała pani przy pani Sneath, że wie coś niecoś o tym, jak postawić na swoim. I że gdybyśmy potrzebowały jakiejś rady dotyczącej mężczyzn, chętnie by nam jej udzieliła.

– Istotnie.

– Ja… ja bym się chciała dowiedzieć… jak usidlić mężczyznę.

– Godny podziwu cel – zgodziła się Evie. Zbyt późno zreflektowała się, że zapewne zabrzmiało to trochę nieprawomyślnie. Matka panny Charing miała chyba powody, żeby jej w pełni nie aprobować.

– Nigdy jeszcze, jak mi się zdaje, nie potrafiłam żadnego usidlić. Po czym się to poznaje?

Evie korciło, żeby powiedzieć: „Najlepszą tego oznaką są prezenty w postaci biżuterii”.

– No cóż – zaczęła ostrożnie – często zależy to od tego, jaki jest dany mężczyzna.

Panna Charing nabrała energicznie tchu, jakby powietrze tego pokoju mogło dodać jej odwagi. A potem odetchnęła głęboko, splatając palce.

– Widzi pani… chodzi o pastora Sylvaine’a.

Wyjawiła to nazwisko z powściąganą, lecz dotkliwą udręką. Evie podejrzewała, że często wypowiadano je identycznym tonem, jak Pennyroyal Green długie i szerokie.

Panna Charing ciągnęła dalej:

– A jeszcze to kazanie sprzed kilku dni… „Miłuj bliźniego swego”… Podejrzewam, że mogłam je inspirować. Bo on się zawsze uśmiecha, kiedy mnie pozdrawia. Widziała pani jego uśmiech? Uroczy, prawda?

Evie zawahała się. Istotnie, jego uśmiechy, których tyle wariantów dotąd widziała, rzeczywiście były urocze. I to bardzo.

– Przyznaję, że rozumiem, dlaczego ktoś może tak myśleć – stwierdziła z pewną ostrożnością.

– No i, oczywiście, jego twarz – stwierdziła rzeczowo panna Charing. – Nie sposób się

znudzić jej widokiem! Wyobrażam sobie, ile przystojnych twarzy musiała pani widzieć w Londynie, więc może pani tego nie dostrzega?

Była to prawda. Nie zwracała specjalnej uwagi na jego aparycję.

Chyba że na ten dołeczek w kącie warg. No i na błękitne oczy.

Na wykrój jego ust, mnóstwo subtelnych odcieni włosów. Na ramiona.

I na przedramiona.

– Owszem, przypuszczam, że można go uważać za przystojnego – przytaknęła wymijająco.

No i na jego uda. Nagle przypomniały się jej tak wyraźnie, że straciła na chwilę oddech.

– Nigdy też nie zapomina podziękować mi za moją pracę pod kierunkiem pani Sneath. A jak uprzejmie to robi! – Panna Charing powiedziała to w taki sposób, w jaki inna kobieta mogłaby rzec: „A jaki on jest bogaty!" – Ale, widzi pani, nie jestem całkiem pewna jego uczuć. Pomyślałam sobie więc, że pani mogłaby pomóc mi w zyskaniu pewności co do nich.

W głowie się jej kłębiło od mnóstwa sprzecznych myśli. Żadna z nich nie była miłosierna, wszystkie natomiast złośliwe, godne pogardy i doprawdy zaskakujące, zważywszy, że postanowiła jakoby dać sobie spokój z mężczyznami. Chyba nie pozbyła się jeszcze nawyku dominowania nad nimi, Przyzwyczajona była do odnoszenia na tym polu zwycięstw.

Zmusiła swój rozsądek – ale nie swoje zmysły – żeby zadecydował, jak ma postąpić. Było to tak sprzeczne z tym, co naprawdę pragnęła zrobić, że poczuła się osobą niemal cnotliwą.

– Cóż… zastanówmy się nad tym. Czy pastor Sylvaine zachowuje się w pani obecności inaczej niż inni młodzieńcy?

– Strasznie mi trudno zwracać uwagę na innych młodzieńców, kiedy się znajduje koło mnie, obawiam się zatem, że nie jestem tego pewna – odparła panna Charing ze skruchą.

– Spróbuję to wyjaśnić. Czy jakiś młodzieniec w pani obecności… zaniemówił?

Panna Charing zastanowiła się.

– No, może Simon Covington. Milczy jak grób, kiedy tylko się do niego zbliżę! Ale zdaniem Amy Pitney dlatego, że ja nie daję nikomu dojść do słowa! Ona uważa, że jest strasznie inteligentna. Szkoda, że to jej jedyna zaleta. Myśli, że uda się jej oczarować pastora rozmową o botanice! – Zmarszczyła z niechęcią nos.

– Pytam o to – wyjaśniła Evie – bo jeśli mężczyzna nie zaczyna od razu od pochlebstw, o jego zauroczeniu będzie świadczyć oszołomienie pani obecnością. Na przykład zaniemówi, urzeczony pani pięknością. O, coś takiego.

Panna Charing powoli obracała w ustach słowa „urzeczony pani pięknością", jakby to był jakiś nowy, wspaniały przysmak.

– Pastor opuścił mnie gwałtownie podczas ostatniej zabawy towarzyskiej w tym roku. Opowiadałam mu wtedy o przetworach, jakie razem z mamą robimy, a on nagle odszedł pospiesznie ze słowami, że ma jakąś sprawę niecierpiącą zwłoki. Czy można to uznać za oszołomienie?

– W pewnym sensie – odparła z rezerwą Evie.

– Na ogół to właśnie ja tracę mowę w jego obecności – przyznała panna Charing ze smutkiem.

Za to rzeczywiście pastor mógłby być jej wdzięczny, podejrzewała Evie.

– A kiedy mi to przejdzie, mówię i mówię bez końca.

Pomyślała o błysku w jego oczach, ujrzanym w domu O'Flahertych. Owszem, panna Charing na swój sposób trafnie i zwięźle scharakteryzowała pastora. Miał imponującą zdolność do odbierania ludziom mowy. Nawet jej. Mogła też sobie wyobrazić, jaka panika go ogarniała w obecności gaduł. Nie znosił paplaniny. To była strata czasu.

– Czy pani sądzi, że moja uroda może oszałamiać? – spytała naiwnie panna Charing.

– Jeśli trafi pani na odpowiedniego mężczyznę – odpowiedziała Evie dyplomatycznie.

– Cóż, chyba to prawda – stwierdziła Josephine, najwyraźniej pocieszona. – Z pewnością jestem dosyć ładna. Zwłaszcza w porównaniu z niektórymi innymi dziewczętami, które mają zamożnych ojców. One wcale nie potrzebują być urocze, żeby zdobyć adoratora – przyznała ze smutkiem. A potem dodała z rozpaczą: – To dlatego, że… że ja nie mam szans, by opuścić Pennyroyal Green, lady Wareham. Nigdy nie pojadę do Londynu na rozpoczęcie sezonu towarzyskiego. Nie jestem zamożna z domu. Nie mogę wyjechać daleko i mama boi się o moją przyszłość. Żaden bogaty mężczyzna nie weźmie mnie na serio pod uwagę, ale pastor nie jest bogaty, prawda? A ja chciałabym wyjść za mąż z miłości.

Wyjść za mąż z miłości. Nieosiągalny luksus dla takiej dziewczyny jak panna Charing, której całe życie zależy od małżeństwa. Evie niemalże chciała jej udzielić trochę własnego rozsądku. Jej siostra, Cora, wyszła za mąż z miłości, teraz miała zaś sześcioro dzieci i męża, który najwyraźniej chciał ją porzucić, a może nawet już to zrobił. Jej matka wyszła za mąż z miłości i Evie ponosiła skutki matczynej decyzji przez całe życie. Miłość była dla niej mniej więcej tym, czym Londyn dla panny Charing, miejscem niedostępnym, bo nie było jej stać, żeby się tam udać.

A jednak…

„Mogłabyś raz spróbować się zakochać, milady. Choćby dla odmiany" powiedziała jej Henny.

Jakby to nie było równie niebezpieczne jak nocna wędrówka zaułkiem w St. Giles.

– Chciałabym oczarować pastora – zakończyła swoje zwierzenia Josephine. – Czy mogłaby mi pani pomóc?

Evie uśmiechnęła się pogodnie, choć tylko jedna myśl krążyła w jej głowie: Wyobraź sobie, jakim szaleństwem byłoby zmuszanie tego człowieka do czegoś, czego zrobić nie chce.

– Zdradzę pani pewien sekret, panno Charing.

Josephine nachyliła się ku niej, podniecona.

– Proszę być sobą. Jeśli się pani skupi na tym, by znaleźć coś zasługującego na podziw w mężczyznach, i zyska pewność, że oni o tym wiedzą, to każdy z nich uzna panią za urzekającą. Zaczną wtedy gorliwie zabiegać o pani względy, tak że będzie pani mogła wśród nich przebierać. Zobaczy ich pani wówczas w innym świetle i zdoła uzyskać miłość, jakiej sobie przedtem nawet nie wyobrażała.

Panna Charing wyprostowała się gwałtownie na krześle, jakby ją poraziła głębia tej

myśli. W milczeniu rozważała jej słowa.

– Tak pani uważa? Naprawdę? Nawet pastor?

Evie stłumiła westchnienie.

– Właśnie zdradziłam pani jeden z moich najściślej strzeżonych sekretów – odparła, choć nie było to odpowiedzią na pytanie panny Charing.

– Dziękuję, lady Wareham – panna Charing o mało się nie rozpłakała ze wzruszenia. – Bo wie pani, moja mama mówi, że kobiety z Pennyroyal Green boją się o mężów i kawalerów, skoro taka osławiona hrabina zamieszkała w Damask Manor. Ale ja im powiedziałam, że pani przecież wyszła za hrabiego, a teraz jest wdową, co by jej zatem przyszło z ich mężów? Albo na przykład z pastora?

– Och, ja sobie raz na zawsze dałam spokój z mężczyznami i ograniczyłam się do udzielania rad, które ich dotyczą – zapewniła ją Evie. – Na nic się im już nie przydam. Dziękuję, że pani stanęła w mojej obronie.

– Pani Sneath ucieszy się, kiedy to usłyszy – odparła panna Charing z wielkim zadowoleniem. – Chętnie teraz będą panią przyjmować. Mam nadzieję, że mimo wszystko zobaczę panią na zabawie towarzyskiej. Może pani wtedy oceni, czy się dostosowałam do tych rad.

13

Po wyjściu Josephine Evie chciała wrócić do swojego haftu, ale lokaj pojawił się po raz wtóry.

– Ma pani kolejnego gościa, milady. Pannę Amy Pitney.

Evie nie była tym zaskoczona.

– Proszę ją do mnie przysłać.

Rozradowana Henny pojawiła się znowu, błyskawicznie zamieniła filiżankę panny Charing na czystą, a potem znikła.

Panna Amy Pitney poruszała się energiczniej niż panna Charing, a jej pantofelki zastukały po marmurze ze znacznie większą pewnością siebie. Zapewne mieszkała w domu równie lub nawet bardziej reprezentacyjnym.

– Dzień dobry, lady Wareham. Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani moja wizyta?

Powiedziała to tak, jakby nie żywiła najmniejszych wątpliwości, że zostanie życzliwie przyjęta.

– Miło mi panią widzieć, panno Pitney. Napije się pani herbaty? Jest świeżo parzona.

– Z przyjemnością, dziękuję.

Evie napełniła dwie filiżanki.

Pomyślała z rozbawieniem, że ta dziewczyna zadziera nosa. Podejrzewała jednak, że zachowanie panny Pitney wynika ze świadomości braku urody i przekonania, iż wyniosłość poprawi jej prezencję. Amy nie była jednak nieatrakcyjna. Miała owalną twarz, wyraźnie zarysowany podbródek, a ciemne oczy spoglądały bystro spod obfitych brwi. Zielona suknia wyjściowa znakomicie pasowała do jej karnacji i uszyta była według najnowszej mody, od falbanek przy rąbku spódnicy aż po kolor lamówek.

Rozejrzała się wokoło z zaciekawieniem. Oczy jej zatrzymały się na portrecie nad kominkiem.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, kto to był – przyznała Evie. – Zastanawiam się nawet, czy nie nadać mu jakiegoś nazwiska.

Panna Pitney przyjęła te słowa z uśmiechem. Była jednak nadal spięta, a jej uśmiech niezbyt wyrazisty.

– To, czego pani dokonała z dziećmi O'Flahertych, zrobiło na mnie wielkie wrażenie – zaczęła chłodnym tonem. Brzmiało to tak, jakby rozmawiała z guwernantką, którą miała zamiar zatrudnić.

Evie uniosła lekko brwi.

Nic jednak nie powiedziała. Stanowczo pannie Pitney dobrze by zrobiła szczypta pokory. A Evie ostatnio przekonała się o skutecznym działaniu krótkiego, strategicznego

milczenia, dzięki mężczyźnie, który posługiwał się nim jak bronią.

Panna Pitney miała na tyle taktu, żeby się zarumienić.

– Przyszłam tu z pewnego konkretnego powodu. Powiedziała pani do pani Sneath, że ma pewne doświadczenie w uzyskiwaniu tego, co chce osiągnąć, i że z największą chęcią podzieli się z nami swoją wiedzą o mężczyznach.

– Z pewnością tak właśnie powiedziałam.

Amy najwyraźniej dręczyło to, co miała za chwilę powiedzieć.

– Nie jestem ładna – zaczęła rzeczowo, unosząc arogancko podbródek. – W przeciwieństwie do pewnych osób, których wolałabym tutaj nie wymieniać. Już dawno pogodziłam się z tym, że muszę polegać na mojej bystrości i inteligencji, inaczej niż pewne trzpiotki, o których nie chcę tu mówić, oraz zamożności, aby zjednać sobie wielbicieli. Uznałam, że uzyskam w ten sposób lepsze rezultaty. Nie tak, jak pewni ludzie, nie będę o nich wspominać, którzy nie liczą się z cudzymi uczuciami.

Głos jej wciąż się podnosił coraz wyżej, a pod koniec stał się tak donośny, że zasłoniła usta i zaczerwieniła się, zaskoczona własnym wybuchem.

A zatem panna Pitney kryła w sobie tłumione namiętności.

Evie ciekawa była, czy Simon Covington, młodzieniec, któremu odebrało mowę na widok panny Josephine Charing, również je odczuwał. A także czy zaraz usłyszy więcej o uroku pastora.

– Mam wielbiciela, który wydaje się bardzo szczery w swoich uczuciach. Tylko że on jest przystojny. Bardzo przystojny. A ja wolałabym…

– Panno Pitney, czy mogę pani coś zasugerować?

Amy znów uniosła aroganckim gestem podbródek, zirytowana, że jej przerwano.

– Jeśli pani musi…

– Niektóre z najsłynniejszych kurtyzan nie były, powiedzmy, szczególnie urodziwe. Urok jest ważniejszy od wyglądu.

Panna Pitney znieruchomiała. A potem powtórzyła te słowa, mówiąc do siebie. Zafascynowana.

– Proszę uwierzyć we własny urok, a zacznie pani nim promieniować. Mężczyźni będą do niego ciągnąć niczym ćmy do lampy.

Może to była lekka przesada.

Jednakże panna Pitney rozmyślała nad tym przez dobrą chwilę. Całą twarz rozświetliła jej nadzieja i przez krótką chwilę wyglądała doprawdy czarująco.

– Nawet… nawet pastor?

Najwyraźniej postanowiła mierzyć wysoko, wyposażona w tę nową wiedzę.

– To rozumny człowiek – ciągnęła – i jestem pewna, że widzi rzeczy niedostrzegalne dla innych. Zawsze lubię mieć gotowy temat do rozmowy, jeśli chodzi o mężczyzn. Pastor przychodzi do nas na obiad co najmniej raz w miesiącu; mój ojciec jest miejscowym lekarzem, lady Wareham; i rozmawiamy wtedy o botanice. To miła pogawędka, zwłaszcza że za plebanią jest nieduży kawałek ziemi, który on uprawia…. a kiedy wygłaszał swoje kazanie o miłowaniu bliźniego, w jego głosie było tyle ufności! Czułam się wtedy tak, jakby… – urwała i uśmiechnęła się żałośnie. – Jestem pewna, że każda kobieta w kościele też czuła się tak, jakby mówił bezpośrednio do niej.

Co świadczyło, że naprawdę była inteligentna.

– Kobiety z Pennyroyal Green zapewne zrozumiały to kazanie optymistycznie – podsunęła jej dyplomatycznie Evie. – Miło im jest słyszeć mężczyznę mówiącego uprzejmie i życzliwie, podczas gdy ich mężowie uważają uczucia swoich żon za coś gwarantowanego.

– Gdy ktoś jest stale ignorowany, staje się spostrzegawczy, lady Wareham, i przypuszczam, że ze mną właśnie tak jest. Zapewne nie popełniła pani błędu w ocenie pastora, słuchając tego kazania, ale skoro znała pani aż tak… wielu mężczyzn, on nie musiał się pani wydać kimś wyjątkowym.

Urwała, być może w nadziei, że nastąpi teraz rozmowa o tych wielu mężczyznach.

Evie nie popełniła błędu w ocenie pastora, ponieważ wtedy zasnęła. Ale panna Pitney znów powiedziała coś trafnego.

– Po śmierci mego męża, hrabiego, zdałam sobie nagle sprawę, że nie myślę już o mężczyznach, obojętne, w jaki sposób – Evie zdecydowała się oznajmić z melancholijnym uśmiechem.

Przysięgłaby, że Amy Pitney niemalże odetchnęła z ulgą. Evie była pewna, że dzięki Amy usłyszy o tym każda kobieta w Pennyroyal Green i przekaże to natychmiast pani Sneath.

– A czy pani, panno Pitney… zależy na swoim wielbicielu?

Amy, zaniepokojona tą myślą, postukała paznokciem o brzeg filiżanki.

– Owszem – odparła miękko, jakby samej się temu dziwiąc, z lekkim uśmiechem. – A przynajmniej sądzę, że mi zależy. On ma tyle uroku, jest tak bardzo przekonujący… no i ma takie świetne maniery. Nie przypuszczam jednak, żeby szczerze mnie uważał za pociągającą. Nie mówi tego oczywiście ani nie zdradza swoim zachowaniem i właśnie dlatego, niech pani weźmie to pod uwagę, nie mam pewności, a nawet trochę się boję. Należy mu się ode mnie wdzięczność za jego względy, ale… czyż ludzie nie powinni się pobierać z miłości?

Evie wiedziała niejedno o byciu pożądaną za coś innego niż ujmująca osobowość.

– Po czym pani poznaje, lady Wareham, że mężczyzna jest szczery? Chciałabym, żeby mogła go pani poznać i powiedzieć, co o nim myśli. Widzi pani, ja wcześniej przeżyłam pewne rozczarowanie…

Jak się przekonać o szczerości mężczyzny? Znakomite pytanie. Evie rozważała je w milczeniu, pozwalając przepływać w myślach różnym obrazom. Jedna z odpowiedzi brzmiała: „kiedy wygra cię w karty i ożeni się z tobą ku powszechnemu zdumieniu”. Mnóstwo mężczyzn pragnęło ją mieć w łóżku; mnóstwo innych pożądało jej po prostu dlatego, że pożądali jej pozostali. Ale najwłaściwsza odpowiedź brzmiała: kiedy on nie gra z tobą w żadną grę. Kiedy nie wie, jak z tobą flirtować, mówi tylko to, co myśli, i nie osądza cię w żaden sposób. Kiedy pochlebstwo budzi w nim wstręt, a epitety – śmiech, i kiedy pragnie się mu coś powiedzieć, choć on jest wtedy akurat zbyt zajęty stawianiem nowego płotu lub pocieszaniem ludzi, a romans najwyraźniej wydaje mu się błahostką.

Wtedy wiadomo, że to ktoś całkiem szczery.

– Istotnie, szczerość jest u mężczyzn rzadkością – rzekła łagodnie. – Jeśli uda mi się uzyskać zaproszenie na zabawę taneczną, z pewnością powiem, co myślę o pani

adoratorze. Ale proszę uwierzyć w swój urok.

– Dziękuję, lady Wareham.

Evie uznała, że ta dziewczyna mogłaby stać się jej prawdziwą przyjaciółką.

Odprowadziła ją do wejścia, a potem towarzyszyła jej aż do furtki i pomachała Amy ręką na pożegnanie.

Patrzyła w ślad za nią, gdy Amy się oddalała.

Wreszcie odetchnęła głęboko, zadowolona z tego poranka. Uniosła głowę. Na niebie kłębiły się wielkie chmury, a słońce przeglądało przez nie, nadając im wspaniały, perłowy kolor. Obok ławki ogrodowej leżał długi szpadel pozostawiony tam przez ogrodnika, który niewątpliwie używał go do zasypywania nor myszy polnych lub do jakichś innych czynności. Może przyjdzie jej stać się jedną z tych kobiet, które pasjonują się uprawą róż? Nie sądziła bowiem, by kiedykolwiek mogła pasjonować się haftem.

Rozprostowała ramiona i miała już wrócić do domu, gdy zaniepokoił ją jakiś szelest. Odwróciła się ostrożnie.

Nagle jeden z pobliskich krzewów zatrząsł się cały.

Cofnęła się gwałtownie ze zdławionym krzykiem. A potem zamarła ze zgrozy, z ręką na gardle, bo krzak zaczął się kołysać tam i z powrotem, jakby ktoś próbował wyrwać go z korzeniami i rzucić nim w nią.

Sięgnęła po szpadel i uniosła go z rozmachem, gotowa do ataku na napastnika.

Krzak zakołysał się po raz ostatni i wyszedł zza niego pastor, otrzepując się niedbale.

Szpadel wysunął się jej z rąk i upadł na ziemię

– Och, co za diabeł…!

Spiorunowała go wzrokiem. Całym jej ciałem wstrząsnął teraz gwałtowny łomot serca.

– Nie, to wcale nie diabeł – powiedział. – Czy jest pani rozczarowana? – uśmiechnął się do niej pogodnie. – To ja. Nie musi pani krzyczeć na mnie po irlandzku. Ani mówić „cholerny”.

Miała szczerą ochotę to właśnie zrobić. Ten nieznośny człowiek, wynurzając się spośród krzaków, powinien był wyglądać śmiesznie. A tymczasem przypominał raczej leśnego bożka, satyra, z zielonymi listkami tkwiącymi wśród złotych włosów i na płaszczu.

– Może powinnam się przyzwyczaić do tego, że pan zawsze zjawia się niespodziewanie. Czuję jednak, że powinnam spytać, czemu pan myszkował wśród moich krzewów.

– Wcale nie myszkowałem. Upuściłem tylko coś, co się potoczyło dość daleko, i musiałem tego poszukać.

– Czy nie chodziło raczej o to, że dostrzegł pan Amy Pitney wychodzącą ode mnie i postanowił się schować, nim pana zobaczy?

– Z pewnością był to czysty przypadek, że upuściłem coś, co potoczyło się w krzaki akurat wtedy, gdy Amy opuszczała pani dom.

– Bóg pana uchronił.

Uśmiechnął się z przymusem.

– Ach, ale oto dowód.

Podał jej słoik.

– To dżem śliwkowy. Mieszkanki Pennyroyal Green są niezwykle szczodre, jeśli chodzi o… jak pani to nazwała podczas aukcji? Wszystko, co jest najlepszego w kobietach naszego wspaniałego kraju? Moja spiżarnia wprost pęka od przetworów.

Evie przyjęła słoik z wdzięcznością.

– Jakże mi miło, że zechciał się pan nimi ze mną podzielić.

Zaśmiał się, a jego śmiech był właśnie tym, czego potrzebował ten dzień, by stać się absolutnie pięknym. Serce ścisnęło się jej rozpaczliwie. Milczała, zmieszana, z pustką w głowie.

– To rozumna i bystra dziewczyna – powiedziała dyskretnie po chwili. – Amy.

– Owszem – zgodził się obojętnie.

– Lubi pana – dodała przebiegle. Chciała spojrzeć mu w twarz, kiedy to mówiła. Całkiem irracjonalnie.

Westchnął donośnie.

– Tylko zanadto się stara. Nie potrzeba jej wcale botaniki, żeby kogoś zafascynować. Jest ujmująca sama w sobie.

– Zaczynam się tego domyślać.

Nie dopatrzyła się żadnej tęsknoty w jego twarzy i ulżyło jej z tego powodu, co było wręcz groteskowe.

– Miałam dziś gości. Jestem panu za to wdzięczna – oznajmiła z niejakim triumfem.

– Miło mi to słyszeć – powiedział po chwili tak miękko, że o mało się nie zarumieniła. Na jego twarzy ujrzała odbicie swojej własnej satysfakcji.

– Pewnie to pana nie zaskoczy, pastorze Sylvaine, że młode kobiety z Pennyroyal Green przychodzą do mnie radzić się w sprawie mężczyzn.

Zastygł bez ruchu i przestał strzepywać z siebie liście.

– Naprawdę? – spytał powoli, z wielkim zaniepokojeniem.

– Nie mam prawa powiedzieć panu, kim była pierwsza, a przed drugą schował się pan w krzakach. Obydwu powiedziałam, że aby uzyskać admiratorów, powinny po prostu być sobą. Jest to najbardziej uniwersalna rada, jaką kiedykolwiek otrzymałam.

– I być może najbardziej niebezpieczna, jaką kiedykolwiek one otrzymały.

Uśmiechnęła się.

– Przyszedłem tu, żeby przynieść pani jeszcze coś innego.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął stamtąd książkę. Oby nie była to Biblia! – zapragnęła w duchu bardzo nieprawomyślnie.

– *Mity greckie* – przeczytała tytuł, kiedy podał jej tom. – Szkoda. Myślałam, że to może rozmówki francuskie.

Sprawdziła efekt, rzucając mu spojrzenie spod rzęs.

Pokiwał lekko głową ze słabym uśmiechem.

– Myślę, że powinny panią zainteresować zwłaszcza prace Herkulesa.

Przyjrzała mu się uważnie, ale miał nieprzeniknioną minę. Serce w niej niemalże zamarło.

– Czuję, że chce mi pan coś powiedzieć, pastorze.

– Prawie nic nie umyka pani uwagi, lady Wareham. Pani Sneath zwierzyła mi się, że jeśli pani poniecha swych grzesznych popędów dzięki ciężkiej pracy i poświęceniu…

– Jest pan rozczarowany?

– Właśnie wracam ze spotkania z nią, poświęconego wielkiemu zimowemu balowi. Powiedziano mi również, że damy mają kolejny projekt w związku z panią. Na ten wieczór. Jeśli będzie można panią zastać w domu.

– Zanim zostanę uznana za „możliwą do przyjęcia”?

Starała się, żeby to nie zabrzmiało ani trochę sarkastycznie.

– Nie wątpię, że będzie to dla pani fraszką.

– Czy wie pan, o co chodzi?

– Wiem. Nazwałbym to… nemejskim lwem. Oczywiście w nawiązaniu do prac Herkulesa. Nemejski lew przeobrażał się w piękną kobietę, by zwabiać wojowników do jaskini, gdzie przybierał z powrotem postać lwa, pożerał ich, a potem wrzucał szczątki do Hadesu.

Zapadło krótkie milczenie.

– Jak to ładnie ze strony lwa, że dzielił się swoimi zdobyczami z Hadesem – powiedziała słabym głosem.

– Ona mnie lubi – dodał Adam łagodnie. – To znaczy lady Fennimore.

Najwyraźniej było to imię lwa.

Oczy Adama Sylvaine’a błysnęły przewrotnie. Potem jego dłoń strzepnęła kilka drobnych listków, które przywarły do jego włosów, a ona nagle spostrzegła coś jaskrawoczerwonego.

Serce zaczęło jej szybko bić.

Krew. Na mankiecie jego koszuli.

– Pastorze… czy pan wie, że krwawi?

Z zakłopotaną miną przesunął dłonią po czole i przyjrzał się jej ze zdziwieniem.

– Pewnie ukłuła mnie gałązka głogu, kiedy…

Natychmiast znalazła się przy nim.

– Proszę mi to pokazać – zażądała.

Usłuchał jej od razu, zaskoczony. Podwinął rękaw płaszcza, rozpiął rękaw koszuli i zsunął go nieco z ramienia.

– To skaleczenie na ręce. Zapewne ukłułem się przez koszulę.

– Bardzo dobrze. Nie będzie więc trzeba niczego amputować – uśmiechnęła się do niego. – Proszę trzymać nadal ramię uniesione ku górze, żeby jeszcze bardziej nie powalać krwią koszuli, bo wątpię, czy ma ich pan wiele na zmianę. A teraz niech pan idzie za mną!

Odwróciła się i nie miała wątpliwości, że pastor to zrobi, bo kiedy mówiła takim tonem, wszyscy jej słuchali, nawet on.

Zrobił. Bez słowa.

Poprowadziła go ogrodową ścieżką obsadzoną zimowymi warzywami, a potem weszła z nim do domu kuchennymi drzwiami.

Kuchnia była pusta, ale zapach bułeczek pani Wilberforce unosił się jeszcze w powietrzu. Słońce przezierające przez chmury wpadało oknem, zmieniając i harmonijnie łącząc barwy szaf, wielkiego pieca kuchennego, stołu i krzeseł, liliowe i szare, perłowe i smoliście czarne. Jakby spowiła je któraś z chmur na zewnątrz.

– Musi pan zdjąć płaszcz – zażądała.

Zawahał się. A potem, nie spuszczając z niej wzroku, powoli ściągnął z siebie długi płaszcz z pelerynką i złożył go na oparciu krzesła. Potem zdjął surdut.

Wydało się jej sytuacją absurdalnie intymną, że stoi w przytulnej kuchni, przyglądając się, jak pastor zdejmuje z siebie odzienie. Patrzyła na niego i zarumieniła się niczym młoda dziewczyna.

Szybko odwróciła się tyłem i zaczęła przeglądać rząd słoików z nalepkami stojących na półce, póki nie wyciągnęła spośród nich jednego, z napisem „Dziurawiec". Potem postawiła na stole miskę z wodą.

Bez słowa ulokował swoje wysokie ciało na masywnym drewnianym krześle odsuniętym od starego dębowego stołu.

– Proszę podwinąć rękaw koszuli.

Stanęła koło niego z miską wody.

Podwinął rękaw, odsłaniając stopniowo ramię, a ona czekała na to z zapartym tchem, jak na odsłonięcie pomnika. Nic nie mówiła. Dlaczego nie wiedziała zawczasu, co będzie czuła w bliskości odkrytej skóry? Jego powściągliwość sprawiła, że nagość ramienia, gołego i bezbronnego, nabrała zbytniego znaczenia. Było nieco ogorzałe, bladozłote, a nie opalone na brąz. Silne nadgarstki, długie, eleganckie palce, odciski na dłoniach kogoś nawykłego do fizycznej pracy, błękitne linie żył, w których płynęła ta jego uparta krew, kędzierzawe złociste włoski – wszystko to, całkiem niepotrzebnie, wydawało się jej fascynujące.

Głównie dlatego, że mogła sobie go wyobrazić obnażającego resztę ciała.

Wreszcie ukazała się szrama na przedramieniu.

Chrząknęła.

– Ma pan chustkę? Czy może dał ją pan którejś z parafianek, podobnie jak rozdaje pan halsztuki?

– Nie, nie mam – odparł głosem stłumionym, ale też rozbawionym.

A wtedy ona, niczym magik kapę, powoli ściągnęła z piersi chustkę i zanurzyła ją w wodzie.

Sprawiło to, że zamilkł.

Gdy przysunęła się bliżej, wiedziała, że on wpatruje się w jej dekolt.

– Zainspirowała mnie pańska ofiara złożona z halsztuka – wyjaśniła. I spojrzała na niego z ukosa.

Nie odpowiedział. Wszystkie jego zmysły kazały mu wpatrzyć się półprzytomnie w jej ciało.

Ostrożnie obmyła skaleczenie z krwi, a on poddał się temu tak posłusznie, jakby był małym chłopcem.

– To tylko powierzchowne skaleczenie – powiedziała. – Nie trzeba będzie zaszywać rany.

Mogła się spodziewać po tym niezwykłym człowieku, że nawet imponujący widok jej piersi nie zdołał go wytrącić z równowagi. Dość szybko oprzytomniał. Ale jego puls gwałtownie przyspieszył pod powierzchnią jedwabistej skóry pokrywającej zaskakująco twarde mięśnie ramienia. Te muskuły zdawały się nie poddawać. Ileż kontrastów kryło się

w tym mężczyźnie! Czuła wzbierającą w niej falę opiekuńczości. A także wdzięczności za to, że mogła mu w czymś pomóc.

– Robiła to pani już przedtem? – Jego głos był cichy, ale nieco rozbawiony.

– Mnóstwo razy, pastorze.

– Bo musiała pani dbać o rodzeństwo?

– Tak.

– Pewnie trudno było o nie dbać samej, bez rodziców? – spytał po chwili wahania.

Przez chwilę przestała owijać mu ramię chustką. Zrozumiała, że nie było to właściwe pytanie, ale w jego głosie wyczuła pewną nieustępliwość.

Chciał ją poznać. Było to i radosne, i przerażające. Pozbawiło ją tchu.

– Chyba nie zastanawiałam się, czy to jest trudne, czy łatwe, po prostu tak wyglądało moje życie i robiłam, co trzeba. Moi bliscy byli wszystkim, co miałam. Oddałabym za nich życie.

Kiwnął tylko głową.

Wiedziała, że się jej przygląda. Skoncentrowała swój wzrok na jego ramieniu, ale czuła ciepło narastające w karku i ramionach.

– Mary O'Flaherty mówiła mi o swoim dziecku, pastorze – zaczęła, patrząc na niego. – O tym, które zmarło. Była panu bardzo wdzięczna.

– Ach, tak. – Jego twarz stała się nieprzenikniona.

W taki sposób rozmawiał, gdy czuł się wzruszony, już o tym wiedziała. Gdy nie chciał przyjmować podziękowań za swoją niezmierną dobroć. W taki sposób z nią rozmawiał, gdy kupił upieczone przez nią imbirowe ciasto.

Pewnie za swój całodzienny zarobek.

– Czy trudno jest być pastorem? – spytała cicho.

Zaśmiał się melancholijnie, zaskoczony.

A potem odetchnął energicznie, jakby zbierał siły do odpowiedzi.

Zdała sobie sprawę, że ona z kolei wstrzymała oddech, a jej tętno przyspieszyło w oczekiwaniu na odpowiedź. Nigdy jeszcze tak gwałtownie nie zapragnęła dowiedzieć się czegoś o tym człowieku.

– Chyba nie myślę o tym jako o trudzie. To po prostu moje życie.

Obydwoje spojrzeli na siebie i porozumiewawczo się uśmiechnęli. Ponieważ on powiedział o sobie w gruncie rzeczy to samo, co ona o sobie.

– Krew już nie cieknie, ale teraz będzie trochę piekło. – Odłożyła zniszczoną chustkę na bok, nabrała na palec maści z dziurawca i posmarowała nią ostrożnie ranę. Jego skóra była ciepła. Jej ruchy spowolniały. Dotknęłam jego nagiej skóry, pomyślała.

Nawet nie drgnął.

– Lady Wareham…

– Tak?

– Dlaczego dwaj?

Znieruchomiała, jakby ktoś zatrzasnął drzwi za jej plecami. Zaskoczyło ją to pytanie, ale opanowała się szybko.

On pytał, dlaczego tylko dwaj mężczyźni.

Chciał wiedzieć.

A ona chciała, żeby się dowiedział.

– Potrzebne mi były pieniądze na utrzymanie rodziny. A w teatrze nie zarabia się kroci, pastorze Sylvaine.

– Dlaczego? – nie ustępował. Żądał szczerości. Dość natarczywie. Jednak bez desperacji, raczej z niecierpliwością.

Czuła rosnące w niej napięcie. Była jak on osobą opanowaną, nieskorą do zrzucania z siebie brzemienia odpowiedzialności ani dzielenia się myślami z kimkolwiek. Rozmyślania, wyrzuty sumienia to zbędny luksus dla kogoś, kto miał tylko jeden cel – przetrwać. Zwierzenia, niczym płochliwe zwierzęta, nie chciały wyjść na światło dzienne. Strzegła ich pilnie.

– Dlaczego akurat ci dwaj mężczyźni czy dlaczego nie zostałam przyzwoitą szwaczką, pokojówką lub kwiaciarką? – spytała, z trudem wydobywając z siebie głos.

– I to, i tamto. – Krótko, węzłowato.

– Nie miałam dość zręcznych rąk, żeby zarabiać w ten pierwszy sposób, a zdechlibyśmy z głodu, gdybym wybrała to drugie.

– A ci mężczyźni? – naciskał. Wciąż z powściąganą natarczywością. Ale jego głos był niczym szlak, którym chciała podążyć po prostu dlatego, by przekonać się, dokąd prowadzi. W tym momencie zrozumiała, że z nim jest bezpieczna.

Do pewnego stopnia, oczywiście.

Wzięła się w garść.

– Widzi pan… pewnego razu Seamus wpadł w kłopoty. Rzecz jasna, nie z własnej winy, co to, to nie – dodała sucho. – Mój Seamus jest uroczy i ma dobre serce, ale zdarzało mu się być… trochę porywczym. Zamknęli go na jakiś czas. No i pewien członek parlamentu obiecał, że wyciągnie go z mamra, jeśli ja rzucę teatr i zostanę jego kochanką. Dotrzymał słowa i Seamus, zresztą na moje utrapienie, odzyskał wolność. A ten drugi mężczyzna… pewnie pan uzna, że zjednał mnie sobie większym bogactwem i lepszymi koneksjami.

Spojrzała na niego, żeby sprawdzić, czy twarz pastora odzwierciedla choć jedną jego myśl. Oczywiście nie dostrzegła niczego.

Zdawał się jednak słuchać jej z uwagą.

– Ten pierwszy rozstał się ze mną bardzo po przyjacielsku; starzał się, rozumie pan, i chciał wycofać się na prowincję. A ja mogłam wysyłać więcej pieniędzy Corze. Martwię się o nią. To moja siostra, ma mnóstwo dzieci, no i… A ten drugi poznał mnie z hrabią Wareham, za którego wyszłam.

Zamilkła. On też milczał.

Nic nie można było wyczytać z jego twarzy.

Zaczerwieniła się po uszy.

– Wiem, że wszystko to zgorszyłoby chyba każdą ze znanych panu osób. Ale wiele młodych kobiet, pastorze Sylvaine, zawiera podobne małżeństwa. Mogło się ze mną stać coś o wiele gorszego. Niech pan pomyśli o Mary O’Flaherty. Ci dwaj byli dość przyzwoitymi ludźmi. A ja wolałam przetrwanie, razem z moją rodziną, od prawie pewnej śmierci na ulicy.

W ciszy, która zapadła, delikatnie, powoli rozsmarowywała palcem maść po jego ranie

i czekała na wyrok. Na osąd, choć on utrzymywał, że nikogo nie będzie sądził.

Nie zdradził, co o tym myśli, i nie wyczuwała napięcia mięśni w jego ramieniu. Półmrok panujący w kuchni zdawał się otaczać ich bezpieczną zasłoną.

Milczenie trwało na tyle długo, by zrozumiała, że jego obecność i ciepło skóry pod jej palcami działają na nią niczym laudanum. Znów poczuła przemożną chęć, żeby mu się poddać, wtopić w niego, zniknąć w nim.

– Niekiedy jedyne dostępne dla nas wybory, nawet te wynikające z miłości, izolują nas – powiedział spokojnie.

Spojrzała na niego. Bez pośpiechu.

Oczy ich się spotkały.

Zrozumiał. Ona także. Kogóż on obchodził? Kto rozumiał, kim on naprawdę jest? Kto się o niego troszczył? Tutejsi ludzie widzieli w nim tylko odbicie własnych pragnień i potrzeb. Jawił się im jako zbiór samych zalet – przystojny, życzliwy, godny zaufania. Był tym, kim pragnęli, żeby był.

Podobnie jak ona.

– Pan jest… samotny. – To było jak objawienie. Ale nie dodała „także”. Wiedziała, że to rozumiał.

Skąd przyszła jej do głowy myśl, że jego błękitne oczy są łagodne i spokojne jak wody jeziora? Lecz w każdej wodzie kryje się siła: unoszenia na powierzchni, utopienia lub bezpiecznego wyniesienia na brzeg.

– Dwaj – powiedział miękko. Jakby odkładał na bok figurę szachową.

Rozchyliła usta, zamierzając zadać pytanie.

– W moim przypadku to dwie, lady Wareham.

Stała tak blisko, że widziała niewielką bliznę koło jego ucha. Że koniuszki jego rzęs są koloru ciemnego złota. Wszystko to stawało się dla niej rozpaczliwie cenne i drogie. Kształt jego twarzy utrwalił się w niej z bolesną czułością. Za oknem zaczął padać lekki deszcz, jego krople uwidoczniły się na szybie.

Powietrze zdawało się gęstnieć wokół nich niczym jedwabna sieć i otaczać obydwoje.

Tylko dwie. W gruncie rzeczy był prawie niewinny. Jakże inaczej niż wszyscy znani jej mężczyźni. I musiał o tym wiedzieć. A jednak chaotyczne myśli narastały w niej wraz z bezprzykładną zazdrością. Kto? Kto czuł na sobie twoje ciało? Kto poznał smak twoich ust, kto poczuł cię wewnątrz siebie? Kto splatał swoje nogi z twoimi, widział twoje rzęsy tuż przy swoim policzku, gdy spałeś z włosami rozrzuconymi na poduszce, kto czuł zarost kiełkujący rano na twoim podbródku?

Jaki jesteś, kiedy tracisz nad sobą kontrolę, pastorze Sylvaine?

– Jak dawno to było? – szepnęła.

Czas się zatrzymał. Istniały tylko ich oddechy, wzajemne odbicie w oczach i koniuszek jej palca, który zamarł bez ruchu na jego skórze. Przyspieszone tętno głucho pulsowało w nim, jak echo jej własnego. Czuła jego oddech, szybki, miękki i ciepły, na swojej twarzy.

A potem jego pierś uniosła się, gdy wypełnił ją powietrzem, zmagając się z własną wolą.

Powoli, bardzo powoli cofnął ramię. Wyprostował się w krześle i zwrócił twarz ku oknu. Chwycił blat stołu, kostki dłoni stężały mu i zbielały. Przełknął z trudem ślinę.

Nie patrzył na nią. Jakby nie wierzył sobie samemu, że może to zrobić.

– Muszę odwiedzić jednego z parafian – powiedział spokojnie.

Uratował ich oboje. Wiedziała o tym.

Wstawał powoli, jak ktoś oszołomiony lub zraniony. Sięgnął po płaszcz i zaczął go naciągać na ramiona.

Skinęła głową. Uczuła ulgę i zarazem, o dziwo, była zdruzgotana. Gdyby jej dotknął, byłaby zgubiona.

A gdyby ona dotknęła jego… też byłaby zgubiona.

Nadal stała blisko niego. Miała wrażenie, że jest naga. Nie była w stanie mówić.

– Dziękuję za opatrzenie mi ran – rzekł ze smutnym, słabym uśmiechem.

Dziękuję za doprowadzenie mnie niemal do zguby, pomyślała z ironią. Wciąż oszołomiona.

– Och, ja znam mnóstwo pożytecznych umiejętności.

Na Boga, po tym wszystkim zabrzmiało to jak najgorsza insynuacja.

– Wierzę pani – powiedział, z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. – Chyba zobaczymy się znowu w domu O'Flahertych?

– Sądzę, że tak. Spodziewam się, że nagrodą będzie zaproszenie mnie na zabawę za dwa tygodnie. Zabawę z muzyką i tańcami. Rzecz jasna, jeśli uzna się mnie za godną zaakceptowania.

Sporo czasu zabrało mu nałożenie kapelusza na głowę. Zupełnie jakby wymagało to od niego zaangażowania w całej pełni jego rozsądku i samokontroli. I jakby chciał się upewnić, że je odzyskał.

Potem przyglądał się jej przez długą chwilę z taką powagą, że pod tym spojrzeniem powietrze znów uciekło jej z płuc.

– Jestem znakomitym tancerzem, lady Wareham – rzekł miękko.

Zabrzmiało to jak obietnica i ostrzeżenie jednocześnie.

Dotknął pożegnalnym gestem ronda kapelusza i opuścił kuchnię.

– Czy to czasem nie pastor idzie ku nam przez trawnik? – spytała Josephine.

Pani Sneath, Amy Pitney i Josephine Charing wyjrzały przez okienko powozu, którym jechały po lady Wareham.

Bez wątpienia był to on. Pomachały mu przez oba okienka. A jednak nawet gdy podjechały bliżej, nie podniósł wzroku, mimo że słyszał turkot kół. Jakby zupełnie ogłuchł.

– Spójrzcie tylko na jego twarz! – oznajmiła pani Sneath. – Cały jest zatopiony w myślach! Czyżby dostąpił jakiegoś cudownego objawienia?

– Rzeczywiście, na to wygląda – mruknęła w zamyśleniu Amy Pitney.

– Jakiż z niego dobry człowiek… – ciągnęła uparcie pani Sneath.

– Gdzie też, jak sądzicie, pójdzie? – spytała tęsknym głosem Josephine, odprowadzając go wzrokiem.

– Do nieba, oczywiście – upomniała ją pani Sneath.

– A gdzie, jak sądzicie, był? – odezwała się Amy Pitney.

Wszystkie trzy zwróciły głowy w kierunku, skąd pastor przyszedł.

Droga wiodła do Damask Manor.

– Miał widocznie ważne duszpasterskie obowiązki – oświadczyła pani Sneath, rzecz jasna w sposób stanowczy. Jakby siła jej przekonania mogła sprawić, by było to prawdą.

14

Dwie godziny później pani Sneath, Josephine Charing i Amy Pitney odprowadzały Evie do domu lady Fennimore.

– Lady Fennimore jest bardzo wiekową wdową. Bardzo lubi mieć kogoś do towarzystwa, bo już nie wychodzi z domu. Może pani coś jej poczytać – zasugerowała Evie pani Sneath. – Coś budującego dla was obydwóch.

Wsunęła Evie do rąk Biblię. Pierwszy krok został zrobiony.

– Ona jest straszna – szepnęła do niej Josephine, gdy pani Sneath nie mogła już usłyszeć jej słów. – Co za okropna stara dama! Nawet jeśli nie uroniła pani ani jednej łzy od lat albo nawet nigdy w życiu nie płakała, to założę się, że ona znajdzie na to sposób! Nawet Amy Pitney, która ma serce jak głaz, rozpłakała się przy niej. Słowo daję!

– Wpadło mi wtedy do oka trochę kamfory, a kamfora piecze – odparła urażona Amy. – U niej w pokoju pełno jest tego paskudztwa.

– Jenny, jej córka, potrafi jakoś to wszystko wytrzymać. Mówi, że matka nie zawsze taka była, choć ja w to nigdy nie uwierzę. Ale lady Fennimore lubi pastora.

Amy powiedziała to takim tonem, jakby mówiła: „Któż go nie lubi?”

Pozostawiły ją na progu domu lady Fennimore, obiecując wrócić po nią za dwie godziny.

Nieśmiała młoda dziewczyna imieniem Jenny, córka lady Fennimore, wpuściła ją do domu tylko nieco bardziej imponującego niż jej własny. Evie nie dojrzała jednak nigdzie żadnych rozrzuconych ludzkich szczątków, co – jak uznała – było obiecujące.

A potem została wprowadzona do przeraźliwie przegrzanego pokoju, gdzie na kominku buzował ogień, a zasłony były całkowicie rozsunięte, pozwalając słońcu wpadać do wnętrza. Na środku pokoju leżała w łóżku stara kobieta.

– Aha, to ty jesteś tą dziwką, o której wszyscy plotkują jak najęci?

Miała ogromne, błękitne oczy, a jedyną rozrywką, jaka jej pozostała na starość, była najwyraźniej chęć szokowania bliźnich, co czyniła z prawdziwą satysfakcją.

– Czy rzeczywiście plotkują o mnie, lady Fennimore? – spytała Evie uprzejmie. – Ale przecież ktoś nie może być dziwką, jeśli mu nie płacą za usługi. A mnie za nie wcale nie płacono Bóg jeden wie jak długo. Wątpię w takim razie, czy można mnie za nią uznać.

– Czy mam przez to rozumieć, że robisz to wyłącznie dla przyjemności? – Lady Fennimore zmrużyła oczy.

– A czy może istnieć lepszy powód?

Lady Fennimore po usłyszeniu odpowiedzi milczała przez chwilę.

Ale tylko przez chwilę.

– Rodzenie dzieci – rzekła urażonym tonem. – Wydałam kilkoro na ten świat.

– Oczywiście. Płodzenie dzieci to wspaniały pretekst, żeby móc się z kimś kochać. Zadam pani zagadkę, lady Fennimore. Jak pani sądzi, co w sumie rozstrzyga o różnicy między dziwką a żoną?

Lady Fennimore zdawała się przez chwilę namyślać.

– Wprawa – wyjaśniła Evie.

I nie do wiary, ale lady Fennimore uśmiechnęła się, choć słabo, z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Wszystkie robimy to za pieniądze, jeśli przyjdzie co do czego. Sprzedajemy się, zawierając małżeństwo. Może twój sposób jest nawet i lepszy? Ale po co one kazały ci tu przyjść? Czy chcą mnie wcześniej posłać do grobu, żeby nie musiały się głowić, którą z kolei gęś mają mi przysłać?

– Sądząc z pani wyglądu, lady Fennimore, nieprędko znajdzie się pani w grobie.

Lady Fennimore spojrzała na nią gniewnie i powolutku uniosła drżącą głowę kilka cali nad poduszką. Jakby usiłowała zdjąć ją z karku i cisnąć nią, niczym kulą armatnią, w Evie.

Potem znów opadła na poduszkę.

Chwilę później uśmiechnęła się do niej.

– Miała pani chyba ciekawe życie? – spytała Evie.

– Nie tak bardzo jak twoje, moja miła. Kiedy komuś brak moralnego kompasu, można zmierzać w dowolną stronę. Pozwala to, jak przypuszczam, na zyskanie wielu doświadczeń niedostępnych większości z nas.

– Ma pani na myśli gęsi?

Lady Fennimore znowu się uśmiechnęła, tym razem ze szczerym zadowoleniem.

– Nie jesteś jedną z nich, prawda?

– Przyznam szczerze, że nigdy nie miałam takiego szczęścia.

– No to jak się tu znalazłaś, moja miła? Co ty możesz mieć wspólnego z tymi mdłymi damulkami ze stowarzyszenia, z ich wspieraniem ubogich i takich nieszczęsnych kalek jak ja? – Uśmiechnęła się szelmowsko przy tych słowach.

– Dopiero co przybyłam do Pennyroyal Green, lady Fennimore, i chciałam zyskać sobie przyjaciół. A wspieranie ubogich może być doskonałym sposobem, żeby uniknąć nudy.

– To, że cię do mnie wysłały, trudno uznać za przyjacielską przysługę. Powiedziałabym raczej, że próbowały się ciebie pozbyć, skoro miałaś czelność pragnąć zaprzyjaźnienia się z tymi zarozumiałymi babami. Zbyt łatwo jednak można je doprowadzić do płaczu. Jakież one są głupie! A że nie mogę się już ruszyć z tego łóżka, kpię z nich i robię im na złość, żeby mieć jakąś rozrywkę.

– Dziwka może sporo wytrzymać. Zapewniam panią, że ja nie będę płakać. Proszę sobie kpić!

Lady Fennimore zachichotała z rozbawieniem, ale jej chichot zamienił się zaraz w kaszel i nękał ją, dopóki z przymkniętymi oczami nie opadła na poduszkę.

– Proszę. – Evie podała jej chusteczkę.

Siedziały razem bez słowa przez jakiś czas. Evie rozglądała się po pokoju, chcąc w ten

sposób dowiedzieć się czegoś o lady Fennimore.

– Słyszałam, że wyszłaś za hrabiego.

– Tak. Ale potem on umarł, a ja zostałam zupełnie sama.

– Składam ci wyrazy współczucia, moja miła. – Zabrzmiało to szczerze. – Ale mówią, że go zabiłaś.

To również zabrzmiało szczerze.

– Serce mu odmówiło posłuszeństwa. Za wiele… aktywności małżeńskiej.

– Ach, rozkosze wspólnego łoża.

– Założę się, że w swoim czasie poczynała sobie pani bardzo swobodnie, lady Fennimore.

Stara dama nieoczekiwanie zaniepokoiła się.

– Rozmawiałaś może z pastorem?

– Ach, więc wyznała mu pani swoje sekrety? Chyba wszyscy to robią! Czuję jednak, że nigdy nie zawiódł niczyjego zaufania.

– To dobry człowiek – przyznała lady Fennimore, wyraźnie uspokojona. – Ale na miłość boską, nie mów mu tego. Wystarczyłoby to, żeby uczynić przystojnego mężczyznę nieznośnym. O dobru przesądzają starania, widzisz, a ja nie powinnam chcieć, żeby on przestał się starać.

Interesujący komentarz dotyczący mężczyzny, który był, według Henny, „lepszy". O dobru przesądzają starania.

– Widzisz, ja jeszcze nigdy w życiu nie zetknęłam się z kurtyzaną, jak to się ładniej nazywa. Czy byłaś kiedyś zakochana, moja miła? Czy też jest to zabronione w twojej profesji?

– Nic w niej nie jest zabronione – odparła Evie prowokacyjnie. – Wręczono mi Biblię, żebym pani poczytała. Możemy zaczynać?

Lady Fennimore machnęła lekceważąco ręką.

– Czytałam ją już z milion razy, więc po co mi jeszcze jeden? Czy kochałaś swego męża? A jak ci właściwie na imię?

– Może mnie pani nazywać Evie. Starałam się, żeby mu było dobrze.

– Ach. A więc go nie kochałaś. Widzę to po twojej twarzy.

– A pani kochała swojego?

– Tak.

– Ale nie była pani w nim zakochana. Widzę to po pani twarzy.

– Trafiłaś w sedno, moja miła.

– A w kim pani była zakochana?

– Ależ ty masz tupet! – Lady Fennimore uniosła rękę i uderzyła nią o pościel z rozbawieniem.

– Myślę, że pani nie znosiła nudy.

– Hm. A wiesz, przypominasz mi naszego pastora. Nie tylko dlatego, że obydwoje traktujecie mnie ze zrozumieniem. To raczej rodzaj… czystości moralnej.

Evie wręcz zamurowało.

– Nikt mi jeszcze nie zarzucał czystości moralnej, lady Fennimore!

– Może dlatego, że ty byłaś zła, a on jest dobry. Ale myślę, że jesteście oboje

nieustraszeni. To wymaga siły.

– Tak samo jak bycie nieustraszonym, kiedy się stoi nad grobem.

Lady Fennimore znów zachichotała.

– Coś mi się zdaje, że miała dla mnie pani w zanadrzu jakąś ciężką próbę, lady Fennimore. Co my im powiemy?

– A ty się chcesz z nimi zaprzyjaźnić!

– Owszem. Myślę, że je lubię.

Lady Fennimore z powątpiewaniem pokręciła głową.

– No dobrze. Powiem im, że pilnie czytałaś mi Biblię. I poproszę je, żeby przysyłały mi tę dziwkę jak najczęściej, zanim przeniosę się na tamten świat.

– Wcale się nie czuję dotknięta tym słowem, lady Fennimore.

– Dotykanie to coś rodem z twojej poprzedniej profesji… – odparła ze znużeniem. – Ale wiesz, przeczytaj mi jednak coś z Biblii, bo chciałabym się zdrzemnąć. Domyślam się, że to pani Sneath nakazała ci tę lekturę.

– Hej! Ratafia stoi przy tylnej ścianie – powiedział Colin. Prawidłowo odczytał wyraz twarzy Adama, który przybył samotnie na zabawę taneczną, zastając na niej dość już podochoconą ciżbę mieszkańców Pennyroyal Green i znaczniejszych notabli hrabstwa Sussex.

– Miałem nadzieję na coś mocniejszego. Chciałbym się dziś wieczór wzmocnić.

Adam nie był wrogiem rozrywki, ale miał przeciw sobie całą serię pustych karnetów balowych i tęskne spojrzenia kobiet.

Pan i pani Eversea uprzejmie udostępnili swoją mniejszą salę balową na zabawę taneczną. Był to przejaw szczodrości, którego okazjonalnie oczekiwano od nich jako filarów społeczności Pennyroyal Green. Podobnie zresztą jak od Redmondów.

– Brandy byłaby znakomita. Pójdę z tobą do…

Zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Jakby wypił całą butelkę najlepszej brandy Jacoba Eversea.

Włosy miała spięte nisko na karku. Kremowe rękawiczki z giemzy sięgały jej po łokcie, a ramiona były niemal nagie, zważywszy wyjątkowo skąpe rękawki. Nie dostrzegł żadnej biżuterii. Ale to były jedynie pomniejsze detale. Linie, kontrasty barwne – czerń i śmietankowa biel – perłowy połysk, giętki kontur szyi, gors, delikatne ramiona, wąska talia i opływowe biodra poniżej – okazały się istnym wcieleniem Pieśni nad Pieśniami. Była czymś bardziej rzeczywistym niż wszyscy inni w sali. Gwiazdą Polarną na firmamencie pełnym drobnych gwiazdeczek.

Stała przy Josephine Charing i obie przeglądały coś, co okazało się karnetami balowymi. Nie zauważyły go jeszcze. Choć dzięki sile jego spojrzenia mogłaby teraz wirować niczym kurek na dachu.

Colin podążył za jego wzrokiem.

– Amy Pitney wygląda dziś bardzo ładnie – rzekł szelmowskim tonem.

Adam go nie usłyszał.

– Obawiam się, że podejdziesz prosto do niej. No spójrz, jeden krok, dwa kroki…

jeszcze jeden, a zacznę twierdzić, że straciłeś głowę… Adam!

Adam zatrzymał się. Rzeczywiście zmierzał w jej kierunku. Jakby była środkiem ciężkości, a on musiał się poddać sile jej przyciągania.

Odetchnął ciężko i zwrócił wzrok na Colina. A Colin patrzył na niego i przynajmniej raz wyglądał poważnie.

– Stary chłopie…

Zniecierpliwiony Adam wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i pokręcił głową.

Colin wyglądał tak, jakby łamał sobie nad czymś głowę.

– Weź pod uwagę, że wszyscy się tu wzajemnie obserwują. Będą patrzeć na ciebie, Adamie.

Ostrzeżenie to nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

– Zmieniłem swoje zamiary co do brandy – uciął.

Colin posłał mu ostatnie, przeciągłe spojrzenie.

Adam nie zorientował się, kiedy Colin opuścił go dla brandy, kiwając głową.

– Myślę, że powinnaś wyglądać skromnie – doradziła jej Henny. – Wtapiać się w tło – dodała z mniejszą już pewnością siebie, gdyż Evie zawsze i wszędzie rzucała się w oczy. A zatem krój sukni miał być powściągliwy, włosy związane w prosty węzeł. Nie powinna wyglądać tak, jakby usiłowała być podziwianą, wabić do siebie, usidlać lub demoralizować. Evie postanowiła, że żadna zakonnica nie zachowywałaby się tego wieczoru tak nieskazitelnie jak ona.

Wiedziała jednak, że na nią patrzą, choćby rzucając przelotne spojrzenia. Była do tego przyzwyczajona. Była przyzwyczajona do zachowywania się tak, jakby grała jakąś rolę na scenie. Chciała się okazać wręcz nieznośnie bezbarwna, aby goście wkrótce zajęli się swymi prywatnymi dramatami i nadziejami, gdyż – jak wiedziała z doświadczenia – sala balowa nieodmiennie je wyjaskrawia.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni niemalże zdołała ich sobie zjednać, a oni ją, choć wciąż traktowana była z pewną rezerwą. Parę dam złożyło jej wizytę. Kilka razy była u O'Flahertych. Pokazywała się w kościele i już tam nie drzemała. No i po raz pierwszy chyba w dziejach Pennyroyal Green lady Fennimore serdecznie i jawnie kogoś zaaprobowała, choć zdaniem Evie mieszkańcy miasteczka powinni to byli uznać raczej za ostrzeżenie niż aprobatę.

– Jeszcze nie przyszedł. – Amy Pitney wpatrywała się uparcie w wejście do sali balowej. – Zatrzymał się obok z przyjaciółmi, a wiem, że wszyscy się tu zjawią. Och, zapewniam panią, że trudno go nie zauważyć. Jest tak przystojny jak wszyscy Eversea, wie pani, tym rodzajem urody, który sprawia, że serce zaczyna żywiej bić już wtedy, kiedy się go widzi pierwszy raz. Doprawdy, czasem to jest niepokojące. Ale… wie pani, ja myślę, że on zamierza dzisiejszego wieczoru pomówić z papą.

Amy mówiła o swoim wielbicielu, ale jej wzrok powędrował ku młodzieńcowi stojącemu wśród grupy młodych ludzi otaczających Josephine Charing. Ona zaś zdawała się gawędzić wesoło, bo jej usta poruszały się nieustannie. Od czasu do czasu milkła jednak i słuchała z atencją jednego z nich.

Młodzieńcy byli tym zachwyceni.

Na twarzy panny Pitney pojawiło się napięcie, które postarała się z wysiłkiem powściągnąć. Evie podejrzewała, że serce Amy wyrywa się wprost ku jej ukochanemu, ale jest przez nią trzymane w ryzach.

– Czy zna pani tego młodzieńca? – spytała Evie od niechcenia.

– To Simon Covington, mój sąsiad. Znam go od zawsze – odparła obojętnym głosem.

Evie wyczuła, że w tym pozornie obojętnym zdaniu wiele się kryje.

– Jemu naprawdę zależy na tej niemądrej trzpiotce – dodała cierpko Amy.

– A pani zależy na nim – rzekła Evie.

Amy otworzyła szeroko oczy i zacisnęła mocno wargi, ale potem poddała się z westchnieniem.

– Skąd pani wie?

– Umiem obserwować, panno Pitney.

Amy uśmiechnęła się gorzko.

– Widzi pani, zawsze mi na nim zależało. Spostrzegłam, że wpatruje się z rozmarzeniem w Josephine, odkąd tylko… odkąd pojawiło się u niej to, co wypełnia stanik. Od czternastego roku życia.

– Czy pani przypuszcza, że ona ma jakieś godne podziwu cechy? – spytała Evie oschłym tonem. – Panno Pitney, uważam, że jest pani dostatecznie bystra, by zrozumieć mnie, kiedy powiem, że wiadomo mi coś niecoś o wątpliwej przyjemności bycia zredukowaną do sumy części. Do bycia równie pożądaną, jak pogardzaną za nie. Jest to równie nieuczciwe, jak bycie pomijaną tylko dlatego, że uważa się pani za niełądną.

Panna Pitney zamrugała. Evie miała wrażenie, że nikt jeszcze nie mówił z nią tak otwarcie.

Amy miała na tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić. Westchnęła.

– Josephine to w zasadzie całkiem miła osoba. Jest dobrą córką, z oddaniem pomaga ubogim, lojalnie traktuje przyjaciół i była moją przyjaciółką, póki… póki jej nie utraciłam. Ale nie zwraca wcale na niego uwagi, a ja uważam to za niewybaczalne. A Simon jest taki zrównoważony, inteligentny, uprzejmy i… i ma jeszcze wiele innych zalet. Wiem, że cierpi, kiedy ona wodzi oczami za pastorem albo kiedy inni chłopcy z nią gawędzą. Oczywiście, on mi tego nie mówi. Ale ja o tym wiem. Pogodziłam się już z tym, że jemu nie zależy na mnie tak, jak mnie na nim. I pewnie nigdy nie będzie mu na mnie zależało. Nie jestem niemądra. Nie tak, jak Josephine, która, mimo że niezbyt dobrze sytuowana, to jej jedyna suknia balowa, może pani dojrzeć, że ma pocerowany obrąbek i była już reperowana, ciągle chce wyjść za mąż z miłości. Trzeba przecież być pod tym względem rozsądną.

Zadarła swój świadczący o uporze podbródek. Jakby zamierzała energicznie uporządkować swoje uczucia.

Evie wiedziała, że inteligentne dziewczęta często usiłują wyperswadować sobie zawód sercowy. Ale nigdy przedtem nie słyszała swojej własnej filozofii życiowej – trzeba być pod tym względem rozsądną – z cudzych ust i była wstrząśnięta tym, jak odstręczająco to zabrzmiało. Nie życzyła tej filozofii żadnej osobie, na której jej szczerze zależało, a jednak w całym swoim życiu właśnie nią się kierowała.

Z konieczności, usiłowała sobie wmówić. Może tak i było. Ale zastanowiło ją, czy konieczność z czasem nie przerodziła się w nawyk, a potem w tchórzostwo.

„Mogłabyś raz spróbować”, powiedziała jej Henny.

Na samą myśl o tym Evie poczuła się nagle zagubiona, zdenerwowana i przygnębiona, jak dziecko, które wymknęło się z zatłoczonej sali balowej bez wiedzy rodziców. Rzadko zdarzało się jej doświadczyć czegoś nowego, ale teraz tak się właśnie stało. A nie było to coś, czego można nauczyć się dzięki naśladownictwu.

Oczy jej nieustannie szukały czegoś w tłumie, odkąd tylko tam przyszła.

Nareszcie.

Adam Sylvaine stał pośrodku sali, a pod jego wzrokiem jej serce zapłonęło niczym fajerwerk. Zdawało się jej, że coś je rozsadza i unosi w górę, całe w niesłychanej glorii.

Rozpaczliwie chciała mu rzec: nie patrz na mnie w ten sposób! Rozświetlał ją tym wzrokiem, jakby skierował na nią światło latarni.

Z pewnością zwróciło to uwagę wszystkich obecnych.

Z niesłychanym wysiłkiem odwróciła głowę, wyczuwając jednak, że robi to nienaturalnie. I przez chwilę stała się zakładnikiem własnego, bijącego z szaleńczą szybkością serca.

Aż wreszcie spostrzegła, że Amy Pitney przygląda się jej bardzo uważnie. Poczuła się skonfundowana, uświadamiając sobie, że nie wie, czy minęły sekundy, czy też cała wieczność, odkąd znieruchomiała pod wpływem spojrzenia pastora. A panna Pitney jej tego nie wyjaśni.

Usiłowała się opanować. Przynajmniej wiedziała już teraz, co ma powiedzieć Amy.

– To, co pani czuje względem Simona, panno Pitney, powinien odczuwać wobec pani adorator. Zapewne chce pani dla Simona jak najlepiej, bez względu na to, co się potem stanie, a jeśli owo „najlepiej” oznacza, że panna Charing odwzajemnia jego względy… to niech tak będzie. Pani musi rozstrzygnąć, czy tak jest, i co począć z tą informacją, jeśli ją pani rzecz jasna otrzyma.

Pannie Pitney chyba się spodobała ta rada.

– Przedstawię go pani, kiedy się tu zjawi – uśmiechnęła się. Był to uśmiech, który uczynił Amy Pitney prawdziwie ładną i Evie przyłapała się na myśli, że ów adorator sprawi być może, by uśmiechała się częściej.

Evie postanowiła podejść ku wazie z ponczem. Panna Charing stała tam już i wpatrywała się tęsknie w rząd kanapek. Uradował ją widok Evie.

– Och, dobry wieczór, lady Wareham! Jakże się cieszę, że pani przyszła. Zrobiłam to! Dzisiejszego wieczoru zaczęłam wynajdywać w dżentelmenach cechy godne uznania. Znalazłam nawet taką cechę w panu Henrym Grundym, choć niełatwo mi to przyszło. Według mnie on chyba nosi gorset, żeby móc zapiąć guziki koszuli na swoim brzuchu.

– Naprawdę? – zaśmiała się Evie. – To podnoszące na duchu wiadomości, panno Charing. Co pani się w nim spodobało?

– Podziwiam to, z jakim zapałem bierze udział we wszystkich rozrywkach, odkąd został wdowcem. Jakie to wzruszające, prawda? Powiedziałam mu więc, że podziwiam tę

jego wytrwałość.

– Niemożliwe! A co on na to?

– No cóż, on… – Josephine nachyliła się ku niej, mówiąc szeptem – …zaczerwienił się. I poprosił mnie o taniec, bardzo uprzejmie. Zgodziłabym się, ale mój karnet jest już wypełniony, więc musiałam mu odmówić. Może pani chciałaby z nim zatańczyć? Skoro nie jest pani zainteresowana ponownym zamążpójściem ani mężczyznami w ogóle, to mogłaby pani w takim razie zatańczyć z grzeczności ze wszystkimi mężczyznami, którzy nie szukają sobie żony albo nie mogą znaleźć odpowiednich partnerek. Pani jest przecież taka życzliwa!

„Taka życzliwa". Evie była wprawdzie zakłopotana, ale też i zadowolona, że jest postrzegana w ten sposób.

– Cóż to za oryginalny pomysł! A więc mam być nagrodą pocieszenia! Jakże mi miło, że mogę się okazać użyteczna. Zawsze marzyłam o tym, aby zatańczyć z mężczyzną, który nosi gorset.

Josephine uśmiechnęła się niepewnie; najwyraźniej nie wiedziała, czy Evie żartuje, czy nie. Niech Bóg błogosławi biorących wszystko dosłownie, pomyślała Evie.

– Wie pani? Znalazłam coś godnego uznania w Simonie Covingtonie. Stanęłam, żeby się nad tym zastanowić. No i…

Evie podążyła za wzrokiem Josephine. Simon Covington, szczupły młodzieniec, patrzył na nią wielkimi, ciemnymi oczami, jedynym atrakcyjnym rysem w jego pociągłej, wrażliwej twarzy.

– On potrafi bardzo uważnie słuchać. Nie sądzi pani, że to uprzejme z jego strony? A jego oczy są… – Josephine urwała na moment. – One są brązowe – powiedziała z rozmarzeniem.

– Z pewnością są właśnie takie – zgodziła się Evie.

– No i śmieje się, kiedy powiem coś zabawnego. I spytał o zdrowie mojej matki.

– Jest w nim więc wiele godnych podziwu cech. Czy powiedziała mu pani jakiś komplement?

– Hm… próbowałam to zrobić. Ale najdziwniejsze jest to, lady Wareham, że kiedy na mnie patrzył… minutę temu… ja po prostu nie mogłam wydobyć z siebie głosu…

Evie uśmiechnęła się do niej, szczerze zadowolona z takiego obrotu sprawy. Potem zaś uniosła się na palcach i zajrzała do karneciku balowego Josephine.

– Proszę tak postępować nadal, panno Charing. Ale co to? Sądziłam, że ma już pani zarezerwowane wszystkie tańce, a widzę, że został tu jeszcze walc.

– Och… – Josephine spłonęła rumieńcem.

A potem nachyliła się ku niej i powiedziała konfidencjonalnym szeptem:

– Zawsze zostawiam sobie jednego walca, na wypadek gdyby zechciał go zatańczyć ze mną pastor. Tańczyłam z nim tylko jeden jedyny raz. Sięgam mu głową do kołnierzyka. – Zastanawiała się nad tym przez chwilę. – Wyobrażam sobie zwykle, że to ja mam przywilej przyszywania mu guzików do koszuli.

Przywilej. Evie przypomniała sobie opatrywanie jego rany. Odczuwała to dokładnie w taki sam sposób.

– Czy zawsze zostawia sobie pani jednego wolnego walca? – spytała ostrożnie.

– No, bo… czasem ma się ochotę popatrzeć na niego. Albo słuchać go. Ale co do Simona… myślę, że to właśnie on chce popatrzeć na mnie. I słuchać mnie. A ja wtedy czuję… ja wtedy czuję… – ciągnęła z zamglonym wzrokiem.

– To bardzo dobry znak, jeśli nie może pani dokończyć zdania, myśląc o mężczyźnie.

Josephine mruknęła coś z roztargnieniem. Patrząc na Simona.

– Nie wiem, czy pastor Sylvaine istotnie byłby rozczarowany, gdyby pani zatańczyła tego walca z Simonem – zachęcała ją Evie. Wiedziała jednak, że Josephine jej nie usłyszy, gdyż Simon Covington oderwał się akurat od ściany, o którą się opierał, i szedł ku nim z uśmiechem tak promiennym, jak czubki jego wyczyszczonych do połysku butów.

Evie, która zwykle znajdowała się, niczym błyszczący świecznik, w samym centrum wydarzeń, mogłaby równie dobrze być tapetą ścienną, bo wydawał się wcale jej nie dostrzegać.

A choć cieszyło ją, że Josephine zdawała się darzyć Simona względami, na które zasługiwał, pomyślała ze współczuciem o Amy Pitney.

Amy była bowiem kolejną osobą, która wiedziała, że miłość jest rzadkim przywilejem, i postanowiła raczej żywić nadzieję niż rozczarowanie, co wymagało wielkiej odwagi.

Patrzyła, jak Adam tańczy z młodymi kobietami z miasteczka. Patrzyła na ich rozradowane twarze, gdy okręcał je wokoło, przyglądając się im uważnie i zapewne mówiąc do nich dokładnie to, co trzeba. Tańce szkockie, kadryle, dwa walce. Znalazła sobie nierzucający się w oczy zakątek koło ratafii. I patrzyła.

Ze zwykłej ciekawości i aby dokonać oczyszczającego aktu miłosierdzia – a także dlatego, że nikt nie poprosił jej do tańca, bo przypuszczano zapewne, że wciąż jeszcze, jako wdowa, nie będzie chciała brać udziału w zabawie – zatańczyła z dżentelmenem w gorsecie. Nawet mimo muzyki mogła słyszeć, jak trzeszczy on niczym skórzane siodło. Ale była w tym mężczyźnie galanteria – Josephine miała rację.

Odkryła, że nie tęskni wcale za pochlebstwami, za rojem mężczyzn ubiegających się o jej względy, za pełnymi zazdrości spojrzeniami, za intrygami, za flirtem, za nieustanną świadomością, kim jest. Czuła się bez tego lekka jak pajęczyna. Podeszła ku wazie z ponczem tak ukradkowo, jak tylko można, a potem wsparła się o popiersie, jak na ironię, Herkulesa, żeby przyglądać się balowi.

Przypadkiem podsłuchała trzy młode damy, które z chichotem rozprawiały o tym, czy będą miały tyle szczęścia, by zatańczyć tego wieczoru walca z pastorem. Najwyraźniej owe walce były czymś rzadkim i pożądanym.

– A niech mnie! Lady Wareham! – usłyszała za sobą znajomy głos. – Jakże mi miło widzieć panią w Pennyroyal Green.

Odwróciła się i ujrzała Colina Eversea.

Był imponującym szaławiłą, jak zawsze. W jego oczach koloru morskiej wody wciąż lśnił ten sam blask. Nadal miał pełną niedbałego wdzięku sylwetkę i nadal był jeszcze smukły. Trochę tylko zesztywniał z wiekiem, jak zresztą wszyscy Eversea.

I ukłon Colina, i dygnięcie Evie były podszytym ironią żartem.

– Dobrze wyglądasz, Colinie.

– A ty, Evie, olśniewająco, jak zawsze. Kiedy cię ostatni raz widziałem, śpiewałaś pełną wigoru piosenkę o piratach. A może to był *Le Mistral* z signorą Licari w głównej roli? Dobre towarzystwo wiele mówiło i o tobie, i o twoim kostiumie.

– A kiedy ja ostatni raz widziałam ciebie, zniknąłeś spod szubienicy jak w obłoku dymu.

Skinął głową, słysząc tę cierpką uwagę. Obydwoje mieli powód, żeby żałować przeszłości.

– Przyjmij szczere wyrazy współczucia z powodu ciężkiej straty, lady Wareham. Hrabia Wareham był zacnym człowiekiem.

Ograniczyła się do powiedzenia „dziękuję”.

– Jeśli cię to pocieszy, wśród socjety krąży piosenka o tobie.

Przewróciła oczami.

– Nie jest to żadna pociecha, tylko jeszcze jeden powód do zmartwień. Ale dziękuję ci, Colinie. Dobrze wiem, ile może być rymów do słowa „wdowa”.

– Piosenka o mnie też nie jest żadną pociechą. W dodatku zyskuje coraz większą popularność.

– Śpiewałam ją jako kołysankę najmłodszemu dziecku O’Flahertych. Nigdy nie jest za wcześnie, by dowiedzieć się czegoś o waszym rodzie, zwłaszcza gdy się żyje w Pennyroyal Green.

Roześmiał się. I beztrosko trącił się z nią kieliszkiem ratafii.

– Sądzę, że można pogratulować ci małżeństwa – dodała.

– Dziękuję. Musiałem coś zrobić, żeby ulżyć memu sercu, po tym, jak mi je złamałaś.

Evie znów przewróciła oczami.

– Niczego ci nie złamałam prócz ciągot do łatwych podbojów.

Uśmiechnął się, kiedy to usłyszał.

– Jeśli już mowa o O’Flahertych i kołysankach, słyszałem, że bierzesz udział w filantropijnej działalności naszej nieocenionej pani Sneath i jej zastępu kobiet?

– Istotnie.

– I że spędzasz w związku z tym sporo czasu z moim kuzynem, pastorem Sylvaine’em.

Nie odpowiedziała.

Zwróciła tylko powoli wzrok na niego.

Spojrzała mu w oczy.

A potem zaczął w niej narastać gniew.

– Mów, o co ci chodzi, Colinie!

– On nie jest taki jak my, Evie. Ma wprawdzie poczucie humoru, ale to nie jest człowiek, który coś bierze lekko. Jeśli on ma być tylko twoją igraszką i jeśli nie jesteś bez serca, weź się do kogoś innego. Bo inaczej z pewnością komuś stanie się krzywda.

Gniew i upokorzenie rozgorzały w niej, gorzkie i żrące jak gin.

Jeśli nie jest bez serca.

Oczy jej błysnęły. Zaczęła gwałtownie dyszeć, usiłując mimo wszystko zachowywać się uprzejmie. Powiedziała, cedząc słowa jedno po drugim:

– Skąd możesz wiedzieć, jaka ja właściwie jestem, Colinie?

Wpatrzył się w nią uważnie. Po czym kiwnął nieznacznie głową, dając do zrozumienia, że czuje się bardzo urażony.

Ale nie przeprosił i nie złagodniał.

– On jest po prostu… – i wargi wykrzywił mu przy tych słowach przykry grymas – jednym z nielicznych naprawdę dobrych ludzi, jakich znam, Evie. To wszystko.

Wpatrzyła się w niego.

Wytrzymał to spojrzenie.

A ja nie jestem dobra? Nie jestem czegoś warta? Czy ja go zniszczę? Jak śmiałeś?, myślała.

Miała mnóstwo ciętych odpowiedzi w głowie, ale żadna nie chciała przejść jej przez gardło.

Może by tak ktoś się zaczął martwić, czy to jej nie dzieje się krzywda?

Wiedziała jednak, że troska Colina jest szczera. I mimo wszystko nie mogła go winić. Ona także by broniła swojej rodziny.

Wszystko to nie znaczyło jednak, by mu była winna jakiekolwiek wyjaśnienia lub obietnice.

Odwróciła się bez słowa, tak że mógł widzieć tylko jej profil.

– Życzę pani dobrej zabawy, lady Wareham – rzekł w końcu spokojnie, ukłonił się i odszedł. Znów wsparła się ciężko o ścianę i przymknęła oczy, pełna walczących ze sobą uczuć. Stała tak, tuż przy popiersiu Herkulesa, gdy kadryl dobiegł końca. Miała nadzieję, że nikt jej nie dostrzeże w tej kryjówce.

Gdy jednak ponownie je otwarła, ujrzała przed sobą masywną pierś okrytą czymś, co instynktownie rozpoznała jako halsztuk zmarłego męża. Gdyż pastor, rzecz jasna, pragnął ją znaleźć, obojętne, gdzie mogła być.

Stał przed nią Adam Sylvaine.

Zabrzmiały pierwsze dźwięki ostatniego walca.

15

Odebrało jej mowę na jego widok. Mogła tylko patrzeć na niego. Zbyt przejęta i zbyt przerażona, by się odezwać.

– Czy coś się stało? – spytał. Głosem, który dawał do zrozumienia, że on błyskawicznie stanie się remedium na wszystkie jej zmartwienia.

Twarz i oczy Evie wciąż jeszcze świadczyły o jej wzburzeniu po spotkaniu z Colinem. Adam dostrzegł jej rumieńce.

– Nic się nie stało. Odpoczywam po prostu po wyczerpującym tańcu z pewnym dżentelmenem noszącym gorset.

– Ale to było jakiś czas temu. A potem pani gdzieś mi znikła.

A więc on rozglądał się za nią, tak jak ona za nim! Jakże go podziwiała za to, że nigdy niczego nie udawał, że nie uciekał się do żadnych podstępów.

– Nie tańczyłam od dawna. Może dlatego wyszłam nieco z wprawy – próbowała mu wyjaśnić.

– Jestem doskonałym tancerzem. Taniec ze mną nie sprawi pani najmniejszej trudności.

Nie potrafiła ukryć uśmiechu, kiedy to usłyszała.

Po chwili wahania, wzruszającej, ale pełnej napięcia, usłyszała:

– Mam nadzieję, że zaszczyci mnie pani tym walcem, lady Wareham.

Nagle ten moment stał się brzemienny w znaczenie.

Spojrzał na nią tymi swoimi bezgranicznie urzekającymi oczami.

Och, pastorze Sylvaine. Nie powinieneś był wcale pytać, pomyślała.

Ja nie mogłam pytać. My nie mogliśmy pytać.

Ale słowa te były jedynie potwierdzeniem tego, co się pomiędzy nimi zaczynało dziać. Była to rozmowa, której nie chciała prowadzić w sali balowej, a może nawet nie chciała jej prowadzić nigdzie. Tak łatwo mogłaby wymówić się bólem głowy lub skręconą kostką! To, że wyraziła zgodę tutaj, wśród wszystkich tych kobiet, było decyzją na granicy ryzyka. Będą się jej teraz bacznie przyglądać. Jak zresztą zawsze.

Z pewnością o tym wiedział.

A wszędzie wokół nich pełno było młodych, niezamężnych dziewcząt, które rozpaczliwie pragnęły zatańczyć walca z pastorem i czekały skwapliwie na tę okazję przez cały wieczór. Zalała ją fala gwałtownej zazdrości. Och, obyż mogła być taką niewinną panienką choćby przez kilka chwil! Niemądrze, w nieskrępowany sposób, beznadziejnie się zakochać. Bez żadnych wahań, bez myślenia o konsekwencjach. Znaleźć się w jego ramionach i popłynąć przez całą salę… Wszystko to, jak przypuszczała, miała wręcz wypisane na twarzy.

Przyjrzał się jej uważnie.

Wyciągnął do niej rękę.

Spojrzała na własną, która uniosła się ku niemu i wsparła lekko na jego ramieniu. Jak w przypadku pszczoły, która zawisła nad kwiatem, okazało się to czymś koniecznym, niezbędną częścią naturalnego porządku rzeczy. Doprawdy, nie miała wyboru.

Posadzka sali balowej mogłaby równie dobrze być chmurą, gdy Evie zrobiła po niej kilka kroków w jego objęciach.

Adam wprowadził ją na posadzkę w taki sposób, jakby zawładnął czymś nieposkromionym, a zarazem rzadkim i bezcennym.

Zdumiewał się i radował tym, że udało mu się tego dokonać. Delektował się wszystkim. Rumieńcem, który jego spojrzenie wywołało na jej policzkach i szyi, tym, że szybko spuściła oczy, a potem równie szybko je uniosła, tracąc swoje opanowanie. Tym, że obejmował ręką jej kibić. Rytmem jej przyspieszonego wskutek tego oddechu. Ciepłem jej ciała pod jego dłonią, które sprawiało, że zapragnął przyciągać ją ku sobie coraz bliżej i bliżej, tak by poczuć jej oddech na swoim ciele. Jakże drobna i krucha niby ptaszek wydawała mu się jej dłoń, choć należała do kobiety, która zdołała poskromić dom O'Flahertych, podbiła serce lady Fennimore, zawróciła w głowie całemu Londynowi i zdołała przetrwać w St. Giles.

Był tym wszystkim zbyt przejęty, by mówić.

Ona również milczała. I nie spuszczała oka z jego twarzy.

Ale istna karuzela oczu w sali balowej śledziła, jak pastor i hrabina lekko, swobodnie, przepięknie wirują w tańcu, nie uśmiechając się do siebie i najwyraźniej nic do siebie nie mówiąc. Od razu stało się oczywiste, że znajdują niezwykłą przyjemność we wzajemnej bliskości.

A jednak ani na chwilę nie odrywali od siebie wzroku.

– Jak tam z pana ramieniem? – spytała wreszcie.

– Lepiej.

Nie chciał rozmawiać. Wystarczało mu, że czuje.

Uśmiechnęła się do niego.

– Rozmowa z panem wiele spraw wyjaśnia.

– Rozmowa z panią również.

Powiedział to z taką powagą i tak raptownie, że znowu ją tym uciszył.

Poczuł, że pod naciskiem jego ramienia nabrała głęboko tchu drżącą piersią.

– Dziękuję – nie omieszkała powiedzieć.

Nie wiadomo dlaczego rozbawiło go to.

Spojrzała na niego tak, jakby cała jego twarz była istnym cudem. Jakby chciała nauczyć się jej na pamięć.

Uśmiechnął się lekko.

Ona też uśmiechnęła się lekko i wdzięcznym ruchem pokręciła głową.

– Pan naprawdę jest znakomitym tancerzem.

– Ja nigdy nie kłamię – odparł gładko.

– Co jeszcze robi pan tak dobrze, pastorze? – próbowała się dowiedzieć.

W tym momencie, gdy ich ciała stykały się wprawdzie, ale przecież nie wszędzie, był to już nie tyle flirt, co zadane serio pytanie. Niemalże zaproszenie.

Sama sobie działała na nerwy.

Mięśnie w rękach, którymi ją obejmował, stężały gwałtownie. Oczy ściemniały mu tak bardzo, że stały się prawie czarne.

– Co jeszcze robię tak dobrze? Wszystko – odparł stłumionym głosem. – A ja nigdy nie kłamię.

Położyło to kres ich rozmowie.

Okrążyli raz i drugi salę, krok po kroku zbliżając się niebezpiecznie do rozwikłania zagadki.

Muzyka wreszcie umilkła, a wraz z nią przestał istnieć świat, który zdołali sobie stworzyć podczas walca.

Adam z niechęcią powrócił do rzeczywistości, lecz gdy ustała muzyka, narzuciły mu się nieubłaganie realia sali balowej – osoby, barwy i dźwięki, które nie miały nic wspólnego z hrabiną. Ukłonił się jej więc, a ona przed nim dygnęła, jakby byli zwykłymi ludźmi zadowolonymi z zatańczenia zwykłego walca i jakby twarze stłoczonych w sali kobiet nie wyrażały całej gamy uczuć, od niedowierzania po przygnębienie i zgorszenie.

Podszedł razem z nią tam, gdzie stały już Amy Pitney i Josephine Charing – razem, i to najwyraźniej z własnej chęci. Wydawały się pogodzone. Twarze obydwu były jednak niezbyt przytomne, zarumienione i pełne nadziei. Adam podejrzewał, że miało to coś wspólnego ze stojącymi koło nich mężczyznami.

Dobrze znał Simona Covingtona, parafianina, który chętnie brał udział w pomocy ubogim. Oczytany, muskularny i zaskakująco silny, był synem wiejskiego dziedzica i podobnie jak Adam wyrósł wśród psów, koni, strzelb i książek. Wartościowy młody człowiek.

Młodzieniec stojący obok Simona był jego przeciwieństwem. Stanowił klasyczny okaz londyńczyka, od kroju ubrania i lśniących butów do nieskazitelnego zarysu profilu i, wzorem lorda Byrona, rozwichrzonych włosów. Stał w swobodnej, nieco niedbałej pozie – ręce założone na plecy, jedno kolano jakby od niechcenia ugięte. Powitał Adama grzecznym, ale trochę bezosobowym uśmiechem. Był uprzejmy, utytułowany i pewny siebie, jakby chciał swoją prezencją wywrzeć dobre wrażenie na prowincjuszkach z Sussex.

Ale jego szare oczy patrzyły przenikliwie. Był niepokojąco wręcz przystojny – nie miał cofniętego podbródka, bulwiastego nosa, odstających uszu, obwisłej wargi czy widocznej blizny. Doprawdy, był uosobieniem artystycznej interpretacji męskiej urody.

Evie zdrętwiała. Zdjęła dłoń z ramienia Adama. Wpatrywała się w młodego człowieka, a on w nią, i to w sposób, który w Adamie wzbudził dość niechrześcijańską chęć chwycenia go za gardło.

Amy, pełna napięcia, dokonała prezentacji.

– Lady Wareham, pastorze Sylvaine, pragnę wam przedstawić lorda Haynesworth.

A Haynesworth, ku wielkiemu niezadowoleniu Adama, odparł żywo:

– Cieszę się, że panią znów widzę, lady Wareham. Miło mi pana poznać, pastorze Sylvaine.

Niechęć nie powstrzymała jednak Adama od złożenia mu uprzejmego ukłonu.

Przypadkowy widz nie zauważyłby może, jak zesztywniały plecy Evie i jak znieruchomiały jej rysy. Promienny uśmiech nie znikł jednak z jej twarzy, a oczy nadal błyszczały.

Bystre oczy Amy Pitney, na której twarzy rysowała się zarówno nadzieja, jak duma i nieco bolesna wyniosłość, wyczuły jednak coś niedobrego. Jej uśmiech przybladł, gdy wodziła wzrokiem od jednego z nich do drugiego.

– Jak się pan miewa, lordzie Haynesworth? – spytała Evie, wyraźnie dając do zrozumienia, że to spotkanie nie sprawiało jej szczególnej przyjemności.

A przynajmniej taką nadzieję miał Adam.

– Och! A więc… państwo się znają? – Uśmiech panny Pitney i jej wzrok przygasły.

Josephine i Simon, wpatrzeni w siebie, zdawali się ich nie słyszeć.

– Przyjaźniłem się ze zmarłym hrabią Wareham i niejeden raz miałem okazję spotkać hrabinę w Londynie. Proszę przyjąć wyrazy współczucia po tak ciężkiej stracie – rzekł gładko Haynesworth. – Będzie nam brakowało hrabiego.

– Bardzo to uprzejme z pańskiej strony – powiedziała Evie głosem całkowicie pozbawionym wyrazu. – Mnie go rzeczywiście brak.

Nawet nie mrugnęła, co nie uszło uwagi Colina. Jakby uważała za niemożliwe, choćby przez jedną chwilę, spuścić wzrok w obecności tego mężczyzny.

Haynesworth również ani razu nie mrugnął.

Znów zabrzmiała muzyka. A wtedy Haynesworth rzekł nieskazitelnie uprzejmym tonem:

– Przyszedłem tu późno, bo nie mogłem znaleźć sobie żadnej odpowiedniej partnerki. Amy zaś, to znaczy panna Pitney, obiecała już ten taniec komuś innemu. Czy byłaby pani tak uprzejma, lady Wareham, zatańczyć ze mną? W imię uczuć, jakimi oboje darzyliśmy zmarłego hrabiego Wareham.

Odmowa byłaby szczytem nieuprzejmości. Wszyscy, którzy stali koło nich, zdawali sobie z tego doskonale sprawę.

Evie wahała się tylko przez chwilę.

– Będę tak uprzejma – odparła. Z uśmiechem, na jaki potrafi się zdobyć każda zręczna aktorka.

– Może chciałabyś przyjrzeć się mojej bliźnie, Evie? Zagoiła się bardzo ładnie. Podobno niektóre kobiety taki widok podnieca.

O mało się nie wzdrygnęła z obrzydzenia.

Brzydziła się fizycznego kontaktu z Haynesworthem. Nie chciała się zgodzić, by jej dotykał, jeszcze w czasach, gdy występowała w teatrze Pod Zielonym Jabłkiem. Proponował jej pieniądze za przywilej dotykania jej. A już na pewno nie miała na to chęci w tej chwili, z uśmiechem przylepionym do twarzy i z jego ręką spoczywającą dokładnie

tam, gdzie chwilę wcześniej spoczywała dłoń Adama Sylvaine'a. Każde bowiem miejsce, którego dotykał Adam Sylvaine, było teraz dla niej święte.

Lord Haynesworth nigdy nie wybaczył jej tego, że była lepszą znawczynią charakteru niż śpiewaczką.

– Nikt cię nie zmuszał do pojedynku, Haynesworth. Sam podjąłeś tę niemądrą decyzję.

– Och, Evie – wycedził tak protekcjonalnie, że zapragnęła pchnąć go kolanem w słabiznę. – Chodziło tylko o jedną noc. Niczego więcej od ciebie nie żądałem. A ileż ci za to chciałem dać forsy! Potem zaś ryzykowałem życie z twojego powodu.

Przewróciła oczami.

– Kiedy dwaj zblazowani arystokraci strzelają do siebie dla zabawy, nie jest to, moim zdaniem, „ryzykowanie życia", tylko pozerstwo.

– Musisz przyznać, Evie, że nie byłaś mi niechętna, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– To prawda, ale potem się przekonałam, że jesteś pociągający tylko z wyglądu.

Parsknął śmiechem.

– Stałem się teraz innym człowiekiem, Evie. Zakochałem się.

Spojrzała na niego lodowato, chcąc mu dać do zrozumienia, że doskonale wie, jak groteskowo to zabrzmiało.

Okrążali salę balową, patrząc na siebie wrogo.

– Dlaczego akurat w Amy Pitney? To porządna, miła dziewczyna. A ty nie masz żadnej z tych dwóch cech.

– Podoba mi się – powiedział, nie tracąc pewności siebie. – Ta porządna dziewczyna ma porządny mająteczek i ojca, któremu bardzo pochlebia, że jego córka może uzyskać tytuł, zostając żoną wicehrabiego. Nawet takiego z niemal całkowitą pustką w kieszeni, której dorobił się dzięki swoim licznym godnym podziwu cechom.

– I mnóstwu karcianych długów. A także kosztownych i podejrzanych upodobań, jeśli chodzi o kobiety.

W oczach Haynesworth pojawił się niemiły błysk.

– Ona nie ma wielkich szans w tym miasteczku. Pojechała raz czy dwa na sezon do Londynu i wróciła bez sukcesów. Uratuję ją przed staropanieństwem, wezmę parę razy do łóżka, a potem wrócę do Londynu i będziemy sobie żyli osobno, jak wiele małżeńskich par. Potrafię być przyzwoity, w końcu to bardzo dobrze ułożona dziewczyna. Nie jest tancerką operową ani płatną dziwką. Z pewnością nie dozna żadnej krzywdy, skoro nie o wszystkim będzie wiedzieć.

– W końcu ją to jednak skrzywdzi, zapewniam cię. Amy nie jest głupia.

– Chce dzięki mnie zyskać tytuł i robi na niej wrażenie moja powierzchowność. Czy zauważyłaś, jak się rumieni, kiedy przy niej stanę? Pragnie być widzianą w moich objęciach. Co złego jest w tym, że chcę jej pieniędzy? Ma ich niemało. Przynajmniej ty spośród wszystkich ludzi powinnaś to zrozumieć.

Zignorowała jego słowa.

– Czy twoja reputacja kazała ci przyjechać akurat do Pennyroyal Green? Naprawdę nie znalazłeś innej posażnej dziedziczki? Wiem, że masz niebagatelne kłopoty finansowe, lecz żadna kobieta nie powinna być skazana na życie z tobą aż do śmierci. Nie chcę, żeby

Amy Pitney cierpiała z tego powodu.

Przystojna twarz Haynesworth stężała ze złości. Szybko się wprawdzie opanował, ale jego gniew dał wymownie o sobie znać, gdy ścisnął jej rękę z całej siły.

– Jak myślisz, czy ludzie mogą się zmieniać, Evie? A czy ty się zmieniłaś?

Szczerze ją zaskoczyło to pytanie.

– Wcale się nie zmieniłam, lordzie Haynesworth. Byłam kurtyzaną, ale to nie jest wada charakteru. Za to gwałcenie tancerek operowych śmiało może za nią uchodzić.

Ponownie okrążyli salę balową, pełni wzajemnej nienawiści.

– Czy ci powiedziała, że ją wziąłem siłą? Typowa melodramatyczna bzdura. Annie O'Hara zawsze była histeryczką.

Evie nie ośmieliła się spojrzeć na Adama Sylvaine'a, gdy tańczyli. Czuła się zbrukana dotykiem Haynesworth i była pewna, że Adam może to wyczytać z jej twarzy. Był jednak dla niej wcieleniem bezpieczeństwa, dobroci i ochrony. Nie mogła się oprzeć spojrzeniu na niego.

– No, no. Co ten dryblas w kiepsko uszytym ubraniu znaczy dla ciebie, Evie? Szkoda, że nie mogłaś ujrzeć własnej miny, kiedy cię odprowadzał po walcu.

Nie odpowiedziała. Nie chciała słyszeć, jak imię Adama wymawiają usta tego mężczyzny.

– A więc to tak? – zaśmiał się przykrym, urywanym śmiechem. – Wyobraź sobie, z jaką łatwością mógłbym zmienić jego opinię o tobie. Wciąż jeszcze cię pragnę, Evie. Wiem, że dałabyś mi zaznać z sobą rozkoszy w każdy lubiany przeze mnie sposób. A ja też wiem, jak się daje rozkosz najszkaradniejszej nawet babie. Tę wiedzę nabywa się z doświadczeniem.

– Podobnie jak francę – odparowała.

Twarz mu poszarzała.

– Nie niszcz mi mojego narzeczeństwa, Evie, bo w przeciwnym razie ja zniszczę ciebie.

– Nie możesz zniszczyć kobiety, która i tak już jest w gruncie rzeczy zniszczona, Haynesworth. Oni tu wiedzą o mnie wszystko. Porzekadło mówi, że nic dwa razy się nie zdarza i tak dalej.

– Nawet mi się nie śniło, że powiesz coś tak naiwnego. Zastanów się, czy naprawdę myślisz, że panna Pitney ci wybaczy zdruzgotanie jej rojeń o mnie? Że ci będzie wdzięczna za wyjawienie, iż pragnę tylko jej fortuny, a nie wdzięków? Jak sądzisz, czy niełądna kobieta zechce usłyszeć od pięknej kobiety, iż nic nie jest warta bez swoich pieniędzy?

Evie dobrze, niestety, wiedziała, że on ma rację. Pod każdym względem.

Trochę za długo ociągała się z repliką. Haynesworth orientował się zapewne, że ona w duchu przyznaje mu rację.

– To rozsądna dziewczyna… – zaczęła.

Zaśmiał się krótko i z taką pewnością siebie, że korciło ją, by mu z całej siły nadepnąć na stopę. Na ten przeklęty, świetnie wykonany but.

– To sprzeczność sama w sobie, lady Wareham. Moja oferta nadal pozostaje aktualna.

Co takiego powiedział mu Colin? Że jej przeszłość będzie wypływać na wierzch w niespodziewanych momentach i to nie zawsze w ładny sposób.

Na przykład w osobie zadowolonego z siebie, idealnie przystojnego londyńskiego arystokraty, który sprawił, że Evie miała przylepiony do twarzy fałszywy uśmiech.

Rankiem następnego dnia po zabawie Adam siedział przy swoim biurku, przeciągając pierzastym końcem pióra pod nosem, i rozmyślał. Słyszał krzątaninę pani Dalrymple w kuchni oraz zachęcający dźwięk wałkowania ciasta. Zapewne któryś z jego niezliczonych słoików marmolady posłużył do upieczenia placka z owocami.

Powinien przejrzeć rachunki. A także pomyśleć, co począć ze spłachetkiem ziemi, który dostał mu się razem z plebanią, żeby mieć z niego jakiś dochód.

A on zamiast tego wciąż powracał myślami do walca z Evie.

I do Haynesworthа.

I cierpiał.

Niech nikt nie ośmieli się mówić, że nie można robić kilku rzeczy naraz!

Kim i czym był Haynesworth dla Evie? Bo niewątpliwie był. Adam przyglądał się Amy Pitney, jak podczas walca, prowadzona przez swego partnera, oglądała się przez ramię, żeby ze zmartwioną twarzą spojrzeć na Evie i Haynesworthа.

Była bystrą dziewczyną. Również coś wyczuła.

A potem Evie zniknęła i to, o ile mu wiadomo, nie żegnając się z nikim. Jak Kopciuszek spieszący się wrócić z balu przed północą. Choć Haynesworthа wciąż kątem oka gdzieś dostrzegał. Uśmiechał się gładko, nadskakując ze spokojem Amy Pitney. I więcej niż raz skierował do niego sprytny uśmiech.

Dla Adama wieczór taneczny skończył się wraz ze zniknięciem Evie, miał jednak obowiązek być na nim do samego końca, więc został.

Dlaczego właściwie przeszłość Evie doścignęła ją w Sussex? Była typem kobiety, która popycha możnych i bogatych mężczyzn do nieustannej rywalizacji o jej uczucia, do pojedynków na pistolety i upadków z balkonów. Któż by się zdziwił, gdyby zamierzała ułożyć sobie życie z jednym z nich?

Dręczyła go ta myśl i nie mógł z jej powodu zaznać spokoju.

Dlaczego właściwie miałaby nie widywać się z Haynesworthem, skoro tu bawił? Wdowieństwo na wiele pozwala. Haynesworth był istnym wcieleniem tego, do czego nawykła: do swego dawnego życia. Może też przypominał jej o wszystkim, co utraciła, niezależnie od tego, co pisały bulwarowe pisma. Plotki są czymś ulotnym; w końcu gazety znudzą się czerpaniem pożywki z Czarnej Wdowy i być może socjeta życzliwie przyjmie powrót Evie.

Adam wiedział jednak, że ma się z nią tego dnia spotkać w domu O'Flahertych.

Nie mógł się uwolnić od tej myśli. Oczekiwanie sprawiało, że wręcz się dusił.

Nie wiadomo czemu wiedział, że pozna prawdę, gdy spojrzy na jej twarz.

A przynajmniej wmówił sobie, że pozna.

– Jesteś tu? Pani Dalrymple pozwoliła mi wejść jako krewnemu.

W drzwiach jego gabinetu stanął Ian.

– Jestem. Czy przynosisz mi może dżem albo haftowane poduszki?

– Czy mam ci dawać prezenty, żeby uzyskać posłuchanie? Dobrze, już dobrze!

Przychodzę z wiadomością, która może cię zainteresować. Zeszłego wieczoru widziano Johna O'Flaherty'ego w pubie Pod Świnką i Ostem.

Adam odchylił się do tyłu. A potem westchnął donośnie.

– Wolałbym dżem – powiedział.

– Wybacz, ale wiem, że odwaliłeś kawał roboty w tym domu, i pomyślałem, że chętnie byś się dowiedział, czemu będziesz musiał stawić czoło.

– Czy pił?

– Jeszcze jak!

– A Ned Hawthorne dał mu się napić?

– Zdaje się, że O'Flaherty przyszedł tam z własną butelką.

Adam rzucił pióro i wstał natychmiast od biurka. Co prawda nie mógł polecić swoim wolontariuszom, żeby poszli do O'Flahertych kilka godzin wcześniej, ale instynkt ostrzegał go, że on sam powinien tam wyruszyć od razu. W stajni na plebanii stał jego koń.

Sięgnął po płaszcz wiszący na oparciu krzesła i już miał go włożyć.

Zatrzymał się jednak. Nie cierpiał pytać o cokolwiek, ale teraz nie mógł się od tego powstrzymać.

– Ian… przy okazji, powiedz mi, czy wiesz cokolwiek o lordzie Haynesworth?

– Haynesworth… ano cóż, ma sporo ziemi i mało pieniędzy. Jak zresztą wielu innych arystokratów. Lubi grać w karty. Nie znam go za dobrze, ale chyba nie warto tego żałować. Ma trochę zbyt gładkie maniery, jeśli wiesz, o czym myślę, a gdy ktoś taki jest, to zwykle coś się pod tym kryje.

Adam wyczuł, że tym momencie właśnie Ian coś przed nim kryje.

– A czego mi nie powiedziałeś?

Ian zawahał się. A potem westchnął.

– Podobno się pojedynkował o Evie, przepraszam, o lady Wareham, kilka lat temu. Ale wtedy pojedynkowało się o nią mnóstwo ludzi.

Twarz Adama musiała mówić sama za siebie.

– Przepraszam cię – mruknął Ian.

– Za co? – Głos Adama zabrzmiał niezbyt szczerze.

– Za urażenie twoich uczuć. Bo sądząc po tym, jaką masz teraz minę, nie ucieszyło cię to, co usłyszałeś.

Adam parsknął krótkim, zgryźliwym śmiechem.

– Czy rozmawiałeś z Colinem?

– Ja zawsze rozmawiam z Colinem – odparł Ian niewinnym tonem. – A najlepsza rada, którą, jak uważam, mam prawo ci dać, brzmi: zachowaj spokój. Jesteś dorosłym mężczyzną. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o tym arystokracie, spytaj pewnego gościa nazwiskiem Bartholomew Tolliver, który mieszka parę mil za miasteczkiem i ma z nim na pieńku. To adwokat i myślę, że chodzi tu o jakąś poważną sprawę. Teraz zaś się stąd zmywam, bo mam się widzieć z jednym człowiekiem w sprawie pewnego konia, a już jestem spóźniony. Do zobaczenia, kuzynie. Życzę ci szczęścia, jeśli chodzi o O'Flaherty'ego i… o wszystko inne.

16

Henny, ty już od dłuższego czasu masz ten katar.

Evie wkładała w kuchni do koszyka kilka rzeczy, które chciała zanieść do O'Flahertych – trochę ciastek upieczonych przez panią Wilberforce, kilka starych londyńskich gazet na nowe admiralskie kapelusze, ćwiartkę sera – i obie z gospodynią układały listę rzeczy, które należało kupić w miasteczku.

Henny zawzięcie wycierała nos w obszerną chustkę, upłynęła więc dobra chwila, nim była w stanie mówić.

– To przez to powietrze w Sussex. Za dużo tu zieleni. Ja tam mogę oddychać tylko węglowym dymem.

– Jeśli już mowa o brudnych i niemiłych rzeczach… nie uwierzysz, kto się pojawił na zabawie zeszłego wieczoru. Lord Haynesworth.

Henny znieruchomiała i wytrzeszczyła na nią oczy znad zmiętoszonej chustki. A potem na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie.

– Czy mam go dla ciebie zadusić jak kurczaka? – powiedziała po chwili. – Przeklęte ścierwo.

– Wpadła mu w oko panna Pitney.

Henny zaniepokoiła się mocno.

– Ta biedna dziewczyna z fortuną i brwiami? Powiesz jej o nim, co?

– Chyba powinnam.

– Weźmiesz to na swoje sumienie? No bo pewnie i tak święty Piotr nie wpuści cię łatwo do nieba. Musisz jej powiedzieć.

Evie westchnęła. Wiedziała, że musi. Wcale jej to nie cieszyło. Jeśli jednak Haynesworth zamierzał rozmawiać z ojcem Amy Pitney w tym tygodniu, nie można było tego odkładać na później.

– A mówiąc o rzeczach przyjemniejszych… czyś tańcowała z pastorem?

Tańczyła z nim. Przez całą noc. Tyle że w marzeniach. Jak młoda, niedoświadczona dziewczyna po jej pierwszym tańcu, która nigdy nie obudziła się obok nagiego, chrapiącego grubasa, członka parlamentu.

Evie zauważyła, że zaniepokojona pani Wilberforce przerwała sporządzanie spisu zakupów. Przypomniała sobie, że jej siostra pracuje u Pitneyów, a choć wydawała się raczej osobą godną zaufania, mogła narobić plotek.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie Henny, powiedziała więc:

– Czy przyszła jakaś poczta?

– Ano, przyszła. Jest też dla ciebie nowy list.

Evie spojrzała na niego i serce się jej ścisnęło. Jeszcze jeden.

Cora pisała zwykle do niej, jeśli nowiny były bardzo dobre, bardzo świeże lub bardzo złe.

Wahała się przez chwilę, a potem wzięła głęboki oddech i złamała pieczęć.

Nie ma go już od tygodnia. Mały Tommy ząbkuje. Aoife przypomina Cię trochę z wyglądu.

Z wyrazami miłości

Cora

Evie odłożyła list, ale nie przestawała na niego patrzeć.

Na piersiach czuła taki ciężar, jakby położono tam kowadło.

– W tym tygodniu nie będziemy kupować wołowiny, pani Wilberforce – powiedziała pospiesznie, widząc, że gospodyni dopisuje to słowo do listy sprawunków.

Wołowina kosztowała zbyt dużo, a do wyżywienia była tu tylko ona i służba.

Jak Cora i wszyscy jej siostrzeńcy zdołają przetrwać, jeśli ich ojciec i mąż nigdy nie wróci? Evie stać było bowiem wyłącznie na utrzymanie własnego domu. Za Damask Manor leżał wprawdzie kawałek ziemi, który można byłoby uprawiać, ale nie miała odpowiednich ludzi, a nie wiedziała, komu mogłaby go wydzierżawić.

Pani Wilberforce uniosła głowę znad spisu.

– Dobrze, milady – powiedziała uprzejmie. – Żadnej wołowiny w tym tygodniu.

Skoro pani Wilberforce wybierała się do miasteczka, Evie pojechała razem z nią. Musiała przejść pieszo resztę drogi do domu O'Flahertych od sklepu z serami. Umówiła się z gospodynią, że ta przyjedzie po nią za godzinę lub dwie.

– Czy nie wstąpiłaby pani do doktora po jakieś zioła na kaszel dla Henny? – spytała gospodynię. – Chyba że ma pani jakiś napar albo syrop?

– Mam zioła do zaparzania, ale spytam, milady. Zawsze dobrze jest mieć wybór, no nie?

Z taką filozofią można było na pewno przetrwać.

Evie wysiadła z powozu niedaleko gospodarstwa O'Flahertych i poszła przed siebie, nucąc pod nosem, wymachując koszykiem i ciesząc się ładną pogodą, choć panował chłód.

Było jeszcze jasno, a wiatr wiał na tyle mocno, by przynosić woń morza spoza łagodnie falujących wzgórz.

Zwolniła jednak kroku, gdy było już blisko domostwa.

Czegoś tu brakowało.

Wokół panowała dziwna cisza. Jakby to sam dom był przerażoną, skuloną żywą istotą. Nawet Molly nie zaszczekała od drzwi na powitanie. Nawet kury wyglądały bardziej potulnie, może dlatego, że częściej je teraz karmiono. Spoglądały tylko na jej koszyk z większym zaciekawieniem niż na cokolwiek innego i zaczęły od niej odstępować, w miarę jak się zbliżała do domu.

Szła powoli, w takim napięciu, że odgłos własnych kroków kazał jej czuć się ściganą.

Przeszła już przez pół podwórza, gdy dosłyszała czyjś głos spoza uchylonych drzwi. Donośny bełkot pijaka, górujący nad pojednawczym, pełnym chęci załagodzenia sytuacji głosem kobiecym.

Dzieci wcale nie było słychać.

Evie zatrzymała się i stanęła, starając się zachowywać jak najciszej, niczym zapędzone w kąt zwierzę. Aż za dobrze znała taki bełkot. Z sercem walącym w piersi posuwała się ostrożnie naprzód w powietrzu, które nagle jakby zgęstniało i stało się groźne.

– Ciekaw jestem, kogo też wpuściłaś do tego domu, kiedy mnie tu nie było!

Evie uchyliła drzwi o kilka cali.

Od razu zobaczyła dzieci skulone w kącie. Tuliła się do nich drżąca Molly. Z tyłu za nimi niemowlę kwiliło z cicha w kołysce.

Nikt jej nie zauważył.

Na środku izby stał zwalisty mężczyzna o ceglastej twarzy. Jego włosy, niegdyś jaskraworude, teraz miały tylko anemiczny, rdzawy odcień.

Nachylał się nad Mary O'Flaherty, tak że w końcu jej twarz dzieliło od niego ledwie parę cali, chwiejąc się na nogach i urągając żonie. Evie nie musiała mu się nawet przyglądać. Czuła bijącą od niego woń alkoholu i pokładów brudu na niemytym ciele nawet z tego miejsca, gdzie stała.

– Czy ci nie przykazałem, Mary, żebyś mi nie śmiała się godzić na żadną dobroczynność?!

Chwycił kawałek chleba i cisnął go na stół z taką zawziętością, że kromka wylądowała na ziemi. Molly smętnie łypnęła na nią ślepiami.

– Chleb z łaski dany! A ty i wszyscy w miasteczku gadacie, że ja się o was zatroszczyć nie potrafię! Powiedziałaś im tak, co? Drwisz sobie ze mnie, co?

– Nie, John – usiłowała go ułagodzić Mary. – Wcale nie. Słowo ci daję. Tylko że to ostatnie dzieciątko…

Czas jakby stanął w miejscu, gdy John O'Flaherty cofnął się i zamierzył z rozmachem, żeby łatwiej dać żonie po twarzy.

A wtedy Evie wrzasnęła przeraźliwie niczym banshee, zwiastująca śmierć zjawa z celtyckich wierzeń, i wbiegła do izby.

Adam, który był ledwie kilka stóp dalej, zobaczył, co ona robi, i dwoma długimi susami wbiegł do środka, chwytając ją w pasie. Wyrywała mu się i kopała, chcąc się uwolnić; ujął ją więc pod ramiona i odciągnął ku drzwiom.

A potem wkroczył między Mary oraz Johna O'Flaherty'ego i huknął go pięścią w szczękę.

Głowa Johna odskoczyła w tył, a on sam osunął się na ziemię, wsparty na jednym kolanie.

Gdy jednak O'Flaherty ponownie spróbował spoliczkować żonę, jakby był wiatrakiem, który nie może się zatrzymać, tylko wciąż obraca skrzydłami, ręka Adama wystrzeliła w przód i schwytała go w powietrzu za nadgarstek.

Przez chwilę obydwie ręce mocowały się ze sobą, póki Adam jednym szybkim, zwinnym ruchem nie wykręcił pijakowi ramienia do tyłu, zadzierając je do góry.

O'Flaherty zawył. Jego twarz, wykrzywiona bólem, nabrała wręcz buraczkowego

odcienia.

W izbie słychać było tylko chrapliwe oddechy jego i Adama. Skulone w kącie dzieci nawet nie pisnęły.

– No, Johnie – głos Adama był całkiem spokojny, jak podczas zwykłej rozmowy – obydwaj wiemy, że jeśli się tylko spróbujesz ruszyć, spotka cię coś jeszcze gorszego. A że nie doceniałeś mojej siły i przeceniłeś swoją, bądź rozsądny. Ja jestem trzeźwy, a ty nie, i twoje szanse są nikłe. Bardzo nikłe.

John O'Flaherty najwyraźniej wziął jego słowa pod uwagę. Kiwnął głową, co wyglądało rozsądnie, choć żyły na karku miał nadal nabrzmiałe z furii, i poddał się, jakby potwierdzając to, co Adam powiedział, głuchym stęknięciem.

– Nie przyszedłem do tego domu po to, żeby ci pozwolić na bicie żony, ale żeby cię z niego wyrzucić, jeśli sam nie zechcesz się stąd wynieść. Przejdziemy teraz do drzwi, potem cię przez nie wyprowadzę, potem zejdziesz z pagórka, miniesz pub, wcale nie wstępując do niego, i wreszcie znajdziesz się poza miastem. Nie odwrócisz się też i nie wrócisz tutaj. Bo jeśli się odwrócisz – ciągnął tonem niemal przepraszającym – zgniotę cię na miazgę. Dam sobie łatwo z tobą radę i będzie to dużo boleśniejsze, niż gdybyś zawisł na szubienicy, a potrwa znacznie dłużej. Chcesz spróbować?

John O'Flaherty zastanawiał się przez chwilę.

– Wygląda to uczciwie – przyznał. Miał słuszność.

– Możemy zaczynać?

I niby w jakiejś osobliwej odmianie walca ruszyli, szurając nogami. Adam trzymał O'Flaherty'ego tak mocno, że aż zbielały mu kostki u rąk i napięły się muskuły ramion. John O'Flaherty poddał się temu posłusznie, chyba wiedząc, że zrobił coś złego.

Na kilka stóp przed drzwiami Adam puścił go raptownie. O'Flaherty zatoczył się, odzyskując jednak po chwili równowagę. Pokręcił głową i spojrzał ku domowi.

– Idź dalej, John.

Adam patrzył, jak John ciężkimi krokami posuwa się naprzód.

A potem dotknął swojej twarzy. Pęczniał na niej błyszczący guz, co wystarczyło, żeby wytrącić go z równowagi. Wolałby już siniaka. Miewał je nieraz wcześniej. Mniej dla niego znaczyły niż dla żony O'Flaherty'ego.

Mary O'Flaherty była cała czerwona ze wstydu.

– Strasznie pana przepraszam, pastorze. On rzadko bywa taki… tylko wtedy, kiedy pije. Prawie nigdy… prawie nigdy… przy dzieciach. Ja…

Odwróciła się i podeszła do dzieci. One zaś były do tych scen tak przyzwyczajone, że nawet najmłodsze z nich nie płakały.

Kapitan Katharine siedziała w kącie, opiekuńczo obejmując ramieniem braci i siostrę. Molly, dorównująca wysokością młodszej dziewczynce, wcisnęła się między nich. Niemowlę przebudziło się i kwiliło cicho w kolebce. Katharine ściskała w ręce kurczowo medalion ze świętym Krzysztofem.

– To pomaga, mamo – zapewniała ją. – Ten medal od lady Wareham naprawdę pomaga! Papa sobie poszedł!

Evie jęknęła cicho. Jakby coś się w niej załamało.

Odwróciła się raptownie i wyszła na podwórze.

Mary O’Flaherty przestała zwracać uwagę na Adama, zajęta dziećmi. Nic już jej nie groziło. Adam wyszedł więc w ślad za Evie.

Zatrzymała się przy wielkim dębie i wsparła o niego całym ciałem, wpatrzona w bezlistne gałęzie.

Oparł się o pień koło niej, gdzie było dość miejsca dla obojga, zmieściłby się nawet ktoś trzeci. Drzewo rosło tam od wieków i zapewne widziało gorsze rzeczy niż pijackie burdy O’Flaherty’ego. A może i lepsze.

– „Prawie nigdy wobec dzieci” – powtórzyła z goryczą słowa Mary.

Adam nic nie powiedział. Przez jakiś czas trwali w milczeniu.

– Dlaczego oni są tacy? – spytała w końcu ze znużeniem.

– Jacy oni?

– Mężczyźni. Niektórzy mężczyźni – poprawiła się.

Zmienił nieco pozycję i niemal jej dotykał ramieniem. Wyczuwał, że przynosi to jej ulgę. Stał nieruchomo, jakby na jego dłoni przysiadł motyl.

– Czasami powodem jest nędza – zaczął cichym głosem. – Mężczyzna zaczyna się wówczas czuć bezradny, znękany tym, że nie może wyżywić rodziny. Dobija go poczucie bezradności.

– Pan też przecież nie jest bogaty.

– Bardzo lubię, kiedy ktoś mi o tym przypomina.

Uśmiechnęła się słabo. Uniosła rękę, chcąc dotknąć piersi, ale cofnęła ją. Znów sobie przypomniała, że medalion ze świętym Krzysztofem wisi na szyi kapitan Katharine.

– Chciałabym teraz mieć cygaro – przyznała. – Paliłam je czasami, kiedy żyłam w Londynie. To bardzo uspokaja.

– Przeczuwałem, że zapomniała pani przyznać mi się do któregoś z grzechów.

Znów uśmiechnęła się słabo.

– Zdążył pan na czas.

– Mój kuzyn Ian uprzedził mnie, że Johna O’Flaherty’ego widziano w pubie. Instynkt mi podpowiedział, żeby się tu zjawić przed paniami ze stowarzyszenia. – Wskazał jej konia przywiązanego nieopodal.

Wyglądała na pogrążoną w myślach. Bez wątpienia coś wspominała.

– A czy pan czuł się kiedyś bezradny, pastorze Sylvaine? Zdany całkowicie na łaskę losu?

Nie chciał przyznać się do bezradności. Ani do tego, że zależny był od okoliczności, gdyż ostatnio zdawały się one wiązać w jakiś cudowny, choć zawiły sposób z tym, co czuł do Evie Duggan.

– Może wtedy, gdy w mojej pracy zdany jestem na liczne domysły.

– W takim razie powiedziałabym, że ma pan do tego prawdziwy talent – odparła sucho.

Odetchnął donośnie.

– Czy pani ojciec pił? – spytał takim tonem, jakby dalej ciągnął ich rozmowę.

Odwróciła się powoli ku niemu. Najpierw z niedowierzaniem, potem z oburzeniem. A potem z twarzą ściągniętą bólem.

– Dowiódł pan swego talentu – rzekła z ironią, ale też i z zabarwionym goryczą rozbawieniem. – Kiedy byłam jeszcze dziewczynką, nie udawało mi się go od tego

powstrzymać. Ojciec pił i bił mamę po pijanemu. Próbowałam temu zaradzić, ale nie mogłam.

Poczuł, że każdy mięsień jego ciała twardnieje, nim zebrał siły, by zadać następne pytanie.

– Czy bił i panią?

Był jednak pewien, że zna odpowiedź.

Wyobraził sobie mężczyznę okładającego pięściami małą dziewczynkę i gniew zaczął dusić go w gardle. Zakręciło mu się w głowie i pomyślał: Chciałbym cofnąć czas. W tej chwili poczuł, że naprawdę mógłby to zrobić, tak potężny był jego gniew. Pragnął nie dopuścić do krzywd, jakich mogła doznać.

Musiała wyczuć napięcie mięśni w jego ramieniu, choć ledwie jej nim dotykał.

– Tylko czasami – odparła z rezerwą. – Mama wówczas występowała przeciw niemu. Tak jak pan dzisiaj. Nie pozwalała mu się do nas zbliżać. No i zawsze kończyło się to jej posiniaczeniem. A potem on poszedł sobie i nigdy nie wrócił. A potem ona umarła.

Co za zwięzłe i brutalne podsumowanie dzieciństwa, pomyślał Adam.

– Właśnie wtedy przyrzekłam sobie, że nigdy nie znajdę się na łasce żadnego mężczyzny. Przenigdy. Zawsze sama decydowałam, kiedy zaczynać i kiedy kończyć romans.

Wyczuł w tym i zwierzenie, i ostrzeżenie.

Mozaika jej życia zaczęła mu się układać w coraz wyraźniejszą całość. Wyrosła wśród nieładu i dlatego właśnie planowała swoje życie tak starannie. Rozpaczliwie pragnęła chronić swoją rodzinę, bo jako dziecko nie mogła ochronić matki.

A ta rodzina była wszystkim, co miała. Ale brakowało jeszcze jednego fragmentu układanki.

– Jak się pani znalazła w Londynie?

– Wędrowny druciarz, który przejeżdżał przez naszą wieś, powiedział mi, że jestem bardzo ładna i mogłabym zarabiać na życie w teatrze. – Rzuciła mu ironiczne, podszyte flirtem spojrzenie. – Zdołałam go namówić, żeby zabrał nas tam swoim wozem. Wszystkich małych Dugganów.

– Ach, oto i zalety urody. A także umiejętności przekonywania.

– Proszę wziąć pod uwagę – parsknęła śmiechem – że za cały ten trud dostał mu się tylko jeden całus. Moi bracia i siostry byli wciąż jeszcze dziećmi, ale rozerwaliby go na strzępy, gdyby próbował uzyskać coś więcej. Mimo wszystko okazał się porządnym człowiekiem. Dał mi medalion ze świętym Krzysztofem. Cynowy co prawda, powiedział jednak, że to na szczęście. Może i byłam ładna, ale pochodziłam ze wsi, nie miałam zatem wielkich szans, żeby zarobić dużo pieniędzy i uchronić moich bliskich od znalezienia się w przytułku albo w więzieniu. Na szczęście dostałam się do teatru Pod Zielonym Jabłkiem. Ja również miałam talent – dodała z lekkim uśmieszkiem. – Przekonałam się też, że potrafię zabawiać ludzi. W każdym razie zabawiać ich należycie.

– Dzięki temu mogła pani dbać o rodzinę.

– Niech pan nie myśli, że szło mi wspaniale od samego początku. Nie polecałabym panu jako miejsca pobytu pokoju wynajmowanego przeze mnie w burdelu. Na dodatek w dzielnicy Seven Dials.

– Rzeczywiście, nie miałbym ochoty tam mieszkać.

– Tylko że… kiedy zobaczyłam, jak to wygląda u O'Flahertych… zaczęłam się strasznie lękać o Corę – wyznała niemal szeptem. Ni to ze śmiechem, ni to z jękiem przeciągnęła rękami po twarzy. – Wszystko się powtarza. W ostatnim liście, jaki od niej dostałam, pisze, że mąż ją opuścił. Czy mógłby pan pomodlić się za nią?

Spojrzała na niego oczami zastraszonego zwierzęcia.

– Pomodlę się. – Było to solenne przyrzeczenie. Pragnął zrobić dla niej wszystko, co tylko mógł.

Ostry wiatr strącił gwałtownie, jeden po drugim, kilka uschłych liści z drzewa. Co wyglądało na ich ucieczkę.

– To było bardzo miłe – powiedział cicho, ale ze wzruszeniem – że dała pani ten medalion małej Katharine. Dobry uczynek.

Wzruszyła ramieniem.

– Myślałam, że pomaga, kiedy go miałam na sobie. Było to lepsze niż nic. Bezsilność jest czymś okropnym. O Boże, jak ja nienawidzę polegania na czyjejś łasce.

Przez chwilę patrzyli oboje na drogę, jakby była źródłem niespodzianek, dobrych lub złych.

– Jak pan to zrobił? Jak pan mógł mówić do niego jak do… istoty ludzkiej?

Nie oskarżała go. Po prostu naprawdę chciała się tego dowiedzieć.

– No cóż, mój ojciec… był właściwie tyranem. Człowiekiem nieobliczalnym. Miewał ataki wściekłości i nie skąpił mi wtedy razów. Nauczyłem się przewidywać to, tak jak pani potrafi przewidywać pogodę, bo chciałem się trzymać wtedy z dala od niego. Myślę, że właśnie dzięki temu stałem się uważnym obserwatorem. Próbowałem również, z konieczności, zrozumieć go… a od tego niedaleko już było do współczucia. Proszę wziąć pod uwagę, że go nie lubiłem – rzekł chłodno. – Nie lubię też Johna O'Flaherty'ego. Myślę, że jest podłym człowiekiem. Ale lituję się nad nim.

Nigdy jeszcze nie mówił nikomu takich rzeczy. Nie był też pewien, czy wcześniej zdawał sobie z nich jasno sprawę.

Pragnął jednak dać jej coś z siebie. Pomimo świadomości, że te zwierzenia coraz bardziej zbliżają ich do siebie. I że mają przed sobą coraz mniej tajemnic.

– Niekiedy… może nawet codziennie… żywię nadzieję, że O'Flaherty nigdy już nie wróci do swojej rodziny, tak jak pani ojciec. A kiedy jego synowie podrosną na tyle, by mogli uprawiać swoje małe poletko i hodować bydło, to może przy odrobinie szczęścia oraz przy pomocy mojej i zastępu dzielnej pani Sneath lepiej się im będzie żyło bez ojca. Czasem jednak rodzina jest wszystkim, co człowiek posiada, i tylko ona utrzymuje go przy życiu. Może on na to wprawdzie nie zasługiwać, ale niełatwo odmówić mu wszelkiej pociechy. A każdy, wedle pani własnych słów, zasługuje na szansę.

Kiedy odwrócił się ku niej, patrzyła na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Dojrzał nagle na tej twarzy przebłysk czegoś przejmującego i graniczącego z bólem, co jednak równie dobrze mogło być radością.

Błyskawicznie jednak twarz jej z powrotem stała się nieodgadniona.

– Chętnie bym mu poderżnęła gardło – rzuciła mimochodem. – O'Flaherty'emu.

– Wiem.

Uśmiechnęła się lekko.

– Z jakim spokojem przyjął pan moje słowa.

Decyzję podjął odruchowo. W jednej chwili. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wymacał tam puzderko, które mu dała lady Fennimore. Podważył wieczko kciukiem i oplótł łańcuszek wokół palców.

Ujął w dłonie mały złoty krzyżyk i uniósł go w górę.

Po krótkiej chwili wahania powiedział:

– Chciałbym, żeby pani to miała. Dała mi go lady Fennimore. Powiedziała, że przynosił jej szczęście i chronił ją. A także, że będę wiedział, komu powinienem go dać.

Rozwarł dłoń i pokazał jej, co w niej trzyma.

Przyjrzała się krzyżykowi i westchnęła zaskoczona.

Słaby rumieniec pokrył jej policzki. Przez dłuższą chwilę nie patrzyła na niego. Może nie chciała, żeby ujrzał wyraz jej twarzy. Może się zastanawiała, ile ten krzyżyk dla niego znaczy, czego on od niej chce i co się stanie, jeśli zgodzi się go przyjąć.

– Och, przecież jestem już dorosła – powiedziała, siląc się na lekki ton. – Nie trzeba mnie chronić. Nie mogę tego przyj…

– Evie.

Urwała gwałtownie. Uniosła głowę i oczy się jej rozszerzyły na dźwięk swego imienia, wypowiedzianego tak stanowczo.

– Czasem ktoś potrzebuje pomocy. Nie ma w tym nic złego. Podobnie jak w zgodzie na to, by pozwolić komuś na opiekę nad sobą w nadziei poprawy. Czasami zaś przyjęcie daru jest też darem dla kogoś innego. I to wszystko.

Zawahała się. Zacisnęła usta, namyślając się nad decyzją. A potem odetchnęła głęboko i powiedziała:

– Czy… czy zechce mi go pan nałożyć?

Powoli, bardzo powoli obróciła się, ujęła dłonią węzeł włosów w tyle głowy i uniosła go, odsłaniając delikatne ciemne włoski na białej, miękkiej skórze karku. Ruchem tak zmysłowym, tak intymnym, jakby ściągnęła przez głowę suknię i rzuciła ją na ziemię.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego przez ramię tym swoim spojrzeniem spod rzęs.

A potem odwróciła się do niego tyłem.

Nigdy nie mogła się oprzeć wyzwaniu. Flirt był dla niej czymś tak naturalnym, jak oddychanie.

No i, Boże dopomóż, wiedziała. Wiedziała, jak to podziała na niego.

Wiedziała też, jak on podziała na nią.

W jakimś odległym zakamarku jego umysłu tkwiło nazwisko Haynesworth. Ciekaw był, na ilu mężczyzn patrzyła w taki sam sposób.

Ale Haynesworth znajdował się teraz tak niesłychanie daleko…

Raz jeszcze cały świat zdawał się zacieśniać tylko do nich dwojga.

Nagle jego palce, zwykle tak opanowane, stały się zadziwiająco niezręczne, jakby posługiwał się nimi po raz pierwszy.

Niezdarnie i nieskończenie długo mocował się z zameczkiem, zanim zdołał go otworzyć. Nałożył jej łańcuszek przez głowę, opuszczając krzyżyk pomalutku, póki nie dotknął delikatnie jej piersi.

Potem podciągał go coraz wyżej i wyżej, pozwalając cienkiemu łańcuszkowi pieścić powoli jej skórę, dopóki nie poczuł, że osiadł na obojczyku.

Urzekła go gęsia skórka na jej karku.

Ramiona jej unosiły się w rytm przyspieszonego oddechu.

Również i on słyszał swój własny oddech.

Miał wrażenie, że jego głowa unosi się ponad nim, a umieszczenie jej z powrotem na szyi trwałoby całą wieczność. Drżące palce musnęły jej niewyobrażalnie atłasową skórę i otarły się o jedwabiste czarne włoski na karku.

I już było po wszystkim.

Jego palce zatrzymały się tuż nad zameczkiem. Żałował, że będzie musiał je cofnąć.

Nigdy nie chciała znaleźć się na łasce mężczyzny, pomyślał.

Nagle poczuł się podobny do dębu, rosnącego tam od zawsze, skazany na pozostawanie bez ruchu, gdy był tylko o włos oddalony od kobiety, której ledwie ośmielił się dotykać samymi końcami palców.

Zamknął oczy w nagłym ataku pożądania, tak dojmującego, że można by go nazwać torturą. Dobry Boże, gdybyż tylko mógł pocałować ją dokładnie w tym miejscu, gdzie poniżej ucha bił puls, którego przyspieszenie sam spowodował. Otoczyć ją ramionami, osunąć je ku linii bioder, ku wąskiej talii, dotknąć jej piersi i delikatnie je zważyć w dłoniach, słuchać jej jęku. Przesunąć palcami po sutkach, tak by aż jęknęła. Powoli unosić suknię i wsunąć ręce pomiędzy jej uda, w poszukiwaniu gładkiej jak jedwab skóry ponad podwiązką. Sięgać coraz wyżej i wyżej, aż do wilgotnych fałdek pomiędzy nogami. Poczuć, jak się przed nim rozwierają, bezbronne, z prośbą o więcej i głębiej, aż do ulgi, którą mógł jej dać.

Uwolnić, oswobodzić swoje naprężone przyrodzenie, sprawić, by się wiła i wyginała pod nim, i wejść w nią, i uderzać, uderzać nim raz za razem…

Usłyszał własny schrypnięty oddech. Trząsł się cały.

Na próżno silił się, by nabrać powietrza, nie czując przy tym bólu.

Było to bezcelowe. Dał do siebie przystęp pożądaniu i był to jego całkowity upadek.

Do diabła z lady Fennimore i jej pięknym cierpieniem!

Jakby we śnie widział, że coraz niżej nachylają się jego usta. Lekkie tchnienie musnęło już delikatne ciemne włoski. A potem dotknął wreszcie wargami jej skóry i złożył na niej z wolna, niewiarygodnie lekko, pocałunek.

Wciągnęła gwałtownie oddech. Był to najbardziej erotyczny dźwięk, jaki w życiu słyszał, na wpół westchnienie, na wpół jęk.

Jego wargi spoczęły tam miękko, delikatnie. Delektował się nią oddechem i ustami.

Odchyliła bardzo powoli głowę ku tyłowi, zachęcając jego wargi do prześlizgnięcia się wzdłuż linii szyi, aż do miejsca pod samym uchem, gdzie głucho tętnił puls. Powiódł po nim językiem. Nakrył je półotwartymi ustami. Jej ciało zakołysało się w rytm oddechu.

Molly zaszczekała.

Uniósł znów głowę, opanowując się z najwyższym wysiłkiem. W tej chwili wydawało mu się to najtrudniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek dokonał w życiu.

– No i już – wyszeptał wreszcie w ciszy, która zdawała się nie mieć końca.

Nie odezwała się wcale.

Jej urywany oddech mówił sam za siebie.

Stali tak przez chwilę, zastygli w bezruchu, niemalże tuż przy sobie.

Wciąż jeszcze był silnie pobudzony. Dręczony torturą pożądania i niepewności.

Dopóki powóz Amy Pitney nie pojawił się na zakręcie.

Gdy Amy wyjrzała przez okienko, zobaczyła proboszcza i Evie stojących obok siebie. Tak blisko, że pastor niemalże jej dotykał.

Oczy hrabiny były zamknięte, a twarz świadczyła o nieopisanych wręcz emocjach.

Gdy oboje usłyszeli turkot kół, odsunęli się od siebie tak raptownie, jak przewrócone kręgle.

Pół godziny później głosy pani Sneath, Amy, Josephine i Jenny, córki lady Fennimore, sprawiły, że Evie znów usłyszała w domostwie O'Flahertych przyjazny gwar.

Pastor dotrzymywał im towarzystwa, póki nie przybyli inni jego wolontariusze, a potem wszyscy mężczyźni wyszli na zewnątrz domu, po czym rozległ się łomot młotków, krzyki i śmiechy, podczas gdy w środku Evie chwiejnie potykała się o sprzęty, zaczynała coś mówić i urywała zdanie w połowie albo też kończyła je wprawdzie, lecz potem wpatrywała się bezmyślnie w przestrzeń.

Pozwoliłaby też wykipieć zupie, lecz kapitan Katharine podbiegła przytomnie do kuchni i zdołała temu zapobiec. Zaczęła potem zamiatać, ale po chwili stanęła bez ruchu i stała tak, póki któryś z chłopców nie wyjął jej siłą miotły z rąk.

– Ładny z pani marynarz pokładowy, lady Wareham! – prychnął. – Trzydzieści dni paki!

– To kara niewspółmierna do przewinienia – jęknęła słabo.

W końcu usiadła, biorąc na chwilę niemowlę od Mary O'Flaherty, a drugi z chłopców siadł koło niej. Niemal mu się udało wyrwać jej z włosów grzebień, nim się spostrzegła.

Nie spostrzegła tylko tego, że choć Amy i Jenny zajęły się najmłodszymi dziećmi i bawiły z nimi, to nie zamieniły z nią ani słowa.

Czuła bowiem w sobie jego pocałunek. Wziął nad nią górę, płynął w jej żyłach zamiast krwi. Prawie niczego nie widziała, tylko wyczuwała. Pragnęła znów go doświadczyć, wyobrażając go sobie, a pulsujący skrawek ciała poniżej ucha zdawał się wręcz śpiewać hymn na jego cześć. To ulotne dotknięcie ustami jej szyi odmieniło ją.

Ciało jej zdawało się wirować wkoło, pełne strachu, ale i radości.

Pragnęła go.

Nie dostrzegła, że Amy Pitney przestała na chwilę pomagać jednemu z chłopców w nauce czytania, spoglądając na nią podejrzliwie i uważnie.

– Lady Wareham, ten medal pomógł! Naprawdę pomógł! – szepnęła jej kapitan Katharine, tuląc się do niej tak spontanicznie, jak tylko dzieci potrafią, podczas gdy Evie robiła, co mogła, by połatać gigantyczną stertę fartuszków i krótkich spodenek. – Papa sobie poszedł!

– Zdradzę ci pewien sekret, kapitanie Katie. Medal pomaga tylko wtedy, gdy osoba, która go nosi, jest dzielna i rozumna. A ty jesteś właśnie taka.

– Wiem! – szepnęła kapitan Katharine.

Evie za nic by się teraz nie uśmiechnęła. Uwielbiała zwierzenia Katharine.

– Czasami ci silni, rozumni ludzie cierpią bardziej od innych, ale tylko dlatego, żeby mogli potem więcej dokazać, kapitanie Katharine. Czasami coś, co wydaje się końcem ciężkiej próby, jest tylko początkiem długiej, wspaniałej, ogromnie ciekawej historii z mnóstwem niezwykłych zdarzeń. Czy znasz dzieje Herkulesa?

Kapitan Katharine pokręciła przecząco głową.

– Może więc sobie o nich poczytamy, chcesz?

Ale już same słowa o ciężkich próbach i potrzebie dzielności przywiodły jej od razu na myśl Amy. Jeśli Haynesworth zamierzał się o nią oświadczyć w tym tygodniu, Evie wkrótce będzie czekać niełatwa rozmowa.

Być może jedna z najtrudniejszych w jej życiu. Ale pocałunek wciąż jeszcze działał na nią jak narkotyk i w jakiś dziwny sposób uznała, że uczyni on wszystko łatwiejszym.

Gdyby nie znała dawniej Haynesworth, mogłaby popełnić straszliwy błąd. Ale przynajmniej za to jedno powinna być wdzięczna swojej przeszłości.

Spojrzała na Amy, ale spostrzegła, że dziewczyna wciąż się jej przygląda, chłodno i podejrzliwie.

– Amy – powiedziała – nie poszłabyś ze mną na spacer? Potrzeba mi świeżego powietrza.

17

Na podwórzu słychać było donośne śmiechy i krzyki mężczyzn pracujących przy budynkach gospodarskich, a także poszczekiwanie Molly.

Amy milczała. Gdy doszły prawie do środka podwórza, Evie zatrzymała się.

– Muszę ci coś powiedzieć, Amy.

Amy skrzyżowała ręce na piersi i uniosła bez słowa brwi.

– Niech pani mówi, lady Wareham.

– Wiesz pewnie, że swego czasu znałam sporo mężczyzn i być może dlatego potrafię oceniać ich charaktery. Czy mi wierzysz?

– Wierzę, że znała pani swego czasu mnóstwo mężczyzn. Wierzę też, że umie pani ocenić ich charakter. – Amy parsknęła krótkim, urywanym śmiechem.

Nastrój dziewczyny i jej ton, pełen ironii, nie spodobały się Evie. Amy zarumieniła się mocno i patrzyła na nią hardo, bez zmrużenia powiek, jeszcze wyżej niż zwykle unosząc podbródek aroganckim gestem. Josephine nie bez powodu uważała jej serce za twarde jak głaz.

– Skoro już znasz moją przeszłość – ciągnęła Evie – wiesz może, że byłam swego czasu tancerką w teatrze Pod Zielonym Jabłkiem. Poznałam tam lorda Haynesworthа.

Zamilkła, czekając na odpowiedź.

Nie ujrzała żadnego zaskoczenia, żadnego zdziwienia, żadnego nerwowego grymasu. Tylko to harde, zimne spojrzenie.

– Niech pani mówi dalej. – Amy włożyła w te słowa jeszcze więcej ironii.

– Dobrze… dobrze… będę się streszczać. Pojedynkował się o mnie, ale ja nawet i wtedy wcale sobie nie życzyłam jego względów, a pojedynek był niepotrzebny, wstrętny i niezgodny z prawem. Boję się, że ten człowiek… nie ma szacunku dla kobiet. Był wobec mnie dość bezwzględny, a w czasie, gdy go znałam, postępował bardzo niehonorowo.

Była to upiorna litania występków, trudna do zniesienia dla niewinnej, pełnej nadziei dziewczyny. Evie szczerze pragnęła, by nie musiała dokładniej określać tego, co zrobił Haynesworth.

Amy jeszcze mocniej skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chcąc się uchronić przed jej wpływem. Znowu parsknęła nieprzyjemnym śmiechem.

– On mnie uprzedził, że pani będzie tak właśnie mówić – powiedziała bardziej do siebie niż do Evie, z wrogim, pełnym niechęci wyrazem twarzy, jakby skrywała w sobie jakiś sekret.

Evie poczuła się nieswojo.

– Amy – powiedziała łagodnie – obawiam się, że to wszystko jest jednak prawdą. Nie

żałuję mojej przeszłości, bo tylko dzięki niej mogłam pomagać rodzinie. Ale podczas mojej kariery poznałam sporo mężczyzn. A mogłam przetrwać w świecie o wiele bezwzględniejszym, niż możesz sobie wyobrazić i którego, mam nadzieję, nigdy nie poznasz, tylko dlatego, że nauczyłam się trafnie oceniać ich charaktery. Haynesworth jest przystojny i czarujący, ale też bezwzględny i samolubny. Zawsze chce mieć to, czego zapragnie, zupełnie jak dziecko, i sądzi, że mu się to słusznie należy. Bardzo też potrzebuje pieniędzy. Przykro mi to mówić, ale zasługujesz chyba na kogoś dużo lepszego od niego i możesz, a nawet powinnaś, takiego właśnie znaleźć. Mam nadzieję, że mi ufasz.

Z każdym jej słowem na twarz Amy występowały coraz silniejsze rumieńce, aż wreszcie cała pokryła się czerwonymi plamami i dziewczyna wybuchła.

– Ale naprawdę chodzi o co innego, lady Wareham? – spytała z goryczą. – To on nie życzył sobie, by pani ubiegała się o jego względy, bo nie chciał mieć do czynienia z tancerką operową. A teraz próbuje go pani za to ukarać, by przeszkodzić naszemu szczęściu, bo taką już pani ma naturę. „Okazywać rezerwę!”, zacytowała jej słowa i zaśmiała się cierpko. – A przez cały czas pragnęła pani, żebyśmy to my okazywały rezerwę, bo wtedy pani by łatwiej zyskała względy pastora! Jak trudno musiało być pani porzucić Londyn i wyrzec się uwielbienia, do którego pani nawykła i uważa je za zasłużone. A ja myślałam, że jest pani moją przyjaciółką!

Tym razem to Evie cofnęła się, przerażona.

– Amy, proszę cię, posłuchaj…

– Prócz tego… – i Amy zadała jej ostateczny cios z pełnym furii triumfem – …Jenny wie, że jej matka dała ten krzyżyk pastorowi. A on go podarował pani!

Wskazała oskarżycielskim gestem łańcuszek na szyi Evie, która z największym trudem powstrzymała się przed zerwaniem go z siebie.

Do licha! Darowana biżuteria zawsze przynosi pecha!

– Prawdziwa z pani Czarna Wdowa! Nikczemna spryciara, idę o zakład! A pastor to dobry człowiek, lady Wareham, tylko że jest również mężczyzną. Stracił dla pani głowę dzięki pani chytrym sztuczkom. Ale on nie wpadnie w pani… w pani pajęczynę!

Nawet mimo gniewu Evie o mało nie wybuchła śmiechem. Amy bez wątpienia pierwszy raz w życiu prawdziwie cierpiała i miała ku temu powody, ale Evie poznała wystarczająco dużo aktorek i śpiewaczek operowych – które doskonale opanowały wszystkie teatralne gesty, pozy – by rozpoznać sceniczne sztuczki także poza sceną. Walczyły więc w niej teraz dwie sprzeczne chęci: porządnego potrząśnięcia Amy i jednocześnie okazania jej współczucia.

Wiedziała jednak, że ani jedno, ani drugie Amy się nie spodoba.

– Znakomite przedstawienie, Amy! Być może powinnaś występować na scenie. Ale ja naprawdę jestem twoją przyjaciółką. I przysięgam na wszystko, co mi najdroższe, że to, co ci powiedziałam o Haynesworcie, jest prawdą. Dotknęło cię to i rozgoryczyło, ale chcę, żebyś sobie zapamiętała: pastor to dobry człowiek. Proszę cię, pomyśl, dlaczego tak sądzisz. Jesteś przecież bystra i przenikliwa. Zastanów się, czy Haynesworth mógłby dorównać jemu albo Simonowi Covingtonowi. Co sprawia, że oni są dobrzy? Prawdą jest też, że wiele z nas nie zawsze ma możliwości wyboru i że wiele kobiet musi godzić się na

coś, czego wolałyby nie robić. Może nigdy nie zaznasz wielkiej namiętności. – Evie powiedziała to tak prosto z mostu, że podbródek Amy aż drgnął w obronnym geście. – Może będziesz musiała zgodzić się na kogoś innego. Ale jesteś dobrą i atrakcyjną dziewczyną. Nie musisz poślubiać nikczemnika. A daję ci słowo, że Haynesworth nim jest.

Amy gniewnie prychnęła, zacisnęła pięści, odwróciła się tyłem do Evie i spojrzała na podwórze, gdzie kury, pulchniejsze teraz i mniej rozzłoszczone, składały jaja w różnych zakątkach podwórza, bo kurnik właśnie reperowano.

– Nie musisz mi wierzyć na słowo, Amy – ciągnęła Evie łagodniejszym tonem. – Możesz mnie nawet znienawidzić. Ale jeśli masz choć trochę rozumu, poproś ojca, żeby zasięgnął dokładniejszych wiadomości o stanie finansów Haynesworth. Dobry człowiek wytrzyma taką próbę. A ja nie darowałabym sobie, gdybym przynajmniej nie próbowała namówić cię do rozsądnego postępowania.

Obydwie zwróciły głowy ku stodole, skąd dobiegały krzyki i śmiechy. Pastor Sylvaine stał na dachu z rozpiętą koszulą, zakasanymi rękawami, i dawał znaki Covingtonowi, żeby ten mu coś podał.

Spostrzegł Amy i Evie, i pomachał im ręką.

Po chwili namysłu obie odwzajemniły pozdrowienie.

Przez jakiś czas milczały. Gdakanie kur i śmiechy dolatujące przez okna z domu kontrastowały z ich gniewem.

Amy rzekła, niemalże od niechcenia:

– Wie pani przecież, że całe miasteczko odsunie się od pastora, jeśli będzie się z panią zadawał, lady Wareham. Byłoby to dla niego katastrofą.

Evie odczuła to jak policzek. Spojrzała ostro na Amy, która wyzywająco spróbowała zrobić to samo. Nie miała jednak teatralnego doświadczenia Evie i nie potrafiła patrzeć na kogoś tak, jakby spopielała go wzrokiem.

Odwróciła oczy i znów zwróciła wzrok ku stodole.

Evie zaczęła mówić, starając się opanować gniew.

– Zechciej wziąć pod uwagę, że dał mi ten krzyżyk, bo uważał, że mogę potrzebować jakiejś pociechy, panno Pitney. A także to, że dobry człowiek dostrzega dobro w innych ludziach. I że widzi we mnie jedynie osobę mu przyjazną.

Weź pod uwagę, Evie, że jesteś hipokrytką, pomyślała.

Amy odwróciła się ku niej i rzekła ze znużeniem głosem pełnym sceptycyzmu:

– Och, na miły Bóg! Przynajmniej mi pani przyznała, że nie jestem głupia. Może nie jestem ładna, lady Wareham. Ale przynajmniej nie ślepa. Podobnie jak wszyscy w miasteczku.

Adam wypił całe trzy filiżanki kawy i pochłonął żarłocznie kromkę chleba z masłem w mroczny niedzielny poranek. Nadchodził nieuchronnie czas mszy. Niezapisana kartka świeciła pustką, równie onieśmielająca jak głęboka otchłań, i zdawała się złośliwie przedrzeźniać jego pusty umysł. Trzymał pióro tuż ponad papierem, modląc się w duchu o natchnienie, o to, by jakimś magicznym sposobem stworzyć kazanie, którego nie zdołał

skończyć poprzedniego dnia, bo naprawiał dach O'Flahertych.

Nagle… nagle… poczuł, że coś przyszło mu na myśl!

Nagryzmolił:

„Pocałowałem ją. Pocałowałem ją. Pocałowałem ją".

No, trudno.

Jak na kazanie, był to pomysł fatalny. Również zdaniem jego parafian!

Blask zdawał się promieniować ze słów, wnikać w niego, wypełniać go wezbraną falą zagrażającą mu wybuchem burzy uczuć, zdolnych przerazić panią Dalrymple, która dopiero co wstała. Trwał w całkowitym bezruchu, jakby przepełniało go coś ulotnego, co mogło nagle eksplodować. Z pewnością na to nie zasługiwał. Z pewnością nie zrobił nic strasznego. A jednak wiedział, że od takiego racjonalnego uzasadnienia zaczyna się każdy grzech. Przecież nic strasznego się nie stanie, jeśli skradnę pół pensa z tacy na datki. Nikt tej straty nie odczuje. Z pewnością jeden pocałunek to jeszcze nie cudzołóstwo. I tak dalej.

Gdyby nie brać pod uwagę niczego, co działo się wcześniej, i niczego, do czego mogło dojść później – czuł się niewinny. Ale gdy zastanawiał się nad tym, do czego stopniowo dochodziło później – walc, krzyżyk, pocałunek – wszystko ciągnęło go nieubłaganie, niebezpiecznie w dół, stale w dół, niby kotwica rzucona ze statku.

Rozumiał teraz z niezwykłą jasnością, dlaczego Pismo Święte tak surowo osądza pożądanie. Szczerze bowiem wierzył, że przyjdzie mu umrzeć, jeśli nie zdoła się kochać z Evie. Czuł, że jest to prawdziwsze od wszystkiego, co znał lub czego był uczony wcześniej. A gdyby pozwolił tej myśli przeważyć nad jego wolą i rozsądkiem, stałby się całkiem bezużyteczny dla ludzi, którzy go potrzebowali i krańcowo mu ufali.

Odetchnął głęboko i tak gwałtownie, że niemal poczuł ból w piersi.

A potem ostrożnie, świadomie podarł kartkę z tymi słowami – „pocałowałem" oraz „ją" i wrzucił strzępki do ognia. Wydało mu się to absurdalnie symboliczne pod wieloma względami.

Gdy tylko mały Liam Plum zaczął ciągnąć za sznury kościelnych dzwonów, zdołał postawić ostatnią kropkę po tekście kazania o wzajemnej pomocy.

Chwilę potem, ogromnie wyczerpany, ale z ulgą, że nie musi się wstydzić napisanego w ostatniej chwili kazania, Adam podszedł do ołtarza z plikiem kartek szeleszczących mu w dłoniach.

Uniósł głowę i uśmiechnął się do wiernych.

A wtedy doznał raptownego wstrząsu.

W przednich ławkach siedziało tylko kilku jego krewnych. Na jednej z twarzy widniało szczere współczucie graniczące z: „a nie mówiłem?" (była to twarz Colina). Poza tym do kościoła przyszli jedynie pan Brownwell, pan Eldred i garstka innych parafian, którzy – jak się domyślił – mniej byli skłonni do plotek niż pozostali.

W tylnych ławkach siedziała przy Henny Evie. Z pogodnym, nieprzeniknionym, obojętnym uśmiechem. Wyprostowana i nieruchoma.

Może dlatego, że wiedziała, iż nikt nie zechce na nią spojrzeć, gdyby się poruszyła.

Nie było w kościele ani jednej członkini Stowarzyszenia Pomocy Ubogim w Sussex.

Z jednym tylko wyjątkiem – pani Sneath. Siedziała w samym środku, z dala od innych, niczym szpilka wpięta w mapę bitwy. Głowę nieznacznie przechyliła, a na jej twarzy malowało się jednocześnie ubolewanie, nieprzejednanie i przygnębienie. Podobną minę miewała jego matka, gdy wmuszała w niego gorzkie lekarstwo. „To dla twojego dobra, Adamie. Mnie to sprawi jeszcze większą przykrość niż tobie, Adamie".

A za tymi kilkoma osobami puste ławki, wytarte w ciągu wieków pośladkami mieszkańców Pennyroyal Green, wydawały się ciągnąć bez końca. Wzrok go zresztą łudził, bo kościół był niewielki i Adam przypuszczał, że bywał już bardziej opustoszały w swoich dziejach.

Była to mimo wszystko chwila krytyczna.

Pan Eldred, ten od kłótni o kozła, siedział w pierwszym rzędzie i kręcił głową, łagodnie zdziwiony. A potem skrzyżował nogi i rozłożył ręce, niby skrzydła, nad oparciem swojej ławki, jakby się cieszył, że ma ją tylko dla siebie.

Adam zdał sobie w tej chwili sprawę, jakie poczucie bezpieczeństwa i pewność siebie dawało mu mnóstwo oczu wpatrzonych w niego podczas niedzielnych poranków. Jak na ironię zapomniał o tym, że mogły być też dla niego niebezpieczne. A później przypomniało mu się wiele rzeczy: turkot powozu Amy Pitney, kiedy stali oboje z Evie na podwórzu O'Flahertych, dręczeni pożądaniem. Wyraz zdumienia na jej twarzy, kiedy wyprowadził hrabinę na posadzkę sali balowej.

Wczoraj zaś stał na dachu domostwa O'Flahertych i patrzył, jak Evie i Amy prowadzą gwałtowną dysputę z wymachiwaniem ramionami i skrzyżowaniem rąk w obronnym geście. Wtedy sądził, że mogło to mieć coś wspólnego z komitetem do spraw dekoracji.

Przyszło mu na myśl, że równie dobrze mógłby teraz odczytać na głos: „Pocałowałem ją", każdemu z obecnych w kościele, podejrzewał bowiem, że i tak właśnie będą to słyszeć w każdym słowie kazania.

– Dziękuję wam za przybycie – zaczął spokojnym i dźwięcznym głosem. – Ostatnio miałem przyjemność oglądać na własne oczy cuda, których można dokazać, pomagając sobie nawzajem. Wierzę, że…

Urwał. Jego głos odbił się szyderczym echem w niemal pustym kościele.

– Proszę mówić dalej, pastorze, i powiedzieć nam coś o pomaganiu sobie nawzajem – ponaglił go z satysfakcją, niemalże szeptem, pan Eldred z pierwszego rzędu ławek.

Adam ciągnął więc dalej. Wygłaszał kolejno słowo po słowie, a nawet zdołał w nie tchnąć nieco uczucia. Słyszał je jednak z daleka, jakby wydobywały się spod powierzchni wody.

Jakby jakaś kotwica ciągnęła go uporczywie coraz bardziej w dół.

– Niezależnie od powodu, Adamie – rzekł do niego uprzejmie jego wuj, Jacob Eversea, gdy wychodził po nabożeństwie z niemal pustego kościoła – zrobisz z tym chyba porządek?

I poklepał go serdecznie po plecach, a to równie dobrze mogło być ostrzeżeniem. Bo co Jacob Eversea dał, mógł też równie łatwo odebrać.

Teraz zaś Adam siedział w salonie pani Sneath, jak zwykle ustalając harmonogram spotkań Stowarzyszenia Pomocy Ubogim Hrabstwa Sussex, w otoczeniu właśnie tych kobiet, które rano ukarały go swoją nieobecnością w kościele.

W jego obecności wszystkie wyglądały jednakże na nieco skonfundowane i onieśmielone.

Adam uznał, że najlepiej zrobi, gdy natychmiast przejmie ster rozmowy.

– Jak dalece zaawansowane są plany zimowego balu, pani Sneath? Czy potrzebuje pani mojej zgody na jakieś wydatki?

– Och, wszystko idzie dobrze, tak się szczęśliwie składa, pastorze Sylvaine. Prace nad dekoracjami postępują szybko. Lady Fennimore zgodziła się dostarczyć nam kwiaty ze swojej cieplarni i myślę, że zdołamy przekonać orkiestrę…

– Jak pani sądzi, czy hrabina może nam posłużyć swoim doświadczeniem w sprawie dekoracji?

Milczenie zapadło z niemal komiczną nagłością. Oczy wszystkich kobiet patrzyły wszędzie, tylko nie na niego. Potem z kolei przeniosły się na niego, żeby już po chwili znów się odwrócić. Niemal wszystkie policzki pokryły się rumieńcem, a ręce zaczęły niespokojnie skubać suknie. Wiele pań uznało zawartość ich filiżanek za wręcz fascynującą.

Pani Sneath odkaszlnęła. Wszystkie spojrzenia z ulgą zwróciły się ku niej.

– Jeśli już mowa o hrabinie, pastorze Sylvaine, to chciałybyśmy z panem omówić pewną sprawę. Obawiam się jednak, że może ona w panu wzbudzić pewne rozczarowanie, w istocie chodzi tu o dotkliwe rozczarowanie, gdyż dotyczy kwestii, którą jest pan szczególnie zainteresowany.

– Zamieniam się cały w słuch, pani Sneath.

– Wiem, że postrzegamy hrabinę Wareham jako szczególne przedsięwzięcie…

– Jako parafiankę, pani Sneath. Dla mnie jest ona tylko parafianką. I to mającą wszelkie prawa parafianki. Nie przedsięwzięciem.

– Doskonale. Skoro tak – ciągnęła mężnie pani Sneath – nie szczędził pan wysiłków, podobnie jak ja, by puścić w niepamięć jej przeszłość i zaofiarować jej dobrodziejstwo zapomnienia, gdyby wyraziła szczerą chęć rozpoczęcia życia na nowo. Bardzo podziwiam jej czynione w tym celu wysiłki. Hrabina jest niezwykle czarującą osobą. Wiem, że starał się pan dawać jej jak najlepsze rady i popychać ją we właściwym kierunku. No i, rzecz jasna, tylko to mogło być powodem ofiarowania jej krzyżyka należącego poprzednio do lady Fennimore.

Kobiety w pokoju przestały wiercić się nerwowo i znieruchomiały jak statuy.

Adam zacisnął szczęki i powoli odwrócił głowę, a potem spojrzał przenikliwie na Jenny Fennimore.

Jenny spuściła oczy i głośno pociągnęła łyk herbaty ze swojej filiżanki.

– Pan jest bardzo dobrym człowiekiem, pastorze Sylvaine, lecz czasami nie wystarczy być przykładem dobroci. Mimo że hrabina niewątpliwie okazała się bardzo pomocna, jeśli chodzi o rodzinę O’Flahertych, uzyskane przez nas ostatnio wiadomości pozwalają nam sądzić, iż istnieją powody, by zrezygnować z jej udziału w pracach stowarzyszenia.

Wyczekiwanie widniejące na ich twarzach wzbudziło w nim pogardę. Umierały wprost

z ciekawości, co on na to powie.

– Rozumiem. Skoro zaś zgadzamy się, pani Sneath, że każdy zasługuje, by dać mu szansę, proszę mi wyjaśnić, co jest powodem tej decyzji.

Pani Sneath i panna Pitney wymieniły spojrzenia; Amy, z miną cnotliwej męczennicy, skinęła nieznacznie głową na znak zgody.

– Lord Haynesworth, który, jak pan wie, przez większą część roku przebywa w Londynie, z przykrością ujawnił pannie Pitney, że gdy hrabina… – tu pani Sneath zniżyła głos do dyskretnego szeptu – …była tancerką w operze, chętnie okazywała mu względy, on zaś odrzucił jej awanse. Hrabina zaś usiłowała oczernić jego dobre imię wobec panny Pitney.

Haynesworth! To słowo podstępnie wślizgnęło mu się w trzewia, mroczne i zdradzieckie.

– Jestem pewien, że jedynie z chrześcijańskiego obowiązku uznał za konieczne ujawnienie tego. Znany jest przecież z nieskazitelnego charakteru i nie miał innego powodu, by twierdzić coś podobnego.

Mówił to, patrząc na Amy. Jej wysiłki, by zdobyć się na pełne śmiałości spojrzenie, spełzły na niczym pod wpływem jawnej ironii bijącej z jego słów.

Z trudem przełknęła ślinę i zwróciła wzrok gdzie indziej.

Jeśli Amy nie wiedziała, że Haynesworth pojedynkował się o Evie, lepiej było nie wspominać o tym wobec wszystkich. Evie nic by na tym nie zyskała.

Usiłował mówić spokojnym, zrównoważonym głosem, mimo że dusił się wprost z gniewu.

– Hrabina zaprzyjaźniła się z wszystkimi tu obecnymi paniami, czyż nie tak? Działała z oddaniem na rzecz stowarzyszenia. Odwiedzała panie i gościła je u siebie, a panie cieszyło jej towarzystwo.

– To prawda. Niewątpliwie cieszyło nas jej towarzystwo, tylko że nie wszystko o niej wiemy. Lecz to, czego się dowiedziałyśmy ostatnio, bezsprzecznie stawia ją w niekorzystnym świetle, pastorze.

– Istotnie.

– Nie można również temu zaprzeczyć.

– Nie można.

– Co czyni całą tę historię wiarygodną.

– Być może.

– A gdyby wicehrabia miał osiąść w Sussex – przy tych słowach Amy skromnie pochyliła głowę i uroczo się zarumieniła, a ku Adamowi zwróciło się wiele wymownych spojrzeń – no cóż, widzi pan chyba, w czym leży trudność, pastorze.

– Widzę.

Po krótkiej przerwie pani Sneath znów zabrała głos.

– Mamy powody, by sądzić, że zachowanie hrabiny świadczy, iż nie wyrzekła się dawnych wzorców.

Ach. Cóż za ostrożne sformułowanie. Zachowała to na sam koniec. Teraz już rozumiał. To on miał być niewinną ofiarą nikczemnych poczynań Evie. Dobry mężczyzna, ale podatny, jak każdy z mężczyzn, na urok pięknej twarzy i zręczne zaloty urodzonej

uwodzicielki. Skoro się zaś usunie źródło pokusy, on oprzytomnieje i ponownie stanie się celem ich nadziei i fantazji.

A jednak – Adam znów ujrzał przed sobą Evie, jak umiejętnie pochyla głowę i rzuca mu spojrzenie spod rzęs, gdy on zawiesza jej na szyi krzyżyk. O tak, jej powab był legendarny, niszczycielski, wszystkim znany. Doprowadził Haynesworth do pojedynkowania się o nią z innym mężczyzną.

Czy Haynesworth znalazł się teraz w Pennyroyal Green tylko przypadkiem?

Zapragnął naraz być tchórzliwym lub przynajmniej zatracić zdolność jasnego sądu. Musiał bowiem zdobyć się na odwagę i przyznać, że mogło się w tym wszystkim kryć źdźbło prawdy.

– Dziękuję za podzielenie się ze mną przemyśleniami, pani Sneath. Czy wspomniała już pani hrabinie o swoich troskach?

– Sądzę, że niedługo sama się o nich dowie.

Co za wymijające sformułowanie! Czuł, że hrabina wkrótce padnie ofiarą ostracyzmu.

A jednocześnie zdumiewał się. Zastawiła na niego skuteczną pułapkę grupka zadufanych w sobie, zamiłowanych hafciarek! Poczuł w piersiach ból tak dotkliwy, jakby stał między zwierającymi się wokół niego ścianami.

Gdyby bronił jej otwarcie, dostarczyłby im jedynie pretekstu do podejrzeń i plotek. Ale, Boże dopomóż, czyż miał pewność, że ona zasługiwała na obronę? Poczuł wstręt do wszystkich tych kobiet za wzniecenie w nim wątpliwości. Za to, że zbrukały jego wspomnienia.

– Wiem, że jest pani najuprzejmiejszą i najbardziej miłosierną z kobiet, spodziewam się zatem, że przemyśli pani swoją decyzję.

Pani Sneath uśmiechnęła się promiennie, lecz nie udzieliła mu żadnej odpowiedzi.

– Zanim pan odejdzie, pastorze, chciałyśmy wręczyć panu upominek.

Podała mu bezużyteczną wyszywaną poduszeczkę, pięknie przyozdobioną motywami róż i bluszczu.

Pośrodku widniały ozdobnie wyhaftowane słowa: „Księga Przysłów, 6,25”[1]. Tekst poniżej głosił:

Niech nie pożąda twe serce jej wdzięków,

Powiekami jej nie daj się złowić.

Szósty rozdział Księgi Przysłów istotnie pełen był ostrzeżeń przed żądzą.

Powoli uniósł głowę.

Nagle cały pokój zaczął mu wirować przed oczami, jakby to były mrówki oglądane przez szło powiększające, taka wściekłość zapłonęła w jego oczach.

Co za bezczelność! Jak one śmiały?!

Chrzcił ich dzieci, odczytywał ich zapowiedzi, pomagał ich bliskim odejść spokojnie z tego świata po rozgrzeszeniu. Widywał ich twarze w każdą niedzielę, jadał przy ich stołach, służył im radą, gdy dręczyła je zgryzota lub spotkało nieszczęście. Znał ich skryte marzenia i nadzieje z nim związane i nie mógł zaprzeczyć, że czyniło to jego pracę łatwiejszą, choć zarazem trudniejszą.

A teraz jego przyszłość znajdowała się w ich rękach.

Czuł się tak, jakby zaciskały mu ręce na gardle.

A jednak… być może szczerze sądziły, że powinny go uratować i odzyskać dla siebie.

Może trzeba go było ratować?

Może był jedynym, który tego nie dostrzegał?

Poczuł w ustach smak zimnego metalu. Kusiło go, żeby rozedrzeć poduszeczkę i patrzeć, jak jej strzępy sypią się na ofiarodawczynie.

Zamiast tego odłożył ją jednak na bok.

– Najserdeczniej paniom dziękuję. – Nie mógł chyba wyrazić wdzięczności z większą ironią. – Niezwykle sobie cenię ten upominek. Zawsze uważałem, że prócz Biblii to właśnie te poduszki są źródłem najrzetelniejszych wskazań moralnych. Może któraś z uzdolnionych pań zechce uzupełnić moją kolekcję? Brak w niej jednego z najbardziej lubianych przeze mnie cytatów: Ewangelia według świętego Jana, rozdział 8, werset 7. „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem”.

Wszystkie poruszyły się niespokojnie.

– Albo może Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział 19, werset 12, zawiera bardziej odpowiednie w moim przypadku słowa? „Są także bezżenni, którzy ze względu na królestwo niebieskie sami zostali bezżenni”.

Mógł poznać, które naprawdę dobrze znają Biblię, po ich otwartych ustach.

– Siostrzenica pani Sneath była tak miła, że podarowała mi poduszkę ze słowami „Miłuj bliźniego swego”…

No i spójrz, co się teraz będzie działo, powiedział sobie w duchu.

W oczach pani Sneath błysnął niepokój.

Lepiej, żeby już stąd poszedł, nim powie coś, czego potem szczerze pożałuje.

– Spróbuję wyhaftować ten werset z Mateusza, pastorze! – zawołała cienkim głosikiem panna Charing, najwyraźniej nie rozumiejąc wcale, o co tu chodzi.

Rozchylał już usta, żeby wypowiedzieć jakąś ciętą uwagę, ale uznał, że lepiej tego nie robić.

– Dziękuję paniom za starania na rzecz ubogich i nieustanne wysiłki, by ratować grzeszne dusze.

Nie potrafił już rzec nic innego, co nie byłoby podszyte ironią.

– Jest pan u nas zawsze mile widziany – odparła, całkiem szczerze, pani Sneath.

– Czy ujrzę wszystkie panie na balu?

Potwierdziły to entuzjastycznie, choć bez słowa.

– Pannę Pitney również? – Spytał tak bezceremonialnym tonem, że wszystkie drgnęły.

Panna Pitney z miejsca wyprostowała się, przybierając pozę osoby absolutnie cnotliwej, i arogancko uniosła podbródek, cała w rumieńcach.

Czerwień, jak uważał, była kolorem winy.

– Proszę spytać lorda Haynesworth, czy zna pewnego dżentelmena nazwiskiem Bartholomew Tolliver.

Dotknął ronda palcami na znak pożegnania i wyszedł tak gwałtownym krokiem, że aż zatrzepotały wstążki ich kapeluszy.

18

Dwie godziny później lord Haynesworth podał Amy ramię z ciepłym i pełnym szacunku spojrzeniem.

Za każdym razem wsuwała pod nie własne ramię z coraz mniejszą niepewnością. Wyglądał niezwykle męsko; mięśnie pod jego surdutem były mocne i wspaniale twarde, choć wydawało się jej to trochę niepokojące. Przeszli po podjeździe wiodącym do jej domu, minęli fontannę i skierowali się ku małej ścieżce wśród drzew, znanej jej od dziecka.

– Trudno mi uwierzyć, że tylko dwa dni dzielą nas od balu zimowego – powiedziała.

Paliła ją ciekawość, czy będzie już wówczas zaręczona. Tak bardzo przejęła się myślą o tym, że pełne zieleni otoczenie widziała jak przez mgłę.

Ciekawa też była, kiedy mężczyzna czuje się na tyle pewny kobiecych względów, by poprosić o jej rękę. Czuła się tak, jakby uczestniczyła w jakimś rytuale wtajemniczenia złożonym z kolejnych stopni, z których każdy zbliżał ją coraz bardziej do celu. Było to o wiele mniej romantyczne, niż przedtem sądziła. Przypominało raczej grę w tryktraka.

Może miało to coś wspólnego z tym, że przez całe lata polegała raczej na swojej inteligencji niż urodzie. Nie potrafiła zerwać z nawykiem myślenia.

Rozmyślania, choć również i zmartwienia, jednakowo się jej kojarzyły z mężczyznami.

A jednak… widziała, jak Josephine patrzyła teraz na Simona.

Jak pastor patrzył na hrabinę, gdy oboje tańczyli walca.

Nie wyglądało na to, by ktokolwiek z nich był wtedy zdolny do myślenia.

Żołądek skurczył się jej boleśnie. Cóż to za niesprawiedliwość! A jednak właśnie jej dostała się największa wygrana.

Teraz jednak, skutkiem nieustępliwego spojrzenia błękitnych oczu pastora i żądającego posłuchu tonu, jakim ją pożegnał przed godziną, mogła już tylko myśleć. Słowa pastora tkwiły w jej mglistych nadziejach jak zadra.

„Pastor jest dobrym człowiekiem. Proszę cię, pomyśl, dlaczego tak sądzisz”.

Niezależnie od tego, co myślała o hrabinie, wiedziała, że to prawda. Pastor Sylvaine był dobrym człowiekiem. Oczywiście, dla niej nigdy by nie stracił głowy, bo nie miała zielonych oczu ani niewymuszonego wdzięku jak tamta, zawsze jednak był wobec niej życzliwy i prawdomówny.

– Trudno mi uwierzyć, że od balu zimowego dzieli nas tylko kilka dni – powtórzyła. Lord Haynesworth zapewne nie miał pojęcia, z jaką bystrością działa jej umysł. Zwykła dziewczyna byłaby teraz zauroczona.

– O wiele za dużo dni. Jakże mi będzie miło znów z tobą zatańczyć, Amy.

Zawsze zdawał się dokładnie wiedzieć, co powinien mówić. Bez wątpienia nauczył się tego przez lata pobytu w Londynie. Odrzucał względy innych kobiet. Zachował siebie dla niej.

Dlaczego w jej myślach jest ostatnio tyle sarkazmu? Może chce w ten sposób powstrzymać ich gwałtowny natłok?

– Powiedz mi, Walterze… – Jakie to dziwne, jakie dojrzałe, że zwraca się do niego po imieniu! Walter, Walter, Walter… Im więcej o tym myślała, tym dziwniejsze jej się to wydawało, aż nagle zrozumiała, że on wciąż wydaje się jej kimś obcym. Człowiek mający, jak sądziła, same zalety, niezwiązane wcale z jego charakterem: przystojny, bogaty, uprzedzająco grzeczny. Była z niego niesłychanie dumna. Pełna rozpaczliwej nadziei.

Wprost nienawidziła hrabiny za to, że zmusiła ją do myślenia.

– …czy znasz dżentelmena nazwiskiem Bartholomew Tolliver?

Ramię, pod które z taką dumą go trzymała, zesztywniało gwałtownie.

Proszę, odpowiedz mi natychmiast, mówiła sobie w duchu. Jeszcze raz ze zdenerwowania zamglił się jej wzrok.

Zawahał się tylko na moment, ale jednak. Ale jednak. Ta krótka chwila milczenia świadczyła, że – czego się obawiała – zwleka z odpowiedzią.

– Słyszałem o adwokacie, który tak się nazywa. Dlaczego pytasz o niego?

– Pewien mój znajomy powiedział mi, że możesz go znać, bo w Londynie łączyło was wiele wspólnych interesów – wyjaśniła.

– To sympatyczny człowiek – powiedział w końcu.

I uśmiechnął się do niej. Przynajmniej w tej chwili nie musiała myśleć. Było to coś podobnego do spojrzenia prosto w słońce. To go bardzo upodabniało do pastora Sylvaine'a. Podejrzewała zresztą, że właśnie dlatego uśmiechał się w ten sposób.

– Czy twój ojciec jest w domu, Amy? – spytał uprzejmie, ale tonem kogoś, kto nie cierpi zwłoki. Głosem zakochanego młodzieńca, który nie może się doczekać, by poprosić o jej rękę.

A jednak nigdy nawet nie próbował jej pocałować. Był wcieloną przyzwoitością.

Znów ją nawiedził obraz, który ujrzała tak przelotnie, że mógłby to być równie dobrze sen – bliźniaczy wyraz twarzy pastora i hrabiny. Obydwoje odczuwali coś potężnego, co mogło być lękiem, ale i ekstazą. Osłupiała, gdy ujrzała go wtedy przez okienko powozu w drodze do domu O'Flahertych.

Wiedziała, że sobie tego nie wymyśliła.

Dobry człowiek wytrzyma taką próbę, powiedziała hrabina.

I chociaż Amy jej od niedawna nienawidziła, niemal pragnęła, żeby hrabina teraz tu była.

– Ojciec poszedł w odwiedziny do sąsiada – odpowiedziała Haynesworthowi.

– Wielka szkoda – odparł miękko, ze szczerym żalem.

Lecz właśnie w chwili, gdy Amy z nadzieją słuchała jego słów, pomyślała nagle o ojcu. A kiedy Haynesworth już się pożegnał, uznała, że musi pójść do ojca na górę i podać mu nazwisko Tollivera.

Ostatnią zabawą zimowego festiwalu był duży zimowy bal urządzany u Redmondów, którzy, podobnie jak Eversea, lubili na zmianę z nimi okazywać szczodrość i nie przejmowali się zbytnio tym, że Adam był spokrewniony z ich rywalami. Wstęgi w kolorach morza, nieba i obłoków nad Sussex, błękitne, białe i zielone, falowały pod sufitem i zwisały nad tancerzami.

Ofiarowane z okazji zimowego balu kwiaty cieplarniane we wszelkich możliwych odcieniach umieszczono w wazach i malowniczo porozstawiano je po całej sali balowej, co znakomicie sprzyjało szukającym zacisznych zakątków flirtującym parom, dziewczętom siejącym pietruszkę pozwalało zaś ukryć swoją niedolę.

A hrabinom uchronić się od plotek.

– Toż ty nie zrobiłaś nic złego! – sierdziła się Henny, gdy przestano składać Evie wizyty i gdy oznajmiono, że stowarzyszenie nie potrzebuje już jej pomocy przy dekoracjach, bo poradzi sobie samo.

Oczywiście niczego jej nie zarzucano otwarcie, pominąwszy wybuch Amy Pitney. Sądziła też, że tylko wskutek przypadkowej zbieżności w czasie kobiety były zanadto zajęte przez cały tydzień, by składać jej wizyty. Może naprawdę nie potrzebowały jej pomocy przy dekorowaniu sali. Może też wyłącznie dla kaprysu postanowiły nie iść do kościoła akurat po tym, jak Amy Pitney oskarżycielskim gestem wskazała na jej krzyżyk na szyi.

Być może. Evie mogła wprawdzie być tym poruszona, ale nie była głupia, gdyby sparafrazować słowa Amy Pitney.

Nie była też tchórzliwa.

Włożyła więc suknię w kolorze owocu granatu i poszła na bal.

Poszła tam, bo chciała zobaczyć Adama. Nie widziała go, odkąd jego głos odbił się echem we wnętrzu niemal pustego kościoła. Chciała spojrzeć mu w oczy. Wyczytać z nich, co to wszystko oznacza dla niego.

Zakątki za wazonami były też stosownymi, dyskretnymi schronieniami dla złamanych serc, zniweczonych marzeń oraz opasek zrzucanych z oczu.

Amy Pitney stała bez ruchu w jednym z takich miejsc, dotknięta do żywego i rozgniewana.

Lord Haynesworth stał obok niej, również nieruchomo.

– Przynajmniej wiesz teraz o mnie wszystko, co najgorsze – powiedział w końcu stłumionym głosem. – Nie mam powodów do dumy i dlatego nie odważyłem się powiedzieć ci więcej o Tolliverze.

– Pan Tolliver powiedział papie, że o mało go nie zrujnowałeś – odparła Amy, czując się rozpaczliwie niedoświadczoną i niemądrą. – Że jesteś mu winien tysiące funtów z powodu karcianych długów.

– Zamierzam je spłacić.

Dziwne, że teraz wydawał się jej jakiś prawdziwszy, gdy został zdemaskowany jako łowca posagów, którym najwyraźniej był.

– Moimi pieniędzmi? – spytała ze złością.

– Amy… – Przystojna twarz Haynesworth a zdawała się ją błagać, głos był aksamitny. – Na pewno coś przecież do mnie czujesz. Czy już nic dla siebie nie znaczymy? Proszę cię… nie łam mi serca.

Przyjrzała mu się uważnie. Rzeczywiście wyglądało na to, że jest załamany: skóra pobladła mu wokół ust, a na czoło wystąpił pot.

Ośmielił się nawet dotknąć ostrożnie jej ramienia. Wzdrygnęła się.

– Daję ci słowo, że wszystko to już mam za sobą. Pragnę tylko spokojnego życia. Ale przyznanie się do długów nie jest najlepszym sposobem zdobycia kobiety, którą się podziwia bardziej od wszystkich innych. Nigdy nie spotkałem jeszcze nikogo tak biegłego w botanice…

O mało się nie uśmiechnęła. O mało nie dała się przekonać. Marzyła, by jej bystry umysł przyjął to wyjaśnienie. Gdyż alternatywa była nie tylko przykra, ale wprost nie do pomyślenia. Hrabina miała rację. Amy nie była uczciwa względem samej siebie. Tylko że ten mężczyzna mógł być jej ostatnią szansą na zamążpójście.

Mogła jednak zyskać coś lepszego. Tę niesłychaną, heretycką myśl również zawdzięczała hrabinie.

Potrafił czytać w jej myślach.

– Proszę cię, Amy, nie pozwól, by kobieta tego pokroju zatruwała ci umysł.

– Jakiego pokroju?

Wskazał ruchem głowy hrabinę, która również schowała się za jedną z waz.

– Wyznam ci to z największą przykrością, ale całkiem niedawno chciała mi się oddać za pieniądze. Widzisz, jej finanse nie są już w tak dobrym stanie jak przedtem. Wyjaśniłem jej, że to niemożliwe, gdyż moje uczucia dotyczą już kogoś innego.

– Chciała… ci się oddać? – wyjąkała Amy, pokrywając się ognistym rumieńcem. – Co ty przez to rozu…

– To samo, co i ty.

– Dlaczego… dlaczego mi mówisz coś tak niesłychanego?

– Żeby dowieść ci moich uczuć. Amy, ta kobieta jest bezlitosna i mimo pozorów brak jej kośćca moralnego.

– Przyganiał kocioł garnkowi! – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

– Przepraszam, co…

– Zostaw mnie! Zostaw mnie w tej chwili! – Amy zakryła twarz rękami, nie chcąc go dłużej słuchać. – Kiedy opuszczę dłonie, ma cię tu już nie być! Liczę! Raz… dwa… trzy…

– Zostawię cię na jakiś czas samą, dobrze? – odparł układnym tonem.

Jakby chodziło tylko o przemijający kobiecy kaprys.

– Precz stąd!

Gdy Adam wszedł w zimową krainę czarów, wykreowaną przez stowarzyszenie w sali balowej Redmondów, pierwszą ujrzaną przez niego osobą okazała się pani Sneath. Zdawała się przewodzić wszystkiemu niczym komandor dowodzący statkiem flagowym.

Następną była Amy Pitney. Stała bez ruchu, śmiertelnie poważna, pełna poczucia

własnej godności, a wokół niej uwijało się opiekuńczo całe stadko zgorszonych, rozgadanych kobiet w jedwabnych sukniach. Była oszołomiona, a na jednym z policzków dojrzał ślady łez.

Najwyraźniej zimowy bal rozpoczął się w sposób niezbyt obiecujący.

– Jak toczy się zabawa? – spytał pogodnie, ale z ironią.

– Czy widział pan dekoracje, pastorze? – Pani Sneath odpowiedziała na jego pytanie swoim własnym, czyniąc to w sposób jawnie wymijający.

– Są bardzo ładne, ale wydaje mi się, że… atmosfera balu pozostawia nieco do życzenia. Czy coś się stało?

– Och, nie byłam pewna, czy mam o tym panu powiedzieć, ale obawiam się, że muszę. Panna Pitney jest ogromnie wytrącona z równowagi. Sądzę, że powinniśmy być wdzięczni lordowi Haynesworth za jego niesłychane wyznanie, ale szczerze mówiąc, nigdy się tu o czymś podobnym nie mówiło przed przyjazdem hrabiny do Sussex. Nie można się spodziewać, by młoda dziewczyna mogła tego słuchać, nie doznając dotkliwego cierpienia. Panna Pitney pytała lorda o niektóre z jego poprzednich… inklinacji, no i wtedy wszystko wyszło na jaw.

– Co wyszło na jaw, pani Sneath? – A więc panna Pitney go wypytywała. Dobrze zrobiła.

– Jak się obawiam, była mowa o tym, że hrabina… – tu pani Sneath odkaszlnęła dyskretnie – zaofiarowała niedawno lordowi Haynesworth pewien rodzaj zażyłości w zamian za pieniądze.

Adam poczuł nagle, że opuszczają go wszystkie siły.

– Czy nie tego się można spodziewać po kurtyzanach? – Pani Sneath ze szczerym zaciekawieniem, choć i ze zmartwieniem spojrzała na milczącego pastora.

Na Adama podziałało to jak płachta na byka.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Dlaczego pani mi o tym mówi? Czyżby zamierzała pani w nowy sposób zbierać pieniądze na kościół?

Pani Sneath aż się cofnęła.

– Chyba nie ubodło to pana zbytnio, pastorze?

– O mnie proszę się nie martwić. Z takim mnóstwem haftowanych poduszek nietrudno mi będzie o moralne wsparcie.

Jego ton zmroził ją tak samo jak słowa. Doznała prawdziwego wstrząsu.

– Chciałbym spytać tylko o jedno. Znam panią jako rozsądną, uczciwą, zacną kobietę. Dlaczego Haynesworth powiedział coś takiego akurat wtedy, gdy pannę Pitney zainteresowała jego przeszłość? Czy pani naprawdę wierzy, że postąpiła w ten sposób kobieta, która tuliła w ramionach niemowlę O'Flahertych i czytała książki innym ich dzieciom? Która przyjęła panią uprzejmie w swoim domu i przeszła pomyślnie wszelkie próby? A może słowa „miłuj bliźniego swego" są dla pani tylko cytatem, który można wyszyć na poduszce?

Zostawił ją, by to sobie rozważyła, i ruszył na poszukiwanie Haynesworth.

Jak kula wystrzelona do celu.

Haynesworth wyjrzał zza wazy z ponczem.

Śledził Evie.

Ona zaś stała samotnie, wsparta o ścianę, koło urny wypełnionej po brzegi kwiatami. Inne kobiety obchodziły ją z daleka, jakby była górą lodową, a one okrętami, które mogłyby się rozbić, gdyby podpłynęły do niej zbyt blisko.

Uśmiechała się blado, ale iście po królewsku, chociaż nikt na ten uśmiech nie reagował, podobnie jak na jedwabną suknię w kolorze owocu granatu. Wyglądała w niej jak żywy płomień.

Na tle tego stroju twarz jej wydawała się niemal biała.

Uniosła głowę. A wtedy dostrzegła Adama. Serce ciągnęło go do niej z oddaniem godnym wręcz suki Molly.

Adam czuł się bardzo głupio, stanowczo więc przywołał się w duchu do porządku.

Z trudem udało mu się odwrócić głowę w inną stronę, a wtedy przypadkowo znalazł się tuż obok Haynesworth. Ten zaś, przyglądając mu się, zaczął rozmowę, mówiąc z rozwlekłym londyńskim akcentem.

– Niezły kąsek z hrabiny, czyż nie, pastorze Sylvaine? Ostrzegam jednak, nie stać cię na nią. Lepiej zacznij uganiać się za tamtym niewiniątkiem, choć za jej posag można kupić najwyżej ze dwie krowy. Za tą rumianą na twarzy, z takim, o, biustem – stwierdził, pokazując rozłożonymi rękami jego rozmiary. – Za panną Charing.

– Czemu to zrobiłeś?

Haynesworth nie zdawał sobie sprawy, że gdy Adam mówi coś półgłosem, a nawet jakby od niechcenia, równa się to ciosowi szpadą wyszarpniętą raptownie z pochwy.

Goście zaczęli stopniowo zwracać ku nim głowy, jakby zaniepokoiły ich odgłosy toczącej się gdzieś daleko bitwy.

Przyglądano im się.

– Że co zrobiłem? Że zabrałem się ostro do hrabiny? – Haynesworth uśmiechnął się ironicznie.

– Naopowiadałeś o niej pannie Pitney samych kłamstw.

Haynesworth wydał z siebie dziwny odgłos, coś pośredniego między śmiechem a ziewnięciem.

– A dlaczego sądzisz, pastorze, że skłamałem?

– Hrabina wyjawiła pannie Pitney, kim naprawdę jesteś. Zagrażało to ruiną twoich zamiarów matrymonialnych.

Haynesworth przez chwilę milczał, a potem zaczął mówić:

– Kurtyzany znają się na rzeczy. Jeśli się kiedyś wzbogacisz, pastorze, to ci doradzę, jak wydać te pieniądze. Chociaż… widziałem, w jaki sposób ona na ciebie patrzy. Mógłbyś ją mieć nawet bez specjalnych kosztów, żeby się potem chwaliła, że zabrała Bożego człowieka do nieba.

Wściekłość Adama sprawiła, że nie widział już przed sobą nic prócz poruszających się ust Haynesworth. Po drugiej stronie sali pobladła Evie śledziła ich z nienaturalnie błyszczącymi oczami.

– Co ty na to, pastorze? – Haynesworth uśmiechnął się do niego w ohydny, fałszywie jowialny sposób. – Na pewno wysupłasz parę miedziaków, jeśli ci zdradzę, jak sobie z nią

użyłem. A była warta każdego funta zapłaconego za ten przywilej. Czy mam ci mówić, jakie strome i jędrne ma cycki? Albo jak rozchyliłem jej nogi, żeby ją…

Głowa Haynesworthа odskoczyła gwałtownie w tył, a on sam runął bezwładnie na ziemię i z imponującym plaśnięciem rozpłaszczył się na marmurowych płytach posadzki.

Adam stał nad nim, z wciąż jeszcze uniesioną pięścią, którą wymierzył mu cios prosto w podbródek o perfekcyjnej linii.

– Przeproś lady Wareham i powiedz przy wszystkich, że to było kłamstwo.

– Lady! Też coś! – Haynesworth zdołał się tylko skrzywić pogardliwie.

– Przeproś ją natychmiast, bo przyduszę obcasem twoją krtań. Wiesz chyba, co to jest krtań, Haynesworth? Właśnie w tej chwili go unoszę, a przechodziłem przedtem przez pastwisko pełne krowiego łajna.

Nigdy nikt jeszcze nie powiedział tak szybko:

– Przepraszam, lady Wareham!

– Przyznaj też, że wszystko, co o niej mówiłeś, było kłamstwem.

Tym razem Haynesworth nie spieszył się z przeprosinami.

– Skłamałeś, tak czy nie?

– Skłamałem – wystękał niechętnie Haynesworth.

– Przeproś także pannę Pitney za to, że ją oszukałeś.

– Przepraszam pannę Pitney.

Adam zdjął but z jego szyi.

Nie był jednak pewien, czy ludzie dadzą wiarę wyznaniom wymuszonym przemocą.

Doskwierała mu dotkliwie bezsensowność tego gestu, gdy tak stał z płonącym wzrokiem nad Haynesworthem.

– Wstawaj.

Nie wyciągnął ku niemu ręki.

Haynesworth leżał bezwładnie jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem przekręcił się na bok i niezdarnie stanął na czworakach.

Adam nie pomógł mu się podnieść i nie czekał, aż tamten stanie na nogi. Nie patrzył na zdumione twarze gości.

Szukał desperacko wyjścia, jak schwytane w pułapkę dzikie zwierzę.

Evie usiłowała przedostać się do niego przez tłum, ale jego długie nogi uniemożliwiły to. Zniknął jej z oczu po kilku sekundach. Zebrała więc suknię i pobiegła za nim. I tak już rzucała się wszystkim w oczy.

Usłyszała go, nim go jeszcze dojrzała. Oddychał ciężko raz po raz, jak ktoś, kto zmaga się z gniewem. Stał wsparty o ścianę.

Nie odwrócił się. Nie uniósł nawet głowy.

Przez dłuższy czas żadne z nich nie wymówiło ani słowa. Nie zwracał na nią uwagi, posępny i nieprzenikniony.

– Dziękuję… – zaczęła.

Nie odwrócił się, słysząc jej głos. Utkwił wzrok w horyzoncie, jakby pragnął znaleźć się teraz nad morzem.

– Za co? – Głos jego był bezbarwny i dochodził jakby z daleka.

– Za… obronę mojego wątpliwego honoru.

– Ach, tak. Z drugiej strony to zapewne tylko coś w rodzaju podniecenia, do jakiego nawykłaś dzięki mężczyznom.

Powiedział to jeszcze bardziej bezbarwnym głosem, ale nie bez ironii. Czuła się coraz bardziej nieswojo. Odkaszlnęła.

– Zraniłeś sobie rękę?

– Nie. – Odpowiedź padła tak szybko, jak ostrze gilotyny.

Zażenowanie Evie rosło coraz bardziej.

– Adamie… – zaczęła łagodnie. – Proszę, powiedz mi, co cię nęka.

Milczenie trwało jeszcze przez chwilę. Adam Sylvaine nie był wielomówny.

– Czy to prawda, Evie? – Słowa brzmiały wprawdzie spokojnie, ale graniczyły z bólem.

– Co ma być prawdą?

Wreszcie się odwrócił, żeby na nią spojrzeć. Każde wstrętne słowo cedził powoli, jakby się w ten sposób karał.

– Czy Haynesworth płacił ci za sypianie z nim?

Przez chwilę nie mogła zebrać myśli, tak była oszołomiona. Kiedy się w końcu odezwała, zaczęła mówić chaotycznie, urywanymi słowami.

– Ja… proszę cię… powiedz mi… nie możesz chyba myśleć, że…

– A więc robił to z tobą.

– Nie – wyszeptała zduszonym głosem.

Spojrzał na nią, mimo mroku.

– Adamie… proszę, powiedz, że mi wierzysz. On kłamał, to wszystko były kłamstwa. Owszem, zalecał się do mnie, ale dałam mu wtedy kosza. Teraz się mści.

Wziął to za dobrą monetę.

– Pojedynkował się o ciebie?

– Tak – przyznała ledwo dosłyszalnie.

– Muza Moralnego Nieładu – mruknął z gorzką ironią, jakby do siebie. – Ilu jeszcze Haynesworthów jest w twojej przeszłości?

Oszołomienie ustąpiło miejsca gniewowi.

– Nie masz prawa do takich pytań!

– Wiem.

Znów pojawił się między nimi gniew.

– Czy ty mu naprawdę wierzysz, Adamie? A może jesteś tylko zazdrosny o kogoś, kto nie obawiał się mnie dotykać?

Kąśliwa uwaga ubodła go. Usłyszała, jak ze świstem nabrał powietrza w płuca.

– Evie… sądzę, że nie powinniśmy się już widywać. Chyba że ja będę stał przed ołtarzem, a ty siądziesz w kościelnej ławce.

Wszystko się zatrzymało. Czas, jej oddech i serce.

– Chyba nie mówisz tego poważnie? – powiedziała niemal szeptem. – Adamie, my… Dlaczego?

Odwrócił się ku niej, mówiąc powoli, chłodno, jakby wyjaśniał coś niezbyt pojętnemu

dziecku.

– Jestem ich pastorem, a dopiero co dałem komuś w twarz. Z twojego powodu.

– Ależ to było… wspaniałe. On sobie na to zasłużył.

– To było haniebne. Zrozumiałem, stojąc tam nad nim, że z największą przyjemnością uderzyłbym go jeszcze raz. Byłem głupcem. Niczego to nie rozwiązało, a ja czuję się okropnie. Powinienem przeprosić każdą osobę w sali. Nie chodzi o to, kim jestem. Ja nie wiem, kim już nie będę.

– Poszłabym o zakład, że ci wybaczą. Powinni z okazji tego zdarzenia postawić ci pomnik na placu miejskim!

– Mogą mi przebaczyć, ale jeden raz.

Dał jej tym samym do zrozumienia, że coś podobnego mogłoby się zdarzyć po raz wtóry.

– A co do ciebie… Wątpię, czy przebaczą kiedykolwiek tobie. Wierz mi, oddałem twojej reputacji fatalną przysługę. Tylko ją pogorszyłem. Choć może ci to odpowiada?

Nie wiedziała, jak ma trafić do niego. Stał się oziębły, pełen gniewu, bezlitośnie obcy.

Spróbowała wyciągnąć ku niemu rękę.

– Adamie, nie możemy przecież mówić o…

– Nie dotykaj mnie!

Ręka jej opadła tak błyskawicznie, jakby strzelił w nią piorun. Zawrót głowy odebrał jej mowę.

– Evie, kościół w niedzielę był prawie pusty. Możesz się domyślić dlaczego?

Wiedziała dlaczego. Jej milczenie było wymowną odpowiedzią. Przedłużało się jak wymyślna tortura.

– Czy żałujesz, że to zrobiłeś? – Jej słowa zabrzmiały prawie jak oskarżenie.

Miała na myśli łańcuszek z krzyżykiem. Miała na myśli powalenie Haynesworthа na posadzkę. A także pocałunek. Czyli wszystko.

– Nie. – Głos jego brzmiał głucho.

A także rozstrzygał o czymś w sposób ostateczny.

Poczuła, że dusi ją w gardle.

Nienawidziła go za to, że nie potrafił mówić niczego poza prawdą. Nienawidziła go, bo wiedziała, że miał rację. Nienawidziła siebie za egoistyczną chęć, by zawsze stawał po jej stronie. Nienawidziła go, bo wszystko, czym była, i życie, jakie wiodła, zagrażało wszystkiemu, czym był on, i życiu, jakiego pragnął.

Nienawidziła go za ten niemal bezgrzeszny pocałunek, który na zawsze odcisnął piętno na jej duszy, bo niczego, co nastąpiło później, nie można było z nim porównać.

A ona nie mogła tu niczego zmienić.

Owinęła się ciasno ramionami, żeby nie słaniać się z bólu. Żeby nie krzyczeć z powodu tej niesprawiedliwości.

– Tu jest zimno. Wejdź do środka, zanim się śmiertelnie zaziębisz.

– Ale wtedy ty byś przyszedł, siadł obok i modliłbyś się, i trzymał mnie za rękę, prawda, Adamie? – spytała z goryczą. – Bo to robisz i tego się nie boisz. A potem, gdy już byłabym nieżywa, mógłbyś wreszcie znieść mój widok i nie bałbyś się mnie dotykać.

Drgnął tak gwałtownie, jakby go uderzyła. Przez chwilę patrzył na nią jak szykujący

się do skoku wilk, z ostrym błyskiem w błękitnych oczach. Czuła intensywność tego spojrzenia mimo ciemności.

Cofnęła się, gdy zaczął zbliżać się ku niej. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy niemal otarł się o nią udami. Poranioną rękę, którą obejmował ramieniem, dzielił ledwie cal od jej piersi. Słyszała z daleka odgłosy zabawy, słaby gwar i śmiechy. Odległy świat, który nie miał z nimi nic wspólnego. A potem słychać było już tylko szmer ich oddechów.

Sama jego bliskość sprawiła, że całe jej ciało – gardło, wargi, piersi – zareagowało jak naciśnięty klawisz. Przepełniło je pożądanie. Gorzko-słodkie, przerażające, totalne, nieodparte.

Zrozumiała wtedy, jak wiele go kosztowało powstrzymywanie się od dotykania jej. Jak bardzo tego pragnął.

Podejrzewała jednak, że obróciliby się chyba oboje w popiół, gdyby to uczynił.

Wyszeptał, słowo po słowie, powoli, miarowo, z pełnym goryczy rozbawieniem:

– Czy naprawdę myślisz, Evie, że jestem istotą bezkrwistą?

Nie czekał na odpowiedź. Cofnął się najpierw o dwa kroki, później o trzy, i patrzył na nią, jak sądził, może po raz ostatni.

A potem odwrócił się i odszedł w stronę plebanii.

Patrzyła w ślad za nim. Wiedziała, że mężczyzna świadomy samego siebie na pewno by się nie obejrzał.

Nie zrobił tego.

19

Adam z trudem sięgnął po pióro. Każde słowo, jakie kreślił na papierze, karało go dotkliwie za cios zadany Haynesworthowi, bo obtarł sobie boleśnie skórę na dłoni. Była to w gruncie rzeczy sympatyczna i lekka forma pokuty. Dłoń miał już teraz mniej spuchniętą i mógł się nią nawet posługiwać przy pożyteczniejszych czynnościach wymagających gwałtownych ruchów, na przykład przy rąbaniu drewna, co mu akurat w tych dniach bardzo odpowiadało.

Odrzucił pióro.

Ściągnął z siebie koszulę, cisnął ją na bok i wyszedł z domu, żeby zabrać się z siekierą do stosu drewna, przeobrażając potężne kłody w polana, a potem w bardziej poręczne szczapki. Już od tygodnia robił to każdego popołudnia, tak że zaczęto o tym mówić. Przyglądały mu się ukradkiem kobiety, których ulubionym zajęciem po raz pierwszy w życiu stało się mycie płyt nagrobnych na dziedzińcu kościelnym. Pochylone nad pogrzebanymi tam dawno temu Eversea, Redmondami, Hawthorne'ami i wieloma innymi rodzinami przypatrywały mu się, nie rozumiejąc wprawdzie, po co pastorowi tyle drewna, ale podziwiały go z nabożnym zdumieniem.

Pan Eldred zatrzymał się przy plebanii, promieniejąc wręcz zadowoleniem.

– Akurat tam byłem, kiedy pan to zrobił, pastorze! Ale łomot! Nigdy głośniejszego nie słyszałem. Buch! I już leżał. To go nauczy przyzwoitości! Co tam kazania, takich to trzeba po łbie walić! Ha, ha!

W jakiś osobliwy sposób wszyscy byli przeświadczeni, że bronił przede wszystkim honoru Amy Pitney, powalając Haynesworth na ziemię. Wybaczono mu szybko, jak przewidziała Evie.

Oczywiście obrona hrabiny nie spotkała się z równą życzliwością, ze względu na charakter zarzucanych jej postępków. Milcząco uznano, że nie była tego warta, i zerwano z nią wszelkie stosunki.

Gdyby nie była tym, czym jest, wszystko byłoby o wiele łatwiejsze. Gdyby nie była w tak dużym stopniu sobą.

„Bardzo mi przykro – głosił pierwszy list od niej, przesłany mu przez lokaja. – Czy pani Sneath nie mogłaby przypadkiem mocniej się modlić o moje zbawienie?"

Zmiął kartkę i wrzucił ją w ogień.

Przysłała mu słoik z miodem. Miało to być zabawne. W innych okolicznościach może by i było.

Adam dał go pani Sneath, a ta z kolei jakiemuś ubogiemu, który nigdy się nie dowie, że miód pochodził od hrabiny.

Przysłano mu też małą paczuszkę. Zawiniętą w papier i przewiązaną sznurkiem. Rozpakowywał ją, usiłując zachować zupełny spokój i nie dać się ponieść uczuciom. A jednak palce mu drżały.

W środku znajdowała się jedwabna chustka.

Na jednym z jej rogów widniał niezbyt zręcznie wyhaftowany, ale całkiem łatwy do rozpoznania pęk polnych kwiatów z Sussex. A także jego inicjały: „A.S.”

„Proszę zobaczyć, do czego mnie pan doprowadził. Bez żartów, znalazłam sobie hobby. Rozumie pan chyba, że pewne rzeczy nie mogą ze sobą harmonizować. I wiem, że pan również da sobie z nimi spokój”.

Niemal go zdruzgotało słowo „harmonizować”. Tkwiło w nim coś tak bardzo dla niej typowego: nie miało go wcale przepraszać, było wprawdzie szczere, ale jednak wyszukane. No i nie kojarzyło się z niczym złym.

Było także… czarujące.

Ukazywała swoje prawdziwe „ja” tylko jemu.

„Myślałem, że się już nigdy nie pozbieram”, powiedział mu Colin. Kiedy sądził, że utracił Madeline.

Adam wsparł jedną dłoń o czoło, a w drugiej miętosił bez przerwy chustkę. A potem długo siedział bez ruchu, oddychając ciężko raz po raz.

Chciał jej uwierzyć.

Nie wolno mu było dopuścić do siebie myśli o zdradzie. A nawet o zwątpieniu.

Wiedział, że to by w niczym nie pomogło.

W końcu wygładził chustkę, odetchnął głęboko, złożył ją starannie i wsadził do kieszeni.

Tego dnia poprosił lokaja lady Wareham, żeby poczekał chwilę w saloniku, pod czujnym okiem pani Dalrymple. Po czym wrócił do biurka, nagryzmolił na kartce dwa słowa, posypał ją piaskiem i kilkakrotnie złożył. Przez chwilę stał bez ruchu, czując, że jego serce stało się nagle tak twarde, jak jeden z herbatników pani Lanford.

Dał sobie spokój z myślami i z uczuciami, jakby uznał, że niczego takiego już w nim nie ma, i podał kartkę lokajowi.

Przysiągłby, że ten spojrzał na niego błagalnie, zanim ją wziął.

A potem nie było już więcej żadnych listów.

Ale ludzie zaczęli znów przychodzić do kościoła.

„Dosyć tego”.

Odczytywała to wciąż na nowo, usiłując zdobyć się na łagodność, na ustępliwość, szukając w tym człowieku jakiejś szczeliny, przez którą mogłyby się do niego przedostać błagania i perswazja. Ale on był niczym twierdza i wiedział o tym, pisząc te dwa słowa. Znał ją. Nie dał jej żadnej możliwości, by mogła przekroczyć tę barierę.

Nie podpisał się nawet pod nimi, jakby był tak wyczerpany, tak bardzo na nią rozgniewany, że nie chciał już, by mu się naprzykrzała.

Rozumiała, czemu w ten sposób postąpił, i miała na tyle przyzwoitości, żeby czuć się zawstydzoną.

Rozdzierały ją sprzeczne pragnienia. Chciała cisnąć kartkę na ziemię, a jednocześnie zachować ją z czułością. Wybrała to drugie. Odłożyła ją na bok ostrożnie, jakby to była jego zraniona ręka.

A potem siedziała bez ruchu, czując się pusta niby dzwon pozbawiony swego serca.

Prawie przez dwa tygodnie źle sypiała. Nikt jej też nie odwiedził. Dwukrotnie wybrała się do domu O'Flahertych, ale gdy ujrzała przez okno, że powóz pani Sneath zatrzymuje się przed obejściem, wsiadła pospiesznie do własnego.

Na chwilę musiała wstrzymać oddech, żeby nie odczuwać znów bólu z powodu wszystkiego, co wycierpiała, i dopiero po jakimś czasie mogła odetchnąć z ulgą.

Jakże nienawidziła ciszy i milczenia! Nie była do tego stworzona.

A choć wyglądało to na coś w rodzaju przyznania się do klęski, siadła w końcu przy biureczku, żeby odpisać na list.

Drogi Freddy,
Byłabym bardzo rada, gdybyś mnie odwiedził. Przyjedź tak prędko, jak tylko…

Potężne kichnięcie sprawiło, że drgnęła nagle. Pióro potoczyło się po papierze, plamiąc atramentem kartkę. Po kichnięciu nastąpił kaszel tak gwałtowny i donośny, że zachwiał się porcelanowy wazon na stole. Evie musiała wyciągnąć szybko rękę i dotknąć go, żeby przestał się kołysać.

– O Boże, Henny, sądząc z tego, co słyszałam, trzeba ci chyba chustki wielkości prześcieradła!

Henny, gdy tylko kaszel ustał, wyjęła z kieszeni fartucha chustkę, istotnie sporych rozmiarów, i potężnie wysiąkała nos.

– Ale mnie wzięło. Ten dostawca węgla, widzisz, też trochę kichał…

Evie spojrzała na nią podejrzliwie. Widocznie Henny znów dokonała jednego ze swych podbojów miłosnych.

Henny z fałszywą nonszalancją odwróciła wzrok.

– Strasznie głośno kichasz. Żebyś sobie tylko nie zrobiła jeszcze większej krzywdy tym kaszlem. Może poprosić panią Wilberforce o jakiś napar z ziółek?

– O rety, ani mi się śni pić to trujące paskudztwo z liści, gałęzi i Bóg jeden wie, czego jeszcze! Chybabym się porzygała. Po herbacie i smarowaniu gęsim smalcem przejdzie mi jak ręką odjął. No i muszę sobie trochę odpocząć.

Evie zmarszczyła nos ze wstrętu na myśl o gęsim smalcu, ale potem przyjrzała się uważnie Henny. Chyba po raz pierwszy od czasu, kiedy Adam Sylvaine pozostawił ją samą w ciemności. Serce się jej ścisnęło. Oczy Henny zanadto błyszczały, twarz stała się zatrważająco blada, skóra wokół ust posiniała, a na policzkach widniały dwie duże, czerwone plamy.

Evie poczuła, że przenika ją lodowaty dreszcz.

Zmusiła się, żeby spytać pozornie pogodnym tonem:

– Może trzeba posłać po doktora, Henny? Choćby tylko po to, żeby się go poradzić? Coś mi się zdaje, że twoje rumieńce nie świadczą o zdrowiu.

Henny przez całą następną minutę kasłała, nim odparła dumnie:

– On mi jak nic krew puści, a ja jej sporo potrzebuję. Widzisz przecie, jaka duża jestem.

– No, a może pójdziemy do Cyganek za miastem, żeby ci powróżyły? A one też znają różne napary z ziół.

Henny zwykle nie potrafiła się oprzeć tej pokusie. Była niesłychanie przesądna i uważała, że Cyganki są lepsze od wszelkich doktorów.

Wahała się przez chwilę.

– Chyba wystarczy mi odpocząć trochę w łóżku.

Zabrzmiało to niemal pojednawczo. Ale właśnie dlatego bardziej niż wszystko inne zaniepokoiło Evie.

– Idź zaraz do łóżka. Każę ci tam przysłać trochę zupy, a panią Wilberforce poślę po gęsi smalec. No i… napijesz się wywaru z kory wierzbowej. Na gorączkę.

Henny nie próbowała się nawet opierać i powiedziała: „No dobrze już, dobrze, wasza królewska mość”, zamiast, jak zwykle: „Zawsze wiedziałam, że chcesz mnie otruć!”

– A więc poszedłeś tam i naprawdę to zrobiłeś?

Adam lekko drgnął; pokój był tak ciepły i duszny, że zaczął drzemać. Lady Fennimore stawała się z dnia na dzień coraz słabsza; spędzał równie wiele czasu siedząc przy niej w milczeniu, jak na rozmowach z nią, ale oboje nie zwracali na to uwagi.

– Co miałem zrobić, lady Fennimore?

– Masz przygnębione spojrzenie. A także schudłeś i dlatego przypominasz męczennika, co, zechciej wziąć pod uwagę, nie wygląda znów tak źle u pastora. To robi dobre wrażenie. Oczy trochę za bardzo ci się świecą. No i wolniej wchodziłeś dziś po schodach, jakby coś ci ciążyło albo jakbyś się nie wyspał. To albo zatwardzenie, albo miłość. Jedno się nieraz niewiele różni od drugiego. Poproś Jenny o ziółka, jeśli chodzi o pierwsze, stara domowa recepta na pewno pomoże. Obawiam się jednak, że na drugie nie ma lekarstwa, z wyjątkiem tego, którego mógłbyś się spodziewać.

Zamilkł zdumiony. Wpatrzył się w starą damę, a ona otwarła nagle oczy. Wpadł w pułapkę! Przyjrzała mu się uważnie. A potem z zadowoleniem znów przymknęła oczy i uśmiechnęła się.

– Żar, potop i zazdrość, pastorze – mruknęła. „Połóż mnie jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol, żar jej to żar ognia, uderzenie boskiego gromu”.

Pieśń nad Pieśniami. Brzmiała jak modlitwa, ale o cóż było się tu modlić? On chciał się od tego uwolnić.

Nie widział Evie już od trzech tygodni. Przestała chodzić do kościoła. Raz dostrzegł z daleka Henny, kiedy robiła sprawunki w miasteczku. Ale Henny, podobnie jak klify Dover, można było łatwo zauważyć nawet z dużej odległości.

Lady Fennimore długo leżała bez słowa, oddychając regularnie, przez chwilę więc myślał, że zasnęła. Ale znów się lekko uśmiechnęła.

– Wiesz co, pastorze Sylvaine… ojciec Jenny zmarł dwadzieścia lat temu, a ja wciąż o nim myślę. I wciąż go przed sobą widzę, całkiem jakby był żywy. W moim sercu zawsze

miałam dwa osobne pokoje, jeden dla niego, drugi dla mego męża. Dwa osobne pokoje dla dwóch różnych mężczyzn. Nikt o tym nie wie, tylko ty. Myślę, że teraz już to trochę rozumiesz. Wybacz więc umierającej kobiecie i kiwnij głową na „tak" albo na „nie". Dobry z ciebie chłopak.

– Lady Fennimore, to nieuczciwe tak się targować.

– Cóż jest uczciwego w życiu? – spytała. Nie bez racji.

A wtedy on po raz pierwszy powiedział na głos coś, co równało się wyznaniu.

– Czy wystarczy, jeśli powiem „nie wiem"?

– To równie dobre jak spowiedź – uznała. Po czym otwarła oczy i posłała mu uśmiech, w którym było trochę starczej złośliwości. – Czasami, żeby wydostać się z ognia, trzeba przejść przez niego, mój chłopcze.

Odetchnął głęboko, a później pozwolił sobie zamknąć na chwilę oczy, skoro ona też to robiła. Poczuł w całym ciele znużenie. Chciał sobie wyobrazić, do czego byłoby podobne życie, gdyby każdą jego chwilę trzeba było dzielić na dwoje. Albo gdyby dzielić życie z kimś, kto nigdy by go w pełni nie rozumiał i nie zjednał sobie jego serca, ale za to wniósłby tam spokój; kto by do jego życia pasował. Ktoś taki jak Jenny.

Później chciał pomyśleć o Evie, ale nie mógł.

A jeszcze później pomyślał o Olivii i o cierpliwej determinacji lorda Landsdowne, o przysyłanym przez niego codziennie bukiecie kwiatów, i ciekaw był, czy Olivia wciąż jeszcze ma szansę na szczęście.

Albo czy jej serce już teraz nic nie czuje.

Wiedział już, co zrobi z miniaturą wręczoną mu przez Violet Redmond. Niewiele mógł w tych okolicznościach zdziałać, ale miał pewien wpływ na uczucia Olivii.

– Rzecz jasna, to może być tylko żądza – rozważała lady Fennimore. – A jeśli chodzi tylko o żądzę – dodała rzeczowo – można to rozstrzygnąć jedynie w jeden sposób, prawda? A poza tym żądza zwykle przemija. To miłość nie przemija i wiecznie zadaje cierpienie. Mógłbyś mi przysunąć laudanum, chłopcze? Działa na mnie jak najlepszy lek, śpię po nim i mam cudowne sny. Jest prawie tak dobre, jak słuchanie któregoś z twoich kazań.

Adam westchnął. Lady Fennimore położyła dłoń na jego ręce, ale nie uścisnęła jej. Życie słabło w niej nieustannie i nie czuła już potrzeby szukania w nim oparcia lub wyjawiania sekretów. Nic z tych drobnych trosk, które tyloma więzami oplatają ludzi.

– Wybierz sam jakąś modlitwę.

Przypomniał sobie o świętym Franciszku.

Modlił się jednocześnie za siebie i za nią, za Olivię, za Evie, za każdego w Pennyroyal Green.

Panie, uczyń mnie narzędziem pokoju Twego,
gdzie trwa nienawiść, niech zasieję miłość,
gdzie ból zadano, niech się zrodzi wybaczenie,
gdzie zwątpiono, niech przywrócę wiarę,
gdzie rozpacz, daj mi zaszczepić nadzieję,
gdzie smutek, pozwól przynieść radość.

O boski mistrzu,
spraw, by nie tylko szukano u mnie pociechy,
ale żebym też i ja był pocieszany,
bym nie tylko rozumiał, lecz był rozumiany,
żeby mnie miłowano, jak i ja miłuję,
albowiem dzięki dawaniu otrzymujemy,
albowiem dzięki przebaczeniu przebaczenie zyskujemy,
a dzięki śmierci rodzimy się do życia wiecznego.
Amen.

– Byłbyś prawdziwym szczęściarzem, gdybyś napisał kiedyś coś niemal równie dobrego, chłopcze – mruknęła sennie lady Fennimore.

20

Pojechał tego popołudnia do siedziby rodu Eversea. Lekki deszcz spłukał kurz z dróg i dlatego podkowy jego konia nie stukały zbyt głośno. Lubił ten dźwięk, brakowało mu go i tęsknił za nim. Postanowił puścić się galopem i pozwolić, by wiatr smagał mu twarz, rozwiewał włosy, oczyszczał go ze wszystkiego, co go nękało, choćby tylko chwilowo.

Dotarł tam orzeźwiony, spocony i spryskany błotem. Czekał w westybulu, gdy lokaj poszedł po Olivię, i przyglądał się, jak dwóch innych wnosiło z wysiłkiem do środka wspaniałą kompozycję z kwiatów cieplarnianych. Wszystkie miały barwę żywej czerwieni lub purpury i tonęły w mnóstwie kolczastej zieleni.

– Adam!

Pantofelki Olivii zastukały po marmurze. Nadstawiła mu policzek do pocałunku.

– To dla pani, panno Olivio – powiedział lokaj, nim jeszcze wręczył jej bukiet.

Dostała też bilecik.

– Od Landsdowne'a – stwierdziła obojętnie, odymając wargi, i przyjrzała się kwiatom z niechęcią.

– O czym jest mowa w liście?

– Pisze, że chce mi złożyć wizytę. Ale robi to codziennie. Niektórzy nigdy nie wiedzą, kiedy powinni zrezygnować.

– Dzielą tę cechę z tobą.

Olivia spojrzała na niego ostro i dumnie, podejrzewając, całkiem słusznie, że to wypowiedź dwuznaczna.

Trzeba było jednak czegoś więcej niż Olivii, by go wyprowadzić z równowagi. Był tak wyczerpany, że wszystko spływało po nim jak woda po kaczce.

– Czy przyszedłeś tu z towarzyską wizytą, Adamie? Pracujesz ciężko, czuję się więc zaszczycona, że chcesz poświęcić mi trochę swego wolnego czasu.

Nie był pewien, jakiego to rodzaju ma być wizyta.

– No i słusznie – zażartował. – Nie chciałabyś się przejść? Spędziłem całą godzinę u lady Fennimore, a w jej pokoju panuje wręcz tropikalny upał. Już się bałem, że porosnę mchem z którejś strony.

– Tylko wezmę szal!

Pobiegła po niego na górę, a potem wyszli pod niebo zasnute chmurami. Przeświecało spod nich słońce.

Przeszli przez obszerny, kolisty podjazd, minęli fontannę, w której pływały małe grudki lodu i szybko topniały. Był to martwy sezon; tylko Olivia i Ian jako jedyni z rodziny Eversea przebywali teraz w domu, a Ian i tak często wyjeżdżał z niego do Londynu.

Rozmawiali o krewnych, o ludziach z miasteczka i o domu O'Flahertych. Nie wspomniał o hrabinie. Olivia zaś, choć znała go dobrze, nie nawiązała w rozmowie do tego, że niedawno powalił jakiegoś mężczyznę na posadzkę w obronie honoru kobiety, której nikt w całym Pennyroyal Green nie chciał u siebie przyjmować. Olivia uważała ją zapewne za osobę nieciekawą, jeśli wziąć pod uwagę to, co zdarzało się w rodzinie Eversea.

Gdy doszli do rzędu ławek ustawionych wśród różanych krzewów, zatrzymał się.

– Olivio, przyszedłem tu dziś w konkretnym celu.

Zaskoczyło ją to.

– Powinieneś zobaczyć swoją minę, Adamie – powiedziała z rozbawieniem, choć niepozbawionym ironii. Jakby doświadczyła już najgorszego i nic więcej nie mogło jej zbytnio wytrącić z równowagi. – Jesteś tak strasznie poważny.

– Powierzono mi coś, co niegdyś należało do ciebie. Powinienem ci to zwrócić.

Widział, że zamierzała odpowiedzieć mu jakimś żarcikiem. Zanim więc zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyjął z kieszeni miniaturę.

– Olivio, podaj mi dłoń.

Sarkastycznie uniosła brwi, ale wyciągnęła ją ku niemu.

A on położył na niej miniaturę.

Dłoń Olivii drgnęła tak gwałtownie, jakby obrazek parzył ją niczym rozpalone żelazo prosto z kuźni.

Zbladła tak mocno, jakby miała za chwilę zemdleć, a na jej twarzy pojawił się wstręt. Miała chyba ochotę rzucić miniaturę na ziemię.

Wyciągnął rękę, żeby ją podeprzeć, ale pokręciła przecząco głową. Nie chciała, żeby ktoś jej teraz dotykał.

A potem przełknęła z trudem ślinę, zaczerpnęła gwałtownie powietrza dygocącą piersią i wpatrzyła się we własną, choć młodszą twarz. Potem odwróciła miniaturę i przeczytała słowa napisane jej ręką.

Nie spojrzała na niego.

Położył jej jednak delikatnie dłoń na ramieniu. Pewien był, że może przynajmniej trochę ją uspokoić.

Nie strząsnęła jej z siebie. Spytała tylko zduszonym głosem:

– Skąd ją wziąłeś? Czy dostałeś ją od…

Adam już wcześniej zauważył, że nikt od dawna nie słyszał, by Olivia choć raz wymówiła imię Lyona. Nikt też chyba nie wspominał o nim w jej obecności.

On jednak chciał o nim porozmawiać. Chciał przywrócić ją rzeczywistości. Chciał, by musiała zastanowić się i podjąć decyzję. Jeśli bowiem miał na nią jakiś wpływ, pragnął, by zyskała szansę na szczęście. Nie wiedział, czy tak się kiedykolwiek stanie, ale nie chciał godzić się z tym, by otaczali go męczennicy, jeśli tylko mógł im jakoś pomóc.

Zaczął mówić szybko, zwięźle i obiektywnie.

– Nie, nie dostałem tego od Lyona. Pewnie on dał to niedawno komuś innemu, a ten z kolei mnie. Nie wiem, dlaczego tak zrobił. Powierzono mi tę rzecz w sekrecie, a ja chronię wszelkie sekrety, jakie usłyszę, bo takie jest moje zadanie jako pastora. Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Przypuszczam, że dostał to od ciebie. Nie wiem,

gdzie on jest i czy żyje, ale chciałem, żebyś to otrzymała.

Przez chwilę dyszała gwałtownie, a potem wybuchła z furią i udręką:

– Dlaczego?!

W oczach zalśniły jej łzy, usta zacisnęły się kurczowo. Wiedział, że nienawidziła płaczu – nie cierpiała, by uważano ją za dziecko – i może to właśnie łzy wywołały teraz jej wściekłość. Nikt nie widział, by płakała, odkąd Lyon ją porzucił. Nawet w dniu, kiedy o mało co nie powieszono Colina.

– Wybacz, że mówię to prosto z mostu, Olivio, ale uznałem, że muszę być z tobą szczery. Wszyscy unikamy wspominania o Lyonie, jakbyś była niemądrą, słabą osobą, która chce być uważana za męczennicę. Ja zaś uważam, że nie jesteś ani jednym, ani drugim. Wiem, że gdy twój ból był jeszcze świeży, lepiej było nie mówić o Lyonie. Ale teraz przyzwyczaiłaś się liczyć na to, że każdy nadal będzie milczał. Doszłaś do prawdziwego mistrzostwa w gniewie i na tyle zręcznie unikasz tego tematu, że wszyscy dali już sobie z tym spokój. Gdy bowiem nie wymawiasz jego imienia, nie musisz myśleć, jak pragniesz żyć ani ile czasu zmarnowałaś, usychając z żalu po nim. Nie wiem, czy czasem nie stało się to twoim nałogiem, którego uparcie nie chcesz porzucić z powodu dumy. Czy mam się cofnąć, bo chciałabyś rzucić we mnie tym obrazkiem?

Trzeba było mieć sporo odwagi, by przemawiać w ten sposób do Olivii Eversea, kiedy dostawała białej gorączki.

Spojrzała na niego lodowato, zwężonymi ze złości oczami.

– Masz doprawdy mnóstwo tupetu, Adamie Sylvaine – cedziła słowo po słowie, chcąc go skutecznie onieśmielić. Jego imię zabrzmiało w jej ustach jak obraźliwy epitet.

Adam miał jednak w sobie więcej odwagi niż ona złości. Trzeba było czegoś dużo groźniejszego niż złość Olivii, by go wytrącić z równowagi.

Spytał jedynie:

– Czy się może mylę?

Przeszywała go wzrokiem przez dłuższą chwilę. A kiedy nic nie robił, żeby ją przeprosić lub ułagodzić, tylko czekał z nieskończoną cierpliwością, którą potrafił okazywać, gdy mu na czymś zależało, Olivia siadła ciężko na ławce i zamknęła oczy.

Adam siadł obok niej.

Trwali wspólnie w milczeniu przez jakiś czas, nie mówiąc ani słowa, w łagodnych podmuchach wiatru, który ostudził w końcu gniew Olivii.

Spojrzała na niego oczami błyszczącymi od łez, z lekko wygiętymi kącikami warg.

– Kochałam go – powiedziała schrypniętym głosem.

Nikt nigdy nie słyszał, żeby tak powiedziała.

Adam tylko skinął głową.

Zakryła oczy dłonią. Urywany oddech wydobywał się z jej piersi.

Ileż dojmującego bólu, tęsknoty i poczucia straty można zawrzeć w słowie „miłość”. Lady Fennimore wkładała w nie tyle wyrozumiałości. Jakby to była niemądra błahostka. Adam nie wiedział, czy miłość nadaje się dla tchórzy. Ciekaw był natomiast, czy nadaje się dla mądrych. Przypuszczał, że miłość na początku ogłupia ludzi, bo inaczej nikt nie byłby w stanie się zakochać.

Olivia uniosła głowę i spojrzała ku domowi zamglonym wzrokiem. Może

rozpamiętywała wspomnienia.

Potem znów zachmurzyła się i zacisnęła usta. Głos jej zabrzmiał lodowato, gdy powiedziała:

– Nie był idealny.

– Co ty powiesz? – spytał żartobliwie.

Uniosła kąciki ust w uśmiechu.

– Dowiedziałam się niedawno, że z kimś flirtował.

Westchnął ze współczuciem.

Olivia opanowała się nieco. Mówiła wolniej, spokojniejszym już tonem. W jej słowach nie było zgryźliwości, tak dla niej ostatnio typowej. Jakby jej uczucia powlekła cienka warstwa lodu.

– Jak sądzisz, Adamie, co to znaczy? Dlaczego zwrócił mi tę miniaturę właśnie teraz?

W tym właśnie kryło się ryzyko. Jeśli jednak Olivia pragnęła jakiejś wymówki, by móc zacząć życie od nowa, mogła uznać, że oznacza to zerwanie.

– Moim zdaniem powinnaś dojść do wniosku, że ma to akurat takie znaczenie, jakie ci odpowiada.

Spojrzała na niego hardo, chcąc wyczytać z jego twarzy słowa ostatecznej wyroczni. Przez jedną oszałamiająco krótką chwilę ujrzał to w jej rysach. Ośmieliła się widocznie zrzucić z siebie brzemię miłości do Lyona. Potem jednak na jej twarzy znów malował się tylko ból, który tak długo decydował o tym, czym była. Jakże trudno było z niego zrezygnować komuś tak nieugiętemu i upartemu jak ona.

Przez jakiś czas nie odzywała się wcale.

Adam gotów był jednak siedzieć koło niej tak długo, jak tego będzie potrzebowała.

Im dłużej jednak milczał, tym bardziej dawało mu się we znaki własne wyczerpanie. Mięśnie, zmęczone przy rąbaniu drewna, wznoszeniu płotu, kryciu dachu i innych pracach, przypominały mu, że próbował odsunąć od siebie miłość, a przynajmniej pożądanie, jakby były diabelskim kuszeniem. Gdyby pozwolił, żeby wzięły nad nim górę, być może czekałby go podobny los jak Olivię, choć tak bardzo różnili się od siebie – on był równie nieugięty, jak niewzruszony. Znał siebie dobrze.

Gdyby kochał, zapewne stan ten trwałby bez końca.

Piękne cierpienie. Tak nazwała miłość lady Fennimore.

Cóż w niej było pięknego? Gdyby musiał się czegoś takiego doszukiwać, wybrałby chyba widok Evie tulącej w ramionach dziecko O'Flahertych. Przymknął oczy i pozwolił, by ten obraz wypełnił jego wyobraźnię.

Wreszcie Olivia wyprostowała się i otuliła mocniej szalem.

– Cieszę się, że mi to dałeś – powiedziała w końcu. A potem obdarzyła go uśmiechem, nieśmiałym wprawdzie, lecz pełnym determinacji i odwagi. – Dziękuję ci, Adamie.

– Mogę już iść?

– Jeśli chcesz. Myślę, że posiedzę tu jeszcze trochę, jeżeli się zgodzisz.

Zgodził się.

Zostawił ją na ławce i raz tylko obejrzał się za siebie, idąc ku domowi.

Olivia wpatrywała się w miniaturę, marszcząc lekko brwi. Być może szukała czegoś znajomego w rysach wyobrażonej tam dziewczyny.

Po raz ostatni Evie zajrzała do pokojów Henny, nim się położyła spać. Potężny ogień buzował w kominku bawialni i było tam tak gorąco, że Evie, idąc do sypialni, o mało się nie zatoczyła.

Henny leżała pod takim stosem kołder, że wydawała się dwa razy większa niż zwykle. Z twarzą błyszczącą od potu wymamrotała coś niewyraźnie. Evie wydało się, że usłyszała „Postlethwaite" i „szczury". Wystękała jeszcze coś, co brzmiało jak „Eve", a także „szmatława lafirynda".

Żołądek Evie skurczył się boleśnie ze strachu i poczuła mdłości. Położyła ostrożnie dłoń na czole Henny i natychmiast ją cofnęła. Było rozpalone.

A potem Henny jęknęła nagle w sposób upiorny, wręcz nieludzki. Był to dźwięk niepodobny do jej zwykłego głosu i Evie zdrętwiała z przerażenia.

Podniosła kołdry, które Henny zrzuciła z siebie, miotając się w gorączce, i usiłowała okryć ją nimi ponownie, rękami osłabłymi ze strachu.

Henny znów strząsnęła je z siebie.

Evie poczuła się jak w pułapce. Jakby przygniatał ją jakiś straszliwy ciężar. Powietrze uciekło jej z płuc. Henny była jedyną osobą, na którą mogła liczyć.

Gdyby umarła…

Czuła się tak, jakby zawisła nagle nad brzegiem otchłani.

Jakże się myliła, mówiąc Adamowi, że nie potrzebuje żadnej pomocy.

Powiedziałby zapewne, że powinna sobie w tym celu znaleźć kogoś innego.

Choć ją odtrącił od siebie, choć nie miała doprawdy szczęścia w kontaktach z tym człowiekiem, na nikim innym nie mogła się teraz oprzeć.

Nakryła dłonią złoty krzyżyk i zaczęła się modlić. Modliłaby się bez przerwy, gdyby było trzeba.

Ale za nic nie chciała płakać.

Adam domyślał się, że jego comiesięczny obiad w obszernym domu Pitneyów może się okazać nieco kłopotliwy, skoro wszyscy wiedzieli, że kilka tygodni wcześniej jednym ciosem powalił konkurenta do ręki ich córki na ziemię. Cieszył się jednak na fasolkę w sosie miętowym, mimo że nie był wcale pewien, czy w którymś ze strączków nie kryje się czasem cykuta. Gdy jednak spróbował fasolki, okazała się wspaniała, jak zwykle. Doktor zatrudniał znakomitą kucharkę.

Matka Amy wybrała sobie miejsce przy stole dokładnie naprzeciw niego. Spodziewał się, że przez cały wieczór będzie siedział jak na szpilkach pod jej pełnym wyrzutu wzrokiem, a tymczasem widział jedynie siwe pasemka w jej włosach, gdyż pochylała nisko głowę, patrząc uparcie w swój talerz.

Nikt nie poruszył na szczęście tematu lorda Haynesworth. Doktor serdecznie gawędził z Adamem o końskim targu w Cambridge.

– Nie byłem na nim od lat, pastorze! Mam nadzieję, że się tam wybiorę w tym ro…

Przerwało mu gwałtowne stukanie, po czym nastąpiła prowadzona przyciszonymi głosami wymiana zdań, aż wreszcie otwarły się drzwi jadalni.

Na progu stanął lokaj z płaszczem, kapeluszem i torbą doktora.

– Pani Grundy leży w połogu, sir, i strasznie cierpi. Posłała po pana. Położna obawia się, że to poród pośladkowy.

– Niech to diab… – doktor nie dokończył zdania. – Przepraszam, pastorze, ale jestem pewien, że mi pan wybaczy. Dzieci pchają się gwałtem na świat. Proszę sobie nie przerywać obiadu.

A za chwilę już go nie było.

– Och, muszę dopilnować ciasta! – oświadczyła pani Pitney zwięźle i jednoznacznie, po czym zniknęła w kuchni. Zostawiając Adama w bardzo kłopotliwym sam na sam z Amy.

Amy przez jakiś czas grzebała widelcem w talerzu, a wreszcie odezwała się:

– Pokazałam drzwi lordowi Haynesworth.

– Doskonale zrobiłaś.

Po dłuższej chwili ciszy Amy odłożyła widelec.

– Czy mogę o coś spytać, pastorze Sylvaine?

– Oczywiście.

Nie był w odpowiednim nastroju, by w ugrzeczniony sposób mydlić oczy dziewczynie, która miała swój udział w tym, że jego życie stało się czymś nie do zniesienia. Mimo że czuł się odpowiedzialny za jej duszę.

– Jak pan sądzi, czy Haynesworth kłamał, mówiąc o hrabinie?

– Czy wydał ci się uczciwą osobą, Amy? – spytał tonem wprawdzie łagodnym, ale spojrzał na nią w taki sposób, że musiała pochylić głowę.

Mimo wszystko współczuł Amy. Podeptano jej godność, zniweczono nadzieje.

– Chyba już nikomu się nie spodobam – powiedziała cicho, zduszonym głosem.

Wiedział, ile ją te słowa kosztowały. Wiedział też jednak, że bardzo go podziwiała.

A to znaczyło, że pragnęła jego pomocy, bo jej duma została boleśnie zraniona.

– Amy, jak sądzisz, dlaczego pycha jest jednym z grzechów głównych?

Uniosła gwałtownie głowę i spojrzała na niego podejrzliwie.

– Jest to bowiem grzech przeciw sobie samemu. Wyrządza człowiekowi szkodę, czyni go ślepym na wiele rzeczy, w tym na dobre intencje. Bóg uznał za stosowne stworzyć cię taką, jaką jesteś, w sposób doskonały. Nie mniej lub bardziej doskonały niż kogoś innego, tylko właśnie taką, jaką jesteś. Musisz uwierzyć, że taka się właśnie wydasz właściwej osobie. Poczujesz to wówczas w sposób, co do którego nie można się mylić.

Spojrzała na niego rozumnymi, ciemnymi oczami. Ujrzał w nich coś w rodzaju milczących przeprosin.

– Może powinnam wyhaftować na poduszce: „Nie daj do siebie przystępu zazdrości”?

Niewiele brakowało, a byłby się uśmiechnął.

– Być może.

Ledwie pani Pitney wróciła do stołu, znów rozległo się natarczywe stukanie. Odgłosy ostrej sprzeczki dotarły nawet do jadalni.

– Ona jest naprawdę bardzo chora! Hrabina boi się, że nie dożyje do rana! Nie może pan powiedzieć tego doktorowi?

– U Grundych zdarzył się nieprawidłowy poród i pan doktor od razu tam poszedł. Daję słowo, że naprawdę nie ma go w domu!

Adam zerwał się od stołu. Zdołał jeszcze dojrzeć przez moment lokaja.

W żółto-czerwonej liberii.

Na odchodnym lokaj jęknął:

– Proszę powiedzieć doktorowi, żeby się tam od razu udał, jak tylko wróci!

Adam nie dał wprawdzie poznać po sobie, jak bardzo się przejął tymi słowami, ale krew zaczęła szumieć mu głośno w uszach.

– Czy mogę wiedzieć, co się stało? – spytał lokaja Pitneyów, gdy ten wrócił do jadalni.

– Zachorowała służąca lady Wareham, Henrietta. Z tego, co usłyszałem, sądzę, że mocno się jej pogorszyło. Hrabina obawia się o jej życie. Bardzo mi przykro, że musiałem odprawić z niczym jej służącego. Co pan robi, sir?

Adam pospiesznie wybiegł z jadalni.

– Proszę mi podać płaszcz i natychmiast przyprowadzić konia. Bez zwłoki!

Nie czekał na odpowiedź.

Nie spojrzał nawet na Pitneyów.

Przebiegł przez hol, z szumem krwi ciągle pulsującej mu w uszach, i odebrał kapelusz i płaszcz od lokaja, wkładając je pospiesznie.

Później popędził galopem do Damask Manor, tak szybko, jakby za nim gonił lew nemejski we własnej osobie.

21

Po gwałtownej galopadzie zeskoczył z konia przy podjeździe do Damask Manor, uwiązał wierzchowca przy krzaku głogu i pobiegł ku drzwiom.

Uderzył w nie z całej siły pięścią.

Otworzono mu tak szybko, że musiał się cofnąć.

Na progu stała Evie. Była boso, w nocnej bieliźnie, z włosami rozwichrzonymi wokół pobladłej twarzy. Dziki strach, jaki w nich ujrzał, ugodził go w samo serce.

– Doktor nie mógł przyjść, Evie. Wezwano go gdzie indziej.

Kolana się pod nią ugięły.

Zdążył ją chwycić za łokieć i podtrzymać, żeby nie upadła. Ostrożnie wyjął jej z ręki lampę. Gdy ją uniósł, ujrzał, że ma spuchnięte, zaczerwienione i podbite oczy, jakby nie spała od wielu dni.

Wstrząsnęło to nim.

– Ona nie umrze! – powiedział stanowczo. Nie była to czcza obietnica. Pragnął nie dopuścić do śmierci Henny, choćby za cenę własnego życia. – Zaprowadź mnie do niej.

Poszedł za Evie szybko i bez słowa. Zdołał dostrzec jej bose stopy na drewnianych stopniach. Blask lampy wydobywał ukryte odcienie w jej krętych, długich włosach, a gra światła i cienia prowokacyjnie ukazywała smukłe łydki wyzierające spod muślinowej koszuli. Chłonął ten widok łapczywie.

Żadne z nich nie wymówiło ani słowa.

A potem znaleźli się w dusznej bawialni Henny, gdzie na kominku płomienie miotały się i wiły tak samo, jak Henny w swoim łóżku.

– Ja przy niej posiedzę, Evie, a ty idź odpocząć. Proszę, połóż się w bawialni.

Spojrzała na niego tak, jakby był tratwą ratunkową na wzburzonym morzu. Strach owładnął nią całkowicie i odebrał jej mowę. Henny zachorowała. Henny mogła umrzeć. Adam przyjechał. I to było wszystko.

Zrozumiała, że Adam nie wejdzie do pokoju Henny, dopóki ona go nie usłucha.

A więc go usłuchała.

Była zbyt zmęczona, by stawiać mu opór. Przyjechał! Był to istny cud. A może jej modlitwy zostały wysłuchane? W końcu uznała, że to jedno i to samo.

W jednej chwili przytłaczające ją brzemię zelżało i złagodniało. Zrozumiała, że zawsze czuła się lżej w jego obecności. Jakby – pomyślała sennie – wyrastały jej wówczas skrzydła. A raczej jakby to on ją uskrzydlał. Może dlatego tak łatwo mu przychodziło

sprawić, że również inni uwalniali się od ciążącego im brzemienia. Wiedziała, że te myśli dlatego rodzą się w jej głowie, że jest straszliwie zmęczona.

Skuliła się na sofie w bawialni tuż koło kominka, podciągnęła kolana pod brodę i wsparła o nie policzek. Zrobiła dla Henny, co tylko mogła, a także przywiodła do niej kogoś, kto najskuteczniej potrafił się za nią modlić. Z pewnością Adam Sylvaine najbardziej ze wszystkich znanych jej osób mógł wyprosić coś u Boga.

Nie chciała zasypiać, ale wola Adama okazała się silniejsza od jej własnej. Najwyraźniej nie była w stanie się jej sprzeciwić. Po raz pierwszy od ich ostatniego spotkania mocno zasnęła.

Pokój, mroczny i duszny jak trumna, pełen był zapachu gęsiego smalcu i najróżniejszych ziół, syropów oraz mikstur, które w niczym Henny nie pomogły. A także woni potu i choroby.

Adam ukląkł przy łóżku. Dłoń, którą dotknął czoła chorej, musiał natychmiast cofnąć, tak bardzo było rozpalone. Po chwili położył ją jednak na nim ponownie. Tym razem wytrwał.

Potem ujął jedną z masywnych rąk Henny i ścisnął ją mocno.

A później się modlił.

Henny jęczała i mamrotała jak we śnie, każdy zaś z tych pomruków mówił coś o jej życiu. Adam usłyszał, że jęknęła: „McBride!” Chwilę później wystękała coś w rodzaju „Capnij go za szyję!” Wierzgała nogami tak mocno, że o mało go nie przewróciła. Okrywająca ją kołdra zsunęła się na niego.

A on nadal się modlił.

Dyszał ciężko razem z nią, pragnąc, by zaczęła oddychać miarowo. Żeby spadła jej gorączka. Żeby stała się równie zdrowa i silna jak on.

W mroku łatwo było odnieść wrażenie, że dostępuje się wieczności i znajduje w miejscu, gdzie czas zatrzymał swój bieg i nie ma już żadnego znaczenia.

Nie dostrzegł, w której chwili to nastąpiło, wiedział jednak, że tak się na pewno stało; wyczuł, że gorączka Henny zaczęła spadać. Nadal się jednak modlił.

Może się zdrzemnął, bo w mrocznym pokoju nie sposób było dostrzec, czy wstaje świt, a sen, czuwanie i modlitwa zdawały się zlewać w jedną całość, nie do odróżnienia.

Nagle coś go jednak zaskoczyło. Zdał sobie sprawę, że słyszy jakiś nowy dźwięk. Choć raczej nie całkiem nowy, bo znał go już przedtem, ale teraz uległ on wyraźnemu przeobrażeniu.

Nie dyszała już tak ciężko.

Oddychała równiej i spokojniej. Coraz spokojniej. Aż wreszcie całkiem spokojnie. Normalnym, miarowym oddechem śpiącego. A wszystkie jej roztrzęsione przedtem członki leżały teraz bez ruchu.

Gorączka spadła.

Puścił ujętą wcześniej dłoń Henny i złożył obie swoje razem, pochylając głowę tak nisko, że dotknął ich czołem. Odetchnął jak najgłębiej drżącą piersią.

Dzięki Bogu.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że on także się cały trząsł.

Henny uśmiechnęła się słabo we śnie i mruknęła coś. Zdawało mu się, że zabrzmiało to jak „Postlethwaite”.

Co było równie zdumiewające jak nagły spadek gorączki.

Evie zerwała się nagle ze snu, ogarnięta panicznym strachem. Rozejrzała się wokoło i zamarła na widok Adama. Siedział na sofie tuż przy niej i patrzył na nią.

– Adam!

Czy ona śni? Czy Henny już nie żyje?

– Gorączka spadła – powiedział znużonym, schrypniętym głosem. – Henny ma się lepiej.

Siadła szybko na sofie, z ręką na gardle. Nie wiedziała, czy to czasem nie sen. Zaczęła nasłuchiwać.

Wreszcie dosłyszała krzepiący, równy rytm oddechu osoby pogrążonej w spokojnym śnie.

Westchnęła i osunęła się ponownie na sofę, całym ciałem odczuwając głęboką ulgę.

Uśmiechnął się nieznacznie.

Evie walczyła z chęcią płaczu.

– W jaki sposób… jak tego dokonałeś… – wyjąkała, odgarniając włosy z oczu.

Dostrzegła, że wpatrywał się zachłannie w burzę czarnych loków opadających jej na twarz.

– Modliłem się. Siedziałem przy niej i trzymałem ją za rękę. Widocznie gorączka musiała podnieść się bardzo wysoko, żeby potem nagle opaść. Sam nie mam pojęcia dlaczego. Zdołałem jednak wyczuć, kiedy zaczęła ją opuszczać. Wiem tylko jedno…, że Henny nadal jest z nami. Jeszcze długo będzie ci dokuczać.

Siadł nieco głębiej na sofie, wsparł się plecami o miękkie poduszki i patrzył na nią. Poświata ognia nadawała jej ciału odcienie bursztynowe, kremowe i różowe – poróżowiał jej nos i wzmogły się wypieki na policzkach.

Ujrzał, że palce jej nóg, skryte pod rąbkiem nocnej koszuli, wyłaniają się stamtąd niby leśne zwierzątka z jam. Podciągnęła kolana, okryła je koszulą i wsunęła dłonie w rękawy. Wyglądałaby niewinnie jak mała dziewczynka, gdyby blask ognia nie ukazał zarysu jej ciała, ujawniając elegancką linię pleców, krągłość pośladków, wypukłość piersi.

Poczuł się tak, jakby eksplodował w nim pocisk.

Ale wtedy jej czarne włosy rozsypały się wzdłuż ramion i opadły na kolana w niesfornych pierścieniach, zakrywając sobą wszystko.

– Nie wiem, jak zdołałabym przeżyć jej śmierć – powiedziała cicho, bez uśmiechu. Jakby nie miała prawa okazywać słabości. Jakby musiała być silna.

– Nie sądzę, byś zdołała cokolwiek przeżyć, nie przekuwając tego jakimś dziwnym sposobem w siłę.

Odwróciła się ku niemu gwałtownie.

– Czy… czy uważasz, że jestem bezwzględna?

– Nie. Na Boga, nie! Tylko zahartowana. Jak szpada.

– Nie wiotka jak kwiat?

Zaśmiał się łagodnie. Pozwolił nękającym go słowom opuścić jego umysł. Wyłaniały się stamtąd powoli, jedno po drugim, jak orszak tancerek.

– Nie. Jesteś jedyna… dzielna… zabawna… silna… bystra… lojalna… czuła.

Zdawały się pojawiać w takiej właśnie kolejności. A za nimi ciągnęły długim szeregiem inne. Magiczna. Piękna. Niebezpieczna. Niezwykła. Moja.

Nie chciał wypowiadać ich na głos. Każde z nich rozbrzmiewało mu w uszach o ton niżej niż pozostałe.

Chłonęła je wszystkie kolejno, jakby tworzyły przed jej oczami nowy obraz jej samej.

Spojrzała na sofę.

– Tak się cieszę, że przyszedłeś… – szepnęła i głos się jej załamał.

– Nic mnie nie zdoła oderwać od ciebie.

Wiedział, że to prawda. Nie miał wyboru. I serce, i dusza popychały go ku niej.

Pokiwał głową, zbyt przepełniony tą niesłychaną prawdą, by mógł powiedzieć coś więcej.

Skierowała wzrok na sofę, tam, gdzie spoczywała jego dłoń. Z przerażeniem patrzyła na otarte do krwi palce. Te, którymi trzasnął Haynesworth w jego znienawidzony podbródek.

– Och, Adamie.

Uniosła ją delikatnie i podtrzymała.

Przestał oddychać. Przestał odczuwać upływ czasu.

– Nigdy więcej nie chcę być przyczyną twoich ran. Ja… – i jej głos aż drgnął ze zdumienia – nie mogę znieść nawet myśli o tym.

Wyglądała na zgnębioną i niemal przerażoną tym przypuszczeniem. Skóra napięła się ostro na jej twarzy.

– Evie – rzekł schrypniętym głosem. – Evie.

Wyjął ostrożnie dłoń z jej palców i powiódł nią po jedwabistym chaosie włosów, wplątując się coraz głębiej i głębiej w ich gęstwę. Wtapiał się w nią, miękko przechylając jej głowę w tył.

Bez żadnych wstępów. Bez delikatności. Czuł jedynie spalający go głód, gdy ją całował.

Evie westchnęła, doznając niesłychanej ulgi, drżąc z tej ulgi całym ciałem. Jakby czekała na to całe życie. A on całował ją z zadziwiającą pewnością siebie, coraz mocniej przechylając jej głowę ku tyłowi, kołysząc ją w swoich dużych dłoniach tak ostrożnie, jakby zrobiona była z porcelany, bezlitośnie rozpalając jej ciało wargami, językiem, aksamitnym ciepłem ust, tak totalnie, tak dziko, że zdawała się cała topnieć. Nie było w nich już nic poza wzajemnym pragnieniem siebie. Potrzebowali się wzajemnie i dlatego właśnie ten człowiek był tak niebezpieczny, ale przekroczyła granicę pożądania i nie miała już odwrotu. Stała się jego.

Nigdy nie przypuszczała, że pocałunek może być pięknym narkotykiem. Wirowała w jego spazmach, zdumiona i przerażona, a potem rozpaczliwie zapragnęła więcej, póki ich usta nie zespoliły się ze zmysłowością bliską przemocy, ze splątanymi językami. Wargi ich to się łączyły, to znów rozdzielały, żeby potem zetknąć się znowu.

Jęknął głucho i zmienił pozycję, żeby ulżyć narastającej erekcji. Drżąc z pożądania, osunęła się na niego, otaczając go nogami, a jej ciało zadrżało, gdy poczuła na sobie jego wyprężone przyrodzenie. Objęła ramionami jego głowę. Wypuścił z rąk jej włosy, pozwalając, by rozsypały się na ich ciałach. Z płonącymi oczami powiódł palcami po jej podbródku, wargach, szyi, wsunął je za kołnierz jej koszuli i odciągał go coraz niżej, póki nie obnażył jej ramion. Ucałował miejsce, gdzie głośno biło jej serce, i miękkie zagłębienie pod brodą. On również cały drżał. Próbowała zgadnąć, jak dawno temu miał kobietę i czy sądził, że ma teraz prawo mieć ją.

Podjęła tę decyzję za niego. Sięgnęła ku guzikom jego spodni. Objął ją dłońmi tak gorącymi, że parzyły ją nawet przez muślin koszuli. Nie powstrzymywał jej, nie wyrzekł ani słowa, gdy niezręcznymi palcami rozpinała jeden po drugim. Całował ją lekko – jej usta, powieki, szyję.

Wyciągnęła z jego spodni koszulę, a członek, spęczniały i gorący, znalazł się w jej stulonych dłoniach.

Z jego ust wyrwał się świszczący dźwięk, gdy przesunęła po nim mocno ręką. Gdy ją uniosła, gładząc jedwabistą i śliską teraz główkę, wsparła się o jego czoło. Czuła jego oddech na swojej skórze. Dotykała go ze sprawnością znawcy, odgadując po sztywnieniu ciała i rytmie oddechu, jak mocno, jak szybko ma to robić, by zapragnął jej do szaleństwa. Jej własne pożądanie stało się jeszcze ostrzejsze. Im dłużej go dotykała, tym mocniej go pragnęła. Nie doznawszy spełnienia, chybaby umarła. Znów zaczęła go gładzić i patrzyła, jak jego głowa odchyla się ku tyłowi. Muskuły jego szyi napięły się jak sznury, oczy były mocno zamknięte. Nagle zacisnął swoją rękę na jej dłoni.

Przez jedną ulotną chwilę pomyślała ze strachem, że chce ją w ten sposób powstrzymać.

On jednak ujął oburącz za jej koszulę i ściągnął ją z niej przez głowę; spadła na podłogę.

Wyczuwała, kiedy wstrzymywał dech. Nie był przygotowany do tego, jak jej ciało oddziaływało na jego zmysły.

Jak ktoś, kto nie wie, czy należy już zasiąść do uczty, objął ją w pasie. Wpatrywał się w nią płonącymi oczami. Poczuła się nagle onieśmielona, gdy ujrzała siebie jego oczami – jako dar, jako cud, którym cała się stała dla niego.

Doznała ulgi, gdy nakrył ją swoim ciepłym ciałem, bo nigdy jeszcze nie widziała, by ktoś tak na nią patrzył. Był ubrany, a ona naga, i podobało się jej to; ta bezbronność wzmagała w niej pożądanie.

Gdy jego ręce znów zaczęły się poruszać, zamknęła oczy, izolując się we własnej rozkoszy, i pogrążyła się w cudzie bycia przez niego dotykaną po raz pierwszy. Ręce jego sunęły od krągłości bioder ku talii, prześlizgnęły się po wypukłości brzucha, wniknęły między uda, by odszukać wrażliwą skórę po ich wewnętrznej stronie. Sięgnął głębiej, ku jej stulonym fałdom, zwilgotniałym już od oczekiwania na niego. Był szybki, zdecydowany: niecierpliwił się. Z pewnością siebie, słusznie przypuszczając, że znalazła się teraz w jego mocy i że jego wola była jej wolą, wsunął ręce pod jej biodra, uniósł ją całą, a potem wniknął w nią.

Jęknął cicho, gdy już się w niej znalazł.

– Boże, Evie. Mój Boże.

Przez jakiś czas pozostawali bez ruchu, delektując się samym momentem złączenia i swymi oddechami. Jej piersi unosiły się ku niemu i opadały. Czuła jego gorący oddech na szyi, gdy nachylał głowę. A potem zaczęła się poruszać, to unosząc się, to opadając, podczas gdy on całował ją zaborczo, a potem ujął w dłonie jej piersi, wodząc z cudowną brutalnością kciukami po sfałdowanych obwódkach sutków.

Zadygotała od tego.

– Błagam cię. Boże. Tak. Właśnie tak.

Wygiął biodra i teraz jego ręce unosiły ją i opuszczały w dół. Ruchy wewnątrz niej były wspaniałe. Każdy z nich wzmagał jej rozkosz do szaleństwa. Jęczała głucho, gardłowo, błagała go, wykrzykując na głos jego imię.

Nachylił się, by okrążyć jej sutek językiem i chwycić lekko zębami. Wygięła się pod nim w łuk.

Światłość wypełniła ją całą.

– Adamie.

Miała kochanków, którzy traktowali jej ciało tak, jakby posługiwali się kompasem i mapą. Wiedziała, gdzie chcą jej dotykać, jak i kiedy. Tutaj nie było żadnej strategii. Pełnia, czystość instynktu i żądań Adama była bardziej erotyczna niż wszystko, czego dotąd zaznała. Świat już nie istniał. Istniały tylko ich frenetycznie poruszające się ciała, szmer schrypniętych oddechów, jego ręce, które narzucały jej ostry rytm, wzajemne zderzanie się i kołysanie, zachłanne pragnienie: jeszcze głębiej, jeszcze mocniej. Ach, jak dobrze.

Widziała to w jego oczach, kiedy zapamiętał się w pogoni za swoją rozkoszą, daleki i gorący. Z zaciśniętymi szczękami. Dyszący coraz głośniej. Wychrypiał:

– Evie… ja…

Zesztywniał cały, bliski spełnienia. Ale jej własna rozkosz rozpalała ją jak płomień hubkę, póki nie stała się bardziej rozkoszą niż istotą ludzką, a wreszcie samą tylko rozkoszą. Czuła ją każdą komórką skóry, aż wreszcie błogość stała się czymś nie do zniesienia. A wtedy on uderzył po raz ostatni.

Wtuliła głowę pod jego szyję, żeby zdusić krzyk, gdy rozprysła się na roziskrzone odłamki.

Trzymali się wzajemnie w objęciach, póki nie przestali dyszeć. Zaczęła ponownie wszystko dostrzegać jako serię oderwanych wrażeń: swoje ręce na jego szerokich plecach pod koszulą, falujący rytm jego oddechu, gdy się uspokajał. Pot stygnący na jej skórze. Jedwabistość jego włosów na jej czole, o które wsparł swoje czoło. Jego palce ześlizgujące się wzdłuż jej kręgosłupa.

Podejrzewała, że oboje odwlekają chwilę, kiedy będą musieli spojrzeć sobie wzajemnie w oczy. Myśl o tym kazała jej uwolnić się delikatnie z uścisku jego ramion, odsunąć się od niego i wstać.

Czuła, że śledził jej ruchy. Całe jej ciało przenikał błogostan. Kręciło się jej w głowie. Odnalazła swoją zmiętą koszulę i wciągnęła ją na siebie przez głowę, wsunęła ręce w rękawy, a w końcu pozwoliła, by opadła jej na ciało niczym kurtyna po skończonym przedstawieniu.

Wreszcie zawiązała tasiemki, tak gwałtownie, jakby jednym ostrym ruchem pragnęła okiełznać pożądanie.

Patrzyła, jak on przytomnieje, jak z pewnym zakłopotaniem zapina spodnie i wpycha w nie koszulę.

Wstali oboje, żeby się sobie przyjrzeć. Twarz mu błyszczała od potu. Odrzucił do tyłu włosy.

A w drugim pokoju Henny oddychała równo i spokojnie. Evie spojrzała na zegar.

Zrobiła to poprzednio ledwie kwadrans temu.

Trzeba było coś powiedzieć.

– Dziękuję, że przyszedłeś. – Zabrzmiało to bardzo formalnie.

Och, Boże.

Po raz pierwszy ujrzała, że on się czerwieni.

A później zaczerwieniła się i ona.

Nic nie mówił. Przyglądał się jej niemal z powagą, pokrywając niezręczność i niepewność swoim zwykłym opanowaniem. Obydwojgu dane było poczuć gwałtowne porywy i odtańczyli taniec pożądania, ale teraz – choć wcześniej trzymali się wzajemnie w objęciach, poznali smak własnego potu i zjednoczyli się najściślej, jak tylko może to zrobić dwoje ludzi – żadne z nich nie zamierzało mówić o tym, co między nimi zaszło. Wszystko, co mogliby powiedzieć, wydawało się im albo niewystarczające, albo żenujące.

Wreszcie on zbliżył się do niej i ostrożnie odgarnął palcem pasemko włosów, które przylgnęło do jej warg.

A następnie, jakby dla kaprysu, założył jej ten kosmyk za ucho.

Z czułością, która w jakiś dziwny sposób była czymś bardziej intymnym niż samo ich zbliżenie.

Wszystko w niej rwało się wprost ku niemu. Przepełniała ją światłość.

Nagle przeistoczyło się to jednak w falę przeraźliwego, panicznego strachu.

Zapragnęła niespodziewanie, żeby stąd jak najprędzej odszedł.

Głowę miała zbyt ciężką, ciało zbyt nasycone. Strach zaczął wkradać się do jej duszy. Gdy była czyjąś kochanką, mężczyzna mógł się z nią pożegnać klepnięciem jej po pośladku lub serdecznym pocałunkiem. Nigdy jeszcze nie oddała się nikomu po prostu dlatego, że go pragnęła. Nigdy nie czuła przemożnej potrzeby, by albo złączyć się z nim, albo umrzeć. Jej przetrwanie zależało od umiejętnego planowania. Nie od zdolności odczuwania.

Nigdy bowiem nie mogła pozwolić sobie na to, by znaleźć się na czyjejś łasce. Zwłaszcza na łasce kogoś, kto by jej nie zapewnił przyszłości.

Nieopisany ogrom tego, co teraz przeżyła, i jego wszechogarniające piękno było wprost proporcjonalne do bólu, który mogło jej później przynieść.

– Zajrzę do Henny – powiedziała półgłosem.

Weszła do sypialni i uklękła przy jej łóżku. Zapragnęła skryć się za nim jak za murem ochronnym.

Wsparła o nie czoło, pochylona w modlitewnej pozie, choć nie wiedziała, o co właściwie miałaby się modlić.

Zostawiła go przed kominkiem. Rozejrzała się uważnie wokoło i ujrzała, że patrzy na nią tak, jakby patrzył na coś prawdziwie świętego.

Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, nim zapadła w sen.

22

Zbudziła się nagle ze zduszonym krzykiem, czując, że poduszka poruszyła się pod jej policzkiem.

Szczur! Przeklęte szczury znów tu były! Poderwała się znad łóżka, gotowa wymierzyć w nie solidny cios.

Dopiero za chwilę dotarło do niej, że nie zdrzemnęła się w swoim dawnym pokoju nad burdelem w St. Giles, lecz klęczy na podłodze tuż przy łóżku Henny i wspiera głowę o jej potężną, krągłą łydkę okrytą kołdrą. Kołdra przekręciła się na bok, gdy Henny obróciła się we śnie. Szczury należały do przeszłości Evie.

Uznała jednak, że jej ciągła czujność to dobra oznaka.

Zmrużyła oczy, widząc, że blade światło przenika przez szparę w zasłonach, i odgarnęła znad oczu ciężką masę włosów. A wtedy poczuła na nich jego zapach. Na dłoniach również. Znieruchomiała. Był męski, piżmowy, przemożnie erotyczny i wytrącający z równowagi. Ciągnęło ją do niego serce. Nowy, gwałtowny prąd pożądania przeszył jej ciało, które znów zapragnęło tego, czego już przedtem zaznało. Pozwoliła sobie odczuwać je przez jedną, niebezpieczną sekundę, zatopiona we wspomnieniach. Znów poczuła jego ręce zanurzone w jej włosach, pełne czci, lecz zarazem władcze i z taką pewnością traktujące jej ciało. Ujrzała jego wpatrzone w nią chciwie oczy, swoją twarz ukrytą na jego szyi, niepohamowaną rozkosz posiadania go, szukania rozkoszy w jego błękitnych oczach, i swoje doznania, gdy się w niej poruszał.

Radość i paniczny strach zalały ją jednocześnie. Poskromiła tę pierwszą bezwzględnie.

Matko Boska, co ona najlepszego zrobiła?

Poczuła, że coś jej ciąży na ramionach. Pomacała to coś i zrozumiała, że dotyka wełny, a nie lnu. Miała na sobie jego płaszcz.

Okrył ją nim i poszedł do domu w zimny poranek bez ciepłej wierzchniej odzieży. Tuliła płaszcz do siebie z zamglonymi oczami.

– To ja nie umarłam? – usłyszała chrapliwy głos.

Evie odrzuciła płaszcz za siebie i wsparła łokcie o łóżko, żeby spojrzeć na Henny. Była bardzo blada i bynajmniej nie pachniała przyjemnie, ale oczy miała przytomne i bystre.

– Czy ja twoim zdaniem wyglądam na anioła, Henny?

Henny przyjrzała się jej uważnie.

– Ano, nie jestem pewna, czy pójdziesz do nieba – odparła szczerze, choć przepraszającym tonem. – No i myślę, że ja też nie. Ale jakiś anioł siedział tu przy mnie zeszłej nocy i trzymał mnie za rękę. Nie mogę powiedzieć, nie było mi wtedy żal umierać, bo wiedziałam na pewno, że pójdę do nieba. Piękny anioł, powiadam ci.

Mężczyzna – dodała z zadowoleniem. – Powinnaś popróbować umierania, wtedy zobaczysz to samo co ja.

– To nie był anioł, tylko Adam… to znaczy pastor.

Henny zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem wytrzeszczyła oczy.

– Jesteś pewna?

– Tak. Chyba że jakiś anioł dołączył do was, kiedy pastor tu przy tobie siedział.

– Tylko jednego tutaj widziałam – stwierdziła stanowczo Henny. A potem zaczęło jej coś świtać. – Skoro pastor tu przyszedł, to ja byłam… ja byłam… – Najwyraźniej Henny nie potrafiła dodać: „umierająca".

Evie z przerażeniem poczuła, że jej oczy znów zachodzą łzami.

Henny spostrzegła to i ze zdumieniem patrzyła na nią, tak zafascynowana i do głębi poruszona, że łzy Evie w mgnieniu oka obeschły.

– Ja tam sobie nie życzę, żebyś miała płakać nad taką głupią babą jak ja – zażądała z zażenowaniem. – Przeżyłam i już!

Evie wytarła nos z godnością:

– To raczej ze współczucia.

Henny poklepała ją po ręce, ścisnęła mocno za ramię i obie zaczęły udawać, że nic wielkiego się nie stało.

– To pastor trzymał mnie za rękę? – Henny uśmiechnęła się z rozmarzeniem. – A wiesz ty, ja zawsze czułam, że jakby on na mnie swoją położył, to wtedy wszystko byłoby dobrze. Czułam to. Chyba jej nigdy więcej nie umyję!

– Lepiej jednak wymyj, bo w przeciwnym razie nie licz na to, że razem ze mną pojedziesz kiedykolwiek powozem.

Dziwne, ale Evie czuła prawie to samo co Henny. Kiedy znalazła się w jego ramionach, poczuła się nagle tak, jakby była… rzeką płynącą wprost do morza. Wydało się jej to czymś najnaturalniejszym w świecie, koniecznym, nieuniknionym. Po raz pierwszy w życiu poczuła wtedy przejmującą błogość, jakiej nagle doznała całym ciałem.

Innymi słowy, było to coś katastrofalnego. Czego on się teraz po niej spodziewał? Co sobie o niej myślał?

A czego ona oczekiwała od niego? Czy mogła porównać z tymi doznaniami choć jedną chwilę ze swego dotychczasowego życia?

Co się teraz mogło zdarzyć w najbliższej przyszłości?

– No i modlił się za mnie. Co chwila słyszałam „och, Boże".

– Myślę, że chyba ci się zdawało. Najwyraźniej z gorączki – zdołała odpowiedzieć dość pewnym tonem Evie.

A więc to tak? Nigdy dotąd nie jęczała ani nie wydawała żadnych namiętnych okrzyków podczas miłosnego aktu. Zostawiała to mężczyznom. Nie wołała „o Boże", bo aż dotąd nie zdarzyło się jej zatracić, dać się ponieść zapamiętaniu. Cała jej egzystencja zależała od tego, żeby nie było to udziałem jej, tylko mężczyzny.

Henny znów zmrużyła oczy i przyjrzała się jej tak uważnie, jak ptak patrzy na robaka, którego wkrótce ma połknąć.

– Chyba nie wyglądam teraz jak malowana lala, ale ty wyglądasz okropnie. Oczy masz czerwone i jakby zaropiałe w kątach, na gębie jakąś wysypkę, a włosy zmierzwione

niczym stóg siana. Czy to nie dziś przyjeżdża Lisle?

O Boże! Całkiem o tym zapomniała! Cóż to za wysypka? Evie przeciągnęła grzbietem dłoni po policzku. Pokłuł ją jego wczesny zarost. W ustach czuła, żywy jeszcze, posmak gwałtownych pocałunków. Znów zalała ją fala pożądania. Zdusiła ją w sobie bezlitośnie.

– Tak, dzisiaj. Zdołam się sama ubrać i uczesać. Nie tak dobrze, jak przy twojej pomocy – dodała pospiesznie – ale zabraniam ci wstawać z łóżka. Poślemy kogoś po pieczywo i herbatę. Ale doradź mi, co mam na siebie włożyć!

Henny zastanawiała się głęboko przez chwilę.

– Ubierz się na biało, bo udawana niewinność to niezła sztuczka. Coś takiego, co mydli oczy niby mgiełka. No i koniecznie zawieś sobie na szyi ten krzyżyk.

– Jesteś genialna – powiedziała ze szczerym uznaniem Evie, co rzadko się jej zdarzało przy Henny. Nie dodała jednak: „a krzyżyka nigdy już nie chcę zdejmować".

– Dzięki Bogu potrafię to i owo – odparła skromnie Henny – choć Bóg jeden tylko wie, co ja z tobą mam!

– Pokażę ci się, zanim Lisle przyjedzie.

– Dobra! A teraz się tylko trochę zdrzemnę – odparła Henny i rzeczywiście wkrótce zasnęła.

Zasnął kamiennym snem. Chociaż można by raczej powiedzieć, że spał jak nowo narodzony.

Zbudził się z uśmiechem. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, dlaczego się uśmiecha. Czuł, że jest całkowicie odprężony, że nie dręczy go już, jak zwykle, napięcie odczuwalne w całym ciele, tak silne, że można by na nim zagrać jak na strunie jakiegoś instrumentu.

W nocy kochał się bowiem wprost szaleńczo z Evie Duggan.

Uśmiechał się coraz szerzej.

Zamknął ponownie oczy, po to jedynie, by nie widzieć teraz oczami wyobraźni niczego poza nią, by ujmować znów jej piersi, słyszeć jej jęki rozkoszy, całować mocno jej usta i wodzić palcami po jej jedwabistej skórze, podczas gdy ona…

Znów poczuł się pobudzony.

To było… szczytem wszystkiego. Fantastycznym, dogłębnym spełnieniem, pełnym błogości cudem. Wątpił jednak, aby to był taki cud, o jakim marzyła pani Sneath.

Nie miał pojęcia, co go wywołało. To, że czas jakby stanął w miejscu? Ciemność? Blask ognia? Strach przed śmiercią? Czyżby żałował tego, co zrobił?

Czy żałował?

Nie chciał teraz myśleć, tylko doznawać.

A przecież nigdy nie był nierozważny, nieobliczalny, a już na pewno nie był lekkomyślny. Ani tchórzliwy. Musi się nad tym zastanowić.

Westchnął i przekręcił się na bok, a potem zmusił sam siebie, by wyprostować się i usiąść na brzegu łóżka. Ciekaw był, czy ona wciąż jeszcze śpi i jak będzie potem wyglądać. Jak by to było, gdyby otworzył oczy i zobaczył ją obok siebie?

Chciał wiedzieć – nie, musiał wiedzieć – o czym ona myśli tego ranka. W końcu jest

doświadczoną kurtyzaną. Pewnie wszystko to było dla niej błahostką.

A potem uśmiechnął się z zadowoleniem, tak go ta myśl rozbawiła.

Wiedział, że ona też doznała oszałamiającej satysfakcji. Mimo wszystko cieszyła go świadomość, że zawdzięczała ją jemu. Jakby rozpamiętywanie tego, że zdołał ją zadowolić, miało być jakimś przywilejem w jego życiu.

Już sama myśl o jej ujrzeniu sprawiała, że cudowna słodycz przenikała go na wskroś. Pragnął ujrzeć piegi, rzęsy, jedwabiste, kręte pasma włosów, roześmiane oczy…

Zdołał się ubrać, umyć i ogolić dopiero koło południa.

Wyjął po kryjomu trochę polnych kwiatów z wazonu przy wejściu do plebanii, podobnie zresztą jak przed swoją pierwszą wizytą u Evie.

Jeśli zrobi tak jeszcze raz, pani Dalrymple zacznie zapewne sądzić, że to jakieś czary.

W południe Evie zeszła do salonu.

Wybrana przez nią suknia z białego muślinu miała bufiaste rękawki i choć pozwalała dojrzeć piersi, jednak nie obnażała ich w sposób wulgarny. Zdobiła ją tylko jedna falbana. Złoty krzyżyk zwisał tuż nad biustem. W kominku solidnie napalono, a że suknia była bardzo przejrzysta, wystarczyło, by zrobiła na jego tle dwa kroki tam i z powrotem (miała na sobie ledwie jedną halkę), by przez jeden wspaniały, olśniewający moment można było dostrzec zarys całego jej ciała.

Po raz ostatni zlustrowała spojrzeniem pokój, usiłując ujrzeć go oczami Freddy’ego, zblazowanego londyńczyka. Był nieskazitelnie wysprzątany, wręcz lśnił czystością. Służąca dała z siebie wszystko.

Z niezrozumiałego dla niej samej powodu Evie nie usunęła zwiędłych polnych kwiatów z wazonu na gzymsie kominka. Tych, które przyniósł Adam, składając jej pierwszą wizytę. Były dla niej czymś w rodzaju talizmanu.

Freddy’ego zaanonsowano wpół do pierwszej. Wniósł wraz ze sobą cały Londyn, od idealnie wygolonego podbródka i nieskazitelnej fryzury do wypucowanych na połysk butów. Surdut w kolorze czekoladowego brązu świetnie pasował do koloru jego oczu, na srebrnych guzikach widniał herb rodowy. Odniosła wrażenie, że nigdy jeszcze nie widziała kogoś równie zadbanego. Nie za bardzo pasował do tego pokoju, ale był tak pewny siebie, tak głęboko przekonany, że zawsze zostanie mile przyjęty, gdziekolwiek by się udał, że udzieliło się jej coś z jego dezynwoltury.

– Freddy! Wyglądasz olśniewająco!

Wyciągnęła ku niemu ręce, a on ujął je i każdą z osobna uniósł do ust, składając na nich iście francuski w stylu, długi pocałunek, po którym każda mieszkanka Pennyroyal Green wpadłaby w popłoch.

– Wiem, niestety, że komplementem „olśniewający” posługujesz się, moja miła, wtedy, gdy ci na kimś zbytnio nie zależy.

– A ty mi nie powiedziałeś żadnego, mimo że jesteś tu od dobrych dwóch minut.

– Hm, no cóż… – Cofnął się i przyjrzał się jej z pewną nieufnością. – Ledwie cię poznałem. Straciłaś swoją londyńską bladość. Wiejskie powietrze zaróżowiło ci policzki. Ale… może to róż? Jeśli z okazji… mojej wizyty… to czuję się w obowiązku

powiedzieć, że mi to pochlebia.

Lekko się zająkiwał, uznała więc, że biały muślin i głęboki dekolt zrobiły na nim wrażenie. Podobnie jak cała reszta, o której niegdyś mówił, że gotów jest umrzeć, jeśli się z nią bliżej nie zapozna. Ale tak właśnie Freddy lubił się wyrażać. Hiperbole przeplatane dwuznacznymi aluzjami ustępowały niekiedy miejsca trzeźwemu myśleniu i lekkiej drwinie.

– Poróżowiałam chyba z podniecenia, kiedy nakazywałam służbie przygotować wszystko na twoje przyjęcie. Zresztą w Pennyroyal Green nie ma nic innego do roboty. Chyba że spacer dla zdrowia.

– Gdyby Bóg życzył sobie, bym chodził na piechotę, to nie uczyniłby mnie na tyle bogatym, bym nie mógł sobie pozwolić na powóz i odpowiedni zaprzęg – parsknął i usiadł na najbliższym krześle w stylu chippendale. Niezbyt zręcznym ruchem, niebezpiecznie bliskim ciężkiego łupnięcia. Przypomniało jej to, że wszyscy się starzeją i miłość tak niezłomna jak jego może być przesadą. Ona też mu się uważnie przyjrzała. Przytył trochę przez te kilka miesięcy, kiedy go nie widziała, przystojne rysy rozmyły się nieco, ciało straciło na sprężystości. Guziki jego kamizelki z ledwością się dopinały. Dziwne. Stać go było na dopasowanie stroju przez krawca, przy niedużej choćby zmianie rozmiarów. Nie znosił źle leżącego ubrania, nawet jeśli były to ledwie widoczne mankamenty.

– Muszę cię uprzedzić, że w Pennyroyal Green niewiele można robić poza spacerami. Nie ma tu nic, co mogłoby cię zabawić.

– Och, nie powiedziałbym tego. Na przykład dzisiejszego wieczoru mógłbym sobie uciąć partyjkę kart, rzecz jasna, gdyby chodziło o jakąś interesującą stawkę.

Freddy nigdy nie przyglądał się jej z jawną pożądliwością. Teraz też tylko spojrzał na nią, ładnymi skądinąd, brązowymi oczami, żywym ruchem unosząc wysoko brwi.

– Polubiłam grę w faraona – odparła wymijająco. – Stukanie kostek w pudełku przerywa tę przeraźliwą wiejską ciszę.

Zaśmiał się i kiwnął głową, dając do zrozumienia, że docenił jej zręczny wykręt.

– Na grę czas przyjdzie trochę później. Porozmawiajmy najpierw o stawce.

– Czemu nie? – Uśmiech Evie obiecywał wszystko i nic, co najwyraźniej mu się podobało. Freddy lubił to, co choćby trochę trąciło rywalizacją. Taki już był. Kochał chytre igraszki jak spasiony, znudzony kot.

– Cisza, mówisz? Czyżbym się dopatrzył niezadowolenia z twojego nowego życia, Evie?

– Dopatrzyłbyś się lekceważenia. – Nie chciała, by Frederick uznał, że czuje się tutaj jak w pułapce i że rozpaczliwie pragnie stąd uciec. – W sumie żyje mi się tu całkiem nieźle, a mieszkańcy nie ukamienowali mnie jeszcze jako ladacznicy. Robi na nich wrażenie mój tytuł, choć utracę go, gdy spadkobierca Monty'ego się ożeni. No i boją się Henny.

Nie uznała za stosowne wspominać mu o wywołanym przez siebie skandalu.

A potem spojrzała, zdrajczyni, na zwiędłe kwiaty w wazonie.

Frederick wyciągnął przed siebie nogi w butach od Hoby'ego, wyczyszczonych tak starannie, że błyszczały jak lustro, a Evie pospiesznie zakryła kostki u nóg suknią, spod

której przedtem się wysunęły. Z roztargnieniem poklepał dłonią poręcz krzesła i rozejrzał się znów po pokoju. Jego galijski wydatny nos obracał się to w jedną, to w drugą stronę. Zauważył wszystko – gzyms kominka bez żadnych ozdób, zwiędłe kwiaty, portret nieznanego jej mężczyzny, zapewne któregoś z przodków hrabiego, dość przypadkowy zestaw ładnych skądinąd mebli, przeważnie francuskich, zupełnie jakby hrabia zachował tylko najlepsze sztuki z rewolucyjnego szabru w Londynie, a w Damask Manor upchnął resztę.

– A więc tylko tyle ci zostało z twojej krótkotrwałej fortuny, moja droga? Ten… uroczy mały dworek?

Oczy mu błysnęły. Wiedziała, że obserwuje ją uważnie i widziała, że waha się między lojalnością wobec niej a satysfakcją, z jaką doniósłby londyńskiej prasie brukowej o jej obecnym, skromnym poziomie życia, resztę zostawiając sępom spośród socjety. Pisał przecież, że dobre towarzystwo coraz bardziej się nudzi.

– Jest w końcu całkiem miły – stwierdziła obojętnie. – Napijesz się czegoś, Freddy?

– Napiję się niejeden raz, jeśli ten wieczór skończy się tak, jak się spodziewam. Zacząłbym od sherry, jeśli ją masz. Nie czujesz czasem ochoty, żeby usiąść mi na kolanach?

– Sofa na razie mi wystarczy, dziękuję. Choć przyznam, że pokusa jest spora, bo twoje kolana są znacznie bardziej zaokrąglone niż wtedy, gdy się widzieliśmy po raz ostatni.

Rozbawiło go to. Wcale się nie oburzył.

– Kiedy jestem smutny i samotny, to jem, droga Evie.

– Pewnie cię ucieszy, że podam stosowny obiad. Twoja ulubiona jagnięcina w sosie miętowym.

– A może osiągnę ekstazę wcześniej i nie będę w stanie nic przełknąć z wrażenia?

Znów uśmiechnęła się do niego zagadkowo, ale zacisnęła zęby z nagłej irytacji. Przypomniała sobie tamtego mężczyznę, który zanurzył rękę w jej włosach i całował ją bez wahania, bez żadnych wstępów, aluzji lub targów.

– Evie, czy pamiętasz ów wieczór w operze, kiedy grano *Le Mistral* z signorą Licari?

– Owszem. – Po spektaklu, podczas którego pewien młodzieniec spadł z balkonu do kanału orkiestrowego, bo zanadto się wychylił, żeby zajrzeć w dekolt jej sukni, poszła z hrabią Wareham i lordem Lisle na dekadenckie przyjęcie. Siedziała Frederickowi na kolanach, a on zakładał się nonszalancko o sumy, które innych graczy przyprawiały o zawrót głowy. Nie musiała nawet wypijać mnóstwa szampana, żeby oszołomiło ją ryzyko, rozmach, z jakim to robił, i niebywałe bogactwo. Evie Duggan ze slumsów mogła do woli przebierać wśród obecnych tam mężczyzn; nigdy jednak nie traciła czujności i zmysłu obserwacji.

Dopiero ostatniej nocy po raz pierwszy zapomniała się całkowicie.

– Pamiętam, co sobie wtedy pomyślałem. Że tyłeczek masz jędrny jak śliwka – powiedział Frederick z rozmarzeniem.

– Och, Freddy, cóż to za piękne wspomnienia! Która kobieta nie chciałaby być pamiętaną właśnie dzięki tej części ciała?

Musiała mu oddać sprawiedliwość: Frederick się zaśmiał.

– Ach, wybacz mi, Evie. Widzisz, do czego mnie doprowadziła twoja nieobecność?

Nie potrafię się nawet zręcznie zalecać. Może pójdziemy na jedną z tych… jak ty je nazwałaś… zdrowotnych przechadzek i podczas niej odnowimy naszą znajomość we właściwy sposób?

– Jeśli koniecznie chcesz. Sprawdzę tylko, czy mam odpowiednią laseczkę, żebyś mógł się nią podpierać.

– Pójdę z tyłu za tobą i będę się delektował tym widokiem, a on na pewno sprawi, że wszystko we mnie się należycie wyprostuje.

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu, ale przeistoczył się on niespodziewanie w westchnienie. Jakże się jej podobała ta poufałość! Wiedziała, jak rozmawiać z Freddym. Odnalazła dobrze jej znany rytm flirtu i aluzji jak z replik teatralnych lub tańca zwanego sir roger coverley.

– Czy mam ci powiedzieć, jakie jeszcze części twojego ciała strasznie lubię?

– Może przy innej okazji. Wiesz przecież, kiedy należy skończyć z żartami, Freddy. Uważam, że oryginalność podnieca erotycznie.

Lokaj przyniósł sherry, a jej sprawiło absurdalną przyjemność, gdy zauważyła, że Freddy z uznaniem spojrzał na jego liberię. Gdyby za niego wyszła, nie wnioskowałaby z liberii nieszczęsnego lokaja, ile też ją kosztuje każde wejście sługi do salonu.

Freddy trącił się z nią kieliszkiem.

– Czy ci brakuje Monty'ego?

– Raczej tak – odparła zgodnie z prawdą.

– Mnie również. Ale czas płynie i nie oszczędza mężczyzn ani kobiet – powiedział znacząco.

Lokaj po raz drugi wszedł do pokoju.

– Milady, przyszedł z wizytą pastor.

– Pastor? – spytał Freddy z rozbawieniem. – Szukasz pociechy w religii, moja droga? Nie sądziłem, że jest aż tak niedobrze. Czy może zrobiłaś coś bardzo złego, a on przychodzi cię surowo upomnieć?

Jeszcze jedna przeklęta aluzja! Evie może by ją nawet przyjęła z rozbawieniem, gdyby nie to, że teraz zdrętwiała z przerażenia.

Nie mogła odprawić Adama z kwitkiem.

A także, Boże dopomóż, pragnęła go zobaczyć! Mimo że była to najzupełniej nieodpowiednia chwila. Chciała spojrzeć mu w oczy, tak jak on rano spojrzał w jej oczy.

Adam nie uląkł się Haynesworthа, ale wątpiła, czy ucieszyłby się na widok Freddy'ego.

– Oczywiście, niech wejdzie.

Za chwilę jego wysoka postać stanęła w drzwiach.

Och, Boże. W rękach trzymał pęk polnych kwiatów.

W salonie zaległa cisza.

Frederick doświadczonym wzrokiem zlustrował Adama od stóp do głów i nic chyba nie umknęło jego uwagi, ani wysoki wzrost, ani zakurzone buty. Zatrzymał też wzrok na zwiędłych kwiatach w wazonie.

A potem zwrócił go ku tym, które trzymał w ręku Adam.

Spojrzał na Evie z rozbawieniem podszytym złośliwością.

– Mówiłaś mi chyba, moja droga, że nudzisz się na prowincji?

Evie podejrzewała, że jej twarz niewiele się różni kolorem od sukni, sądząc z tego, jak zlodowaciały jej dłonie. Zdobyła się jednak z całym spokojem na słowa powitania.

– Miło mi pana widzieć, pastorze Sylvaine. Niech mi pan pozwoli przedstawić sobie mojego przyjaciela, Fredericka Elgara, wicehrabiego Lisle.

– Witam, lordzie Lisle. – Jego głos brzmiał tak pięknie, jak zawsze. I był równie spokojny jak jej głos.

Tylko że, oczywiście, Adam nie spojrzał jej w oczy.

– Witam pana, pastorze Sylvaine. A może raczej powinienem spytać, co pan…

– Przyszedł pan odwiedzić Henny, pastorze? – przerwała mu szybko Evie, a słowa te zabrzmiały fałszywie nawet dla niej samej. – Jakież to miłe z pana strony.

Adam odwrócił się wreszcie ku niej. A wtedy stracił panowanie nad sobą. W oczach błysnął mu ogień, który czuła w sobie. Poznał jej ciało. Posiadł je. Pragnął go.

A potem uśmiechnął się do niej. Nieznacznie, ale hardo, ironicznie. Narzucił jej dystans.

Uznał, jak sobie powiedziała w duchu, że był ostatnim głupcem i że wszyscy mieli rację co do niej. Prócz niego.

Wyczuła ten dystans. Jakby ktoś z rozmachem zatrzasnął drzwi.

– Tak. Myślałem, że Henny ucieszy się z kwiatów – odparł i nikt by się nie domyślił, że poprzedniej nocy zdusiła krzyk spełnienia, wspierając głowę na jego szyi ani że on z czułością założył jej kosmyk włosów za ucho.

– Czy mówimy o tej samej Henny? Czyżby miał ją ucieszyć widok kwiatów? – zdumiał się Lisle.

Adam nie odpowiedział. Przyglądał się Frederickowi z obojętnym, dość uprzejmym wyrazem twarzy. Ale jego spojrzenie irytująco przypominało Evie widok kota, który patrzy na złowionego właśnie przez siebie szczura i zastanawia się, w którym miejscu ma odgryźć pierwszy kęs.

– Henny zachorowała. – Evie zdawało się, że słyszy własny głos z daleka. Spróbowała się uśmiechnąć, choć wszystkie mięśnie jej twarzy zdawały się temu sprzeciwiać. Wreszcie zdołała jakoś unieść kąciki ust. – Wizyta pastora podniosła ją na duchu. Czuje się coraz lepiej, pastorze, to wprost nadzwyczajne. Nadzwyczajne. Sądzę jednak, że teraz śpi. Ale to zdrowy sen.

Ależ ona bzdurzy.

– Zjemy zaraz wczesną kolację. Może zechce pan do nas dołączyć, pastorze? Lord Lisle z przyjemnością pana zaprosi.

Nie odważyła się spojrzeć na Fredericka, przeświadczona, że chybaby go to zabiło. No i dobre towarzystwo znów by uznało, iż jej szkaradny przydomek świetnie do niej pasuje.

Adam przeniósł wzrok na Fredericka. Twarz jego nie wyrażała teraz nic prócz umiarkowanej, uprzejmej ciekawości. Jakby Freddy był jakimś ciekawym okazem grzyba, na który natknął się przypadkiem w lesie. Evie nie po raz pierwszy odniosła wrażenie, że pastor nigdy w jawny sposób nie ostrzegał przeciwnika przed zadaniem mu ciosu w szczękę.

Potem zaś uśmiechnął się z wolna, uśmiechem, który nie wróżył nic dobrego.

– Dziękuję za zaproszenie, lordzie Lisle. Chętnie je przyjmę.
Zastanawiała się, czy zdąży poprosić gospodynię, żeby na stole nie położyła noży.

23

A więc to był lord Frederick Lisle, który przegrał w karty prawo do jej poślubienia. Nie powiedziała, że spodziewa się gościa.

Niewiele zresztą ze sobą rozmawiali zeszłej nocy.

Gospodyni bez słowa postawiła na stole talerze z dymiącym jedzeniem. Żyrandol nad nimi, jak Adam dostrzegł, składał się z długich wiszących kryształków w kształcie przypominającym zwierzęce kły. Odbijały się w srebrnej zastawie i w świecznikach.

– Jak pan poznał moją drogą przyjaciółkę, hrabinę Wareham, pastorze Sylvaine?

Drogą przyjaciółkę? Czyżby?

– Zasnęła podczas jednego z moich kazań. Tego raczej nie można zapomnieć. – Uśmiechnął się uprzejmie.

Evie czuła, że już na pewno ma twarz tak białą jak jej suknia. Wpatrywała się w kotlet z jagnięciny, jakby nie wiedziała, co ma z nim począć. Nie wzięła nawet do ręki widelca.

– To była doprawdy wielka nieuprzejmość z mojej strony – powiedziała pogodnie.

Lord Lisle zaśmiał się.

– Po życiu, jakie wiodła w Londynie, potrzebowała naprawdę solidnego odpoczynku.

– O tak – powiedział po chwili Adam. – Sporo o tym słyszałem. W Sussex hrabina też prowadzi dość aktywne życie.

Zabawne, aluzje zaczęły mu sprawiać satysfakcję.

Karał ją w ten sposób. Chłostał na oślep, jakby już nie została zraniona.

– Doprawdy? A Evie mówiła, że niewiele można zdziałać w Sussex bez… korzystnych dla zdrowia spacerów. Może zagrałby pan w karty, pastorze? Ale czy duchownemu wolno to robić?

– Frederick! – W głosie Evie wyraźnie zabrzmiało ostrzeżenie.

Oznaczało to, że bezbłędnie zrozumiała jego intencję.

– Po cóż miałbym grać w karty, lordzie Lisle, skoro dostaję to, czego chcę, nawet bez żądania.

Adam powiedział to jakby od niechcenia. Wyszukał kilka ziarenek groszku na talerzu i nabrał je ostrożnie na widelec.

Evie powoli zwróciła głowę w jego stronę. Wzrok miała równie zimny i twardy jak wisiorki żyrandola nad nią. A więc rozumiała, co miał na myśli. Nabrał prawdziwej zręczności w posługiwaniu się aluzjami. Z minuty na minutę coraz bardziej nienawidził siebie samego, ale zdawało się to nie mieć żadnego znaczenia.

– Wie pan, że Evie mrugnęła raz i sprowokowała w ten sposób pojedynek, pastorze Sylvaine? Dwaj mężczyźni uznali, że to właśnie do jednego z nich mrugnęła, i zrodziła

się z tego zazdrość. Rzadko która kobieta może być powodem tej prymitywnej formy rywalizacji, jeśli chodzi o dwóch trzeźwych skądinąd mężczyzn.

– Na szpady czy pistolety? – spytał Adam, przyglądając się uważnie Frederickowi. Było to niebezpiecznie podobne do wyzwania na pojedynek.

Na tyle, by Lisle zamilkł, a w oczach Evie pojawiło się niedowierzanie.

W tych oczach, które były tak ciepłe i bezbronne zeszłej nocy, później tak gorejące, a jeszcze później przymknięte z rozkoszy.

– Na szpady – odparł w końcu Lisle. – Ten pojedynek o mało nie skończył się fatalnie. – Dał w ten sposób do zrozumienia, że było wiele innych pojedynków o nią. – Czy w Oksfordzie uczono pana fechtunku, pastorze Sylvaine? Bo ja się właśnie tam go nauczyłem.

– Och, a ja od moich braci. No i od moich kuzynów Eversea. Mamy w tym sporą praktykę. Nauczyłem się nie tylko władania szpadą, ale również i tego, z kim się warto pojedynkować. Zdaje się, że takich ludzi jest niewielu.

Wpatrywała się w niego bez przerwy. Każde jego słowo było jak świadomie wymierzany cios. Widział, że staje się coraz bledsza, w miarę jak on ciągnie swoją odpowiedź, ale nie wyglądało na to, by miał zamiar ją przerwać.

– Oczywiście. Pan się zapewne nie pojedynkował. Przypuszczam jednak, że pojedynek to rozrywka w zasadzie dostępna tylko dżentelmenom – odparł z miejsca Frederick i pokazał wszystkie zęby w uśmiechu.

– Och, rzecz jasna – zgodził się pogodnie Adam i odkroił kawałek jagnięciny. – W takim razie nic pan o niej nie wie.

Powiedział to jakby od niechcenia, z tak swobodnym uśmiechem, że nawet do kogoś równie bystrego jak Freddy właściwe znaczenie tych słów dotarło dopiero po chwili.

Uśmiech raptownie zamarł na jego ustach, jakby zdał sobie sprawę, że ktoś wbił mu sztylet między żebra.

Potem zaś znikł zupełnie z jego twarzy, niczym lód topniejący na jeziorze.

Najwyraźniej zaczął nagle rozumieć, kim właściwie jest Adam.

– Może pomówimy o czymś innym niż pistolety? – zasugerowała nagle Evie, tak mocno ściskając serwetkę, jakby sobie wyobrażała, że to czyjaś szyja.

– Tylko że na prowincji niewiele jest roboty poza strzelaniem – wyjaśnił Freddy'emu Adam.

A potem uśmiechnął się lekko. Niemal obojętnie.

Frederick patrzył na niego w zamyśleniu. Usadowił się mocniej na krześle, wsparty łokciem o stół, i pozostał w tej pozie, jakby to on był panem Damask Manor.

A potem nachylił się ku Evie i bardzo poufałym ruchem uniósł delikatnie palcami jej krzyżyk, kładąc go na swoim kciuku, którym musnął jej skórę.

Kostki palców Adama zbielały, tak mocno zacisnął je na trzonku noża.

Frederick posłał mu uśmiech, delektując się całą tą sytuacją.

– Przyznam, że już od dawna nie widziałem Evie, ale nigdy nie wyglądała ładniej niż teraz. Taka świeża… i tak zwodniczo niewinna. Muszę pochwalić ten klejnocik. Nadaje jej niezbędną aurę niewinności. Ale ona potrafi wydawać się inną, niż jest w istocie. To talent typowy dla aktorek.

Adam powoli odłożył nóż obok talerza.

Po czym odsunął krzesło i nagle wstał.

– Już nas pan opuszcza, pastorze? – Lisle był istnym wcieleniem fałszywej jowialności.

Podły sukinsyn.

– Obowiązki duszpasterskie nigdy się nie kończą, lordzie Lisle. Przepraszam, że tak nagle odchodzę. Mam nadzieję, że pańska wizyta będzie udana. – Powiedział to z całym spokojem, bez śladu złości.

– Mam również taką nadzieję – odparł Lisle. Odsunął się już od Evie i przypominał kota wygrzewającego się z satysfakcją na piecu. Był zadowolony z wygranej, jeśli można tak nazwać to, co zaszło.

– Odprowadzę pana do drzwi, pastorze.

W lodowatym tonie Evie zabrzmiało ostrzeżenie, a swoje krzesło odepchnęła tak mocno, że o mało nie runęło na podłogę.

Adam jednak odszedł niezwykle szybkim krokiem i musiała niemal biec, by go dopędzić.

– Adamie! – syknęła. – Na miłość boską, co każe ci myśleć, że masz prawo…

Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił, kładąc palec na wargach.

Zamilkła.

Przez chwilę spoglądali na siebie.

A potem on powoli nachylił się ku niej i szepnął jej do ucha:

– Mam nadzieję, że zmyjesz z ciała mój zapach, milady, zanim tamten cię dosiądzie.

Cofnęła się, blada jak ściana ze zgrozy.

Odetchnęła tak donośnie, jakby spadła z bardzo wysoka.

Przez krótką chwilę patrzyli na siebie. Z zimną nienawiścią.

Już unosiła dłoń, żeby go spoliczkować, lecz on bez wysiłku chwycił ją za nadgarstek, gdy się tylko na niego zamierzyła.

Powstrzymał ją. Także bez żadnego wysiłku. Żeby dowieść, że jest do tego zdolny i że po prostu nie pozwoli, by go uderzyła. Raz na zawsze.

– Policzek byłoby głośno słychać, Evie.

A potem puścił nagle jej ramię, jakby to był zdechły wąż, i odszedł.

Oczywiście, gdy wrócił na plebanię, czuł się jak skończony łajdak, rozpuszczone dziecko i głupi prostaczek. Wszystkie te wrażenia były dla niego zupełnie nowe.

Ale z drugiej strony, jak sobie w duchu kąśliwie powiedział, podobno lubisz doświadczyć czegoś nowego, Adamie Sylvaine.

– Nie ma mnie dziś rano dla nikogo – zapowiedział pani Dalrymple.

Ponieważ było oczywiste, że rąbanie drewna już mu nie pomoże, nie miał sposobu, by się wyładować. Uznał, że najlepszą karą za jego haniebne zachowanie będzie całkowita samotność.

Jakże wspaniały wachlarz emocji wniosła w jego życie. Wszystko stało się intensywniejsze, spotęgowało się, nabrało wyrazistości. Wszelkie te rozkwitłe nagle uczucia, okazywane mu, by manipulować, walczyć, lecz także przecież chłonąć,

delektować się, zadziwiać.

Była już teraz jego częścią. Nieodwołalnie. Słodyczą, ogniem, torturą, które przeistaczały każdą cząstkę jego ciała, póki nie stał się raz na zawsze zupełnie inną osobą i nigdy już nie mógł być inny.

Zdawał sobie skądinąd sprawę, że było to wyłącznie jego problemem.

Dała mu rozkosz, nie obiecywała mu niczego, nie żądała niczego – prócz tego, że liczyła na pewną pomoc z jego strony w zyskaniu sobie przyjaciół.

Równie dobrze jednak nie mógł jej dać nic, a Lisle zapewne mógł dać jej wszystko.

„Myślałem, że już się nigdy nie pozbieram", powiedział Colin. Czuł się tak wtedy, gdy myślał, że utracił Madeline. Adam przypomniał sobie lady Fennimore, która podzieliła na dwoje swoje serce i życie. Nie było to dalekie od słów Colina.

A Evie mówiła, że nigdy nie chce się znaleźć na łasce żadnego mężczyzny.

Rozmyślał o tym wszystkim bez przerwy, nie dochodząc do żadnej konkluzji.

– Pastorze Sylvaine. – Głos pani Dalrymple był tak cichy, że dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę, iż gospodyni coś mówi do niego, choć mówiła to już po raz drugi.

Podniósł na nią wzrok.

– Jenny przysłała po pana. Lady Fennimore umiera.

– Chciałabym, żebyś już sobie poszedł, Freddy – powiedziała, wracając do pokoju. Nie usiadła jednak. Stała, górując nad nim. Kusiło ją, żeby go solidnie dźgnąć widelcem.

Spojrzał na nią szczerze zdziwiony.

– Evie… ależ ty po prostu wychodzisz z siebie!

– Cóż za spostrzegawczość, Freddy. Wychodziłam z siebie podczas całego obiadu, a ty dopiero teraz to widzisz?

– Siądźże koło mnie… przepraszam cię, moja droga. Nie miałem zamiaru… ale wiesz, że nie cierpię przegrywać. Powinienem był zauważyć, że ten mężczyzna…

– Pastor Sylvaine.

– …coś dla ciebie znaczy. Albo ty dla niego. A ja nic nie poradzę na to, że stary nawyk rywalizacji wciąż we mnie nie wygasł.

Nie odezwała się ani słowem.

– Nic na to nie poradzę, Evie – powtórzył. – Ten gość okazał się niemożliwym draniem. Zadrasnął moją dumę. Ja też się chyba posunąłem trochę za daleko.

– Freddy, wprawdzie nie wyglądasz wcale jak maszkaron, ale to nie ma nic do rzeczy. Upokorzyłeś mnie. Nie chcę drugi raz przeżyć czegoś takiego. Nigdy zresztą nie chciałam. Nie mam ochoty być zasranym pionkiem, którym gra jakikolwiek mężczyzna!

Jej głos wznosił się wciąż wyżej i wyżej, aż wreszcie ostatnie słowa zabrzmiały niczym ostry pisk.

Frederick spojrzał na kandelabr, chcąc się być może upewnić, że nie sposób nim rzucić przez pokój.

– Całkiem jakbyś nie umiał się zachowywać w inny sposób, Freddy.

– Nie pojmuję, o co ci chodzi – próbował ją ułagodzić.

– Rozumiem. Właśnie w tym cały kłopot.

Rozłożył szeroko ręce.

– Wiesz, że mi na tobie zależy. Szczerze. Wcale nie wyglądam jak maszkaron, co sama przyznałaś, a zatem mógłbym sobie bez trudu upatrzyć jakąś młodą niezamężną pannę z dobrego towarzystwa, a jednak przyjechałem właśnie tu, do ciebie.

– Ach, Freddy. Cóż ze mnie za szczęściara! Pewnie mogłabym się w tobie natychmiast zakochać. Proszę, proszę, jak się do mnie zręcznie zalecasz!

Zaśmiał się. Ale jego śmiech nie trwał długo.

A potem powiedział niemal z czułością:

– Ano właśnie, Evie. Kiedy mówisz takie rzeczy… nie chodzi mi już o tyłeczek jak jędrna śliwka. Albo nie tylko o to. Po prostu nie mogę cię zapomnieć. Wciąż mi na tobie zależy i właśnie dlatego znalazłem się tutaj. Wiesz, że chodzi mi o małżeństwo. Wziąłbym cię razem z tą nędzną hałastrą, którą ty nazywasz swoją rodziną. Zgodzę się na nich. Ale, weź to pod uwagę, tylko wtedy, gdy będą się trzymać z dala ode mnie.

Doprawdy, było to zupełnie podobne do podnoszenia stawki w grze. Dlatego, że nie mógł zyskać od razu tego, czego pragnął.

– Och, Freddy – westchnęła – idź sobie już.

– Wyganiasz mnie, Evie?

– Nie. Chcę tylko, żebyś teraz sobie poszedł. Idź.

Spojrzał na nią uważnie.

– Daję ci dwa tygodnie na przemyślenie mojej propozycji. Przyjedź potem do mnie, do Londynu… albo nie przyjeżdżaj wcale.

Ach. Ultimatum. No, tak. Ten mężczyzna lubił być graczem.

Ale w chwili, gdy to powiedział, zrozumiała, że zaczęło się już odliczanie. A także pojęła, co to oznacza dla niej i dla jej rodziny.

– Przemyślisz to sobie, Evie?

– Przemyślę.

Nie mogła z czystym sumieniem powiedzieć inaczej.

Wstał zza stołu i stanął przed nią. Przez dłuższą chwilę przypatrywał się jej z powagą.

A potem pocałował ją w czoło.

– No, to ja już pójdę.

24

W nocy zaczęła ją boleć głowa. Tępy ból usadowił się gdzieś za jej oczami i w żaden sposób nie chciał osłabnąć.

Gospodyni Evie miała cały szereg słoików z maściami i olejkami. Na każdym widniała etykieta z nazwą dolegliwości, które miały łagodzić. Niestety, na żadnej z nalepek nie było napisu „Wstręt to mężczyzn", „Zmartwienie" lub „Lęk przed przyszłością". Evie zgodziła się w końcu na herbatkę z ziółek. Żeby przynajmniej odnieść wrażenie, że ktoś się o nią troszczy.

Wypiła napar. Choć wcale nie złagodził bólu głowy, okazał się tak obrzydliwy, że powinien był z góry odstraszyć wszystkie inne dolegliwości, zanim jeszcze zaczęły ją nękać. Zrzuciła pantofelki, wyślizgnęła się z sukni i w samej tylko koszuli wsparła stopy o kratę przed kominkiem. Poruszała palcami u nóg w jedwabnych pończochach i zastanawiała się, jak długo te pończochy wytrzymają. A także czy Frederick wart był spędzenia reszty życia w takich właśnie pończochach, w powozach na resorach, zdrowia i dobrobytu jej rodzeństwa oraz siostrzeńców i siostrzenic, którzy będą się nadal mnożyć z szybkością godną królików.

Potarła czoło, jakby mogła w ten sposób usunąć wszystkie zdarzenia tego dnia. Z bólem wspominała pobladłą, napiętą skórę wokół ust Adama i jego zimną pogardę. Jakże dotkliwie ją zranił, z jaką zręcznością zadał cios. Czuła, że jeszcze nigdy w życiu nie zrobił czegoś podobnego. Oto czego nauczyły go miłość i pożądanie. Zawsze wywieram dobry wpływ na ludzi, pomyślała sobie z sarkazmem.

Niechby sobie poszedł do Hadesu i tam dzielił się ludzkimi szczątkami z lwem nemejskim! Jej serce, jeśli o niego chodziło, stało się bryłą lodu.

Bez pośpiechu wyjęła z włosów szpilki i odłożyła je na bok. Przypomniało się jej, jak Adam ujął jedno pasemko i założył jej za ucho, a jego twarz była wtedy tak bardzo…

Odpędziła od siebie tę myśl.

Doprawdy, czy się jej kiedyś wszystko w życiu ułoży tak, jak trzeba?

Wyjrzała przez okno i uznała, że nie będzie jej wcale żal wyjeżdżać z Sussex. Spojrzała z kolei w lustro i zamarła. Pospiesznie odwróciła się ponownie ku oknu.

– Matko Boska…

Serce podeszło jej do gardła, zerwała się z krzesła i padła na czworaki. Potem podpełzła do okna, po czym ostrożnie wstała i wyjrzała przez nie.

Stał tam jakiś mężczyzna, tuż przy furtce. Wytężyła wzrok. Postać skrywała się w cieniu, była niewyraźna, szara. Poczuła, że ma na ramionach gęsią skórkę. Któż u diabła…

Obojętne, kim był, podszedł tylko do furtki. Szarpany przez wiatr płaszcz owinął mu się wokół kolan.

Patrzyła na niego, niepewna, czy na domiar wszystkiego nie ma przywidzeń. Czyżby to był Jednooki William, rozbójnik z gościńca?

A potem księżyc wychylił się zza chmur i wszystko wyjaśniło się jak po machnięciu kapą przez magika. Już wiedziała, kim jest intruz. Był bez kapelusza. W jej zmęczonych oczach jego blond włosy jaśniały niczym drugi, mały księżyc.

Powinna koniecznie sprawić sobie psa, uznała patrząc na tego drania. Dużego, dzikiego, cuchnącego psa, podobnego do Molly O'Flahertych. Z ostrymi kłami, ale jednak przywiązanego do niej, takiego, który by skakał jej na piersi, dopraszając się pogłaskania, i który trzymałby wszystkich mężczyzn, a także ich żądania i kaprysy, z dala od niej.

Westchnęła, włożyła na siebie pelisę, znów wsunęła stopy w pantofle i z lampą w ręce zeszła ze schodów.

Dziwne. Jej serce topniało z zadziwiającą szybkością jak na bryłę lodu. A także waliło jak oszalałe.

W głuchej ciszy słychać było tylko chrzęst jej kroków, gdy stąpała po pokrytej szronem trawie i żwirze, a także szum krwi w jego uszach.

Zatrzymała się tuż przed furtką. Stali i patrzyli na siebie przez chwilę w zupełnym milczeniu.

– Nie kryję się wcale w krzakach – powiedział wreszcie zamiast powitania – po prostu… przez jakiś czas się wahałem.

– Och, ani przez chwilę nie sądziłam, że się w nich kryjesz. Nie nadajesz się wcale do roli tajemniczego bohatera.

Pozornie był to żart, ale w rzeczywistości ranił dotkliwie.

– Musiałbym chyba mieć ciemniejszą cerę, żeby wyglądać w tej roli bardziej przekonywająco.

Nie uśmiechnęła się wcale.

Nadal pozostał tam, gdzie stał, za furtką, jakby Evie była świętym Piotrem lub jakąś inną osobą uprawnioną do decydowania, czy go wpuścić, czy nie.

– Zachowałem się okropnie – powiedział bez żadnych wstępów.

Milczała, co oznaczało, że się z tym zgadza.

– Powinienem przeprosić – dodał stłumionym głosem.

– Doskonale. I co jeszcze?

– Przepraszam.

– Och, chyba się przewrócę z wrażenia.

Nabrał powietrza, żeby sobie dodać sił, i wypuścił je w długim wydechu.

– Ja… nie miałem prawa tak postąpić. To było całkiem niepodobne do mnie.

– Skąd wiesz, czy naprawdę niepodobne? Czy masz dużo wprawy w odgrywaniu zazdrosnego zalotnika, Adamie?

Bawił ją ten docinek, a zarazem łagodne wykpiwanie jego niedoświadczenia. Mimo

zimna, które już wkrótce miało ją za to ukarać, nie chciała mu niczego ułatwiać.

– Żadnej – przyznał.

Nie mogła go wyszydzać za pomocą prawdy o nim samym.

Powiedział szybko, zwięźle i otwarcie, ale w sposób dziwnie formalny:

– To było… niepodobne do mnie, bo wszystko, co mówię i robię, jest z gruntu przemyślane. Staram się być uczciwy i nigdy nikogo nie ranić. Na ogół mi się to udaje, z czego jestem rad. Ale… dzisiaj chciałem cię zranić.

Nie dodał: bo i ja zostałem zraniony.

Był to gwałtowny potok szczerych i przekonywających słów. Nawet jak na niego.

– No i udało ci się. – Gardło miała ściśnięte, mówiła z trudem. To wyznanie sporo ją kosztowało.

Zawsze mu się udawało zmusić ją, by była sobą i tylko sobą, nie zostawiał jej czasu na strategię i namysł; liczyła się jedynie naga prawda. Wytrącało ją to z równowagi. Tylko wobec niego była bezbronna. Czy on zdawał sobie sprawę, jak ją to przeraża?

Wyznania obojga zawisły między nimi, pełne napięcia. Mogli się obydwoje ranić, co oznaczało również, że im na sobie zależy.

– To było okropne – przyznał.

Na litość boską, przecież powalił na ziemię tego, kto rzucał na nią oszczerstwa. Stanął w obronie jej wątpliwego honoru. Świadomość, że ją zranił, poraziłaby go. Ukarałby się za to od razu. A jednak czuła, że coraz bardziej zaczyna ją niecierpliwić niewinność tego człowieka.

– Zachowaliśmy się wszyscy jak rozzłoszczone dzieci, gdyż coś pokrzyżowało nasze plany, zwłaszcza że chodziło o sprawy między mężczyzną a kobietą. Czyż „moje” nie jest ulubionym dziecięcym słowem? Prawa przeciw pojedynkom nie byłyby potrzebne, gdybyśmy modlili się o to, by być ludźmi cywilizowanymi.

– Nigdy nie zachowywałem się w ten sposób.

Póki nie poszło o ciebie, brzmiało jej niewypowiedziane oskarżenie.

– Dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że nie zamierzasz dokonać samobiczowania.

– Nie zamierzam robić niczego w tym rodzaju. Ale dziękuję za naukę, lady Wareham. Jeszcze raz skorzystam z pani… bogatszego doświadczenia.

Cofnęła się gwałtownie. Korciło ją, żeby mu powiedzieć, że ta ironia unicestwiła jego przeprosiny, choć w gruncie rzeczy podziwiała je i chyba na nie zasługiwała.

Znów zaległa między nimi cisza. Gwiazdy świeciły tak ostro jak dziurki wywiercone w puszce, noc była jasna. Stopy zaczęły jej marznąć w pantofelkach, policzki zdrętwiały z zimna. Nagle wydało się jej absurdem, że w środku nocy stoi po jednej stronie furtki, rozmawiając z mężczyzną stojącym po drugiej.

– Czy dlatego tu jesteś? Czy twoje zbolałe sumienie wyciągnęło cię z łóżka i przywiodło w nocy pod moją furtkę? Tylko po to, żeby przeprosić?

– Nie.

Powiedział to tak stanowczo, że omal nie zamrugała.

– No to dlaczego tu przyszedłeś?

Chciała, żeby głośno przyznał: „Bo cię pragnę”, gdyż wtedy mogłaby mu odmówić. W końcu był mężczyzną zdolnym do wybuchu namiętności, a teraz, gdy jawnie go

upomniała, sądziła, że raczej go to pohamuje. Wsunęła zgrabiałe palce w szerokie rękawy pelisy, jakby to była mufka, symbolicznie odgradzając się od niego. Spojrzała na niego chłodno.

Przyszedł, żeby w zamian za przeprosiny otrzymać to, co robili rano. Tylko że ona nie chciała go już nigdy więcej dotykać.

Gdyby jednak on miał dotykać jej, nie byłaby odpowiedzialna za to, co się potem stanie. Nie była na tyle niemądra, by sądzić, że jej rozum będzie tu miał coś do powiedzenia.

Wciągnął raptownie powietrze, a potem z jego ust uniósł się biały obłoczek pary.

– Bo umarła dziś lady Fennimore – powiedział w końcu.

Zaskoczenie odebrało jej na chwilę przytomność umysłu. Potem poczuła dotkliwy smutek. Czekała, ale nie powiedział nic więcej. Znała go już jednak dość dobrze. Wyrzekł to głosem zupełnie spokojnym i obojętnym. Kiedy zaś mówił w ten sposób, jego uczucia były rozpalone do białości.

– Przykro mi – odparła całkiem szczerze, bo naprawdę było jej przykro. Zawahała się, ale zaryzykowała pytanie. – Czy… byłeś przy niej?

– Umarła, trzymając mnie za rękę. Ale to nie pierwsza śmierć, przy której byłem obecny – dodał pospiesznie, jakby chciał oszczędzić jej opisu. – Moim obowiązkiem jest asystować przy odchodzeniu ludzi z tego świata, a jeśli pragną modlitwy, rozgrzeszenia i rytualnych czynności, wiem dokładnie, co mam wówczas zrobić. Zawsze wygląda to trochę inaczej, ale uświęcony od wieków rytuał niesie pociechę, a czasem wydaje się piękny im samym, ich rodzinom, nawet i mnie… W końcu życie składa się właśnie z narodzin, ślubów i zgonów. Pokładają we mnie ufność, gdy im ułatwiam odejście w zaświaty. Jestem im wdzięczny i wzrusza mnie, że mogę im to dać, a oni mogą w tym brać udział, nawet jeśli czuję się… niepewny, czy jestem tego wart. A bywa tak częściej – stwierdził ze smutkiem – niż chciałbym komukolwiek się przyznać.

Na jego twarzy migotały na przemian światło księżyca i cień, nie dając poznać nic z tego, co czuł lub czego pragnął. Wyobraziła sobie, jak to musiało wyglądać. W końcu dlaczego nie? Ten rosły mężczyzna, z trudem mieszczący się w krześle wyraźnie dla niego za małym, nachylał się nad kruchą, umierającą kobietą, szepcząc swoim pięknym głosem znane wszystkim modlitwy, które niezliczonym ludziom niosły pomoc w ich ostatnich chwilach życia. Te błękitne oczy, podkrążone ze znużenia, wczesny zarost ocieniający podbródek, wielkie, pewne dłonie były ostatnią rzeczą, jaką lady Fennimore widziała na ziemi, i ostatnią, jakiej dotykała. Zaufanie jej do tego mężczyzny było równie wielkie jak jej życiowe doświadczenie.

Spłynęło na nią jak fala objawienie.

Zalecali się do niej królowie i książęta, wyszła za hrabiego, który wygrał jej rękę w haniebnej, karcianej rozgrywce.

A teraz… wszystko to, mężczyźni, ich zaloty, kwiaty, klejnoty, pojedynki stały się dla niej nagle czymś błahym, jak kukiełki. Jak igraszki małych chłopców. Chyba po raz pierwszy zetknęła się z prawdziwą wielkością, którą uosabiał on, znużony, zakurzony i przybity pastor. Trzymał za rękę starą kobietę wydającą ostatnie tchnienie, dał w twarz komuś, kto urągał jej wątpliwemu honorowi, i przybył w środku nocy, by czuwać przy

łóżku jej służącej.

– Szkoda mi jej – rzekł po prostu. – Bardzo ją lubiłem.

Evie poczuła, że niezdolna jest wykrztusić słowa. Zamknął jej usta szacunek i przeraźliwy, ale zarazem piękny lęk.

– Ach – wyszeptała jedynie, wkładając w to „ach" wszystko, co czuła.

Odkaszlnął w końcu i powiedział tylko:

– No, cóż. – Głos miał niemal bezbarwny ze znużenia, z ledwie wyczuwalną nutką ironii. – To ja już pójdę.

Ukłonił się, odwrócił gwałtownie i zaczął się od niej oddalać. Boże, jak szybko! Wszystko przez te jego długie nogi.

A tymczasem ona popędziła za nim jak jakaś niemądra smarkula, podkasując koszulę.

– Adamie!

Stanął. Obrócił się powoli, ale nie ruszył ku niej, tylko czekał, by to ona do niego podbiegła. Zatrzymała się nagle i ostrożnie, niczym płochliwe zwierzątko, wspierając dłonie na jego piersi. Gdyby nie szmer oddechu, byłby równie sztywny i twardy jak ławki w jego kościółku. Mierzył ją wzrokiem, nie wyjmując rąk z kieszeni. Nie mogła nic wyczytać z jego twarzy. Przysuwała się do niego coraz bliżej, aż wreszcie ich ciała niemal się zetknęły. Powiodła dłońmi po jego ramionach, objęła w pasie. I trzymała go mocno.

Po chwili zaczął oddychać coraz szybciej. Zamknęła oczy, chłonąc jego woń, zapach osmalonych polan, dymu z cygara, mgły, cedrowego drewna i końskiej skóry. Płaszcz, który miał na sobie, był wręcz katalogiem tych zapachów, pewnie dlatego, że nie miał innego ciepłego okrycia, brakowało mu za to żony lub służącego, którzy mogliby ten płaszcz wyczyścić.

Uparcie trzymał ręce w kieszeniach, choć obejmowała go mocno, póki się jej w końcu nie poddał. Na szczęście nie trwało to długo, bo chłód stawał się coraz dotkliwszy. Westchnął, napięcie w nim zelżało, i przywarł do niej swoim ciałem. Po chwili wsparł policzek na czubku jej głowy i objął ją. Poddał się całkowicie. Wciąż jeszcze ciężko dyszał, ale dla niej ten oddech był prawdziwym darem, bo świadczył o tym, że powoli się uspokajał.

Objęła go jeszcze mocniej. Ten silny mężczyzna przyszedł zaczerpnąć siły od niej. Na szczęście ona też była silna. Miała w sobie dość odwagi i siły, żeby się z nim dzielić.

Jedyną jej słabością był on.

– Jeśli czasem jest czegoś za wiele, to nie szkodzi – szepnęła z pewnym trudem, bo policzek miała mocno przyciśnięty do jego piersi.

Nie zamierzał jej przytakiwać ani okazywać uznania. Miał własną dumę.

Objął ją jednak.

Nagle zapragnęła spojrzeć na niego, ujrzeć go ponownie po tym objawieniu, które na nią spadło. Dotknęła palcami jego podbródka. Powiodła nimi po wczesnym zaroście, wzdłuż dolnej wargi. Przez chwilę nie protestował, ale potem, swoim zwyczajem bez uprzedzenia, chwycił jej dłonie, uniósł je ku sobie – posłusznie pozwoliła, by objęły jego szyję – i pocałował ją.

Pocałunek wzburzył jej krew jak mocna whisky; jęknęła zaskoczona. On zaś szeptał coś, może jakąś przysięgę, może jej imię, a jego usta żądały od niej czegoś i w jednej

chwili stały się dla niej całym światem, cudownie ciepłe. Cudowny był także szorstki zarost, który czuła na zziębniętych policzkach, a nawet zimny jak lód koniec nosa.

Całował ją niezręcznie, zachłannie; rozchyliła usta pod naciskiem jego ust, zapraszając go, by wniknął w nie jak najgłębiej. Zanurzyła palce w jego miękkich włosach, a on przesunął usta ku jej szyi, gdzie tętnił puls. Przywarł wargami do tego miejsca, pragnąc się przekonać, jak mocno bije jej serce.

– Jesteś cała z jedwabiu, Evie – powiedział niemal ze śmiechem, a głos załamał mu się z zachwytu. Jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Czuła się dzięki niemu odrodzona. Wszystko w niej stawało się nowe pod jego dotknięciem.

Przygarnął ją do siebie mocno, a ona niemal nie mogła oddychać, gdy do niej dotarło, jak bardzo jej pragnął. Wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł ją w górę, a ona przylgnęła mocno do niego, oplatając go nogami.

– Pragnę cię – wyszeptał, jakby zwierzał się jej z jakiegoś bezcennego sekretu.

A ona, która poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie zwiąże się z nikim, nie mogła teraz wykrztusić ani słowa, bo także go pragnęła.

Dobrze, że nie czekał na jej odpowiedź.

Rozpamiętywała później drogę do domu w jego objęciach, z nogami oplecionymi wokół jego ciała, z twarzą wtuloną w jego szyję. Nie czuli zimna, gdy jego długie nogi przekroczyły wreszcie furtkę ani gdy wnosił ją do środka przez uchylone drzwi. Wtedy ją puścił. Ześlizgnęła się wzdłuż jego ciała tak raptownie, że zaparło jej to dech.

Ogień dogasał na kominku w salonie, gdzie po raz pierwszy ujrzał Fredericka.

Posadził ją delikatnie na sofie i rozpiął szybko koszulę, a potem zrzucił ją z siebie. Zdumiał ją widok jego szerokiej piersi. Gratulowała sobie w duchu szczęścia, gdy rozpinał i ściągał spodnie. Zaklął pod nosem, usiłując zzuć buty. Był smukły, muskularny, z bladozłotą skórą, wąski w pasie. Na twardych udach rosły krótkie, złociste włoski; pośladki miał nieduże, jędrne, obydwa wspaniale umięśnione – znakomite miejsce oparcia dla jej rąk, gdy otoczy go nogami, a on uniesie się nad nią i zagłębi w…

– Zostaw buty – zażądała zdławionym głosem.

Nie mogła czekać. Pragnęła odczuć całym ciałem gładkość jego skóry. Pragnęła odkrywać go palcami, wargami, językiem. Pragnęła wiedzieć, co odczuje, wodząc rękami po regularnym rysunku jego torsu, po rowku między żebrami, dotykając końcami palców szorstkich, złotych włosów rosnących wzdłuż wspaniale sklepionego brzucha, poniżej którego prężył się wzniesiony członek.

Ukląkł tuż koło niej, uchwycił jej koszulę na wysokości bioder i ściągnął z niej przez głowę. Potem cisnął ją przez ramię; upadła obok jego własnej. Uniosła się cała ku niemu, zanurzyła palce w jego włosach i nachyliła jego głowę ku swojej, chcąc go pocałować. Musnął jej wargi ustami, wśliznął się w nie miękko językiem i poruszał nim, póki nie jęknęła. Nakrył jej usta swoimi, ich języki się splątały. Objął obiema rękami jej tors, kusząc ją obietnicą zetknięcia z jego skórą, ale wciąż unosił się nad nią, prawie się z nią nie stykając. Wygięła się cała ku niemu, tak że sutkami otarła się o jego pierś, a wtedy powiodła dłońmi po niej, gorącej i gładkiej, kierując się w dół, ku członkowi. Dotknęła końcem języka jego sutka, potem uszczypnęła go lekko, ale nie pozwolił na nic więcej.

Wyswobodził się z jej objęć, przesunął policzkiem po jej piersiach, okrążając je palcami i schylając głowę, by znów móc dotknąć ich ustami. Dreszcz rozkoszy przenikał jej ciało wszędzie tam, gdzie jej dotykał, aż wreszcie objął ją całą jak płomień. Sunął ręką w ślad za gorącymi pocałunkami, wzdłuż jej żeber, wzdłuż giętkiej krzywizny brzucha, aż do trójkąta kędziorków nad udami. Dotknął ją tam delikatnie, a gdy rozchyliła zachęcająco nogi, spróbował sięgnąć tam językiem.

– Jezu! – jęknęła.

Uznał to, i słusznie, za wyraz uznania, zrobił tak zatem jeszcze raz, samym czubkiem języka, potem całym, a jej ciało wygięło się ku górze.

– Czy tak dobrze? – spytał szeptem, całkiem, jak uznała, niepotrzebnie. W jego głosie mogła wyczuć wesołość i coś w rodzaju samozadowolenia.

Zrobił to jeszcze raz. I jeszcze jeden raz.

Odnaleźli wspólny rytm. Wodził delikatnie palcami po wrażliwej skórze wewnętrznej strony ud, a językiem umiejętnie sprawiał, że była bliska utraty zmysłów. Poczuła, że jej ciało zdaje się roztapiać pod ostrymi jak igiełki sygnałami rozkoszy. Jęczała głucho, miotała się, wykrzykiwała błagalnie jego imię. Lękała się nadchodzącej błogości, a zarazem nieubłaganie wychodziła jej naprzeciw. Biodra jej poruszały się w szaleńczym tempie, a przed oczami zalśniły tysiączne błyski, gdy na krawędzi spełnienia całym ciałem wygięła się w łuk.

Rozsypała się z krzykiem na drobne cząstki.

Opadła na sofę wstrząśnięta i olśniona, przyciskając do siebie jego dłoń, by mógł wyczuć całą jej ulgę, nim złączył się z nią na sofie. Nakrył ją swoim długim ciałem, wsunął się w nią, a ona uniosła biodra i objęła go mocno nogami, przyjmując go w siebie. Zagłębił się w niej.

Usiłował robić to powoli, tak że aż ramiona drżały mu z wysiłku, co z kolei podniecało ją prawie nie do zniesienia. Zdumiewała ją ta niesłychana, z takim trudem osiągana samokontrola. Pragnęła, żeby tej nocy osiągnął spełnienie.

– W porządku. Pragnę cię, Adamie. Proszę. Teraz.

Nabrał tchu i zaczął poruszać biodrami. Początkowo powoli, lecz wkrótce poniechał tego i jego ruchy nabrały coraz większej szybkości. Przylgnęła do jego ramion i cała unosiła się ku niemu, biorąc go w siebie głęboko, delektując się podrzutami jego bioder, póki nie sięgnął szczytu, wykrzykując ochryple jej imię.

Legli oboje bez słowa koło siebie, nasyceni i złączeni ze sobą. W pełnym spokoju milczeniu pozwoliła sobie badać jego ciało, szukając w nim nowych, wspaniałych obszarów. Sunęła dłońmi po gładkich, twardych konturach ramion, po jego piersi, wsuwała palce w złociste włosy, sięgając aż do tych nad przyrodzeniem. Gdy zaś zaczęło się znów unosić, ześlizgnęła się na podłogę i uklękła przy nim.

A potem wzięła je do ust.

Aż westchnął z satysfakcji, gdy ujęła wargami gładką główkę, a potem wodziła ustami wzdłuż trzonu, on zaś wplątywał palce w jej włosy. Wróciła znów do główki i przesunęła językiem wokół jej fałdy. Uniósł się wtedy, rozchylił szerzej nogi i odrzucił w tył głowę, a całe jego ciało poderwało się ku górze.

– Evie! – jęknął. – O Boże, Evie!

W tej chwili błogosławiła wszystko to, czego nauczyła się w swym poprzednim życiu. Miała wprawę w dawaniu rozkoszy, a jednak nigdy nie radowało jej bardziej to, że posiada ciało, że wie, jak się nim posłużyć, by dzięki niej ten niezwykły człowiek, który koił tyle cudzych trosk, sam mógł doznać ukojenia.

Brała go powoli w usta, głęboko, raz po razie, póki nie poczuła, że jego brzuch zaczyna coraz szybciej unosić się i opadać, póki nie odrzucił głowy jeszcze gwałtowniej w tył, wyginając się cały ku niej, pomagając jej, błagając o szybsze tempo.

– Wewnątrz… ciebie – wyszeptał. – Proszę cię. Chcę… wewnątrz ciebie…

A wtedy podniosła się, siadła na nim i otoczyła go nogami, ześlizgując się po nim w górę i w dół. Zatrzymała się na chwilę, delektując się tym, że czuje go w sobie, i uśmiechając się do niego przewrotnie. Droczyła się z nim lekko, unosząc się zbyt wysoko; zaklął wtedy i gwałtownie podrzucił biodrami.

– Matko Boska…

Potem zaś schwycił ją mocno za biodra i wziął ostro, wnosząc się tak gwałtownie, że ich ciała raz po raz zderzały się ze sobą, póki nie zesztywniał cały i nie krzyknął ponownie.

Później ściągnęli z niego wspólnie buty i spodnie. Zobaczyła wówczas, że miał długie, owłosione stopy, i wyciągnęła swoje, drobne, obok nich na sofie.

Leżeli tak razem, oddychając już spokojnie, spleceni ze sobą, z ciałami pokrytymi potem, póki nie poczuli zimna.

Wstał wtedy i na wpół przytomnie podszedł do kominka. Patrzyła sennie, jak klęka, jak dokłada do ognia, porusza polana pogrzebaczem i sięga po krzesiwo. Jakże dorodne wydawało się jego ciało. Jak różne od ciał mężczyzn, którym się oddawała, dość może kształtnych, ale już pozbawionych jędrności, zanadto zniszczonych przez rozpustę. Muskulatura Adama mówiła wiele o jego życiu: o pieszych wędrówkach, o jeździe konnej, o kładzeniu dachów, o rąbaniu drewna. Troszczył się o innych, ale też i o siebie. Ciało miał wspaniałe, choć pośladki, niewielkie i o jasnej skórze, dziwnie ją wzruszały swoją bezbronnością.

– Nie spałam nigdy z Freddym – powiedziała.

Odwrócił się ku niej szybko, zapewne zaskoczony, ale pozostał tam, gdzie przedtem klęczał.

– Nieważne – odparł i nie dodał już nic więcej.

– Nie spałam też z Haynesworthem. Nigdy.

– Evie… – urwał. – Nieważne. Wierzę ci. Ale gdybym nawet wiedział, że spałaś z nimi… nawet gdyby wszystko to było prawdą… przyszedłbym z pomocą tobie i Henny. Nawet gdybyś była na księżycu. Znalazłbym sposób. Potrafiłbym ci pomóc.

Spojrzeli na siebie przez szerokość pokoju. Powiedział to nie z rezygnacją, tylko całkiem rzeczowo. Jak ktoś, kto godzi się z wyrokiem losu.

Wszystko jednak, co czuł, wyrażało jego spojrzenie.

„Kocham cię”, chciała mu powiedzieć.

– Wiem, że to niczego nie zmienia – dodał.

Jeśli czekał, by temu zaprzeczyła, to czekał na próżno.

Spojrzeli na siebie ponad dzielącą ich przestrzenią.

Wciąż jednak mieli dla siebie tę noc. Wstał i wrócił na sofę. Otworzyła ramiona. Zagłębił się w nich. Żadne z nich nie powiedziało już ani słowa.

Zasnął, a ona obejmowała go, gdy zasypiał.

Na szczęście chłód zbudził ich, zanim służba natknęła się na ich nagie ciała splecione ze sobą na sofie. Ucałował jej usta, jej zamknięte powieki. A potem przeciągnął się i ostrożnie odsunął od niej, po czym wstał, żeby rozpalić ogień.

Patrzyła, jak przykucnął przy kominku. Kochała go tak mocno i tak żarliwie, jakby zamiast krwi płynęła w jej żyłach światłość słońca. Ale była to wspaniała światłość i żar, które można podtrzymywać bez końca.

Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, mogłaby widzieć codziennie, przez resztę życia, jego plecy, gdy poruszałby pogrzebaczem polana w kominku. Dzieliłaby z nim chwile prostego, codziennego życia, takie jak ta. Wiedziała jednak, co musi zrobić, a że była kobietą silną, chciała zrobić to zaraz.

– Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Londynu, Adamie.

– Z… wizytą? – Powiedział to tak, jakby znał już odpowiedź.

– Na dobre – odparła łagodnie.

Znieruchomiał.

– Przecież nie możesz… z pewnością jest jakieś inne wyjście…

Zbliżył się i uklęknął koło niej przy sofie.

– Evie… Evie.

– Posłuchaj – powiedziała i przesunęła palcami po jego podbródku, po wargach. Chcąc utrwalić w pamięci ich kształt. Ujął je delikatnie i ucałował.

– Tak będzie lepiej.

– Nie! Proszę, pozwól mi mówić.

Zanim stracę odwagę, dodała w myśli.

– Wiesz przecież, że tutaj nigdy mnie nie uznają za swoją. A twój byt zależy od parafian zapełniających kościelne ławki. Och, Adamie, oni są doprawdy szczęściarzami, skoro mają ciebie! Twoja praca jest wspaniała, choć nie wiem, czy sobie z tego zdajesz sprawę. Ja… ja cię podziwiam. – Głos się jej załamał. – A oni cię potrzebują. Masz szansę, żeby być szczęśliwym. Albo przynajmniej zadowolonym. Możesz założyć rodzinę i żyć w spokoju, szczęśliwie, ale ja, jak zły omen, uniemożliwiałabym ci osiągnięcie tego. Pomyśl o Olivii Eversea. Jak wygląda jej życie? Nie pozwolę, żeby z tobą stało się podobnie. Nie pozwolę.

Patrzył na nią, a jej przerażające słowa zdawały się docierać do niego dopiero po jakimś czasie.

– Jedziesz do Lisle’a – powiedział bezbarwnym głosem.

– On nie jest złym człowiekiem, Adamie. Naprawdę. Nigdy nie będzie taki jak ty. Ale zachowa się wobec mnie honorowo. Poślubi mnie. Może dać mi dzieci. Potrafi się zatroszczyć o moją rodzinę i zrobi to.

Słuchała własnych słów z niedowierzaniem, mimo że każde z nich uważała za słuszne. Z trudem mogła uwierzyć, że musi złamać serce sobie i jemu, żeby móc przetrwać.

– Jak możesz… jak ty możesz mówić o… małżeństwie z nim i o dzieciach… o wspólnym leżeniu w łóżku po tym, co…

Pobladł śmiertelnie i dyszał tak gwałtownie, jakby przed chwilą przebiegł całą milę.

– Evie – powiedział cicho, błagalnie.

Słyszała siebie samą z daleka, jakby jej głos odłączył się od ciała. Tylko dzięki temu mogła znieść to, że łamie im obojgu serca. Słyszała własny głos mówiący słowa, które mogły zabić.

– Wiesz, że nie ma innego wyjścia. Wiesz, że mam rację. Kiedy o tym pomyślisz… a będziesz do tego zdolny jutro rano… zrozumiesz, że ja naprawdę mam rację. Może nie spodziewałeś się, że nastąpi to tak prędko, ale chyba tak będzie najlepiej. Pragnę, żebyśmy się teraz pożegnali, a więc pocałuj mnie… – głos jej zadrżał – …i powiedz mi „żegnaj”. A potem odejdź.

Pokręcił gwałtownie głową.

– Nie.

– Adamie…

Ujrzał w jej oczach nieprzejednanie.

Nachylił się i pocałował ją. Czuła w tym pocałunku gniew, rozpacz, miłość i złamane serce. Czuła, że przenika ją do głębi duszy, że całe jej ciało skręca się, a myśli zaczynają gmatwać. Wiedział o tym.

A więc to ona z nim zrywała.

Schyliła głowę. Zamknęła oczy.

– Chcę, żebyś odszedł.

Zapadła cisza.

Usłyszała, jak się pospiesznie ubierał.

Czuła, jak odchodził. A odgłos zamykania drzwi rozwiał wszelkie jej nadzieje.

25

*Ż*ar, potop i zazdrość…

Wyjrzał, nie wiadomo po co, przez okno plebanii. Zmusił się, by wrócić myślami do pracy. Napisał na kartce:

„Lilie polne”.

Wpatrywał się w te słowa, jakby mógł przez to sprawić, by przeobraziły się w kazanie.

A tymczasem one, jak na złość, nie chciały. Widział przed sobą jedynie Evie z kwiatami polnymi, które przyniósł jej, przychodząc z pierwszą wizytą. To ona podsunęła mu motyw lilii polnych, a potem…

Wypisał nazwę kwiatów na papierze, niemalże z odrazą, po czym zmiął zmarnowaną kartkę w kulę i rzucił nią przed siebie.

Evie wyjedzie z Pennyroyal Green do Londynu za niecałe dwa tygodnie.

„Myślałem, że już się nigdy nie pozbieram”, powiedział Colin.

A jeśli Colin miał rację? Adam chodził przecież, mówił, oddychał i spał. Tylko że jedzenie straciło smak i nie czuł nawet, czy jest gorące, czy zimne. Pani Dalrymple podsuwała mu talerze pod sam nos i zabierała je z powrotem nietknięte. Martwiła się o niego, ale tego również nie dostrzegał.

Evie nie pojawiła się w kościele, odkąd ją widział po raz ostatni. Za to przychodzili tam wszyscy inni. Po raz pierwszy ujrzał na nabożeństwie panią O’Flaherty i jej dzieci, które zachowywały się zdumiewająco poprawnie pod każdym względem, tylko że wszystkie miały na głowach admiralskie kapelusze i mieczyki u boku.

Pojawiły się tam oczywiście dzięki Evie.

Kiedy je ujrzał, zaplątał się w tekście kazania i patrzył na nie z takim przejęciem, że zdumiał tym niezmiernie kilkoro parafian, wyraźnie zmartwionych. Podjął kazanie na nowo.

Odpędził od siebie wspomnienia, wybrał kolejną kartkę i wygładził ją. Wygładził jeszcze raz. I głaskał, niczym kota, poddając się konieczności napisania przyzwoitego kazania.

Żar, potop i zazdrość. Miłość nie przypomina tych głupstw z Listu do Koryntian, powiedziała lady Fennimore.

A kiedy odchylił się w krześle do tyłu, zamarł z wrażenia.

Znał wprawdzie tekst tego Listu na pamięć, ale przekartkował Biblię, otworzył ją na Pierwszym Liście do Koryntian i zaczął czytać.

No właśnie. Oto gdzie kryło się natchnienie, kapryśny gość! Podziękował mu za to, że nawiedziło go, jak zwykle, o jedenastej.

Lady Fennimore była wprawdzie mądra, ale nie wiedziała wszystkiego.

Natchnienie oświeciło go. Nagle pojął, co powinien zrobić.

Wziął się zatem do pisania. Ale nie kazania. Kazanie mogło poczekać.

Drogi Freddy,

Przyjeżdżam, ale nie triumfuj z tego powodu. Miło mi będzie Cię zobaczyć. Pewnie będziesz się musiał postarać o specjalne zezwolenie?

Evie

Freddy powinien docenić zwięzłość tego listu.

Powinien też triumfować.

Evie dała list Henny, żeby zaniosła go do sklepu pana Postlethwaite'a. Dyliżans pocztowy zawiezie go do lorda Lisle. Niech go przemyślny Freddy nawet da oprawić w ramki!

Henny nadzorowała teraz pakowanie garderoby Evie przygotowanej na wyjazd do Londynu.

– Ach, biały muślin… miałaś tę suknię na sobie tego dnia, kiedy pastor przyszedł z wizytą. – Uniosła ją w górę. – Pamiętasz?

Evie spojrzała na nią podejrzliwie.

– Pamiętam.

– Byłaś w niej piękna jak obrazek. A to… suknia z zielonego jedwabiu. Nosiłaś ją na zabawie tanecznej…

– Pamiętam, Henny.

Evie podeszła do niej, wyjęła jej z rąk suknię i przez chwilę kołysała ją w ramionach jak zranioną istotę.

– W czym jutro pójdziesz do kościoła?

Evie spojrzała na nią, zaskoczona.

– Przecież nie pójdziemy jutro do kościoła.

– Co, stchórzysz i nie wybierzesz się tam po raz ostatni?

– Ależ ty lubisz mi ubliżać. – I westchnęła. Nie brała jej słów na serio.

– Uderz w stół, a nożyce się odezwą, milady! Nie chcesz im utrzeć nosa? Nie chcesz ich wszystkich zobaczyć po raz ostatni, zanim zostaniesz żoną wicehrabiego i więcej już na nich nie spojrzysz? A czy nie powinnaś tego zrobić dla pastora? W końcu uratował mi życie.

– No i wielka szkoda – mruknęła pod nosem Evie.

Henny bardzo nieładnie postąpiła, grając tą kartą.

Henny przez jakiś czas nic nie mówiła, tylko przyglądała się jej uważnie. Evie przyglądała się zaś jedwabnej sukni z twarzą tak zaabsorbowaną, jak ktoś, kto tańczył walca z wysokim pastorem.

– On był dla ciebie bardzo miły – powiedziała miękko Henny.

W oczach Evie, ku jej przerażeniu, zakręciły się łzy.

Odwróciła się raptownie i podeszła do okna. Dotknęła ręką szyi, nakrywając dłonią wiszący tam krzyżyk.

Nie chciała pójść do kościoła, bo wtedy musiałaby go zobaczyć. Zaczynała się przyzwyczajać do myśli, że nie ujrzy go już nigdy więcej. Byłoby to rozdrapywaniem rany.

Będzie jednak miała dość czasu, żeby tę ranę wyleczyć. Całą resztę życia. Ale gdy myśl o ujrzeniu go już się jej nasunęła, bardzo trudno było jej poniechać.

Unikanie go było jednak tchórzostwem. Henny miała rację. A Evie pogardzała słabością.

– No, dobrze. Pójdziemy. Zatrzymamy się w kościele po drodze. Ale potem wyruszamy natychmiast do Londynu, słyszysz?

– Wspaniale – rozpromieniła się Henny. – No to myślę, że powinnaś włożyć tę lawendową suknię, kapelusz z jedwabnymi, purpurowymi wstążkami i…

W tejże chwili Evie dostrzegła dwie kobiety, które zbliżały się nieśmiało do furtki.

Opuściła zasłonę i zbiegła na dół.

Były to Margaret Lanford, Josephine Charing, Paulie i jego pies, Środa, który zdawał się uśmiechać do niej, bezstronnie i radośnie.

– Słyszałyśmy, że pani odjeżdża, i chciałyśmy się pożegnać – wyszeptała Josephine. – Będzie nam pani brakowało.

– Nie musisz szeptać, Josephine. Mnie też będzie ciebie brak.

– Och, oczywiście. Tylko że gdyby inne nas tu zobaczyły…

– Pojmuję. – Evie, mimo wszystko, ścisnęło się serce.

– Nigdy nie zapomnę pani życzliwości, lady Wareham. A skoro wiem, jak pani lubi moje herbatniki… – Margaret Lanford wcisnęła jej w ręce koszyk – …chciałam je dać pani na pożegnanie.

Evie zaniemówiła z wrażenia.

– Tylko że… – i Margaret Lanford zaczerwieniła się – chyba mi wyszły trochę twardsze, niż chciałam.

– Twarde jak kamień! – zawołał wesoło Paulie.

Spojrzała pytająco na Margaret, która skinęła z przygnębieniem głową.

Evie przygryzła wargę w zamyśleniu. Nagle twarz jej się rozjaśniła.

– Już wiem, co z nimi zrobimy!

I przez następną godzinę wszyscy czworo wspaniale się bawili, rzucając nimi do celu ustawionego w ogrodzie na tyłach domu. A Środa szczekała radośnie.

Evie pożegnała Pennyroyal Green mniej więcej tak samo, jak się z nim przywitała.

Po godzinach męczarni i prawdziwej kanonadzie zapisanymi po obu stronach zmiętymi kartkami zdołał skończyć kazanie o braterstwie. Temat był równie wytarty jak jego buty. Gdyby Evie Duggan zapragnęła się zdrzemnąć, nic lepiej niż to kazanie nie ukołysałoby jej do snu.

Ale nie w tym celu napisał to kazanie. Miał własny.

Przyszedł do kościoła na długo przedtem, nim Liam Plum uderzył w dzwony. Tak jak podczas innych poranków, promienie słońca padały przez witrażowe okna na ołtarz.

Padały tam zresztą od wieków, oświetlając kolejno jednego duchownego po drugim.

A jednak dla niego ten poranek może okazać się niezwykły.

Albo nawet najniezwyklejszy ze wszystkich.

– Witajcie! – uśmiechnął się do wiernych.

Odpowiedzieli mu również uśmiechem, choć trochę sennym.

– Jakże się cieszę, że widzę was tutaj wszystkich razem. Każdy z nas należy do jakiejś rodziny. Wszyscy zaś wiemy, że siła rodziny kryje się w jedności. – Odszukał wzrokiem dzieci O'Flahertych i ich matkę. – Jak mówi nam święty Mateusz, każde skłócone królestwo upadnie i każde skłócone miasto nie podniesie się więcej. A choćbyśmy gorzko tego…

Drzwi kościoła uchyliły się i Evie, a za nią Henny, weszły cicho do środka. A potem wślizgnęły się w ostatni rząd ławek.

Henny ledwo dostrzegalnie skinęła mu głową.

Przez dwa tygodnie był niczym Mojżesz błądzący po pustyni. Nie widział Evie całe dwa tygodnie.

Chłonął teraz jej widok.

Wpatrywali się w siebie tak długo, że zaczęło to być krępujące.

Rozległ się szmer zniecierpliwienia. Potem usłyszał szepty.

Dopiero gdy wziął bardzo głęboki oddech, oderwał od obydwóch wzrok i ponownie spojrzał na tekst kazania.

Nagle jednak zapomniał, jak się czyta po angielsku. Wzrok jego płonął. Zapisane słowa tańczyły mu przed oczami, umykały, traciły wszelkie znaczenie.

W pełnej zażenowania ciszy ktoś zakaszlał.

A wtedy Adam zmiął kartki z kazaniem w kulę i cisnął ją przez ramię.

Kilkoro parafian niemal podskoczyło z wrażenia.

Nikt się nie poruszył. Nikt nic nie mówił. Siedzieli jak skamieniali, wpatrzeni w jego oczy. Bił z nich niezwykły blask.

– „Połóż mnie jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol".

Rozległo się kilka westchnień.

A jego głos wznosił się coraz wyżej, śmiały i donośny.

– „Żar jej to żar ognia, uderzenie boskiego gromu. Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki".

Wielu parafian przestraszył, pozostałych rozbudził.

– Evie Duggan…

Wszystkie głowy obróciły się tam, gdzie skierował rozjaśniony wzrok, a potem ponownie zwróciły ku niemu.

Po czym znów obróciły się ku Evie.

W jej oczach widniało to, co czuła.

– …ty jesteś pieczęcią na moim sercu, żarem i ogniem, który mnie grzeje, uzdrawia, płonie we mnie. Jesteś rzeką, która mnie chłodzi i kołysze. Kocham cię. Miłość może być mocna jak śmierć, ale ty… wiem teraz, że to ty jesteś moim życiem.

W kościele zapanowała cisza, jak makiem zasiał.

Evie siedziała nieruchomo, jak wykuta z kamienia. Tylko jej oczy płonęły w znieruchomiałej twarzy.

– A choć pragnąłem chronić cię i zabezpieczyć przed burzami życia, nie ubolewam teraz nad niczym z twojej przeszłości. Bo to ona uczyniła cię taką, jaką jesteś. Lojalną, żarliwą, dzielną, dobrą, niezwykłą. Nie musisz za nic pokutować.

Ostatnie słowa były jak uderzenie młota.

Nikt się nie ruszył. Wszyscy wstrzymali oddech.

– Są tacy, którzy uważają czynienie dobra za rozrywkę, za coś w rodzaju haftowania lub strzelania do celu. Sądzą, że piękno jest czymś widzialnym dla oka, choć w istocie płynie ono z duszy. Ale dobrem nie jest to, co się czyni, tylko to, czym się jest. Dlatego, stojąc tu przed wami, oświadczam, że Evie Duggan jest jedną z najlepszych osób, jakie miałem zaszczyt poznać.

Mógł ze swego miejsca dostrzec, że jej oddech gwałtownie przyspieszył i że jest bliska łez. Pokręciła z wolna głową, jakby z niedowierzaniem.

– Tak, miłość to żar, potop i płomienie. Może być pięknym cierpieniem, jak mi powiedziała pewna mądra kobieta. Ale pomyliła się co do jednego, bo odpowiedź, Evie, znajdziemy w Pierwszym Liście do Koryntian, który mówi, że…

Pani Sneath wstała raptownie. Policzki miała szkarłatne, głos jej drżał.

– Pastorze, proszę mi wybaczyć, ale muszę wszystkim coś oznajmić, zanim pan zacznie znowu mówić. – Złożyła mocno dłonie. – „Miłość nie cieszy się z niecierpliwości, lecz weseli się z prawdą” – zacytowała. – Tak mówi Pierwszy List do Koryntian. Pana słowa objawiły mi, że prawda wygląda tak. Hrabina dla nas wszystkich była prawdziwą przyjaciółką. Myślę, że nie byliśmy sprawiedliwi wobec niej. Chciałabym ją przeprosić i pokornie ofiarować jej moją przyjaźń!

Adam był równie zdumiony jak pozostali parafianie.

A Evie po królewsku skinęła głową.

Parafianie nagle zaś stracili orientację, gdzie mają spojrzeć. W absolutnej ciszy zwracali głowy to w jedną, to w drugą stronę.

Nagle zerwała się z miejsca Amy Pitney i znów wszyscy zaniemówili z podniecenia, zamierając w oczekiwaniu, kto będzie następny.

Amy mięła nerwowo suknię dłońmi w pięknych rękawiczkach. Wreszcie wyprostowała się i zwróciła w stronę Evie.

– Pierwszy List do Koryntian mówi też: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości”. – Odetchnęła pełną piersią, nim znów zaczęła mówić. – Nie chciałam dostrzec prawdy, bo zaślepiła mnie zazdrość. Ale teraz rozumiem, ile odwagi miała lady Wareham, by mi to ukazać. Abym ujrzała, jaka naprawdę jestem. Rozumiem teraz, jak wiele ryzykowała. Miłość może długo cierpieć, ale teraz wiem, że również jest cierpliwa, a zatem ja też będę cierpliwa. Nigdy nie zdołam pani należycie podziękować, lady Wareham. Mam jednak nadzieję, że się odwdzięczę, będąc tak dobrą pani przyjaciółką, jak pani była moją, jeśli tylko pani mi na to pozwoli.

Evie nie potrafiła już powstrzymać łez.

Henny ścisnęła ją za ramię jedną ręką. Drugą wyciągnęła z kieszeni chustkę i trzymała ją w pogotowiu. Szepnęła jej też do ucha:

– Coś ci powiem. Ja tego listu do lorda Lisle wcale nie wysłałam.

Evie zajrzała jej głęboko w oczy.

Po czym znów się odwróciła, bo w kościele po raz kolejny zapadła cisza.

Wtedy podniosła się powoli Josephine Charing. Tak powoli, że wszyscy zdążyli ku niej zwrócić głowy.

Josephine uśmiechnęła się niepewnie, jakby sama była zaskoczona tym, co robi, a także tym, że ją to cieszy.

– Pierwszy List do Koryntian mówi też: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle niejasno, wtedy zaś ujrzymy twarzą w twarz". A choć czytam Pismo Święte, przyznam się, że nie widziałam wcale jasno. Byłam ślepa na to, co miałam przed oczami. Lady Wareham wie jednak, jak powinna postąpić prawdziwa przyjaciółka. Zwróciła mi inną moją przyjaciółkę. – Wymieniły z Amy Pitney porozumiewawcze uśmiechy. – Będę jej za to zawsze wdzięczna, bo pomogła mi zrozumieć, ile traciłam, nie widząc jasno ludzi. A gdy na nich spojrzałam… znalazłam kogoś, kim nigdy się nie znużę.

Mówiła to, co niegdyś powiedziała Evie o pastorze, ale patrzyła na kogoś innego.

I ona, i Simon Covington spojrzeli na siebie z rozmarzeniem. A potem Josephine z powrotem usiadła.

Wtedy Adam, ku swojemu własnemu zdumieniu, ujrzał, że wstaje z miejsca Olivia Eversea. Znowu zapadła cisza, choć trochę innego rodzaju.

– „Gdy byłam dzieckiem, mówiłam jak dziecko, czułam jak dziecko, myślałam jak dziecko. Kiedy zaś stałam się kobietą, wyzbyłam się tego, co dziecinne".

Nie powiedziała nic więcej i usiadła z powrotem. Jej słowa mogły się wydać bez związku z tym, co mówiły jej poprzedniczki każdemu prócz niego.

Był z nich rad.

Olivia mu lekko skinęła głową.

A wtedy drzwi kościoła otwarły się na oścież i wpadło przez nie tyle jasności z zewnątrz, że przez chwilę wszystkich prawie oślepiła.

Kiedy zaś ludzie mogli już wyraźnie widzieć, dostrzegli, że ktoś w nich stanął.

Był to młody mężczyzna – przystojny, co natychmiast zauważono – z równie ciemnymi i krętymi włosami jak Evie, z tak samo zielonymi oczami i jasną cerą Irlandczyka. Na ustach błąkał mu się cień zuchwałego uśmiechu.

Gdy podszedł bliżej, tak że można go było ujrzeć dokładniej, Evie powoli wstała, pełna niedowierzania.

– Seamus! Ty diab…

– O diable mowa, a on tu! – potwierdził pogodnie.

– Przyszedłeś w samą porę, ty przeklęty gładyszu, ty łobuzie – mruknęła Henny.

Seamus pokazał wszystkie zęby w uśmiechu.

– Henny, ja ciebie też strasznie kocham.

– Najwyraźniej masz takie samo teatralne wyczucie właściwego momentu jak twoja siostra. Powiedz jej wszystko – zażądał Adam. – Powiedz, dlaczego tu się znalazłeś.

Był to rozkaz, z którym się nie dyskutuje.

Seamus najwyraźniej wcale się nie obawiał wystąpienia przed całkiem mu obcym audytorium. Evie nie była jedyną osobą w tej rodzinie obdarzoną instynktem teatralnym.

– To Henny go namówiła, żeby do mnie napisał.

Zaimek „go” odnosił się w oczywisty sposób do Adama. Seamus wskazał na niego palcem.

– Ależ…

Seamus, który czuł się chyba niezbyt swobodnie w nowym, tanim ubraniu, zapewne kupionym za przysłane mu przez Evie pieniądze, wyjaśnił:

– To wielebny Sylvaine do mnie napisał. Nie powiem, potrafi człowieka przekonać. Szkoda, że nie został adwokatem! No i jak tu odmówić człowiekowi Bożemu? Pierwszorzędnie wszystko urządził. Evie, masz szczęście, że na niego trafiłaś! Najpierw mnie zawstydził, potem nauczył bojaźni Boga, później nastraszył, a na koniec zapytał, czy nie zamieszkałbym w Damask Manor, żeby pomóc w uprawie tego spłachetka ziemi za dworem, a także drugiego, koło plebanii, w zamian za część zysków. A że we dworze jest sporo miejsca, starczy go też dla Cory i jej dzieci, i wolno im będzie zostać tam tak długo, jak tylko zechcą.

Evie pobladła.

– Dla Cory i jej dzie…

Wtedy rozległ się tupot mnóstwa nóg, głośne napomnienia, a po chwili zza Seamusa wyłoniła się drobna, ciemnowłosa i jasnooka kobieta. Na ręku trzymała niemowlę. Za nią tłoczyło się kilkoro chłopców i dziewczynek. Szturchały się wszystkie, popychały, uśmiechały nieśmiało i spoglądały przed siebie z palcami w buzi lub szeroko rozdziawiały szczerbate usta.

– Cora!

Cora uśmiechnęła się ze znużeniem, ale pogodnie.

Evie spojrzała na Adama, kręcąc ze zdumienia głową. Płakała i nie starała się nawet tego ukryć.

– W jaki sposób… – zaczęła, ale zakryła nagle twarz rękami.

– W jaki sposób? No cóż, musimy jeszcze raz się odwołać do Pierwszego Listu do Koryntian. Chyba zrozumieliśmy już, że miłość jest dla nas wszystkim? A oto, co on mówi: „miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”. Kiedy porzuciłem myśl o cierpieniu i postanowiłem wszystkiemu uwierzyć, zrozumiałem, co powinienem dla nas zrobić, Evie. Posłałem po nich. Zapewniam cię, że sporo ryzykowałem. Ale wtedy nadszedł czas, bym zaczął „wierzyć wszystkiemu”. Uwierzyłem w ciebie. Uwierzyłem, że coś dla siebie znaczymy. No i nie przestałem już w to wierzyć.

Zeszedł powoli po stopniach ołtarza.

W kościele zaległa całkowita cisza, jeśli nie liczyć cichego szlochu i szmeru chustek ocierających oczy. Tak całkowita, że wierni mogli słyszeć każdy jego krok, gdy szedł przejściem między ławkami, a każdy krok zbliżał go coraz bardziej do niej.

Evie zapamiętała odgłos tych kroków do końca życia.

Podniosła się z miejsca i stała, czekając na niego. Niecierpliwie ocierała łzy, nie chcąc ani na sekundę przestać patrzeć w jego oczy.

– Kocham cię, Evie. Wyjdź za mnie. Bądź moją żoną. Żyj tu razem ze mną, stwórz ze mną rodzinę.

Powiedział to cicho, ale akustyka starego kościoła była tak znakomita, że wszyscy słyszeli jego słowa. I wszyscy wstrzymali oddech.

Ledwie mogła mówić. Radość i łzy sprawiły, że całkiem zachrypła.

– Kocham cię bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić słowami, Adamie.

– Możesz to wyrazić jednym jedynym słowem. Powiedz „tak”.

Uniosła ręce, chcąc ująć w nie jego twarz i tulić ją. Zbliżyć do niej własną.

– Tak – wyszeptała.

– Niech ją pan pocałuje! – krzyknęła donośnie pani Sneath.

Nie potrzebował zachęty, ale podzielał jej entuzjazm.

Pocałował Evie. A wszędzie wokół otwierały się szeroko usta, pękały ze wzruszenia serca, godzili się przyjaciele, przede wszystkim zaś zapanowała tam miłość.

– Miłuj bliźniego swego! – zawołał z uznaniem Eldred. – Co za piękny przykład nam pan daje, jak to należy robić!

Epilog

Zaproszono pastora z sąsiedniego miasta, żeby dał im ślub tuż po ogłoszeniu zapowiedzi.

Liczne parafianki szlochały dyskretnie w chusteczki przez trzy kolejne niedziele, gdy je odczytywano, ale za nic by nie zrezygnowały z chodzenia do kościoła, póki tylko pastor Sylvaine będzie tam wygłaszał kazania. Poza tym była to tak romantyczna historia, że uznały ją za niesłychanie wzruszającą.

Na szczęście nowość działa jak wspaniały środek uśmierzający i Adam postąpił bardzo rozsądnie, sprowadzając Seamusa Duggana. Jeden rzut oka na niego wystarczał bowiem, by łzy obsychały, a rzęsy zaczynały trzepotać. Adam jednak zadbał o to, by Seamus sumiennie uprawiał ziemię zarówno przy Damask Manor, jak i za plebanią, gdy zaś wieczorem padał na łóżko, był zbyt zmęczony, by móc łamać któreś z licznych podbitych przez niego serc.

Jak na razie.

Pani Sneath uznała, że Seamus Duggan wspaniale rokuje jako umoralniające przedsięwzięcie, co sprawi, że stanie się on chyba nieco ostrożniejszy.

Cora i Mary O'Flaherty szybko się zaprzyjaźniły i po Damask Manor hasa teraz kilkanaścioro rudowłosych dzieci, wszystkie w admiralskich kapeluszach i z drewnianymi mieczykami u boku. Henny je wprost uwielbia i też jest przez nie uwielbiana, bo sprawia im wielką frajdę, odgrywając rolę Morskiego Potwora. Dzieli swój czas między plebanię i Damask Manor, choć pani Dalrymple, która nigdy nie miała zbyt mocnych nerwów, zawsze tak się urządza, by jej nie było, gdy Henny się tam zjawia.

Pod koniec roku, z pewną pomocą ze strony miasteczka, dom O'Flahertych zyskał nowy dach, nowe ogrodzenie, nową stodołę, trzy krowy, tłustego muła, dobrze uprawiony kawałek ziemi, kilka owiec, a także szczeniaki. Albowiem Molly rzeczywiście prowadziła się jak suka.

Nigdy więcej nie widziano w Pennyroyal Green Johna O'Flaherty'ego.

Jacob Eversea pogratulował Adamowi „zrobienia porządku" we właściwy tylko rodzinie Eversea, niepowtarzalny sposób. Pogratulowali mu również Colin i Ian. Colin upierał się też, że tylko dlatego ostrzegł Adama przed Evie, by go do niej przekonać, gdyż jedynym sposobem skłonienia kogoś z ich rodziny do zrobienia tego, co należy, było powiedzenie mu, by tego nie robił.

Adam odczytał zapowiedzi Josephine Charing i Simona Covingtona w tydzień po swoich własnych.

Tak się też jakoś złożyło, że Bartholomew Tolliver okazał się miłośnikiem botaniki i obydwoje z Amy Pitney nawiązali ożywioną korespondencję. Tolliver żywi skrycie

romantyczne nadzieje względem Amy. Lecz Amy także żywi takie nadzieje.

Względem Seamusa Duggana.

A miasteczko przygląda się temu i czeka.

Tydzień po ślubie Adam i Evie poszli na cmentarz przy kościele, żeby złożyć wiązankę polnych kwiatów z hrabstwa Sussex na grobie lady Fennimore.

Evie, wsparta o jego szeroką pierś i czując się całkowicie bezpieczna w jego ramionach, wtuliła głowę w idealnie pasujące do tego celu wgłębienie poniżej podbródka. Patrzyli z szacunkiem na kamienną płytę. Wyryte na niej epitafium głosiło:

„Nie sądź, że ciebie to ominie".

– Kiedyś uważałam, że moje epitafium będzie brzmiało: „Tu leży Evie Duggan, której nikt nie zdołał poskromić".

– A jak mogłoby ono brzmieć teraz?

– „Tu leży Evie Sylvaine, poskromiona przez Adama Sylvaine'a".

Przygarnął ją mocno do siebie, a ona uniosła głowę, by mógł ją pocałować. Poczuła powolne narastanie dobrze jej znanej błogości. Pragnęli się obydwoje, co zwykle sprawiało, że pospiesznie musieli wracać do domu o najbardziej nieoczekiwanych porach.

– Lady Fennimore nie miałaby nic przeciwko temu, żebyśmy zrobili to tutaj – szepnął jej do ucha Adam.

– Tylko że mamy tu coś w rodzaju widzów. A oni są żywi.

Podążył za jej wzrokiem w stronę drogi, gdzie w świetle zachodzącego słońca przechadzało się dwoje ludzi.

– To moja kuzynka Olivia. A obok niej… na Boga, wybrała się na spacer z lordem Landsdowne!

Patrzyli w milczeniu na ten cud.

– Landsdowne chyba wygra ten zakład – mruknął pod nosem Adam.

Podziękowania

Winna jestem najgłębszą wdzięczność May Chen, mojej przeuroczej redaktorce, która zawsze ofiarowuje mi wsparcie; zasłużyli też na wdzięczność mój niesłychanie bystry agent literacki, Steve Axelrod, moja droga siostra za podsuwanie mi licznych pomysłów oraz cały utalentowany zespół wydawnictwa Avon za swoją ciężką pracę. Dziękuję również wszystkim moim serdecznym przyjaciołom i czytelnikom za to, że pozwolili mi się przekonać, jak wiele dla nich znaczą moje książki.

Przypisy

[1] Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Pallottinum, 2012 r.